

AGNIESZKA PIETRZYK

ZOSTAŃ W DOMU



„Rasowy thriller. Akcja jest tak gęsta, że nie odłożycie tej książki przed świtem”. **MARTA GUZOWSKA**



ZOSTAŃ
W DOMU

AGNIESZKA PIETRZYK

ZOSTAŃ W DOMU



Copyright © Agnieszka Pietrzyk, 2019
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk
Redakcja: Paulina Jeske-Choińska
Korekta: Agnieszka Czapczyk
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński
Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz
Fotografia na okładce: © Shelly Mack/Shutterstock
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2019

eISBN 978-83-66278-01-1

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Rozdział I

ŚNIEŻYCA ROZPOCZEŁA SIĘ dwudziestego drugiego grudnia o szesnastej i trwała do ósmej rano dnia następnego. Gdy Damian jechał do urzędu miasta, jeszcze nieźle sypało. Na szczęście wjazd na dziedziniec ponadstuletniego gmachu był odśnieżony. Volkswagen toczył się powoli w stronę kutej bramy, na której widniało nazwisko „Heinrich von Plauen-Schule”. Zaparkował.

Czekały go dzisiaj ostatnie spotkania opłatkowe. W tym tygodniu nic innego nie robił, tylko składał życzenia i jadł makowca, którego miał już naprawdę dosyć. Gdy wczoraj pojechał do domu dziecka na Chrobrego, łudził się, że poczęstują go czymś innym. Niestety, był znowu makowiec.

Sekretarka zajrzała do jego gabinetu.

— Panie prezydencie, czekamy na pana.

Uśmiechnęła się.

Lubił swoich pracowników, byli młodzi i zaangażowani w pracę, a przede wszystkim wierzyli w niego. Szczerze składał im życzenia pomyślności i sukcesów, dodał, że głównie na niwie zawodowej, co wywołało wybuch śmiechu. Jemu do serca najbardziej przypadło życzenie, aby nie stracił stołka. W takim mieście jak Elbląg wszystko było możliwe, już jednego prezydenta mieszkańcy pogonili. Zjadł makowiec z pracownikami swego biura, a potem pognął piętro niżej na spotkanie z dyrektorami departamentów. Znowu życzenia i przełamywanie się opłatkiem.

Sekretarka postukała palcem w zegarek na rękę, przypominając mu, że musi już jechać, bo burmistrz Tolkmicka na niego czeka. Włożył płaszcz i wziął teczkę. Idąc korytarzem urzędu, składał jeszcze życzenia napotykanym pracownikom. W końcu znalazł się na

dziecińcu. Odetchnął zimnym powietrzem. Musiało być co najmniej dziesięć stopni poniżej zera. Położył teczkę na tylne siedzenie. W taką pogodę potrzebował aż pięćdziesięciu minut, aby dojechać do Tolkmicka. Znowu wróci do domu późnym popołudniem. Renata nie będzie zadowolona, ale cóż, taka praca. Nie wypadało odrzucić zaproszenia burmistrza na spotkanie opłatkowe.

Sunął wolno przez zaśnieżone miasto. Wreszcie mieli prawdziwą zimę z zaspami po kolana, ze zwałami białego puchu na parapetach i gałęziami pękającymi od nadmiaru śniegu. Jazda w takich warunkach nie należała do przyjemności, choć musiał przyznać, że na razie służby radzą sobie z odśnieżaniem. Trudności na drodze były jednak niczym w obliczu roztaczającego się wokół piękna. Elbląg grubo przysypany białym puchem stał się malowniczy, uroczy. Niektóre obiekty wyglądały jak śnieżne figury, nawet czołg T-34 stojący na Armii Krajowej przypominał dzieło artysty rzeźbiącego w śniegu. Skręcił w Browarną. Ta ulica uległa największemu przeobrażeniu, dawniej szara i zaniedbana, teraz prezentowała się jak przestrzeń z zimowej bajki. Śnieg zalegający na dachach budynków, na parapetach i schodach, na każdym wystającym architektonicznym elemencie nadawał przedwojennej zabudowie magicznego kolorytu. Swoje też zrobił mocny oddech mrozu, który wydobył ze śniegu srebrzystoniebieskie igiełki lodu. Ulica lśniła, migotała, wręcz świeciła. Minał efektowne zabudowania browaru, chwilę później wjechał na drogę pięćset trzy prowadzącą do Tolkmicka. Parę godzin temu musiał tędy przejechać pług, bo na poboczu zalegała gruba warstwa śniegu, a szosę pokrywała biała, zmarznięta skorupa, lekko przysypana piaskiem i solą. Po obu stronach drogi ciągnęły się zaśnieżone pola, gdzieś dom i wyjątkowo dużo saren stojących nieruchomo w zaspach.

Spotkanie z burmistrzem trwało prawie godzinę i było wyjątkowo rzeczowe, najpierw przełamanie się opłatkami i życzenia, a potem rozmowa o rozbudowie portów w Elblągu i Tolkmicku. Burmistrz wyznał, że bardzo liczy na finansową pomoc Warszawy, bo podobno

przy okazji przekopu Mierzei Wiślanej ma powstać fundusz wspierający rozbudowę małych portów i marin. Damian przyznał, że też rozgląda się za kasą dla Elbląga, przy tak dużych inwestycjach może uda się coś ukręcić z budżetu państwa. Na koniec zjadł kilka pierogów i wypił barszczyk, po czym ruszył w drogę powrotną.

Było już ciemno. Światła samochodowe odbijały się od zaśnieżonej drogi, która wiała się między polami, potem po obu stronach pojawił się las. Jechał wolno, ostrożnie wjeżdżając w kolejne zakręty. W Jagodnie nagle na skraju szosy ujrzał postać. Instynktownie odbił w lewo, dobrze zrobił, bo postać wbiegła na drogę. Ten ktoś próbował go zatrzymać. Damian stanął. To była dziewczyna, widział ją w lusterku. Dobięła do samochodu i otworzyła drzwiczki od strony pasażera.

— Zabierze mnie pan do Elbląga?

Była zdyszana i zmarznięta. Biło od niej lodowate zimno.

— Tak, proszę wsiadać.

— Tylko mojego Dropsika zawołam.

Dziewczyna przymknęła drzwiczki i zaczęła nawoływać psa, próbowała też gwizdać, ale szło jej to nieudolnie.

Damian wysiadł z samochodu. Wokół roztaczał się piękny zimowy krajobraz. Zapatrzył się na nieruchome drzewa dźwigające biały puch, nawet najdrobniejsze gałązki były nim pokryte.

— Co to za pies?

— Kundelek — odpowiedziała zmarzniętymi ustami.

Dopiero teraz przyjrzał się dziewczynie. Była bardzo młoda, jeszcze nastolatka, ubrana zbyt lekko jak na taki mróz. Pomarańczowy szalik owijał jej szyję i spływał wzdłuż ciała, kończąc się równo z krawędzią krótkiej spódniczki. Ponownie wbiegła między drzewa i dalej wołała psa. Damian zagwizdał. Odpowiedziała mu leśna cisza.

— Kiedy pani go zgubiła?

— Pół godziny temu, może trochę więcej.

— Do miasta jest tylko sześć kilometrów, pies powinien sam wrócić, nawet kundel. Proszę, niech pani wsiądzie do samochodu.

— Ale on zamarźnie.

W głosie dziewczyny pojawił się rozpaczliwy ton. Damian bał się, że nie będzie chciała z nim jechać, a on nie może tu stać bez końca, nie może też jej zostawić, bo to przecież jeszcze dzieciak.

— Jeśli pies nie jest ranny albo chory, to nie zamarźnie. Proszę się nie martwić.

— A jeśli on nie trafi do domu?

— To trafi do innych ludzi, a oni na pewno się nim zajmą, a pani da ogłoszenie w internecie, że zgubiła psa. Proszę wsiąść do samochodu, przecież widzę, że trzęsie się pani z zimna.

Dziewczyna spojrzała jeszcze na las, a potem ruszyła w stronę volkswagena. Ponownie otworzyła drzwiczki od strony pasażera, ale po chwili się rozmyśliła i zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Damian ruszył. W lusterku widział, jak pasażerka przesuwając palcem po ekranie telefonu.

— Co pani robiła w Jagodnie?

— Miałam tam randkę z moim chłopakiem. Pokłóciliśmy się i mnie zostawił, odjechał. Chyba z nim zerwę.

Włączył radio, z głośników popłynęła kolęda. Dziewczyna zaczęła podśpiewywać:

— „Chrystus się rodzi, nas oswobodzi, anieli grają, króle witają”.

Pochylił się do schowka i wyjął garść cukierków. Poczęstował ją.

— Trochę cukru się pani przyda.

Wzięła jednego i od razu rozwinęła z papierka. Jadła, głośno mlaskając.

— Tego mi trzeba było — wymamrotała niewyraźnie.

— Proszę wziąć więcej. — Włożył jej w dłoń pozostałe cukierki. — Gdzie pani mieszka?

— Na Zawadzie, Okulickiego czternaście.

Odstawił ją pod sam blok. Niezdarnie wygramoliła się z samochodu i wymamrotała podziękowania. Szła powoli, jak gdyby miała śliskie podeszwy i obawiała się upadku. Nagle w jej plecy uderzyła śnieżna kula, ale dziewczyna się nie odwróciła. Sprawcą celnego rzutu był

chłopiec w pomarańczowej czapce, który teraz zaczął uciekać w przeciwną stronę.

Damian jechał dalej, przyglądając się miastu pogrążonemu w zimowej, przedświątecznej aurze. Ludzie z pełnymi torbami biegli do tramwaju, a spod ich stóp unosił się śnieżny tuman. Za chwilę zielone wagony sunęły niewidzialnym, bo otoczonym zwałami śniegu torowiskiem. Trasę zdawała się wyznaczać świąteczna iluminacja ozdabiająca słupy trakcyjne.

Skręcił w Suwalską, domy sąsiadów, a także drzewka i bramy ozdobione były lampkami. On również zadbał o świąteczne oświetlenie, zrobił to według wskazówek Renaty i dlatego ich iluminacja była najładniejsza, a raczej najbardziej gustowna, tylko dwa kolory, niebieski i biały, lampki układały się w gwiazdy i sinusoidy.

Wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwiczki, żeby wziąć teczkę. Stał przez chwilę zdezorientowany, bo siedzenie i podłoga były puste. Z nadzieją otworzył bagażnik, może tam ją schował. Niestety, teczki nie było. Okradła go niewinnie wyglądająca nastolatka, tak mu się odwdzięczyła za podwiezienie. Ogarnęła go złość. Powinien być bardziej ostrożny. Ale co teraz? Gorączkowo szukał rozwiązania. W pierwszej chwili chciał wracać na Okulickiego. Szybko uznał, że to bez sensu, bo przecież dziewczyna weszła do wieżowca. Jak ją niby ma znaleźć? Może więc powinien zadzwonić na policję. Nie, to zły pomysł, przecież musiałby powiedzieć, co znajduje się w teczce, samo wyjaśnienie, że dokumenty, to za mało, będą chcieli wiedzieć jakie. No i jest ryzyko, że jakiś funkcjonariusz otworzy teczkę i przeanalizuje zawartość.

Odwrócił się w stronę domu i zobaczył przez ogromne okno kuchenne żonę i trzy córki, cztery blondynki o niebieskich oczach, jego największy skarb, za który był gotów oddać życie. Jeśli teczka wpadnie w niepowołane ręce, spokój jego rodziny zostanie naruszony. Nie może do tego dopuścić. Zaczął się zastanawiać, co ta młoda dziewczuszka jest w stanie wyczytać z dokumentów fundacji, co

powiedzą jej faktury i przelewy. Zapewne będzie rozczarowana, że nie znalazła pieniędzy albo karty kredytowej.

Upewnił się, że portfel z dokumentami i kartami ma przy sobie, po czym przekroczył próg domu. Nie zdążył zdjąć płaszcza, a Marysia już do niego dopadła. W czerwonych ogrodniczkach i kapciach obszytych różowym puchem wyglądała jak krasnal. Trzymała w rękach gwiazdę ze sreberek. Zapewniła, że sama ją zrobiła i zaraz powiesi ją na choince. Wziął od niej ozdobę, obejrzał i pochwalił. Z kuchni wyjrzała najstarsza córka.

— Cześć, tato, gdzie masz drzewko?

Skrzywił usta i przewrócił oczami, dając znać, że nie wywiązał się z powierzonego mu zadania. Patrycja zbliżyła się do niego i konspiracyjnym szeptem zapytała:

— Co się stało?

— Nie zdążyłem nic kupić, zatrzymali mnie moi pracownicy, mieliśmy spotkanie opłatkowe. Rozumiesz?

— Rozumiem. Dziewczynki zaraz zaczną marudzić, ale nie martw się, zajmę się nimi.

Patrycja miała dwanaście lat i znakomicie wcielała się w rolę najstarszej siostry. Przygarnęła do siebie Marysię, która już zrozumiała, że choinki dzisiaj nie będzie, i zaczynała pociągać nosem.

Wszedł do kuchni. Najpierw pocałował w głowę Alę, która manipulując w skupieniu nożyczkami, zerkała na ekran laptopa. Domyślił się, że tam ma wskazówki, jak wyciąć ozdobę choinkową. Podszedł do żony i cmoknął ją w policzek. Chciał się odsunąć, ale złapała go za szyję i przyciągnęła bliżej. Była ciepła, pachniała wanilią i wyglądała niezwykle młodo w obcisłych dżinsach oraz włosach związanych kolorowym sznurkiem, zapewne pożyczonym od którejś z córek.

— Piękna jesteś.

— Już to dzisiaj słyszałam.

— Od kogo?

— Od naszej najmłodszej córki.

— Och, a już się bałem, że masz cichego wielbiciela.

Pocałował ją w usta.

— Przywiozłeś choinkę?

— Nie, nie zdążyłem kupić.

— Coś się stało?

— Nic się nie stało, po prostu nie zdążyłem.

Czuźne spojrzenie Renaty uświadomiło mu, jak bardzo jest zaniepokojony kradzieżą teczki. Co dziewczyna z nią zrobi, gdy okaże się, że zawartość jest dla niej bezużyteczna? Wyrzuci ją na śmietnik? Zapewne tak, ale kto ją wtedy znajdzie? W wyobraźni ponownie ujrzał nastolatkę w pomarańczowym szaliku i krótkiej spódnicy. Za chwilę w jego głowie odtworzył się inny obraz, chłopiec w pomarańczowej czapce rzucający śnieżką w plecy dziewczyny. Znał ją, dlatego w nią rzucił. Damian spojrzał na zegarek. Ile czasu minęło od momentu, gdy nastolatka wysiadła z jego samochodu? Pół godziny, może trochę więcej, ten dzieciak jeszcze może biegać pod blokiem.

— Kochanie, pojedę po choinkę, przy centrum handlowym powinni jeszcze sprzedawać.

Ręka Renaty zsunęła się z jego ramienia.

— No dobrze, jedź, dziewczynki się ucieszą.

Damian obejrzał się na Alę. Nadal była zajęta wycinaniem ozdoby choinkowej.

— Tylko nic nie mów dziewczynkom — poprosił szeptem. — Bo nie wiadomo, czy uda mi się coś kupić, o tej porze choinki mogą być już przebrane.

Renata konspiracyjnie przytaknęła. Wymknął się z domu i wsiadł do samochodu. Powoli przebijał się przez zatłoczone arterie miasta. Śnieg migotał srebrnymi kryształkami w świetle padającym z latarni. Od świetlistości zimowej ulicy odcinało się kontrastowe niebo, zupełnie czarne, bez jednej gwiazdki. Mimo narastającego niepokoju upajał się widokiem zimy. Zaparkował na Okulickiego i wysiadł.

Odetchnął z ulgą, widząc chłopca w pomarańczowej czapce, kręcił się przy drzwiach do marketu, może na kogoś czekał. Damian podszedł do niego, rozglądając się ostrożnie. Nie chciał, aby go posądzono o zaczepianie dzieci.

— Cześć.

Chłopiec nie odpowiedział.

— Szukam tej dziewczyny, w którą rzuciłeś dzisiaj śnieżką. Wiesz, gdzie ona mieszka?

— Wcale w nią nie rzuciłem.

— Niech ci będzie, nie rzuciłeś, ale może pamiętasz, na którym piętrze ona mieszka?

— Nie wiem.

— Gdybyś wiedział, to byś jej bardzo pomógł, bo ona zgubiła psa, Dropsa.

— Dropsika.

— Tak, Dropsika, a ja go znalazłem. No to co, powiesz mi, gdzie ona mieszka?

Chłopiec wskazał na pierwszą klatkę wieżowca.

— Tam.

— A może pamiętasz numer mieszkania albo chociaż piętro?

Chłopiec przymrużył oczy w głębokim zamyśleniu, nagle się uśmiechnął.

— Na szóstym, ma drzwi naprzeciwko windy, jak ja.

Damian pewnym krokiem skierował się do bloku. Nie musiał dzwonić do domofonu, bo akurat wychodził kurier. Już na parterze owionęła go woń bigosu. Gdy wysiadł z windy na szóstym piętrze, czuł spore zdenerwowanie. Niepotrzebnie, zaraz będzie po wszystkim. Gdy naciskał dzwonek, przemknęło mu przez głowę, że powinien zapytać chłopca, z kim dziewczyna mieszka. Czy z rodzicami?

Drzwi się uchyliły i stanęła w nich młoda kobieta.

— To pan?

Dobrze, że się odezwała, bo rozpoznał ją wyłącznie po głosie.

Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że wcześniej nie widział jej twarzy przysłoniętej kapturem i szalikiem. Dziewczyna była ładna, ale też cechowała ją pospolita uroda, nieprzyciągająca wzroku. Okrągła buzia, zwyczajne oczy i usta. Jej największym atutem były zgrabne nogi, wyeksponowane przez bardzo krótką spódnicę.

— Wydaje mi się, że przez pomyłkę zabrała pani moją teczkę.

— Aha, wydaje się panu.

Dziewczyna nie wyglądała na przestraszoną ani zakłopotaną.

— Proszę mi ją oddać.

— Oddać, czemu nie, ale za znaleźne coś mi się należy.

— Jakie znaleźne? Pani mnie okradła.

— Ma pan świadków?

Pomylił się, biorąc ją za nastolatkę. Jej spojrzenie i pewność siebie wskazywały, że jest starsza.

— Jeżeli nie odda mi pani teczki, zadzwonię na policję.

— A ja im powiem, że mnie pan molestował. Ma pan ochotę na wielogodzinne przesłuchanie na komendzie? Tuż przed wigilią?

Damian nie miał wątpliwości, że tym właśnie by się zakończyło tego rodzaju pomówienie. A może powinien wtargnąć do mieszkania i zabrać teczkę? A co, jeśli dziewczyna zacznie krzyczeć i sąsiedzi wyjdą z mieszkań? Prezydent wchodzący siłą do mieszkania młodej kobiety, to dopiero byłaby kompromitacja.

— Chcę pięć stówek znaleźnego — oznajmiła stanowczo.

Wyjął portfel i go otworzył. Zapłaci i będzie miał święty spokój. Usłyszał, jak za jego plecami sunie winda w górę, na szczęście minęła szóste piętro. Nie chciał mieć świadków tej transakcji.

— Mam trzysta osiemdziesiąt złotych. Wystarczy?

— Nie.

— Nie mam więcej przy sobie.

— Niech pan idzie do bankomatu.

Dziewczyna trzasnęła drzwiami. Damian nie czekał na windę, zbiegł po schodach i wypadł z klatki. Gorączkowo zastanawiał się, gdzie jest najbliższy bankomat. Ruszył do centrum handlowego na

Pułkownika Dąbka. Parking był niemiłosiernie zatłoczony, trwała przedświąteczna pogoń za zakupami, idąc do bankomatu, musiał się przepychać między ludźmi. Napis: „awaria” zirytował go. Do kolejnego bankomatu stały dwie osoby. W końcu pobrał pieniądze i wrócił do samochodu. Pięć minut później parkował pod wieżowcem.

Dziewczyna się przebrała, miała teraz na sobie obcisłe zielone spodnie. Zaprosiła go do środka. Wszedł do przedpokoju i od razu wyciągnął z portfela pięć banknotów. Nie wzięła ich. Demonstracyjnie zaczęła rozwijać krówkę, którą poczęstował ją w samochodzie.

— Znaleźne będzie wyższe — oznajmiła, żując cukierka.

— Umawialiśmy się na pięćset złotych.

— Ale wtedy nie wiedziałam, kim pan jest i co znajduje się w teczce, teraz to wiem, panie prezydencie.

Nie był zaskoczony. Podświadomie przeczuwał, że właśnie taki musi być finał.

— O jakiej kwocie pani mówi?

— Jedno zero więcej, pięć tysięcy.

— Dam pani dwa tysiące.

— Pięć — oznajmiła.

Damian się rozejrzył. Cztery pary drzwi, do łazienki, do kuchni i do dwóch pokoi, nieduże mieszkanie na to, żeby je przeszukać, ważne, że jest już w środku. Dziewczyna domyśliła się, co chodzi mu po głowie.

— Nawet jeśli pan znajdzie teczkę, to i tak zapłaci mi znaleźne. Zrobiłam kilka fotek tym dokumentom, mam je na telefonie i jeszcze wysłałam na swoją pocztę. Po otrzymaniu pięciu tysięcy oddam teczkę i usunę fotki, i nawet zapomnę, że się spotkaliśmy.

— Dobrze, zgadzam się na trzy tysiące. Teraz zostawię pani pięćset złotych, a po resztę muszę jechać do banku, ale to dopiero jutro, dzisiaj jest już zbyt późno.

— Powiedziałam: pięć tysięcy. Nie odpuszczę, bo wiem, że pana na tyle stać.

Damian pomyślał, że go nie stać, bo rata kredytu wynosi dwa trzysta, bo żona nie pracuje, a trzy córki kosztują go tyle, że od trzech lat nie jest w stanie zebrać kasy na wymianę starych okien, poza tym pomaga finansowo rodzicom. Ta dziewczyna jednak nie znała jego wydatków, za to domyślała się dochodów, zwłaszcza tych nie do końca uczciwych.

— Jutro przywiozę pieniądze.

Położył na szafce pięć banknotów i wyszedł.

Dwudziestego czwartego grudnia zimowe niebo było bezchmurne, temperatura dalej sięgała mocno poniżej zera. W Radiu Olsztyn informowali, że główne drogi są przejezdne. Damian najpierw pojechał do banku na 12 Lutego i pobrał pięć tysięcy złotych, potem skierował się na miejskie targowisko i kupił drzewko.

Dziewczynki entuzjastycznymi okrzykami powitały choinkę. Ubierali ją wspólnie, nawet Renata się przyłączyła. Gdy Marysia zawiesiła ostatnią bombkę, było już po dwunastej. Dotknął miejsca pod sercem, tkwił tam gruby zwitek banknotów. Za cztery godziny usiądą do kolacji, nie może dłużej zwlekać z przekazaniem pieniędzy.

Wyszedł z domu, nie informując Renaty. Jedynie najstarszej córce powiedział, że ma sprawę do załatwienia i zaraz wróci. Jechał powoli w stronę Zawady. Wszędzie było białe, nawet przystanki autobusowe pokrywała nienaruszona warstwa śniegu, jak gdyby nikt z nich nie korzystał. Na skrzyżowaniu z Robotniczą stanęło obok niego trzech świętych mikołajów na motorach, mieli nawet worki na plecach. Też był takim mikołajem, wiózł w prezencie pięć tysięcy. Zadzwoił do domofonu. Wpuściła go bez pytania. Zaraz za nim do klatki weszło dwóch mężczyzn, dopiero w windzie zobaczył, że jeden z nich to Arab. W całej Europie roiło się od muzułmanów, a w Elblągu ktoś taki nadal budził zdumienie.

Dziewczyna zaprowadziła go do dużego pokoju, w którym stała choinka przystrojona w czerwoną migoczącą iluminację.

— Będzie pani miała gości na Wigilię?

— Nie pana sprawa.

Wczoraj była pewna siebie, a dzisiaj harda. Usiadła na krześle i wyciągnęła nogi. Damian nawet nie zdjął rękawiczek. Im szybciej stąd wyjdzie, tym lepiej. Położył na stole plik banknotów.

— Proszę przeliczyć.

Dopiero teraz dotarło do niego, że z kwoty pobranej z banku nie odjął pięciuset złotych, które dał jej wczoraj. Chciał teraz to zrobić, ale dziewczyna złapała banknoty i zaczęła je przeliczać.

— Zgadza się, jest pięć tysięcy.

— Nie zgadza się — zaprotestował. — Powinno być cztery i pół. Proszę mi oddać pięćset złotych.

— Wal się, pajacu.

Roześmiała się szyderczo. Damian poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Głupia zachłanna suka. Wyrwał jej z dłoni plik pieniędzy i odliczył sobie pięć stów, resztę rzucił na stół, kilka banknotów spadło na dywan. Dziewczyna padła na kolana i zaczęła je zbierać.

— Niech pani przyniesie moją własność.

Wyszła z pieniędzmi, po chwili wróciła z teczką. Otworzył ją i pospiesznie sprawdzał, czy czegoś nie brakuje.

— Niech pani przyniesie telefon i usunie zdjęcia, które pani zrobiła dokumentom.

— Kretyn jesteś, jeśli myślisz, że to koniec. Te pięć tysięcy to dopiero początek, zapłacisz mi więcej.

— Nie taka była umowa — wyszeptał.

— Właśnie taka, chcę jeszcze dwadzieścia tysięcy. Tyle mi przyniesiesz po świętach, a jak nie, to całe elblązkowo się dowie, jaki z ciebie złodziej.

Damian nie mógł uwierzyć, że usłyszał te słowa. Patrzył na pospolitą twarz dziewczyny i widział w niej chciwość całego świata. Wiedział, że nie zaprzestanie szantażu, dopóki nie odbierze mu wszystkiego, nie tylko pieniądze, ale także godność i stanowisko. Będzie go oczerniać, mnożyć zarzuty wobec niego. Za parę tygodni okaże się, że groził jej nożem, że ją molestował i za to też będzie

musiał zapłacić. Zabrał ją zmarzniętą z lasu, a taka go spotkała wdzięczność. Poczuł, jak ogarnia go niewyobrażalna wściekłość. Zamachnął się i uderzył pięścią w stół. Ból w dłoni przyniósł mu chwilową ulgę.

Dziewczyna przysunęła do niego twarz, musiała przy tym stanąć na palcach.

— I jeszcze pięć patyków za uszkodzenie stołu — syknęła.

Poczuł na twarzy kropelki śliny, dosłownie pluła jadem.

— Nic nie dostaniesz — wyszeptał.

Dłonie wydały mu się nieznośnie puste, zacisnął więc je w pięści i włożył do kieszeni płaszcza. To był błąd, bo nie zdążył się zasłonić przed jej paznokciami. Machnęła ręką, a on poczuł pieczenie na policzku.

— To prezent dla twojej żoneczki, żeby się zastanawiała, czy czasem kochanka cię nie zadrapała. No i co, fiucie? Dalej nic nie dostanę?

Zrozumiał, że nie ma wyjścia, a właściwie było tylko jedno. Szantaż równa się szantażysta, zero równa się zero, zabrzmiało to w jego głowie jak dogmat. Z tą prawdą nie da się polemizować, należy ją przyjąć i według niej postępować. Rozejrzał się, szukając potwierdzenia dla swojej decyzji. Znalazł je w szklanej ogromnej popielniczce stojącej pośrodku stołu. Złapał ją, była ciężka. Zamachnął się. Widział, że dziewczyna unosi ręce w obronnym geście. Zdołał nawet zauważyć zdumienie malujące się na jej twarzy. Uderzył z całej siły. Odrzuciło ją do tyłu. Leciąca w stronę choinki z rozłożonymi ramionami. Przez ułamek sekundy pomyślał, że powinien ją złapać, bo w przeciwnym razie wpadnie na drzewko i je wywróci. Za późno. Kobieta już leżała na podłodze, a na niej choinka z zapalonymi lampkami.

Zrobił to, naprawdę ją zabił. Ale czy na pewno? Czy rzeczywiście wystarczył jeden cios popielniczką? Oddychał ciężko, pot spływał mu po plecach. Czekał, aż szantażystka się ocknie. Nie miał pojęcia, czy upłynęła minuta, czy parę sekund, jego mózg stracił zdolność

kontrolowania czasu. Odstawił popielniczkę na stół i próbował postawić drzewko, bez powodzenia, w końcu odsunął je na bok. Dwie rozgniecione bombki ozdabiały sweter dziewczyny, ona sama się nie ruszała. Damian dygotał na całym ciele z emocji. Dopiero teraz docierało do niego, co tak naprawdę zrobił. Nigdy nie uderzył kobiety, a dzisiaj zabił. Zrodził się w nim gwałtowny protest wobec tego stanu rzeczy. Musiał przytrzymać się stołu, żeby nie zwalić się na podłogę. Czarne plamki latały mu przed oczami. Gdy znikły, jego wzrok zatrzymał się na jej twarzy, miała przymknięte oczy. A może jednak żyje, jest jedynie ogłuszona. Ogarnęła go nadzieja. Nie chciał być mordercą. Przykucnął przy kobiecie i potrząsnął ją za ramię. Nie drgnęła. Zdjął rękawiczkę i przysunął palce do jej rozchylnych warg, nie poczuł oddechu. Była martwa.

Co teraz? Co ma robić? Uciekać. Poderwał się i wypadł do przedpokoju, potem na klatkę. Nie czekał na windę, ruszył schodami w dół. Wtem piętro niżej zrobiło się zamieszanie, trzasnęły drzwi, ktoś pokrzykiwał, kilka osób zbiegało. Spanikowany zawrócił i schował się do mieszkania kobiety, którą przed chwilą zabił. Jest mordercą, ta myśl gniotła mu czaszkę. Ogarnął go strach, ale instynkt okazał się silniejszy, a ten podpowiadał mu: Nie daj się złapać, zachowaj ostrożność.

Dysząc ciężko, patrzył przez wizjer. Zobaczył ubraną na czarno postać w kominiarce. Właśnie nadjechała winda, postać wsiadła do niej.

Damian starał się rozsądnie przeanalizować sytuację. Przede wszystkim nie może zostawić śladów swojej obecności. Rękawiczki zdjął tylko na moment, gdy sprawdzał oddech dziewczyny, ale na banknotach są jego linie papilarne, musi je zabrać. Wszedł do pokoju z trupem, czerwone światełka na przewróconej choince migały ostrzegawczo. Przypomniał sobie, że dziewczyna wyszła z kasą, potem wróciła z teczką. Wszedł do drugiego pokoju, otworzył pierwszą szufladę w biurku, jakieś papiery, w kolejnej szufladzie laptop i płyty. Zajrzał do torebki leżącej na krześle i zobaczył plik

banknotów. Znalazł, udało się. Powinien też wziąć jej telefon, wczoraj powiedziała, że to nim zrobiła fotki i wysłała je na swoją pocztę. Postanowił zabrać wszystkie nośniki na wypadek, gdyby na nich też znalazła się kopia dokumentów fundacji. Ponownie otworzył szufladę i wyjął z niej laptopa oraz kilkanaście płyt. Na parapecie stała torba prezentowa z wizerunkiem świętego mikołaja. Zapakował do niej rzeczy z szuflady. Jeszcze raz przetrząsnął biurko i torebkę. Przy kluczach znalazł pendrive'a, ale telefonu nie było. Pocił się, serce mu waliło jak oszalałe. Gdzie ten cholerny aparat? Wszedł do kuchni. Smartfon leżał na kredensie. Miał wszystko, może uciekać.

Postawił kołnierz i naciągnął czapkę na oczy, po czym wyszedł na klatkę. Przez chwilę nasłuchiwał. Cisza. Zaczął zbiegać po schodach. Jego zmysł węchu mimowolnie rejestrował zapachy. Na czwartym piętrze bigos, na trzecim słodki aromat ciasta, na drugim został odurzony wonią smażonej ryby. Był już prawie na parterze. Nagle zatrzymał się zaskoczony. Nie spodziewał się, że jeszcze na kogoś trafi, przecież na klatce panowała cisza. Tymczasem przy drzwiach wyjściowych stało dwóch mikołajów. Wyglądali dziwnie, bo mieli okulary przeciwsłoneczne. Jeden wyjmował z worka jakiś rulon. Damian wyminął ich i wyszedł na zewnątrz.

Przeszedł przez ulicę, minął market i wsiadł do samochodu. Na siedzeniu obok postawił torbę prezentową i wyciągnął z niej telefon dziewczyny. Z ulgą przyjął fakt, że nie jest zabezpieczony. Stuknął palcem w pocztę systemową, otworzyła się. Znalazł wiadomość, którą dziewczyna wysłała do siebie, była zatytułowana „Przekręty prezydenta Falenckiego”, usunął ją. Przez kolejną godzinę jeździł po mieście, szukając miejsca, w którym mógłby pozbyć się sprzętu.

Zadzwonił jego telefon. Odebrał.

— Kochanie, gdzie jesteś? — Renata była zirytowana.

— Zaraz wrócę. Miałem jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

— Jaką sprawę? Przecież jest wigilia.

— Zaraz będę.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, a potem Renata

zapytała:

— Wszystko dobrze?

— Tak.

To jedno słowo z trudem przecisnęło się przez ściśnięte strachem gardło. Rozłączył się, nie czekając na dalsze pytania żony. Był na Grunwaldzkiej, skręcił w Stefczyka i zwolnił. W zasięgu jego wzroku znalazły się gminne budynki z podwórkami i kubłami na śmieci. Było tutaj swojsko i ciasno, trochę zakamarków i na dziko postawionych przybudówek. Całość zasnuta ciemną mgłą, efekt trzech dymiących kominów. Uznał, że lepszego miejsca nie znajdzie. Uruchomił laptopa dziewczyny i podłączył do niego pendrive'a, po czym usunął jego zawartość, następnie sformatował twardy dysk, każdą płytę przełamał, na koniec przywrócił smartfona do ustawień fabrycznych. Miał nadzieję, że skutecznie pozbył się kopii dokumentów. Wysiadł i postawił wysoko kołnierz, chroniąc się przed spojrzeniami mieszkańców ulicy Stefczyka oraz przed gryzącym dymem. Wolnym krokiem podszedł do śmietnika i wrzucił do niego torbę. Jeżeli nawet ktoś trafi na te rzeczy, to raczej nie odniesie ich na policję, lecz sobie przywłaszczy.

Powrót do domu był trudny. Zanim przekroczył próg, wziął trzy głębokie oddechy, spróbował się nawet uśmiechnąć. Obawiał się czujnego spojrzenia Renaty, a jeszcze bardziej lękał się o swoje reakcje.

— Co się stało? — zapytała, gdy wszedł do salonu.

Właśnie rozkładała obrus na stole. Energicznym ruchem wygładziła fałdkę.

— Nic takiego — mruknął.

— Gdzie byłeś tak długo? Chyba nie u kochanki?

— Niestety, nie chciała mnie dzisiaj widzieć.

Sam się dziwił, że jest zdolny do żartów, tak naprawdę chciał usiąść w fotelu, schować twarz w dłoniach i się rozplakać.

— No to gdzie byłeś?

Renata postawiła na środku stołu talerz z siankiem i opłatkiem.

— Jeździłem po mieście i sprawdzałem, gdzie z kominów wali czarny dym.

— Domyślam się, że nie jest dobrze.

— Nie jest, najgorzej na Wiejskiej, Żyrardowskiej i Stefczyka, nie ma czym oddychać. Trzeba będzie wysłać ulotki edukacyjne do mieszkańców tych ulic i może zrobić z nimi jakieś spotkanie.

Podeszła do niego i przesunęła ręką po jego włosach. W tym geście było wiele czułości.

— Czy to miasto miało kiedyś lepszego prezydenta? Takiego co by nawet w wigilię pracował?

Patrzyła mu prosto w oczy. Nie mógł tego znieść. Ponad jej głową spojrzął na choinkę.

— Nie wydaje ci się, że czubek jest trochę krzywy?

— Kochanie, nie zmieniaj tematu, i tak jesteś najlepszym prezydentem, może trochę zbyt skromnym. — Przesunęła palcami po jego policzku. — Zadrapałeś się tutaj.

Odruchowo zasłonił dłonią ślad po paznokciach swojej ofiary. Przyszło mu do głowy, że będzie nosił to fizyczne piętno do końca życia, dowód zbrodni odcisnięty na twarzy.

— Nie martw się, prawie nic nie widać — zapewniła Renata.

Damian założył błękitną koszulę i jedwabny granatowy krawat w sarenki, prezent od teściowej. Poszukał też płyt z kolędami, które miały umilać im czas podczas kolacji. Wszystkie czynności wykonywał z namaszczeniem, jak gdyby już nigdy nie miał ich powtórzyć. Gdy przyszli jego rodzice, zabrał ojca do piwnicy i nalał jemu i sobie po kieliszku nalewki z czarnego bzu. Zaraz musieli wrócić na górę, bo teściowa zawitała w ich progi. Nie kryła zadowolenia, widząc jego krawat. Dziewczynki biegały podekscytowane świątecznym nastrojem i oczekiwaniem na świętego mikołaja. Gdy przyszła siostra Renaty z nastoletnią córką, usiedli do stołu, po czym zaraz wstali, żeby przełamać się opłatkiem. To był najtrudniejszy moment dla Damiana. Gdy składał życzenia żonie i matce, gardło dosłownie mu się ścisnęło. Ogarnął go ogromny

smutek i żal na myśl, że piękne życie już się skończyło, bo przecież dzisiejsze zdarzenie zdominuje jego dalszą egzystencję, na pewno odbierze mu radość i bez troskę.

Teściowa zachęcała wszystkich do spróbowania ryby w galarecie. Podsunęła półmisek najstarszej wnuczce, ta nie zareagowała. Piętnastoletnia Julia była wpatrzona w ekran telefonu.

— Julcia, babcia do ciebie mówi! — zawołała siostra Renaty.

Nastolatka wydawała się znajdować w innym świecie. Zapomniała nawet o kawałku pieroga wbitym na widelec i trzymanym w pobliżu ust.

— Może wyślemy jej esemesa — zaproponował ojciec Damiana.

— Julka, mówię do ciebie!

Siostra Renaty podniosła głos na córkę. Pomogło, dziewczyna uniosła głowę i powiodła po zebranych nieprzytomnym spojrzeniem.

— Czy wy wiecie, co się dzieje w Elblągu?

Damian poczuł, że jego serce zaczyna bić w szybszym tempie. Julia nie żartowała, na jej twarzy pojawiły się wypieki, usta drżały, była czymś bardzo poruszona. Bał się zapytać, o co chodzi. Nie chciał usłyszeć, że w Elblągu została zamordowana młoda kobieta.

Rozdział II

FILIP SZEDŁ Z GŁOWĄ WCIŚNIĘTĄ W RAMIONA. Nie założył czapki, bo żadnej nie miał. Do tej pory nie była mu potrzebna, przecież zim nie było. Szkoda, że jego puchówka nie ma chociaż kaptura. Mamuśka nie chciała wypuścić go z domu bez nakrycia głowy. Znalazła mu nawet jakieś w pawlaczu i kazała założyć, w przeciwnym razie grozi mu grypa, porażenie mięśni twarzy, zapalenie zatok, uszu i jeszcze parę innych dolegliwości. Gdy zobaczył tę czapkę, stwierdził, że woli chodzić zasmarkany i kaszlący. Granatowa, wełniana z pomponem, nosił ją, jak miał dziesięć lat, gdyby Agnieszka zobaczyła go w tej czapce, umarłaby ze śmiechu. To do niej teraz szedł z gwiazdkowym prezentem. Kupił dla niej kolczyki, trochę kosztowały, ale nie miał wyjścia, musiał ją w końcu czymś udobruchać. Była wściekła na niego za to, że ją zostawił samą w lesie w Jagodnie, no nie do końca samą, bo w towarzystwie tego wrednego psa. Już parę razy miał ochotę powiesić Dropsika, idiotyczne imię dla czworonoga. Wtedy w lesie już wkładał rękę w majtki Agnieszki, a język do jej ust, a ten kundel rzucił się na niego z zębami. Zasunął mu takiego kopa, że aż noga go zaboląła. Psiak leciał w powietrzu ze trzy metry, a potem wpadł w zaspę, wzbijając śnieżną fontannę. Filipa bardzo to rozbawiło, ale nie Agnieszkę. Zaczęła go wyzywać. Miała charakterek, żadne ciepłe kluchy, lubił ją taką. Kiedyś na przystanku przywaliła pijanemu gościowi, który ją klepnął w tyłek. Ale wczoraj w lesie przesadziła, nazwała go jebanym rycerzem ortalionu, a tego określenia nie lubił, bo przypominało mu dawne lata, kiedy to tankował jak ruski czołg i robił głupie rzeczy. Próbował ją uspokoić, złapał za pośladki, mówił komplementy, nie pomogło, dalej się wydzieriała. Stracił cierpliwość i wskoczył do merola. Dał jej

minutę, żeby do niego dołączyła. Nie wsiadła, odjechał więc sam.

Przyspieszył kroku, zaraz schronił się w klatce, a potem w ciepłym mieszkaniu Agnieszki. Dłońmi w rękawiczkach zasłonił uszy, chroniąc je przed coraz bardziej szczypiącym mrozem. Miał wrażenie, że powieki przymarzają mu do gałek, zamrugał parę razy.

— Syberia — syknął do siebie.

Żałował, że nie podjechał do Agnieszki wozikiem. Dopadł w końcu do domofonu i wybrał dwudziestkę. Nie usłyszał żadnego sygnału, nacisnął jeszcze raz, nic. Zaczął z zapalem wciskać inne numery, nic to nie dało. Domofon był zepsuty, zapewne zbyt niska temperatura unieruchomiła mechanizm. Złapał za klamkę i pociągnął, ale drzwi się nie otworzyły. Wyjął komórkę i wybrał numer swojej dziewczyny. Nie odebrała.

Zaraz jego uszy zamieniały się w dwa kawałki lodu. Rzucając w mroźne powietrze przekleństwa, ruszył do drugiej klatki. Jeśli tam będzie działał domofon, pojedzie na dziesiąte piętro i górą przejdzie do części wieżowca, w której znajduje się mieszkanie Agnieszki. Nagle stało się coś bardzo dziwnego, z nieba spadł człowiek. Filip usłyszał głuchy huk, po chwili zobaczył rozrzucone na białym chodniku ręce i nogi oraz rozłupaną jak orzech głowę, z której wylewała się krew. Poczuli dygot własnych łydek, coś się szarpnęło w jego brzuchu. Otworzył usta i wciągnął haust mroźnego powietrza. Udało mu się powstrzymać odruch wymiotny. Co za pech, że to akurat on trafił na samobójstwo, a właściwie samobójca na niego. Znowu wyjął telefon i nie zdejmując rękawic, zaczął niezdarnie wybierać numer sto dwanaście. Ludzie to jednak myślą tylko o sobie. Beztrosko zabijają się w wigilię i tym samym psują święta innym. Ten gościu rozjechał mu dzisiejszy dzień. Jeśli nawet Agnieszka będzie się do niego kleiła, to i tak nie odzyska humoru.

Nie zdążył połączyć się z numerem alarmowym. Syreny policyjne już rozległy się w mroźnym powietrzu i zbliżały się do Okulickiego. Filip pomyślał, że to sam samobójca zadzwonił pod sto dwanaście, w przeciwnym razie służby nie pojawiłyby się tak szybko. Uniósł

głowę, żeby sprawdzić, z którego piętra gościu skoczył. Ze zdumieniem zobaczył, że na kilku balkonach stoją ludzie ubrani w kurtki i czapki, jak gdyby wiedzieli, że do zdarzenia dojdzie i na nie czekali. Teraz w milczeniu, otoczeni świąteczną iluminacją, patrzyli na leżące zwłoki. Na trzecim piętrze na balkonie płakała kobieta, mężczyzna ją obejmował, chyba pocieszał. Gdy policyjny wóz zatrzymał się na ulicy i wypadli z niego mundurowi, kobieta rzuciła się na barierkę, wychylając się niemal do połowy. Zaczęła krzyczeć, żeby ich uwolnili, ratowali, bo inaczej wszyscy zginą, tamci ich zabiją, powyrzucają przez okna. Mężczyzna z niemałym trudem oderwał kobietę od barierki i wciągnął do mieszkania. Filip zaczął biec. Chciał okrążyć blok i spojrzeć na balkony po drugiej stronie, bo tam znajdowało się mieszkanie Agnieszki.

Rozdział III

DAMIAN NIE MÓGŁ PRZEŁKNAĆ PIEROGA, trzymał go więc w ustach. Renata spojrzała na niego pytająco. Rozciągnął niezdarnie wargi w uśmiechu, próbując ją przekonać, że wszystko w porządku. Nie było jednak dobrze, coś dziwnego się z nim działo, kark mu zdrętwiał i bolało go w mostku. To strach go ścisnął, niemal pozbawiając oddechu. Siostrzenica Renaty była w tej chwili bezpośrednim źródłem jego lęku. Dziewczyna nadal patrzyła na wyświetlacz telefonu, a na jej twarzy narastało zdumienie i niepokój.

Jego ojciec też zauważył poruszenie Julii.

— Dziecko, co się dzieje?

Dziewczyna zdawała się nie słyszeć pytania.

— Julcia, pan Karol do ciebie mówi! — zawołała siostra Renaty.

Julia uniosła głowę i powiodła nieprzytomnym spojrzeniem po członkach rodziny. Starszy pan wskazał palcem na telefon w jej dłoni.

— Co takiego tam wyczytałaś? No powiedz nam.

— W Elblągu jest atak terrorystyczny — oznajmiła na jednym tchu.

Patrycja roześmiała się, jego ojciec również. Damian z ulgą przełknął pieroga. A jednak nie chodziło o zamordowanie młodej kobiety. Babcia ponownie podsunęła Julii półmisek z rybą, ale ona tego nie zauważyła. Patrzyła teraz wprost na Damiana.

— Wujku, ludzie piszą, że nie mogą wyjść z bloku, ktoś im podrzucił listy, że są zakładnikami.

— To może być sąsiedzki żart. Zostaw na razie ten telefon i zjedz trochę ryby, naprawdę jest dobra.

Nikt już nie zwracał uwagi na Julię. Teściowa zaintonowała kolędę:

— „Aniołowie się radują, pod niebiosy wyśpiewują: Gloria, gloria,

gloria in excelsis Deo”.

Za chwilę dołączyła do niej Patrycja. Damian z przyjemnością słuchał czystego głosu córki. Przymknął na moment oczy. Jego wyobraźnia od razu przeniosła go do tamtego mieszkania, znowu zobaczył rozgniecione bombki na swetrze dziewczyny i blask migających lampek na martwej twarzy. Zabił młodą kobietę, jest mordercą, który spokojnie je kolację wigilijną w towarzystwie najbliższej rodziny. Nie dręczyły go wyrzuty sumienia, nie było mu żal młodego życia, które odebrał, nie myślał o rodzicach swojej ofiary. Martwił się o siebie. Czy zapomni? Czy za rok usiądzie do wigilii spokojniejszy? A może spędzi ją w towarzystwie kolegów z celi? Tego bał się najbardziej, sprawiedliwości. Żeby tylko policja nie wpadła na jego trop. Kolęda nagle się urwała i rozległy się entuzjastyczne okrzyki. Renata właśnie wniosła barszczyk z uszkami.

Po kolacji dziewczynki pobiegły do swoich pokoi. Wiedziały, że to jest ten moment, kiedy przychodzi święty mikołaj, a one muszą dać mu czas na dyskretne położenie prezentów pod choinką. Julia pozostała w salonie. Była w tym wieku, w którym już się nie udaje, że się wierzy w mikołaja, poza tym w tej chwili poza ekranem smartfona nic ją nie obchodziło. Damian stanął przy niej.

— I co z tym atakiem terrorystycznym?

— Wujek mi nie wierzy, a to wszystko wygląda bardzo serio.

— Wierzę, że to na serio, taki jest właśnie internet, często bardziej prawdziwy niż rzeczywistość. Gdyby jednak doszło w mieście do ataku terrorystycznego, bym już o tym wiedział, policja by do mnie zadzwoniła, jestem przecież prezydentem.

— Może nie mają czasu, tam podobno jest niezłe piekiełko.

— Tam, czyli gdzie?

— Na Okulickiego.

Damian miał wrażenie, że Julia przywaliła mu pięścią między oczy. Na moment zabrakło mu powietrza. Przecież na Okulickiego czternaście kilka godzin temu uśmiercił dziewczynę. Odchrząknął

z trudem.

— Na Okulickiego?

— Tak, na Okulickiego czternaście, to tam mieszkańcy są zakładnikami. Nie mogą wyjść z bloku.

Julia wyciągnęła do niego swój telefon. Nie wziął go. W jego głowie panował chaos zdominowany przez coraz większy lęk. Ze zgrozą wodził wzrokiem po salonie, jego źrenice mimowolnie biegły w stronę choinki, pod którą już leżały prezenty pozawijane w błyszczący papier i popakowane w kolorowe torby. Do pokoju z krzykiem wpadły Marysia, Ala i Patrycja. Najmłodsza od razu zanurkowała pod choinkę. Damian nie czekał, aż córki rozpakują prezenty.

— Gdzie się pojawiają te wszystkie informacje?

— Najwięcej jest pod artykułem o odśnieżaniu miasta na Portelu. Stamtąd są linki do blogów i namiary na konta na Facebooku i Twitterze.

Włączył komputer w sypialni i odnalazł wskazany przez Julię artykuł. Znajdowało się pod nim siedemdziesiąt osiem komentarzy. Niejaki Jaszczur o trzynastej dwadzieścia dwie pisał: „Ja pier... zwolnić wszystkich strażników miejskich albo od razu wypie... ich do obrony terytorialnej, tam takie matoly się odnajdą. Zadzwoń na straż, bo jakiś debil zakleił od środka drzwi wyjściowe z klatki taśmami budowlanymi. Matoly przyjechały, zobaczyły, że nie da się otworzyć drzwi, i pojechały, zapewne do mamusi na wigilijne pierogi. Teraz cały blok, ponad sześćdziesiąt rodzin siedzi w zamknięciu”.

Następny komentarz umieściła niejaka Marika: „Nie martw się, do północy was wypuszczą, na pasterkę zdążysz”.

Dalej do dyskusji przyłączył się osobnik kryjący się pod nickiem Dziadzia. Radził Jaszczurowi, żeby wziął nóż kuchenny i rozciął taśmy. Na co odezwał się osobnik nazywający się Mirkiem i wyzwiał Dziadzię za głupotę, potem wyjaśnił, że taśmy budowlane są wzmacniane szklanym włóknem albo innym gównem.

Wzrokiem przebiegał kolejne wpisy, pomijając absurdalne dywagacje o rozcinaniu taśm budowlanych. Szybko trafił na

następną relację. O trzynastej trzydzieści dziewięć Luiza napisała: „Mieszkamy na Okulickiego czternaście. Nie możemy wyjść z mieszkania, zamek w drzwiach nie chce się przekręcić, chyba ktoś z zewnątrz go uszkodził. Dzwoniliśmy na policję, dyżurny prosił, żebyśmy zachowali spokój, i to mnie właśnie przeraziło. Skoro proszą o zachowanie spokoju, musi dziać się coś złego. Boję się”.

Damian drgnął, gdy Renata położyła mu rękę na ramieniu. Podała mu paczkę obwiązaną zieloną wstążką.

— Otworzysz teraz?

— Kotku, potem, teraz jestem zajęty.

Nadal się uśmiechała, ale jej oczy wyrażały niezadowolenie.

— Dziewczynki chciały ci pokazać, co dostały od mikołaja.

— Zaraz do was przyjdę, tylko sprawdzę te informacje o ataku terrorystycznym.

Renata teatralnie przewróciła oczami.

— Terroryci w Elblągu? Bądź poważny.

— Proszę, daj mi parę minut.

Wyszła, a on zaczął dalej czytać. O czternastej osiem kolejny wpis umieścił Jaszczur: „Przed chwilą znalazłem na wycieracze kartkę i dowiedziałem się z niej, że jestem zakładnikiem. Mam nie wychodzić z mieszkania, a próba wyjścia z bloku skończy się detonacją ładunków wybuchowych”.

Na końcu Jaszczur umieścił buźkę z wybałuszonymi z przerażenia oczami i informował, że dalsza relacja na jego koncie na Facebooku.

Damian poluzował krawat i odetchnął głęboko. Czym są te wszystkie wpisy? Mistyfikacją? A może jednak nie? Dzisiejsza wizyta w wieżowcu na Okulickiego przeleciała mu przez głowę w przyspieszonym tempie. Na dłużej odtworzyły się trzy obrazy, on w windzie z dwoma mężczyznami, ten młodszy pochodził z Bliskiego Wschodu, potem postać ubrana na czarno w kominiarce wsiadająca do windy i dwóch świętych mikołajów w przeciwsłonecznych okularach, jeden z nich wyciągał z worka duży rulon, zapewne taśmę budowlaną. Każda cząstka jego ciała zadygotała z przerażenia

na myśl, że niewiele brakowało, a też zostałby uwięziony w bloku. Na szczęście zdążył się wydostać i teraz cała ta afera może mu bardzo pomóc. Policja nie będzie szukała mordercy na zewnątrz, lecz pośród terrorystów.

Rozdział IV

ROZLEGŁ SIĘ DZWONEK DO DRZWI. Monika zażartowała, żeby nie otwierać, bo to może samotny wędrowiec, którego będzie trzeba ugościć. Właśnie wrzucała pierogi na patelnię, a oni siedzieli już przy stole wigilijnym. Szymek podniósł się i ruszył do przedpokoju. Spodziewał się, że to stary Jaszczur z naprzeciwka chce złożyć im życzenia, za drzwiami nikogo jednak nie było. Miał się już schować do mieszkania, ale właśnie uchyliły się drzwi numer czternaście i wysunęła się zza nich platynowa głowa Ewy Różańskiej. Za moment na klatkę wyjrzał również Marian Jaszczur. Ewa pierwsza zauważyła, że na ich wycieraczkach leżą kartki. Podnieśli je niemal jednocześnie. Szymek przymrużył oczy, bo akurat nie miał okularów, i zaczął czytać:

— „Jesteście zakładnikami. Nie wychodźcie z mieszkań. Próba opuszczenia bloku zakończy się detonacją ładunków wybuchowych. Gdy władze spełnią nasze żądania, zostaniecie uwolnieni”.

Patrzył z niedowierzaniem na kilkanaście słów wydruku komputerowego. Nagle usłyszał śmiech Mariana.

— Dobrze! — zawołał sąsiad.

Szymek do niego podszedł, Ewa też. Sąsiadka miała dosłownie wytrzeszczone ze strachu oczy, zawsze była strachliwa.

— Myśli pan, że to żart?

— Jak dorwę tego gnoja, który nam ten kawał zrobił — mruknął Marian. — W jego głosie nie było słyhać gniewu, raczej rozbawienie.

— Sąsiedzi kochani moi, szczęścia i zdrówka i żebyście się nie przejedli. — Marian zachichotał. — Szymek, uściskaj Monikę. Szkoda, że nie jest moją synową, ze mną by dziś spędzała wigilię.

Stary Jaszczur w każde święta powtarzał tę formułkę, a tak

naprawdę jego synowie nigdy nie byli kandydatami na mężów dla Moniki, bo byli parę lat od niej młodszy. Gdy w wieku dwudziestu jeden lat zostawała żoną Szymona, Jaszczurowie byli dopiero pryszczatymi nastolatkami.

Piętro wyżej trzasnęły drzwi, potem kolejne, lokatorzy wychodzili na klatkę, słyhać było ich podniesione głosy, ktoś się roześmiał, za chwilę rozległy się szybkie kroki. Zobaczyli sąsiada z szóstego piętra, podobnie jak oni trzymał w ręku kartkę.

— Też dostaliście życzenia świąteczne od terrorystów? — zawołał wesoło.

— Gdzie się pan tak spieszy? — zapytał Szymek.

— Żona kazała mi sprawdzić, czy można wyjść z bloku.

Szymek ruszył schodami za sąsiadem, a tamten mówił dalej:

— Chciałem dzisiaj pojeździć jeszcze na taksówce, bo wie pan, w święta można trochę więcej zarobić, chociaż to i tak mizéria. Gdyby rzeczywiście nie można było wyjść, to dla mnie kicha.

Na trzecim piętrze stało dwóch lokatorów, drzwi do ich mieszkań były otwarte, właśnie czytali swoje listy. Kobieta w męskiej fryzurze pokręciła przecząco głową i oznajmiła:

— Nie rozumiem.

— A co tu rozumieć? — zawołał do niej taksówkarz. — Po prostu jesteśmy w Unii Europejskiej.

Na drugim piętrze natknęli się na mężczyznę, którego Szymek nie znał, prawdopodobnie był to nowy lokator. Wyciągnął do nich rękę z listem.

— Panowie, możecie mi wyjaśnić, co to znaczy?

— Za dużo pan od nas wymaga — rzucił taksówkarz, zatrzymał się jednak przy nowym lokatorze. Tamten się przedstawił:

— Łukasz Bocian jestem.

— Chcesz pan coś więcej wiedzieć, to chodź pan z nami na parter — zakomunikował taksówkarz.

Bocian wyglądał jak naukowiec żyjący we własnym świecie zdominowanym przez probówki lub całki, biała cera, okulary

w srebrnej oprawie, niedokładnie ogolona twarz i biała koszula. Szymek pomyślał, że ten człowiek tylko czeka na moment, kiedy będzie mógł się schronić w swoim mieszkaniu. Tamten jednak ruszył za nimi.

Na pierwszym piętrze nie było nikogo, a na parterze w otwartych drzwiach do mieszkania stała kobieta z telefonem przyciśniętym do ucha. Usłyszeli jej przejęty głos, mówiła coś o świętym mikołaju. Zeszli jeszcze niżej i zatrzymali się przed drzwiami wyjściowymi z klatki. Dwuskrzydłowa stalowa konstrukcja z wstawkami z pleksi oklejona była od góry do dołu taśmami budowlanymi. Ten widok zmroził Szymka, ale nie taksówkarza, który gwizdnął przeciągle.

— Ja pier... co za przedszkole, jaki kraj, taki zamach.

Zbliżył się do drzwi i wbił paznokcie pod taśmę, próbując ją zerwać. Bocian zaczął mu pomagać.

— Idzie sąsiad do Kwiatkowskiej — zwrócił się taksówkarz do Szymka. — Niech kobitka da nam nóż. Parę cięć i zaraz będzie można wyjść.

Szymek schował list od terrorystów do kieszeni i ruszył schodami do góry. Drzwi do mieszkania Kwiatkowskiej nadal były otwarte, a ona sama stała w przedpokoju i wpatrywała się w wyświetlacz telefonu. Drgnęła, gdy odchrząknął.

— Panie Wagner, to pan, właśnie chciałam zadzwonić do pana żony. Jestem przerażona.

Nie musiała go zapewniać o swoim strachu. Miała go w oczach, ustach, nawet w krtani. Jej głos drżał, jak gdyby zaraz miała się rozpłakać.

— Czy mogłaby pani pożyczyć mi nóż?

— Jaki nóż?

— Normalny, kuchenny.

— A po co panu nóż? Oni mają karabiny, nic panu ten nóż nie da.

— Jakie karabiny? O czym pani mówi?

— O terrorystach, byli u mnie.

Szymek dopiero teraz przekroczył próg, po czym przymknął za

sobą drzwi. Czuł, że niepokój w nim narasta.

— Widziała pani terrorystów z karabinami?

Potwierdziła kiwnięciem głową.

— Proszę wejść dalej, coś panu pokażę.

Ruszył za nią do dużego pokoju. Najpierw jego wzrok zatrzymał się na choince z efektowną iluminacją. Dopiero gdy sąsiadka wskazała ręką w stronę balkonu, zobaczył czarną folię przyklejoną do szyby, karton stojący na podłodze oraz wystające z niego kable, które zostały przymocowane do klamek okiennych. Pojął, że widzi ładunek wybuchowy, i machinalnie cofnął się o krok. Sąsiadka uczyniła to samo.

— Przyszło ich dwóch, byli przebrani za świętych mikołajów — wyjawiała niemal niesłyszalnym szeptem.

Szymek miał wrażenie, że brakuje mu powietrza w płucach. Z przedpokoju dobiegły jakieś odgłosy. Zamarł, a z ust Kwiatkowskiej wyrwał się cichy jęk i słowa:

— Boże, mój synek.

Po chwili zobaczyli taksówkarza i Łukasza Bociana. Szymek odetchnął z ulgą, sąsiadka również.

— No to jesteśmy w dupie — podsumował sytuację taksówkarz, widząc ładunek wybuchowy.

Bocian poprawił okulary i zbliżył się do bomby.

— Mogłaby pani powiedzieć, jak się to tutaj znalazło?

— Właśnie mówiłam panu Wagnerowi o tych przebierańcach, za świętych mikołajów byli przebrani. Mój synek bardzo się ucieszył, gdy ich zobaczył. On ma osiem lat, skakał wokół nich i piszczał. Myślał, że zaraz dostanie karabin. Wiedziałam, że coś jest nie tak, bo przecież nie zamówiłam takiej usługi, a potem przyszło mi do głowy, że to może niespodzianka od mojego męża, on pracuje w Oslo, na święta nie mógł przyjechać. Wtedy przebierańcy wyciągnęli tuby i zaczęli krzyczeć. Nie mogłam zrozumieć, czego chcą, bo głos był strasznie zniekształcony. Potem dotarło do mnie, że mówią, iż mam nie wychodzić z mieszkania i nie otwierać okien,

bo zakładają ładunki wybuchowe. U Bonarów pod trójką też byli, rozmawiałam z nimi przez telefon. Do innych sąsiadów też zadzwoniłam, u wszystkich na parterze i pierwszym piętrze są bomby przy oknach.

— Gdzie jest pani syn? — zapytał Bocian.

— Zamknęłam go w łazience. Nie wiem, co mam robić. Uciekać z mieszkania? Boję się, że ta bomba zaraz wybuchnie.

Bocian włożył dłonie w kieszenie spodni.

— Nie wybuchnie, dopóki nie będzie pani jej dotykać, zapalnik prawdopodobnie reaguje na ruch. I proszę wypuścić syna z łazienki, na pewno umiera ze strachu.

Kobieta natychmiast ruszyła do przedpokoju, po chwili zobaczyli ją z pobladłym chłopcem u boku. Wyszepiała do niego kilka uspokajających słów.

— Da nam pani nóż? — zapytał taksówkarz. — Chcemy rozciąć taśmy budowlane na drzwiach wyjściowych z klatki.

Weszła wraz z synem do kuchni, po kilku sekundach oboje wrócili, chłopiec trzymał się kurczowo jej swetra.

— Najostrzejszy, jaki mam — oznajmiła, podając sąsiadowi nóż o długim ostrzu.

Wyszli z mieszkania Kwiatkowskiej. Przy drzwiach prowadzących na ulicę stało dwóch lokatorów. Też przyszli sprawdzić, czy można opuścić wieżowiec. Jeden z nich kłął pod nosem, był zły, bo czekał na syna i wnuki, a tu się okazuje, że jest problem z wejściem do bloku.

— Zaraz będzie po sprawie — oświadczył taksówkarz i przystąpił do rozcinania taśm budowlanych, opowiadając jednocześnie o bombie, którą przed chwilą widzieli w mieszkaniu Kwiatkowskiej. Sąsiedzi słuchali z niedowierzaniem rysującym się na twarzy. Jeden z nich nawet się zaśmiał, ale był to śmiech bardzo nerwowy.

Szymek zatrzymał się na schodach. Był zdenerwowany, to przez te ładunki wybuchowe. Wyglądało na to, że naprawdę są zakładnikami. Odruchowo włożył dłonie do kieszeni spodni i natrafił

na pogniecioną kartkę. Wyjął ją i przeczytał:

„Próba opuszczenia bloku zakończy się detonacją ładunków wybuchowych”.

Ogarnęło go przerażenie. Właśnie próbowali otworzyć drzwi na ulicę, to się źle skończy. Przyglądał się sąsiadom, którzy jeszcze nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia. Musi ich ostrzec. Uprzedził go Łukasz Bocian.

— Panowie, za tymi drzwiami jest bomba, taka sama jak u Kwiatkowskiej.

Taksówkarz zaprzestał rozcinania taśm i odwrócił się w ich stronę.

— Też o tym pomyślałem. Uchylimy lekko drzwi i sprawdzimy, czy coś tam stoi.

Bocian pokręcił przecząco głową.

— Tak się nie da. Drzwi otwierają się w stronę przedsionka, jeśli za nimi znajduje się ładunek wybuchowy... ruch wywoła eksplozję.

Taksówkarz przyłożył oko do kawałka pleksi pozbawionej taśm budowlanych.

— Gównu widać. Kurde, spróbowałbym uchylić te drzwi.

— Jeśli chcesz, to proszę bardzo, ale ja się stąd zmywam — oznajmił Bocian.

Szymek też chciał już wrócić do mieszkania, te wszystkie bomby napawały go lękiem, poza tym Monika na pewno się o niego martwi. Odwrócił się i postąpił schodek wyżej. Wtedy rozległ się dźwięk, który ich wszystkich napełnił trwogą. Seria z karabinu maszynowego puszczona gdzieś na górnych piętrach dotarła do nich w postaci dudniącego huku. Chwilę później kolejny wystrzał kilkuset nabojów, tym razem gdzieś dalej, prawdopodobnie w drugiej klatce.

Szymek stał sparaliżowany strachem. Terrorysty zaczęli zabijać zakładników. Co za koszmar, co za nedorzeczna sytuacja.

— Co robimy? — zapytał wystraszonym głosem taksówkarz.

— Schowamy się w mieszkaniu Kwiatkowskiej — odpowiedział Bocian.

Szymek ruszył pierwszy, mężczyźni za nim. Zapukał pod dwójkę,

sekundę później nacisnął dzwonek. Sąsiadka nie otworzyła. Zapewne przeraził ją odgłos wystrzału, może nawet schowała się z synem do łazienki. Taksówkarz zapukał pod trójkę, a Bocian pod jedynekę, nikt ich nie wpuścił. Strach okazał się większy od troski o los sąsiadów.

— Co teraz? — zapytał szeptem taksówkarz, kierując wzrok na Bociana.

— Wracamy do swoich mieszkań — odpowiedział tamten.

— Nie, zastrzelą nas — zaprotestował lokator czekający na przyjazd syna i wnuków.

Łukasz uspokajającym gestem położył mu rękę na ramieniu.

— Myślę, że pozwolą nam wrócić do mieszkań. Ten wystrzał był tylko na postrach, żebyśmy nie włóczyli się po klatce.

Zaczęli wchodzić po schodach, pierwszy szedł Bocian, Szymek był przedostatni. Miał nadzieję, że plecy sąsiadów osłonią go przed kulami. Mocno ścisnął poręcz. Zdawało mu się, że schody się wydłużyły i stały się nierówne. Potykał się co chwilę, to chyba przez te rozczłapane kapcie. Wokół panowała cisza, tylko ich oddechy i kroki rozbrzmiewały w klatce. Lokatorzy powyłączali telewizory i wyczekiwali kolejnego wystrzału. Wchodzili już na drugie piętro, za chwilę stuknęły drzwi do mieszkania, Bocian był już bezpieczny. Jeszcze dwie kondygnacje, a on też się schroni. Poczował się nieco lepiej, był nawet w stanie dość swobodnie oddychać. Wyglądało na to, że Łukasz miał rację i ten wystrzał z broni maszynowej był tylko ostrzegawczy.

Szymek w końcu położył dłoń na klamce. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Zobaczył swojego szesnastoletniego syna Rafała kucającego pod ścianą w ciasnym przedpokoju.

— Tato, dobrze, że jesteś. Co to było? Słyszeliśmy wystrzał. Dziadek powiedział, że to kałach.

Zenek, szwagier Szymka, opierał się o futrynę drzwi. Wyglądał na podekscytowanego.

— O co tu chodzi? Kwiatkowska dzwoniła do Moniki i nawijała coś

o bombach.

Szymek przełknął ciężko ślinę.

— Jesteśmy zakładnikami, nie da się wyjść z bloku.

— Co ty pier... — syknął Zenek.

Szymek wszedł do dużego pokoju, w którym pozostali członkowie rodziny siedzieli przy zastawionym stole. Wyciągnął z kieszeni pomięty list od terrorystów i zaczął go czytać. Gdy skończył, zapadła cisza, żaden widelec nie zadźwięczał, żadne krzesło nie zaskrzypiało. Wszyscy się w niego wpatrywali. Poczuł się nieswojo pod obstrzałem siedmiu par wystraszonych oczu.

— Trzeba zadzwonić na policję — odezwał się teść.

— Nie trzeba, inni już to zrobili.

Ojciec Moniki spojrzał na niego jak na kretyna i bez słowa wyjął mu z ręki kartkę. Wręczył ją synowi z poleceniem, aby zawiadomił policję. Zenek wyszedł do przedpokoju, za chwilę usłyszeli, jak odczytuje list, przybierając adekwatną do treści intonację.

— Tato, a co z tymi bombami? — zapytał Rafał.

— Bomby są, widziałem je, a właściwie jedną, w mieszkaniu Kwiatkowskiej. Podobno zainstalowali je przy każdym oknie na parterze i na pierwszym piętrze.

— A mówiłam, żeby jechać do Karpacza na święta, oferta nie była aż tak droga — odezwała się Aśka, żona Zenka.

— Kochani, spokojnie, Matka Boska Licheńska ma nas pod opieką.

Teściowa uniosła wzrok na obraz, który parę lat temu przywiozła z Lichenia i podarowała im z nakazem, aby wisiał w dużym pokoju. Szymek osobiście przybił haczyk do ściany. Po wyjściu teściowej schowali Matkę Boską do szafy z postanowieniem, że przy kolejnej wizycie rodziców Moniki znowu ją powieszą. Któregoś dnia Szymek stwierdził, że nie opłaca mu się zdejmować obrazu, szkoda jego energii. Od paru lat wisiał więc obok telewizora.

Zenek zaczął jeść pierogi, pozostali poszli za jego przykładem. Jedynie Rafał nie zwracał uwagi na wigilijną potrawę, koncentrując się na fotografowaniu smartfonem listu od terrorystów.

— Dobrze, że zrobiłeś kopię — zauważył Zenek.

Rafał zerknął znad telefonu i wyjaśnił:

— Wrzuciłem go na fejsa.

Monika wpadła w panikę. Zaczęła krzyczeć, że terroryści ich za to zabiją. Szymek patrzył na nią jak na wariatkę. Sądził, że jego żona jest rozsądna i opanowana. Spodziewałby się raczej, że będzie próbowała rozładować napiętą sytuację, podając kolejne danie.

W głębi mieszkania rozległ się płacz dziecka. Szymek z ulgą odszedł od świątecznego stołu. Krysia stała w łóżeczku, trzymała się szczebelków, po jej policzkach płynęły łzy. Zmienił córce pampersa, a potem trzymając ją na ręku, wrócił do gości. Zaskoczyła go panująca przy stole cisza. Aśka była niemożliwie blada, przytuliła do siebie piętnastoletnią córkę, Marysię. Teściowa zsunęła się z krzesła i uklękawszy, skierowała głowę i złożone do modlitwy ręce w stronę Matki Boskiej Licheńskiej. Teść rzucił pod nosem mało cenzuralne słowo.

— Co się stało? — zapytał Szymek, spoglądając na żonę.

— Jesteśmy zakładnikami, to się stało.

Monika patrzyła na niego z wyrzutem, jak gdyby przyczynił się do obecnej sytuacji. Wiedział, skąd ta rozbieżność między jego stanem psychicznym a emocjami pozostałych członków rodziny. On przeżył swój strach na klatce, a oni dopiero teraz zaczynali się bać. Postawił Krysię na podłodze, od razu podreptała do choinki.

— Córeczko, nie bój się, nie dam cię skrzywdzić — oznajmiła Aśka tak dramatycznym tonem, jak gdyby do Marysi już ustawiła się kolejka gwałcicieli.

— Przestań, tylko ją straszysz — powiedział spokojnie Zenek.

Żona rzuciła mu nienawistne spojrzenie i mocniej przytuliła córkę.

Szymek zastanawiał się gorączkowo, co może zrobić. Najchętniej poczekałby na działania policji. Instynkt mu jednak podpowiadał, że powinien wyprowadzić rodzinę z wieżowca, w którym rozmieszczono bomby. Jeżeli to wszystko rypnie, blok z wielkiej płyty zawali się jak domek z kart. Sześć kondygnacji zwali im się na głowę.

— Mamy piwnicę z oknem — mruknął, niby do siebie.

— Też o tym pomyślałem — odezwał się teść.

— To co? Schodzimy? — zapytał Szymek.

Tak naprawdę bał się wyjść na klatkę. Zdawało mu się, że gdy tylko otworzy drzwi, terroryści zaczną strzelać.

— Wszyscy nie możemy iść. Najpierw ktoś musi sprawdzić, czy można wyleźć przez okno w piwnicy — oznajmił teść.

Szymek miał nadzieję, że może Zenek zechce pójść, zawsze do wszystkiego rwał się pierwszy, ale chyba nie tym razem. Gdy spojrzał na szwagra, ten uciekł wzrokiem w stronę gwiazdy ozdabiającej czubek choinki.

— Tato, pójdę z tobą.

Rafał wstał i poprawił okulary.

— Nigdzie nie idziesz — warknęła Monika.

Szymek miał przez chwilę nadzieję, że jemu żona też nie pozwoli wyjść z mieszkania. Niestety, dodała, że ojciec sam pójdzie.

Krysia stała przy choince i zdejmowała już trzecią bombkę. Rzuciła ją na dywan, po czym rozgniotła stópką. Szymek podniósł córkę i podał Monice, a ta położyła ją sobie na kolanach, uniosła jej jedną nóżkę i zaczęła wyskubywać cienkie szkło ze skarpetki.

— Ubierzcie się, żebyście byli gotowi, jak wrócę — rzucił Szymek, mając nadzieję, że jednak ktoś go zatrzyma. Niestety, nikt się nie odezwał. Nie spieszył się, liczył na to, że Monika wybiegnie za nim i powstrzyma go przed otwarciem drzwi. Ona jednak zaczęła zachęcać do spróbowania ryby po grecku.

— Tato, może rybki?

Po chwili rozległ się głos teścia:

— Kurwa, co za wigilia, jak w siedemdziesiątym.

— Niech tata nie przeklina przy dzieciach — poprosiła Aśka.

— A co było w siedemdziesiątym? — zainteresował się Rafał.

— Zrobili mi ścieżkę zdrowia na Tysiącletnia. Pałowali tak, że nawet opłatka bym nie przełknął.

Szymek przyłożył oko do wizjera. Na klatce było ciemno. Gdy

otworzy drzwi, zadziała czujnik ruchu i włączy się światło. Terrorysty będą wiedzieć, że ktoś wyszedł z mieszkania. Zaczną szukać niepokornego lokatora, a gdy go znajdą, to na pewno wpakują mu kulkę w głowę. Wziął klucze od piwnicy i cicho uchylił drzwi, po czym wysunął się na klatkę.

Schodził powoli, mocno ściskając poręcz. Na trzecim piętrze pomyślał, że mógł założyć sportowe buty, zamiast znowu człapać w kapciach, które ledwo trzymały się jego stóp, a w dodatku były śliskie. Liczył pod nosem pokonywane stopnie i wpatrywał się w ciemne kwadraty okien, za którymi była wolność. Nagle zamarł. Między parterem a pierwszym piętrem okno było zamalowane czarną farbą. Podobnie jak u Kwiatkowskiej tutaj również znajdował się karton, a od niego do klamki okiennej biegły kable. Ładunek wybuchowy nie stał jednak na podłodze, lecz wisiał przyklejony taśmami do górnej krawędzi okna. Szymek był pewien, że kiedy pokonywał tę trasę z Bocianem i taksówkarzem, tej bomby jeszcze nie było. A zatem terrorysty działają, przemieszczają się po wieżowcu i w każdej chwili mogą się pojawić za kolejnym zakrętem schodów. Przyszło mu do głowy, żeby wrócić do mieszkania i powiedzieć rodzinie, że nie da się wejść do piwnicy, bo kolejna bomba albo coś innego to uniemożliwia. Po chwili wahania stwierdził, że nie może zmarnować szansy wyprowadzenia bliskich z bloku. Szedł więc dalej.

Z ulgą przyjął fakt, że wejście do piwnicy nie zostało zabezpieczone taśmami oraz ładunkiem wybuchowym. Nacisnął klamkę i wszedł na schody. Po chwili znalazł się w długim korytarzu oświetlonym w kilku miejscach przez słabiutkie żarówki. Słyszał szum w rurach i czuł wilgotne, nieprzyjemne powietrze. Kapcie wydały mu się jeszcze bardziej luźne. Aby ich nie zgubić, zaczął szurać nogami po piwnicznej betonowej posadzce. Z zakamarków pamięci dotarł do niego surowy głos ojca, że nie wolno w ten sposób chodzić, bo się podeszwy niszczą.

Nie interesowały go okienka piwniczne w części korytarzowej, były

zbyt małe, być może Marysia by się przez nie przecisnęła, i oczywiście Krysia, ale nikt więcej. Wchodziła w grę tylko ucieczka przez okno w lokatorskim pomieszczeniu piwnicznym. Stał wreszcie przed drzwiami swojej piwnicy. Z trudem włożył klucz do kłódki, niestety nie mógł go przekręcić. Po kilkunastu sekundach daremnych starań zrozumiał, że to nie jest jego kłódka. Terrorysty założyli swoją. W bardzo banalny sposób chcieli udaremnić mieszkańcom ucieczkę przez piwnicę. Dobrze, że w mieszkaniu ma brzeszczot.

Miał już ruszyć w drogę powrotną i wtedy usłyszał kroki. Rozbrzmiały głuchym echem w piwnicznym korytarzu. Szymek zamarł, nasłuchując. Chwilę później przywarł brzuchem i policzkiem do drzwi. Może nie zostanie zauważony, może to nie terrorysty. Palce mu zeszywniały, klucze wysunęły się z dłoni i z brzękiem spadły na posadzkę. Kroki stawały się coraz głośniejsze. W jego czasce dźwięk się podwajał, dając nieznośne złudzenie, że zbliżają się do niego dwie osoby. Nagle z przerażeniem pojął, że rzeczywiście kroki rozbrzmiewają z dwóch stron. Szymek jęknął, gdy ucichły tuż przy nim. Mieli go. Za chwilę rozległ się upiorny głos:

— Zapierdalaj!

Odwrócił się powoli. Bał się podnieść głowę, dlatego na początku zobaczył jedynie czarne buty, a następnie krawędź czerwonego płaszcza. Przebierańcy, tak ich nazwała Kwiatkowska z parteru. Obaj święci mikołajowie mieli karabiny, jeden z nich trzymał przy ustach fioletową tubę wyglądającą jak dziecinna zabawka. Bronią pokazali mu kierunek. Ruszył, szurając kapciami. Na piwnicznej ścianie falował jego zgarbiony cień.

Padł kolejny rozkaz:

— Do windy.

Z nadzieją pomyślał, że odprowadzają go do mieszkania. W kabinie kazali mu uklęknąć twarzą do ściany. Osunął się, dając wytchnienie rozdygotanym nogom. Wsiedli za nim. Nagle poczuł na karku zimny metal lufy. Zaczął szlochać. Winda ruszyła. Święty mikołaj

przysunął tubę do jego ucha i wrzasnął:

— Wyjebimy cię z dziesiątego piętra!

Szymek zawył, obejmując dłońmi czaszkę. Nie przeraziły go słowa, lecz ich dźwięk, potwornie głośny i metaliczny, wdzierający się do ucha jak ostrze. Wyprowadzili go z windy siłą, ciągnąc za sweter. Stopami w samych skarpetkach uderzał o stopnie. Wspinali się jeszcze wyżej. Nagle Szymek poczuł na twarzy lodowate powietrze. Otrzeźwiło go na moment i zdołał pojąć, że znajdują się na dziesiątym piętrze, a jeden z terrorystów właśnie otworzył okno. Przyciągnęli go do parapetu i wypchnęli niemal do połowy. Szymek czuł pod brzuchem zimny śnieg. Zamachał rękami w mroźnym powietrzu, instynktownie szukając jakiegoś oparcia. Nie chciał ginać.

— Ja mam dzieci! — zawołał rozpaczliwie.

Nad jego głową rozległ się dźwięk z tuby.

— Musimy rozjechać komuś łeb o chodnik, żeby wszyscy uwierzyli, że święty mikołaj istnieje. Wypadło na ciebie.

— Zabijcie kogoś innego! Błagam!

Lodowaty wiatr wciskał mu te słowa z powrotem do gardła, ale on je z siebie wyrzucał ponownie.

Terrorysty odciągnęli go od okna. Szymek nie wiedział, czy to on tak mocno dygocze, czy może cały wieżowiec trzęsie się w osadach.

— Kogo mamy zapierdolić? Dawaj nazwisko i numer mieszkania.

— Zabijcie, kogo chcecie, tylko nie mnie.

Szlochał, smarki przyklejały mu się do brody.

— Nazwisko i numer mieszkania, bo jak nie, to...

Terrorysta wskazał lufą na otwarte okno.

Szymek przysuwał się myślami po piętrach, usiłując przypomnieć sobie nazwiska i twarze sąsiadów. Musiał któregoś skazać na śmierć. Ale kogo? Straszne pytanie, na które było mnóstwo odpowiedzi, prawie dwieście, bo aż tylu ludzi zamieszkiwało ten wieżowiec. Tylko jedna z odpowiedzi jest poprawna, jak w teleturnieju. Kto ma zginąć? Kto? Nie może popełnić błędu.

W klatce obok mieszkał prawie pięćdziesięcioletni mężczyzna. Może on? Przecież żył już wystarczająco długo. Szymek nie wiedział jednak, jak ten staruszek się nazywa ani pod jakim numerem mieszka. Monika wspominała mu o jakiejś sąsiadce, która dwukrotnie próbowała popełnić samobójstwo. Może ona? Skoro nie chciała żyć... Ale też nie miał pojęcia, gdzie mieszka. Nagle Szymka olśniło. Znalazł sąsiada, którego terroryści mogliby wyrzucić przez okno. Karolak, rok temu wyszedł z więzienia, gdzie spędził osiem lat za gwałt na czternastolatce. Wszyscy mieszkańcy się go bali, podobno groził kilku osobom, kogoś zdążył pobić, a nawet wciągnął jakąś kobietę do swojego mieszkania, na szczęście zdołała mu uciec.

— Ósme piętro, Karolak, jego zabijcie — wybełkotał, szcękając zębami.

Trząśnięty z zimna, okno wciąż było otwarte, a sweter na brzuchu miał mokry od śniegu. Święty mikołaj kopnął go.

— Prowadź!

Zgięty wpół, trzymając się poręczy, ruszył w dół. Na ósmym piętrze stanął przed drzwiami mieszkania znajdującego się obok windy. Terroryści usunęli się z zasięgu wzroku. Szymek nacisnął dzwonek, usłyszał, że zamek się przekręca, a za chwilę poczuł uderzenie w plecy. Święty mikołaj wepchnął go do mieszkania. Szymek stracił równowagę, runął w dół. Z poziomu podłogi widział, jak mikołaj rozbija karabinem nos Karolakowi. Tamten tylko na moment zaniechał obrony, potem z pięściami rzucił się na napastnika. Daremny wysiłek, kolby dwóch karabinów powaliły go na podłogę. Karolak charczał i wyrzucał z siebie krwawą ślinę oraz nieartykułowane słowa, podobne do przekleństw. Na jego głowę spadła kolba. Ucichł. Terroryści kazali Szymkowi otworzyć balkon. Wykonał polecenie. Jeden z mikołajów włożył półprzytomnemu Karolakowi do kieszeni kartkę, potem wywlekli go na zewnątrz. Szymek nie chciał na to patrzeć, ale nie był też w stanie odwrócić wzroku, jak gdyby był to dla niego zbyt duży wysiłek. Widział, jak podnoszą bezwładne ciało i przerzucają je przez barierkę.

Na granatowym niebie świeciły gwiazdy. Wypogodziło się, kto by pomyślał, że kilkanaście godzin temu przez miasto przeszły co najmniej trzy zadymki.

W umyśle Szymka zapanowała pustka, a jego ciało zagarnął mróz. Było mu wszystko jedno, chcą, to niech go zrzucą z balkonu, nie będzie się bronił. Spuścił głowę w geście totalnej rezygnacji. Nagle usłyszał upiorny głos przetworzony przez mechanizm tuby:

— Spierdalaj!

Grzbietem dłoni wytarł smarki i na sztywnych nogach wyszedł z mieszkania Karolaka. Na klatce było ciemno, schody zakręcały i ginęły w głębokim półmroku, rozgwieżdżone prostokąty okien odcinały się od czerni ścian. Szymek schodził w dół zimną i ciemną klatką, jak duch, jak żywy trup, nic dziwnego, że czujniki ruchu nie zadziałały i nie włączyły światła.

Wszedł do swojego mieszkania, to było jak wkroczenie do innego wymiaru, ciepłego i rozświetlonego. Zobaczył choinkę i Monikę trzymającą w ramionach Krysię, piękny widok, bardzo świąteczny, rodzina i wigilia to niemal synonimy. Dobrze, że już wrócił. Tak naprawdę niepotrzebnie wychodził. Ale dlaczego wszyscy tak dziwnie na niego patrzą i skąd to przerażenie w oczach jego żony?

Rozdział V

BYŁA OSIEMNASTA PIĘTNAŚCIE, temperatura spadła do czternastu stopni poniżej zera. Na Okulickiego panowała cisza, ludzie stojący jeszcze niedawno na balkonach teraz pochowali się do mieszkań. Kilka młodych osób zajęło pozycję w pobliżu marketu i patrzyło na trzy radiowozy z włączonymi kogutami oraz na leżące na chodniku zwłoki.

Prokurator Milena Łempicka-Krol doceniała panujący tu spokój. Za parę godzin sytuacja wokół wieżowca zmieni się diametralnie, pojawią się tłumy, przede wszystkim zwali się im na głowę cała chmara dziennikarzy i to nie tylko z polskich mediów. Mieli przecież do czynienia z zamachem terrorystycznym, tak przynajmniej wynikało z relacji umieszczanych przez mieszkańców w sieci. Niebawem polskie święta przegrają z sensacyjnym wydarzeniem. Dramat kilkudziesięciu rodzin oderwie Polaków od suto zastawionych stołów. Cała Polska będzie dyskutować o terrorystach, muzułmanach i uchodźcach, a będą w tym przodować politycy korzystający z okazji, aby podbić własne notowania. Milena miała nadzieję, że uda im się zamknąć tę sprawę, zanim nabierze rozmachu.

Dostrzegła aspiranta Konarskiego, jednego z lepszych techników, z jakimi przyszło jej współpracować. Właśnie wyciągał z radiowozu walizkę kryminalistyczną. Stała przy nim Magdalena Piekarska, która dopiero zaczynała karierę w medycynie sądowej, ale dała się już poznać jako analityczny umysł. Nie poprzestawała na stwierdzaniu faktów, lecz chętnie je interpretowała, wkraczając tym samym w sferę pracy policji kryminalnej i oczywiście prokuratury.

Milena szła w ich stronę. Grudki lodu przykryte cienką warstwą

śniegu trzeszczały pod podszewkami jej kozaków.

— Czy ktoś wam złożył dzisiaj życzenia spokojnych i wesołych świąt? — zapytała na powitanie.

Oboje kiwnęli twierdząco głowami.

— Nigdy nie wierzyłem w szczerłość życzeń, które składa mi rodzina — mruknął Konarski.

Z radiowozu wysiadł aspirant Adam Nowak zwany Rumunem. Gdy pierwszy raz usłyszała to przezwisko, odniosła wrażenie, że ma ono pejoratywny wydźwięk. Szybko zmieniła zdanie. Wystarczyło, że parę razy usłyszała, z jaką serdecznością, a jeszcze częściej z uznaniem funkcjonariusze mówią o Rumunie. Ponadto ksywka pasowała idealnie do południowej urody aspiranta.

Rumun podał jej kamizelkę kuloodporną.

— Zalecenie komisarza — wyjaśnił, widząc jej zdumione spojrzenie.

Z rozkazami przyszłego naczelnika wydziału kryminalnego wołała nie polemizować. Włożyła kamizelkę pod płaszcz.

— A tak w ogóle, gdzie jest teraz komisarz Soroka? — zapytała, zgrzytając zębami.

— Dzwoni po mieszkańcach i wypytuje o tego tutaj. — Aspirant wskazał na trupa.

— Gdzie robimy oględziny?

— W namiocie, koledzy rozstawiają go za marketem.

Rumun kiwnął głową w stronę sklepu stojącego w odległości około dwudziestu metrów od zajętego wieżowca. Market właściwie oddzielał od siebie dwa bloki z wielkiej płyty, mieszkańcy jednego z nich ma pewno odetchnęli z ulgą, że to nie na nich trafiło.

— Dokumentacja zrobiona? — zapytała Milena.

— Nie, czekaliśmy na panią. — Rumun odwrócił się w stronę radiowozu. — Dawajcie reflektory! — polecił.

Po chwili zwłoki leżące na chodniku znalazły się w zasięgu światła. Milena pierwsza się do nich zbliżyła. Zaczęła notować w protokole swoje spostrzeżenia. Mężczyzna leżał na plecach, miał zakrwawioną twarz, krew wypływała mu spod głowy i wsiąkała w śnieg, przez co

nie było tutaj krwawej kałuży. Za chwilę obok niej stanął Rumun z kamerą, sierżant Pociecha zaczął robić zdjęcia. Milena odnotowała w protokole ich czynności.

— Dobra, przenosimy go do namiotu — poleciła.

Dwóch funkcjonariuszy ułożyło zwłoki na noszach, dwóch kolejnych podniosło stojaki z reflektorami. W namiocie czekali już aspirant Konarski i medyk Magdalena Piekarska, która od razu przykucnęła przy zwłokach.

— Ma złamany nos — oznajmiła. — Raczej nie od upadku, bo leżał na plecach. A więc wygląda na to, że wcześniej został pobity.

— Mógł walnąć w któryś balkon — zauważył Konarski.

— Wtedy obrażenia byłyby większe — stwierdziła medyk sądowa.

Wszyscy obecni w namiocie zdawali sobie sprawę, że stoi przed nimi trudne zadanie. Musieli ustalić, czy ofiara sama wyskoczyła z bloku, czy została wyrzucona. W całej tej sprawie wzięcia zakładników tylko to jedno było teraz ważne. Za samobójstwo jednego z mieszkańców terroryści raczej nie odpowiedzą, nawet jeżeli zostało popełnione w wyniku stresu. Z kolei za morderstwo może ich czekać dwadzieścia pięć lat odsiadki.

— Dobrze byłoby zrobić oględziny pomieszczenia, z którego wyskoczył — mruknął Konarski. — Poszukałbym na parapecie i futrynie linii papilarnych. To mogłoby nam dać odpowiedź, czy go wyrzucili.

— Najlepiej to byłoby znaleźć świadka naocznego — zauważył sierżant Pociecha. — Przecież naprzeciwko stoi wieżowiec z sześcioma klatkami, nie wierzę, że akurat nikt nie patrzył przez okno.

— Komisarz się tym zajmuje, a my tu mamy swoje do zrobienia — oznajmił Rumun ponagłająco.

Milena wdzięczna była Nowakowi. Muszą zwiększyć tempo pracy ze względu na niską temperaturę. I tak za godzinę zaczną wszyscy szcząkać zębami z zimna.

Konarski i medyk sądowa zaczęli rozbierać zwłoki. Aspirant głośno

opisywał poszczególne części garderoby, podając stan ich zużycia i uszkodzenia. Milena zanotowała w protokole, że w koszuli brakuje górnego guzika, lewy rękaw na szwie jest rozpruty, a na wysokości klatki piersiowej widoczne są plamy krwi.

Konarski przystąpił do przeszukiwania spodni zdjętych z ofiary.

— Dawno nieprane — oznajmił.

Milena zanotowała jego uwagę. Kątem oka zobaczyła, że aspirant wyjmuje ze spodni ofiary złożoną kartkę. Pomyślała, że to nic ważnego, może lista świątecznych zakupów. Białe obłoczki pary wydobywały się z ich ust i rozpląwały w mroźnym powietrzu wciskającym się pod namiot. Palce drętwiały jej z zimna. Kiwnęła głową na znak, żeby aspirant kontynuował. Ten zaczął czytać:

— „Co osiem godzin będziemy wyrzucać kolejnego zakładnika, dopóki nie spełnicie naszych żądań. Na nasze konto ma zostać przelane dziesięć milionów euro. Przed blokiem ma stanąć autobus z pełnym bakiem i kanistrami z paliwem, które wystarczy na przejechanie trzech tysięcy kilometrów”.

Konarski umilkł na moment, po czym podyktował numer rachunku bankowego. Długopis w dłoni Mileny szybko sunął po papierze, pozostawiając kolejne cyfry. Gdy skończyła, schowała dłoń z długopisem do kieszeni, aby choć na moment ogrzać palce.

Stali w milczeniu nad zwłokami niczym członkowie sekty odprawiający jakiś rytuał. Byli pod wrażeniem żądań, chyba każdy z nich w duchu liczył na to, że nie ma żadnego przetrzymywania zakładników, że mają do czynienia z żartem zakończonym wypadkiem śmiertelnym albo samobójstwem.

— No to mamy dowód, że ten gość został zamordowany — przerwał ciszę aspirant Nowak.

Milena machinalnie przytaknęła.

— Osiem godzin, to znaczy, że kolejnego mieszkańca wyrzucą o pierwszej w nocy, gdy ludzie będą wracać z pasterki. Musimy się spieszyć.

Chciała jak najszybciej zakończyć oględziny. Teraz najważniejsze

było nie dopuścić do kolejnego morderstwa. Powinni zastanowić się, jak to zrobić.

Sierżant Pocięcha sfotografował list z żądaniami, a aspirant Konarski umieścił go w plastikowym pudełku i opatrzył metryczką.

Medyk sądowa, czując powagę sytuacji i presję czasu, uklękła przy zwłokach i zaczęła szukać obrażeń zewnętrznych, znamion i rozmaitych śladów. Zwięźle dyktowała prokurator Łempickiej swoje uwagi. Gdy zwłoki trafiły w końcu do czarnego worka, Milena wyszła z namiotu i spojrzała na wieżowiec zajęty przez terrorystów. Wiele balkonów ozdobionych było lampkami choinkowymi, dominowały czerwone i zielone światełka, przyjemny widok, blok pogrążony w wigilijnym klimacie.

Obok niej stanął Rumun.

— Co pani o tym sądzi?

Ochłonęła już z pierwszego wrażenia. Teraz była zadowolona, że list nie zaczynał się od słów: W imię Allacha żądamy... Wzięcie zakładników nie miało charakteru politycznego, a więc obejdzie się bez mocnych nacisków z tak zwanej góry, chociaż zapewne jakieś się pojawią. Poza tym z terrorystami ekonomicznymi łatwiej się pertraktuje.

— Musimy nawiązać kontakt ze sprawcami. Puścimy komunikat w mediach i przez megafon, poinformujemy ich, że chcemy rozmawiać.

— Myśli pani, że załatwimy to lokalnie, naszymi siłami?

Milena pokręciła przecząco głową.

— Nie ryzykowałabym. Nie mamy doświadczenia w takich akcjach. Potrzebny będzie dobry negocjator i prawdopodobnie szturmowy oddział antyterrorystyczny.

Oddech zamarzał jej na ustach, do nosa wciskał się wilgotny mróz, a w przemrożonych palcach czuła piekący ból.

— Widzi pani?

Rumun patrzył na wieżowiec. Nie wiedziała, o co pyta, co ma niby dostrzec. Po chwili też to zobaczyła i zatrzęsła się w nagłym

dreszczu, może z zimna, a może z poczucia ciężącej na niej odpowiedzialności za życie tych ludzi. W ciemnych oknach tkwiły nieruchome sylwetki. Wielu mieszkańców powyłączało światło i podeszło do okien. Patrzyli na wozy policyjne i funkcjonariuszy. Czekali na ratunek. Milena domyślała się, że na ich twarzach rysuje się teraz strach i nadzieja.

Rozdział VI

KOMISARZ KAMIL SOROKA PATrzył przez lunetę na zajęty wieżowiec. Dziękował w duchu komendantowi, że zakupił dla elbląskiej drogówki sprzęt optyczny o niebywale wysokich parametrach, za pomocą którego można było z odległości kilometra wypatrzyć kierowcę bez zapiętych pasów rozmawiającego przez komórkę. Kamil znajdował się około osiemdziesięciu metrów od zajętego bloku i bez problemu zaglądał do mieszkań lokatorów będących zakładnikami. Zajął stanowisko w wieżowcu naprzeciw. Wybrał mieszkanie na ósmym piętrze, na szczęście obeszło się bez wyrzucania lokatorów, bo ci wyjechali na święta. Komisarz skontaktował się z nimi telefonicznie i wymusił na nich zgodę na udostępnienie lokalu, informując, że za utrudnianie czynności operacyjnych grozi kara pieniężna do dziesięciu tysięcy złotych.

Komisarz skierował lunetę na okna lokalu znajdującego się na siódmym piętrze i ustawił ostrość. Tutaj przy stole siedziało siedem osób, z czego troje o arabskiej urodzie, dwóch brodatych mężczyzn w wieku około dwudziestu pięciu lat i nieco starsza od nich kobieta. Mieszkańcy dzwoniący na policję wskazywali właśnie na tę rodzinę i przebywających u niej gości z Bliskiego Wschodu jako na potencjalnych sprawców. Na razie nic na to nie wskazywało. Arabowie zajęci byli spożywaniem polskiej wigilii. Kamil przyjrzał się potrawie na ich talerzach. Wyglądało to na śledzie.

Zaczął powoli przesuwac obiektyw po pozostałych oknach. Szukał podejrzanych rzeczy i osób, kogoś przebranego za świętego mikołaja albo chociaż charakterystycznej czerwonej czapki rzuconej w kąt pomieszczenia. Do mieszkań na parterze i pierwszym piętrze nie mógł zajrzeć, bo tam okna zostały zasłonięte czarną folią, ale

wnętrza pozostałych lokali były dostępne dla jego oczu, bo lokatorzy nie pomyśleli jeszcze o tym, żeby pozasłaniać okna. Zobaczył, jak w mieszkaniu na piątym piętrze do pokoju wpada kilkuletni chłopiec i mierzy z karabinu do gości. Prawdopodobnie towarzyszył temu okrzyk: Ręce w górę, bo jedna kobieta je podniosła, inna zasłoniła twarz dłońmi. Mężczyzna w białej koszuli pod krawatem podniósł się zza stołu, wyrwał chłopcu broń i uderzył go ręką w głowę. Wyglądało na to, że mieszkańcom puszczały nerwy, a z każdą godziną będzie coraz gorzej. Skierował lunetę na kolejne mieszkanie i zobaczył dwie osoby. On po pięćdziesiątce, ona dużo młodsza, oboje trzymali w dłoniach portfele i nerwowo przeglądali ich zawartość. Wykładali na stół plastikowe plakietki, zapewne karty kredytowe i debetowe, może też dowody osobiste. Dopiero po chwili dostrzegł jeszcze jedną osobę znajdującą się w pomieszczeniu, przy komodzie kucała kobieta, właśnie się podniosła, trzymała w dłoniach jakieś papiery. Mężczyzna wyszedł z pokoju, po chwili wrócił z ręcznikiem. Zawinęli w niego plastikowe plakietki i dokumenty. Kamil był pewien, że całość zaraz trafi do kosza na brudną bieliznę albo do bębna pralki. Strach mieszkańców nie był jeszcze tak wielki, skoro byli w stanie zatroszczyć się o dobra materialne.

Komisarz znał budownictwo z wielkiej płyty, sam do niedawna mieszkał w podobnym bloku, zlokalizowanym zaledwie dwie ulice stąd. Zajęty wieżowiec miał dwie klatki schodowe, w każdej z nich na parterze i na dziewięciu piętrach znajdowały się trzy mieszkania, na ostatnim piętrze dwa, w sumie w wieżowcu mieściły się sześćdziesiąt cztery lokale. Z jednej klatki do drugiej można było się przedostać piwnicznym korytarzem albo przejściem na ostatniej kondygnacji. Ponadto w budynku znajdowały się dwie ciasne windy i pionowy ciąg pomieszczeń, w których dawniej mieściły się zsypy. Nie musiał zaglądać do planów budynku, żeby wiedzieć, że na tę stronę ulicy wychodzą okna tylko czterdziestu dwóch mieszkań. Będzie musiał zrobić punkt obserwacyjny z drugiej strony wieżowca, żeby móc zaglądać do pozostałych dwudziestu dwóch lokali.

Znajdował się tam niski budynek „Biedronki” oraz dziesięciokondygnacyjny blok z wielkiej płyty stojący szczytem do wieżowca wziętego przez zakładników. Na szczęście na ścianie szczytowej znajdowały się balkony. Powinni ustawić się na którymś z nich.

Usłyszał, że ktoś wchodzi do pokoju. Odwrócił się i w nikłym świetle padającym z ekranu laptopa zobaczył sylwetkę aspiranta Nowaka.

— Zimno? — zagadnął komisarz.

— Aż smarki zamarzają.

Rumun usiadł na brzegu kanapy, która pod jego ciężarem zaskrzypiała. Przysunął do siebie laptop i patrzył na obraz przesyłany z lunety. Ściągnięte brwi i drgające nozdrza świadczyły o jego emocjach.

— Przygotuj stanowisko obserwacyjne z drugiej strony — polecił Kamil.

Aspirant kiwnął głową.

— Już wysłałem tam dwóch młodych, rozglądają się za najlepszym miejscem. — Po krótkiej pauzie dodał: — To nie jest sprawa dla nas. Trzeba zawiadomić komendę główną i MSWiA. Łempicka powie ci to samo.

— Wtedy nas odeślą do parzenia kawy — zauważył komisarz.

— Przesadzasz, muszą współpracować z lokalną policją.

Kamil czuł, że ambicje biorą w nim górę nad zdrowym rozsądkiem. Chciał mieć na koncie odbicie zakładników albo chociaż znaczący udział w tej operacji. Mógłby wtedy liczyć na przedterminowe mianowanie na podinspektora. Poza tym byłoby to efektowne rozpoczęcie służby na stanowisku naczelnika wydziału, którym zostanie drugiego stycznia. Była jeszcze jedna rzecz, zwyczajnie chciał zająć się tą sprawą. Pchała go do niej adrenalina, choć czuł też lekki mrowiący niepokój, wspinający się po kręgosłupie i wchodzący do głowy. Sprawa była bardzo poważna, życie około dwustu osób znajdowało się w zagrożeniu.

Przyłożył oko do lunety i nakierował ją na górne piętra.

— Jak myślisz, dlaczego to się nam przydarzyło? Londyn, Madryt, Paryż, Nicea, a teraz Elbląg, aha, jeszcze zapomniałem wspomnieć o Moskwie, teatr na Dubrowce i wieżowiec na Zawadzie. Rumun, jakoś mi to, kurwa, nie pasuje.

— Jasne, że nie pasuje, tam był terroryzm polityczny, u nas na szczęście nie.

— Ale dlaczego Elbląg? Dlaczego nie Warszawa, nie Kraków? Przecież wszędzie są wieżowce z wielkiej płyty. Wiesz, co sędzę? To żadni terroryści, to nasi ludzie, nie raz ich mieliśmy na dołku. Przy wódzie wpadli na pomysł, że wezmą zakładników i zarobią raz a porządnie.

— Przyznaję, że myślałem podobnie, dopóki nie wyrzucili pierwszego zakładnika. Morderstwo to grubsza sprawa. Tak w ogóle, ustaliłeś, kim jest ofiara?

— Mieszkańcy najczęściej wskazują na Romana Karolaka.

— Karolak to ten...

— Tak, ten od gwałtu na czternastolatce. To też jest zastanawiające, że pierwszego zabili bandytę. To też by wskazywało na swojaków, w tej branży pedofilów się nie lubi.

— Możesz mieć rację, trzeba wszystkim swojakom wjechać na chatę, posprawdzać, czy święta spędzają z rodzinami. Ale na razie zawiadom górę, zanim zrobią to media.

Komisarz przytaknął. Wzięcie zakładników stawało się coraz głośniejsze, głównie za sprawą portali społecznościowych. Musiał przydzielić aż ośmiu funkcjonariuszy do przeszukiwania internetu i analizowania informacji. Było tego mnóstwo, a trzeba było jeszcze ustalić autora wpisu i odsiać niemałą liczbę wariatów.

Komisarz wziął telefon do ręki, miał już połączyć się z szefem elbląskiej komendy, ale w tej samej chwili Rumun zauważył coś niepokojącego na ekranie laptopa.

— Dziesiąte piętro, drugie okno od lewej, daj zbliżenie!

Kamil spojrzał przez lunetę, niecierpliwymi palcami manewrował

przy pokrętle. Chciał jak najszybciej zobaczyć to, co wyłowiło bystre oko kolegi. Wreszcie dojrzał w okiennej futrynie niczym w ramie obrazu ludzką sylwetkę, ciemną postać na tle czerni mieszkania. Ten ktoś trzymał przy oczach lornetkę i obserwował okolicę. Komisarz miał ochotę się cofnąć, ale powstrzymał ten odruch. Był przecież niewidoczny dzięki naklejonej na szybę foli pełniącej rolę lustra weneckiego. Obserwator z naprzeciwka widział jedynie szarą, lekko błyszczącą powierzchnię okna.

— Mamy już listę lokatorów? — zapytał Rumun.

— Jeszcze nie, ale to kwestia minut, Beata już się skontaktowała z kimś ze spółdzielni mieszkaniowej. — Kamil odwrócił się od lunety i podał aspirantowi tablet leżący dotąd na parapecie. — Mamy listę mieszkańców, którzy się z nami kontaktowali. Sprawdź, czy ten gościu z lornetką do nas dzwonił.

Mężczyzna odszedł od okna, znikając w czerni pokoju. Zakończył swoją obserwację, teraz powinien zapalić światło, telewizor albo chociaż komputer. Sekundy mijały, a mieszkanie pozostawało ciemne. W pomieszczeniach wychodzących na drugą stronę też prawdopodobnie panował mrok, w przeciwnym razie zauważyliby nikły blask kładący się na suficie i ścianach. Ten ktoś siedzi w ciemnościach. Dlaczego? Ze strachu? Ale inni zakładnicy bez obaw palą światło.

Rumun zaczął relacjonować:

— Skontaktowało się z nami pięćdziesiąt osiem osób. Z niektórych mieszkań dzwoniły po dwie, trzy osoby, w sumie mamy kontakt z czterdziestoma dziewięcioma mieszkaniami. Ten z lornetką to byłoby mieszkanie trzydzieści jeden, pierwsza klatka?

— Tak.

— No to on do nas nie dzwonił.

— A ktoś z jego sąsiadów?

Rumun zdjął kurtkę i dalej szukał informacji w tablecie.

— Dziewiąte piętro, ten sam pion, Sławomir i Emil Mareccy, ojciec i syn, on jest inwalidą, jeździ na wózku, chłopak ma trzynaście lat.

Kamil skierował obiektyw na wskazane mieszkanie. Zobaczył dwie nieruchome postaci siedzące przed telewizorem powieszonym na wprost okna balkonowego, widział więc tylko ich plecy.

— Dzwon do nich i ustaw na tryb głośnomówiący.

Za chwilę Kamil usłyszał sygnał oczekiwania na połączenie. Przez lunetę zobaczył, że mężczyzna na wózku sięga po telefon leżący na stole. Ruch jego ręki był powolny, jak gdyby wykonany pod wodą, dawało to wrażenie pantomimy, a było zapewne efektem inwalidztwa. Za chwilę usłyszeli lekko zachrypnięty głos:

— Sławomir Marecki, słucham.

— Aspirant Adam Nowak, chcielibyśmy u pana zasięgnąć informacji na temat pana sąsiada, mieszka nad panem, pod trzydzieści jeden.

— Przykro mi, nie pomogę, nie znam nikogo w tym bloku. Mieszkam tu z synem od szesnastego grudnia, wynajęliśmy ten lokal na pół roku. Przyjechaliśmy z Paryża. — W słuchawce rozległo się głośne westchnięcie. Mówienie wiązało się dla mężczyzny z dużym wysiłkiem. Po krótkiej chwili ciszy dodał: — Postanowiłem przywieźć syna do Polski, bo wydawało mi się, że tu jest bezpieczniej, tam w każdej chwili może jakaś bomba wybuchnąć. Nie spodziewałem się, że tu też.

Aspirant zapewnił Sławomira Mareckiego, że policja podjęła czynności, które wkrótce doprowadzą do uwolnienia lokatorów, po czym się rozłączył.

— Do kogo możemy jeszcze zadzwonić? — zapytał Kamil.

— Do Szczepańskich, małżeństwo z dwójką dzieci w wieku dziewiętnaście i czternaście lat. Mieli jechać na Wigilię do Nowakowa, nie zdążyli wyjść z domu. Mieszkają pod dwadzieścia dziewięć.

Komisarz odruchowo zaczął szukać okien tego mieszkania, po chwili się zorientował, że nie wychodzą na tę stronę ulicy. Skierował więc lunetę na dziesiąte piętro. Mężczyzny z lornetką nie było, a w lokalu wciąż panowała ciemność.

Rumun wybrał numer Szczepańskich. Gdy w słuchawce rozległ się wystraszony kobiecy głos, przedstawił się i zapytał o lokatorów mieszkania trzydzieści jeden.

— Tam nikt nie mieszka — zakomunikowała Szczepańska. — Błagam, zróbcie coś, umieramy tu ze strachu. Mamy dzieci, nie możecie nas zostawić w rękach tych brudasów. Wszystkich nas wystrzelają. — Kobieta nabrała powietrze w płuca, żeby wypowiedzieć kolejny ciąg zdań pełnych żalu. — Kto tych muzułmanów wpuścił do naszego kraju? To wszystko przez to, że nie ma granic. Gdy zobaczyłam tych brudasów dwa dni temu, powiedziałam do starego, że to się źle skończy, że możemy w powietrze wszyscy wylecieć. A on mi na to, że głupia jestem, że raczej nasi chłopcy ich skopią, bo u nas prawdziwych patriotów nie brakuje. Mój syn już nawet chciał kumpli zbierać, żeby się na Arabów gdzieś zasadzić. Odważny taki, ale do czasu, teraz siedzi na kiblu, sraczki ze strachu dostał.

— Proszę zachować spokój, nie wychodzić z mieszkania — instruował aspirant. — Jeżeli terroryści do was wejdą, to róbcie wszystko, co wam każą.

— Co pan? Nie wpuszczę ich.

— Jeżeli każą otworzyć drzwi, to proszę to zrobić.

— Nigdy w życiu, po moim trupie.

— Będą chcieli, to i tak wejdą, mają broń, mogą przestrzelić zamek. Lepiej ich nie denerwować. Proszę mi jeszcze powiedzieć, to mieszkanie trzydzieści jeden, kto tam mieszkał i kiedy się wyprowadził.

— Jakieś młode małżeństwo, mieszkali z rok, nie mam pojęcia, jak się nazywają. Jeszcze w wakacje ich widziałam.

Komisarz postanowił, że zadzwonią jeszcze do jednej osoby, może tym razem uda im się uzyskać więcej informacji. W każdym bloku zwykle jest ten jeden sąsiad, który wie wszystko o współlokatorach, jakaś plotkara, która nie ma nic innego do roboty jak ekscytować się życiem mieszkańców. Kamil przesuwał lunetę w dół, wzdłuż jednego

pionu, począwszy od mieszkania trzydzieści jeden. Na dziewiątym piętrze znowu zobaczył dwie sylwetki przed telewizorem, na ósmym było ciemno. W oknach mieszkania na siódmym piętrze były zaciągnięte zasłony, ale ktoś tam był, bo wąska smuga światła przenikała między futryną a tkaniną. Piętro niżej typowy świąteczny obrazek, troje dzieci siedziało przy choince i rozpakowywało prezenty, wokół nich stali dorośli, uśmiechali się i robili zdjęcia. Na piątym trzy osoby ubrane w kurtki i czapki wyszły na balkon, jak gdyby zaraz miały zostać stamtąd ewakuowane przez wyspecjalizowany oddział ratowniczy. Komisarza zainteresowała rodzina zajmująca lokal na czwartym piętrze. Atrakcyjna blondynka karmiła piersią dziecko. Między kciukiem a palcem wskazującym trzymała papierosa i zaciągała się nim łapczywie. Na spodniach miała ciemne plamy, podobne plamy znajdowały się na obrusie i dywanie, prawdopodobnie pozostałość po rozlanym barszczu. Towarzyszące kobiecie osoby też nie prezentowały się zbyt dobrze. Na kanapie leżała starsza pani, trzymał ją za rękę mężczyzna, najpewniej jej mąż. Po pokoju niespokojnie krążył blondyn w rozpiętej koszuli, palił papierosa. Kamil przesunął obiektyw na pomieszczenie obok i zobaczył dwoje nastolatków. Chłopak siedział przy komputerze, a dziewczyna pochylała się nad telefonem.

Komisarz odwrócił się do aspiranta Nowaka, który na ekranie laptopa też obserwował rodzinę z czwartego piętra.

— Co o nich wiemy? — zapytał Kamil.

Aspirant zajrzał do tabletu.

— Z tego mieszkania zadzwonił do nas Zenon Rataj. Spędza z żoną i córką wigilię u siostry i szwagra. Monika i Szymon Wagnerowie, to oni tam mieszkają, mają dwoje dzieci, szesnastoletniego syna Rafała i czternastomiesięczną córkę Krystynę. Na wigilię przyszli też rodzice Zenona.

— Dzwon do nich.

Rumun wykonał polecenie. Za chwilę zobaczyli, że blondyn przekłada papierosa z prawej ręki do lewej, a następnie

niecierpliwym szarpnięciem wyciąga aparat z kieszeni.

— Zenon Rataj, słucham.

Słowa zostały wypowiedzianym nieprzyjemnym tonem, jak gdyby mężczyzna spodziewał się telefonu od telemarketera i już na wstępie chciał go zniechęcić.

Aspirant się przedstawił i zapytał o lokatorów z mieszkania trzydzieści jeden.

Zenon odsunął telefon od ucha i zawołał:

— Siostra, kto mieszka pod trzydzieści jeden? Psy chcą wiedzieć.

Pytanie było skierowane do atrakcyjnej blondynki, która właśnie odsunęła dziecko od dużej białej piersi.

— Tam na górze mieszkają Ruscy.

— Ruscy, słyszał pan?

— Słyszałem. Proszę podać aparat siostrze. Chciałbym z nią porozmawiać.

Monika włożyła pierś do stanika, usadowiła dziecko przodem do siebie, a potem wzięła od brata telefon.

— Czy może pani coś więcej powiedzieć o tych Rosjanach? Czy na pewno mieszkają pod trzydzieści jeden?

— Nie wiem, czy pod trzydzieści jeden, ale na pewno na dziesiątym piętrze. Raz jechałam z jednym windą, pamiętam, nacisnął dziesiątkę. Nie odzywał się, ale od razu poznałam, że to Ukrainiec, głowę miał wschodnią. Rozumie pan, taką chłopską, prostacką.

— Powiedziała pani, że to był Rosjanin, a teraz mówi, że Ukrainiec.

— Rosjanin czy Ukrainiec, co za różnica? Każdy może być terrorystą, bo chyba ich podejrzewacie?

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć, ilu lokatorów z za wschodniej granicy mieszka w waszym bloku?

— Pyta pan, ilu. — Na moment zapadła cisza. Rozmówczyni najwidoczniej zastanawiała się nad odpowiedzią. — Myślę, że przynajmniej czterech.

Monika Wagner była zdenerwowana, może nawet wystraszona. Mówiła na pół wdechu, jak gdyby wiatr zatykał jej usta.

— Czy coś się u was stało? Poza tym, że jesteście zakładnikami.

— Tak, mój mąż, terroryści musieli mu coś zrobić, wrócił w strasznym stanie, bo myśmy nie posłuchali, on wyszedł z mieszkania, a napisali, żeby nie wychodzić, ale my postanowiliśmy uciec przez piwnicę, Szymek poszedł sprawdzić, czy się da.

— Gdzie pani mąż jest teraz?

— Zamknął się w łazience, a wcześniej rzucił się z pięściami na mojego ojca, Zenka też poszarpał. Zawsze był taki spokojny, dzieciaki w szkole na głowę mu wchodziły, a teraz... jak wariat.

— Proszę więcej nie opuszczać mieszkania i proszę stosować się do poleceń terrorystów.

Komisarz otworzył notes i napisał: „Porozmawiaj z jej mężem”, następnie podsunął kartkę pod oczy Rumuna. Tamten przytaknął.

— Pani Moniko, pani mąż może nam pomóc. Czy mogłaby pani przekazać mu aparat?

Kobieta zamilkła. Na ekranie zobaczyli, że pokręciła przecząco głową i dalej bujała dziecko na kolanie.

— Proszę chociaż spróbować — kontynuował Rumun. — Jeżeli pani mąż widział terrorystów, jeżeli nawet tylko ich słyszał... może potwierdzić albo wykluczyć wschodni akcent.

— Dobrze, spróbuję, ale on naprawdę zachowuje się jak niezrównoważony.

Kobieta przycisnęła dziecko do piersi i z telefonem przy uchu opuściła pokój. Brat wyszedł za nią. Starsza pani podniosła się z kanapy. Mąż próbował ją z powrotem położyć. Odepchnęła go stanowczym ruchem, po czym osunęła się na kolana i złożyła dłonie do modlitwy. Za chwilę w słuchawce usłyszeli głos Moniki Wagner:

— Szymek, otwieraj, policja chce z tobą mówić.

Monika mówiła do męża jak do niegrzecznego chłopca. Funkcjonariusze wiedzieli, że to nie pomoże w nawiązaniu kontaktu z człowiekiem, który być może ma za sobą traumatyczne spotkanie z terrorystami.

— Pani Moniko — zaczął spokojnie Rumun. — Teraz się rozłączę,

zadzwońię do was za godzinę. Proszę przez ten czas spróbować przekonać męża, aby ze mną porozmawiał. Tylko proszę wykazać się większą empatią.

— Empatią?

Ton Moniki Wagner wskazywał, że poczuła się mocno urażona.

— Chodziło mi o to, żeby pani odniosła się z większym zrozumieniem dla męża, który ma za sobą trudne przeżycie.

— Proszę pana, wiem, co to jest empatia. Od dnia ślubu jestem empatyczna dla męża, staram się zrozumieć jego potrzeby, a on moich w ogóle.

Aspirant zakończył rozmowę. Wysłuchiwanie małżeńskich żalów do niczego ich nie doprowadzi, a tylko zabierze cenny czas.

Komisarz wyszedł przed blok. Musiał ochłonać, przy takim mrozie miał na to realne szanse. Stał teraz bez szalika, z kapturem niedbale narzuconym na głowę. Czuł, jak mróz wciska mu się do nosa, a lodowate obręcze obejmują łydki. Mogło już być dwadzieścia stopni poniżej zera.

Na Okulickiego paliło się kilka latarni, żółta poświata płynęła też wzdłuż prostopadłej alei Odrodzenia, śnieg lśnił, odbijając światło lamp ulicznych, piękna zima. Miał dzisiaj spędzić wigilię z prokurator Mileną Łempicką-Krol w swoim nowym domu w Łęczu. Na tę okoliczność ubrał nawet choinkę, dość skromnie, bo kupił tylko osiem bombek i jeden sznur światełek. Siedzieliby teraz przy ogromnym oknie i patrzyli na zaśnieżony las. Zamiast tego ma sytuację zakładniczą, która może się okazać polską Dubrowką. Nie był jakoś wielce zmartwiony tym faktem. Owszem, czuł silny niepokój, ale jeszcze większą ekscytację. To może być sprawa jego życia, o ile go nie odsuną ci z góry.

Wyjął telefon i zadzwonił do szefa elbląskiej komendy. Opisał mu obecną sytuację i poprosił o powiadomienie komendy głównej i władz Elbląga. Gdy skończył, nadjechały dwa radiowozy, z pierwszego wysiadła sierżant Beata Gryś owinięta w długi biały szal. Przed sobą trzymała karton. Razem z nią przyjechało pięciu

funkcjonariuszy, mieli na miejscu pomagać głównie w pozyskiwaniu informacji. Kilkunastu policjantów tę samą rolę pełniło na komendzie. Na jego polecenie już oddzwaniali do zakładników i wypytywali o ich stan zdrowia, kto na co choruje, jakie leki przyjmuje. Pytali też o wykształcenie i wykonywany zawód, obecność lekarzy czy pielęgniarek w zajęтым wieżowcu może okazać się zbawienna, gdy ktoś ze stresu zasłabnie albo dostanie zawału.

Zbliżyła się do niego Beata.

— Gdzie mamy się rozpakować?

— Ósme piętro, mieszkanie dwadzieścia siedem. Tam są dwa pokoje, w tym większym rozstawcie sprzęt, macie do dyspozycji jakieś dwadzieścia metrów kwadratowych.

— Będzie ciasno — zauważyła.

— Pomieściecie się. W małym pokoju siedzi teraz Rumun, obserwuje przez lunetę zakładników.

Beata poinstruowała kolegów, gdzie mają się udać, a potem uniosła głowę i powiodła wzrokiem po zajęтым wieżowcu. Broda zaczęła jej drżeć, prawdopodobnie z zimna. Nie posądzał jej o panikę. Przez te kilka lat wpajał jej, że nie ma trudnych sytuacji, są tylko niezdarni funkcjonariusze. O ile na początku rządziły nią emocje, to z czasem podporządkowała się procedurom. Starła się być dobrą funkcjonariuszką, bo chciała zrobić wrażenie na nim, a ponadto udowodnić, że córka komendanta nie z racji koneksji rodzinnych pracuje w wydziale kryminalnym.

— Kiedyś bałam się wchodzić do tych bloków — zagadnęła. — Koleżanki opowiadały o ekshibicjonście jeżdżącym windą. Żebyś słyszała, co one mówiły o jego przyrodzeniu. — Beata westchnęła z rozrzewnieniem. — To były czasy, nasza wyobraźnia nie miała wtedy granic. Koleżanki mówiły też o szczurach w zsypach, które rzucają się ludziom do gardeł, podobno jakąś staruszkę zagryzły. Przyznaję, że wtedy w to wierzyłam. Tych szczurów bałam się bardziej niż ekshibicjonisty.

— A o karaluchach słyszałaś?

— Tak, nawet jednego przyniosłam od koleżanki do domu. Skubaniutki wszedł mi do plecaka. Kumpele jeszcze mnie straszyły, że winda staje między piętrami i stoi tak kilka godzin. Rzeczywiście raz utknęłam, ale na krótko, może na minutę.

— No to czasy się zmieniają. Od dzisiaj dzieciaki z tych bloków będą mogły się straszyć nawzajem terrorystami. A co masz w tym kartonie?

— Pierogi, śledzie i makowca, zabrałam od rodziców. Mój ojciec tego nie okazuje, ale jest cały w nerwach.

— Właśnie z nim gadałem, ma poinformować Warszawę. Na pewno jutro zwałą nam się tu różni specjaliści od sytuacji zakładniczych, no i oczywiście oddział antyterrorystyczny. Powinni z nami współpracować, ale musimy się liczyć, że nas odsuną.

— Sądzę, że się nie dasz.

— Zobaczymy.

W kieszeni jego kurtki rozległ się sygnał telefonu. Zerknął na wyświetlacz i się skrzywił. Dzwonił dziennikarz, Mikołaj Bukowski. Nie cierpiał tego typka. Zapewne chce mieć informacje z pierwszej ręki. Nie ma tak dobrze, niech czeka jak inni na oficjalny komunikat rzecznika komendy albo prokuratury.

Wziął od Beaty karton.

— Chodź, zjemy parę pierogów, jestem głodny.

Wjechali windą na ósme piętro. W niewielkim mieszkaniu było ciasno, funkcjonariusze przesuwali meble, robiąc miejsce na stanowiska z komputerami. Kamil polecił zakleić pozostałe dwa okna lustrzaną folią. Beacie wskazał drzwi do kuchni.

— Zagrzej parę pierogów dla mnie i dla Rumuna.

Nie była zadowolona, że przydzielił jej rolę kuchty, ale nie zaprotestowała. W końcu sama na siebie ściągnęła ten los, przynosząc prowiant. Odwinęła biały szalik i powiesiła go na wieszaku w przedpokoju, potem zdjęła płaszcz. Nie mógł oderwać od niej oczu. Ładnie ubrała się na wigilię u rodziców. Granatowa spódnica kończąca się tuż nad kolanami delikatnie opinała jej

wąskie biodra i szczupłe uda, a luźny biało-granatowy sweterek podkreślał filigranowość sylwetki, do tego kozaki na obcasie dodające smukłości nogom. Dawno już jej nie widział w rozpuszczonych włosach. Wiedział, że są długie, ale że sięgają aż do pasa?

— Kto jeszcze miał do was wpaść na wigilię?

— Tata chciał zaprosić ciebie, ale drogą służbową dotarła do niego informacja, że już się umówiłeś z naszą panią prokurator. Był zaskoczony, że aż tak się przyjaźnicie.

Z kuchni wyszedł sierżant Pociecha.

— Folia już na oknie, można wchodzić. — Spojrzał na sierżant Gryś. — No, Beata, może wyślemy cię do bezpośrednich negocjacji. Myślę, że terroryści zrobią dla ciebie wszystko, o ile nie są pedałami.

— Właśnie, negocjator, skontaktowałaś się z Kuntzem? — zapytał Kamil.

— Tak, już do nas jedzie z Szymbarku, tam spędzał święta z żoną. Dziesięć minut temu dzwonił, jest w połowie drogi, za godzinę powinien być.

Sierżant Gryś weszła do kuchni, a on do pokoju, w którym znajdowało się stanowisko z lunetą. Rumun nie odwrócił się w jego stronę, był zajęty obserwowaniem zakładników.

— Co tam wypatrzyłeś?

— Klatki są ciemne. Myślę, że terroryści unieruchomili czujniki ruchu. Nie chcą, żeby zakładnicy zauważyli, z którego lokalu wychodzą. Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy mieli pewność, w którym mieszkaniu zrobili sobie bazę, bo nie wątpię, że gdzieś się ulokowali, żeby mieć swobodny dostęp do kibla, kuchenki i wyrka.

Kamil trzymał twarz tak blisko szyby, że na pokrywającej ją foli od jego oddechu pojawiła się para. Widział przez nią rozmyte kształty okien w zajęтым wieżowcu. W kieszeni zawibrował mu telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Znowu dzwonił Mikołaj Bukowski, wyjątkowo upierdliwy gówniarz. Miał już zablokować numer dziennikarza, ale zamiast tego wysłał mu wiadomość.

— Zadzwoń do świętego mikołaja, może odbierze, to sobie pogadacie, bo ze mną na pewno nie.

Po kilku sekundach rozległ się sygnał przychodzącego esemesa. Zapewne Bukowski napisał coś w stylu, że dziennikarska profesja wymaga od niego zebrania rzetelnych informacji, a od świętego mikołaja ich nie otrzyma, od dziadka mroza również nie. Kamil nie miał zamiaru tego czytać. Oznaczył esemesa do usunięcia, zawahał się jednak, bo na podglądzie zobaczył fragment wiadomości: „Jestem w wieżowcu na Okulickiego”. Otworzył wiadomość i przebiegł wzrokiem jej dalszą część: „Komisarzu, ratuj! Jestem z siostrą na szóstym piętrze, klatka druga, mieszkanie dwadzieścia”. Kamilowi przemknęło przez głowę, że to prowokacja, dziennikarz chce go zmusić do oddzwonienia.

— Ktoś się z nami kontaktował spod dwudziestki, druga klatka?

— Nie pamiętam. Sam sprawdź.

Rumun wskazał tablet leżący na kanapie. Kamil odnalazł interesujące go mieszkanie. Dzwoniła z niego na policję Katarzyna Bukowska, lat dwadzieścia cztery, zgłosiła również obecność w lokalu swojego brata, lat dwadzieścia trzy.

— Ja pierdołę, ten pismak tam jest. — Kamil postukał palcem w okno. — Właśnie do mnie napisał.

— Bukowski? O nim mówisz?

— Tak, o nim. Szkoda, że nie możemy do niego zajrzeć, okna wychodzą na drugą stronę.

— No to dzwoń do niego.

Kamil wybrał numer dziennikarza i ustawił na głośnomówiący, tamten od razu odebrał.

— Komisarzu, dzwoni pan z życzeniami świątecznymi? Jak miło.

— Co tam robisz? Co tam robicie oboje? Mów!

— Przeszedłem do siostry na wigilię. Ona wynajmuje tutaj z koleżanką mieszkanie.

— Co ty, Bukowski, pierdolisz? Mam uwierzyć, że rodziców nie macie? A może nie chcą was widzieć? Mów, jak się znalazłeś w tym

wieżowcu.

— Komisarzu, przecież wiesz, że policji zawsze mówię prawdę. Nasi starzy pojechali do Wilna na święta, a nam się nie chciało dup ruszać i teraz mamy za swoje.

— Dobra, Bukowski, chcę, żebyś teraz wyjrzał na klatkę i sprawdził, czy się światło zapali.

— Wyglądałem piętnaście minut temu, jest ciemno. Mam jeszcze raz?

— Nie, lepiej siedź na dupie, bo ci ją odstrzelą. Powiedz tylko, czy widziałeś kogoś z terrorystów?

— Nie. Komisarzu, czy to prawda, że będą co osiem godzin wyrzucać kogoś przez okno, jeśli nie spełnicie ich żądań? A w ogóle to czego chcą?

Komisarz czuł, jak rośnie w nim podejrzliwość. Skąd niby dziennikarz wie, czym grożą terroryści? Godzinę temu wyjęli z kieszeni ofiary kartkę z żądaniami, jej treść znało tylko kilka osób. Nikt z mieszkańców, bo już by dzwonili przerażeni na policję, domagając się natychmiastowego uwolnienia. W ciemnych oczach Rumuna również pojawiło się zdumienie.

— Bukowski, skąd ty wiesz, że terroryści mają was wyrzucać co osiem godzin?

— Od sąsiadki, zadzwoniła do mojej Kaśki parę minut temu.

— Daj mi jej nazwisko i numer telefonu.

Kobieta nazywała się Małgorzata Rubin. Mieszkała na siódmym piętrze z dwoma dorosłymi synami i narzeczoną jednego z nich. Komisarz zadzwonił do niej. Przedstawił się i zapytał, czy zna groźbę terrorystów. Przyznała, że tak, chciała też wiedzieć, o której godzinie znowu zabiją, bo u niej w domu nikt nie pamięta, kiedy wyrzucili tego Karolaka. Wyjaśniła, że o groźbach terrorystów dowiedziała się od sąsiadki z mieszkania obok, do której zajrzała kilkanaście minut temu. Kamil poprosił o nazwisko sąsiadki i jej numer telefonu. Małgorzata Rubin ostrzegła, że dogadanie się z tą panią może być utrudnione, bo jest już po dziewięćdziesiątce i niedosłyszny. Komisarz

wybrał numer staruszki. Rzeczywiście musiał krzyczeć. Cierpliwie wysłuchał obaw kobiety, bała się, że ją wyrzucą przez okno, bo jest stara, młodych przecież nie będą zabijać. Na pytanie, skąd wie o groźbie terrorystów, odpowiedziała, że od Małgosi Rubin, kochana dziewczyna, wpadła zobaczyć, jak ona się czuje. Kamil, krzycząc, próbował wyjaśnić, że Małgorzata Rubin twierdzi coś zgoła przeciwnego. Starsza pani nie rozumiała, o co mu chodzi. Zapytał więc, czy inni sąsiedzi dzisiaj ją odwiedzili. Dowiedział się, że wielu, bo są święta i każdy coś przyniósł do jedzenia. Pierogi z grzybami dostała od katechetki, z którą zna się już czterdzieści lat. Po chwili zaprzeczyła, że to nie od katechetki, tylko od innej sąsiadki, której nie zna w ogóle, a katechetka przyniosła jej wigilijną kapustę.

Kamil zrozumiał, że ustalenie personaliów osoby, która pierwsza dowiedziała się o groźbach terrorystów, nie będzie łatwe, ale nie miał zamiaru z tego zrezygnować. Któryś z mieszkańców prawdopodobnie miał bliżej nieokreślony kontakt ze sprawcami. Może ich podsłuchał, w blokach z wielkiej płyty była fatalna akustyka, która zmuszała do uczestniczenia w życiu sąsiadów.

— Myślisz, że to sprawcy puścili wśród mieszkańców tę informację, że będą wyrzucać kogoś z okna co osiem godzin? — zagadnął Rumun.

— Równie dobrze mogliby opublikować żądania w sieci albo wysłać je do wszystkich telewizji. Nie zrobili tego, przekazali nam je bardzo dyskretnie, przysyłając martwego listonosza. Myślę, że właśnie poznaliśmy ich słabą stronę.

— Sądysz, że obawiają się paniki wśród mieszkańców?

— Tak. Jeśli ludzie poczują realne zagrożenie, mogą próbować wydostać się z bloku za wszelką cenę. Mogą zacząć skakać z okien na drugim piętrze, tam ładunków wybuchowych nie ma. Jeśli sprawcy zobaczą, że zakładnicy im uciekają, może dojść do masakry.

— Co robimy?

— Musimy zadzwonić do wszystkich mieszkańców i każdego

z osobna próbować uspokoić.

— Terapeutyczne telefony gówno dadzą, kolejny trup bardziej do nich przemówi.

— W takim razie nie możemy dopuścić, aby pojawiła się następna ofiara.

Do pokoju weszła sierżant Gryś. Niosła dwa talerze z przysmażonymi pierogami.

— Tylko się nie przyzwyczajajcie, więcej nie będę tego robić. — Spojrzała na okno. — Co tam?

Nie zdążyli odpowiedzieć. Beata oparła się kolanem o bok kanapy i mówiła dalej:

— Zakładnicy już wiedzą, co im grozi. Parę minut temu jeden do nas zadzwonił, podobno strasznie przerażony, boi się o dzieci. Zapytał, czy nie możemy podstawić mu drabiny, mieszka na drugim piętrze.

Rozdział VII

STU TRZYDZIESTU POLICJANTÓW z prewencji tworzyło kordon wokół zajętego przez terrorystów bloku. Stali w odległości pięciu kroków od siebie, każdy miał na sobie kamizelkę kuloodporną, hełm i tarczę. Byli zwrócenii twarzami nie w stronę wieżowca, lecz gęstniejącego tłumu. Od czterech godzin wszystkie media powtarzały informację, że o pierwszej w nocy terroryści wyrzucą przez okno kolejnego zakładnika. Było już czterdzieści pięć minut po północy. Ludzie więc nadciągali całymi grupami, wielu wyszło wcześniej z pasterki, żeby zdążyć na reality show z prawdziwego zdarzenia.

Milena przemieszczała się wewnątrz kordonu, ale docierały do niej zdania wygłaszane w tłumie. Ludzie najczęściej pomstowali na muzułmanów, zastanawiali się też, z której strony bloku zostanie wyrzucony zakładnik, nikt nie chciał stracić tego widoku. Większość zgromadziła się przy ulicy, niektórzy trzymali przygotowane telefony, żeby zdążyć zrobić zdjęcie człowiekowi spadającemu z wysokości dwudziestu pięciu metrów i rozbijającemu się na pokrytym śniegiem chodniku. W tłumie było sporo młodych ludzi, nastolatków, nie brakowało też dzieci. W wieżowiec swoje kamery wycelowały trzy największe stacje telewizyjne. Dziennikarze zacierali ręce, nie tylko z zimna. Milena czuła niesmak, ale miała również świadomość, że reakcja ludzi jest naturalna. Sama zerkała co chwilę na zegarek, a następnie na górne piętra wieżowca. Gdyby nie to, że ponosiła odpowiedzialność za życie mieszkańców, też nie mogłaby doczekać się finału w postaci wylatującego człowieka.

Policja rozstawiła sześć głośników wokół bloku, przez które powtarzany był komunikat, że władze spełnią wszystkie żądania, potrzebny jest jednak na to czas, wskazane jest też uniknięcie

kolejnych ofiar. Proszono także terrorystów o kontakt telefoniczny. Tę samą informację publikowały wszystkie media. Jakies pół godziny temu Milena włączyła telewizor w mieszkaniu, które komisarz zamienił na centrum dowodzenia. Przerzuciła kilka kanałów, wszędzie to samo, kolędy, a w pasku apel do terrorystów. Sprawcy musieli już zapoznać się z jego treścią.

Zajrzała do wozu policyjnego, w którym siedział starszy aspirant Edward Kuntz, negocjator z Trójmiasta. Miał rozpiętą kurtkę, brzuch wylewał mu się zza paska.

— I co? Odezwali się? — zapytała z nadzieją.

— Nie.

Ten brak kontaktu był dziwny, przecież terroryści zwykle przystępują do negocjacji, takie były niepisane reguły. Coś za coś, oni uwalniają dzieci i kobiety jako wyraz dobrej woli, a władza spełnia część żądań, a tak naprawdę przygotowuje się do odbicia zakładników.

— Dlaczego jeszcze się nie odezwali? — Te słowa z jej zmarzniętych ust wypadły niemal automatycznie. Nawet nie oczekiwała odpowiedzi. Kuntz jednak jej udzielił:

— Może się obawiają naszych technik perswazji i manipulacji. Nie będzie kontaktu, to i nie będzie nacisków.

— Myśli pan, że teraz o pierwszej zabiją kolejnego zakładnika?

Kuntz kiwnął twierdząco głową.

— Jeśli chcą, żebyśmy ich poważnie traktowali, to zrobią to. Brak kontaktu telefonicznego źle wróży. — Negocjator sapnął ciężko. — Obawiam się, że jedynym sposobem komunikacji staną się dla nich gesty, właśnie takie jak zabijanie kolejnych zakładników.

Milena zerknęła znowu na zegarek, Kuntz zrobił to samo, była za osiem minut pierwsza. Wzrastało w niej napięcie wywołane oczekiwaniem na nieuniknione tragiczne wydarzenie. Potrzebowała bodźców zewnętrznych, żeby powrócić do stanu względnego spokoju, pomogłaby mocna kawa albo konkretne zadanie do wykonania, bierne czekanie ją wykańczało. Zaczęła iść wzdłuż bloku,

postanowiła ponownie obejść go dookoła. Ubity, twardy śnieg lśnił w świetle lamp ulicznych. Uniosła głowę, niebo było granatowe, rozgwieżdzone, okna w wieżowcu w większości ciemne. Ludzie pogasili światło i udawali, że ich nie ma, może uda się oszukać terrorystów, nie zadzwonią do drzwi, nie rozwalą zamków i nie wyciągną z mieszkania ojca rodziny, aby go wyrzucić przez okno. Naciągnęła szalik na usta, żeby nie wciągać mroźnego powietrza wprost do płuc. Była już na tyłach bloku, szła wzdłuż kordonu policyjnego. Na placu przed „Biedronką” stała spora gromada ludzi, widziała ich zmarznięte twarze, wielu zasłaniało się szalikami i kołnierzami. Znowu uniosła głowę, wypatrując, czy na górnych piętrach nie otwiera się okno. Z tej strony obserwację prowadził Rumun, który ulokował się na ósmym piętrze bloku znajdującym się w odległości stu trzydziestu metrów od zajętego wieżowca.

Zacisnęła szczypiące od mrozu powieki, na szaliku pojawiły się kryształki lodu, efekt zamarzającego oddechu.

Wsiadła do samochodu, w którym na telefon od terrorystów czekał Kuntz.

— Dacie im te dziesięć milionów euro? — zapytał starszy aspirant.

— Przecież pan wie, że żądań terrorystów się nie spełnia.

— Oficjalnie się tego nie robi, a pytam, bo zastanawiam się, czy jest możliwość przelania im tej kasy w postaci wirusa. Że widzą pieniądze na swoim koncie, ale w rzeczywistości ich tam nie ma.

— Przypuszczam, że coś podobnego jest możliwe, ale te wybiegi i tak nie mają sensu, bo terroryści od razu przelewają kasę na kilka innych kont należących do spółek, np. polsko-zambijskich czy polsko-peruwiańskich, a stamtąd dalej, do Stanów, Meksyku albo Wietnamu. W kilkanaście godzin od zapłacenia okupu kilku wspólników wybiera pieniądze w jakimś odległym kraju. Nie da się tego zatrzymać, bo operacje bankowe są szybsze od procedur policyjnych. Wina leży po stronie banków, to one nie chcą współpracować z wymiarem sprawiedliwości. Mafia i terroryści są lepszymi klientami niż my.

Kuntz zaplótł dłonie na potężnym brzuchu.

— Gdy zadzwonią, muszę mieć dla nich jakiś konkret. Powiem, że prezydent szuka w budżecie miasta dziesięciu milionów euro, ale ma problemy, żeby je znaleźć, bo przecież koniec roku, wydatki, a nowa kasa jeszcze nie wpłynęła. Wybrali sobie najgorszy z możliwych momentów.

Milena kiwnęła twierdząco głową. Dobrze znała ten sposób zwodzenia przestępców. Gdy usłyszą, że w kasie miasta nie ma pieniędzy, zażądają, aby wypłacono je z budżetu państwa. Wtedy Kuntz poprosi ich o czas potrzebny na skontaktowanie się z właściwym człowiekiem w ministerstwie, a potem będzie złorzeczył na oficjalny tryb postępowania z pieniędzmi państwowymi, którego za nic nie da się przyspieszyć. Z nazwiska wyzwie kilku znanych polityków, że w dupie mają los zakładników. I tak powoli stanie się sprzymierzeńcem terrorystów. Zaczną mu ufać, wierzyć w każde wypowiedane przez niego słowo. To była teoria, którą Kuntz miał zamiar wcielić w życie po raz pierwszy w swej karierze, bo w takiej sprawie do tej pory nie negocjował, podobnie jak nikt z nich.

Milena znowu spojrzała na zegarek. Było osiemnaście po pierwszej. Godzina zero właśnie mijała, a nic złego się nie stało. Może terroryści posłuchali ich apelu i kolejnej ofiary nie będzie, ale w takim razie powinni zadzwonić i postawić kolejne ultimatum albo chociaż ogłosić je w sieci.

— O siódmej mam się spotkać z prezydentem Damianem Falenckim — powiedziała, spoglądając znowu na zegarek.

— To jednak spełnienie żądań wchodzi w grę.

— To nie zależy ode mnie ani od prezydenta, tę decyzję podejmie ktoś wyżej. Może jutro się dowiem, co postanowiono.

Zbliżała się druga. Wysiadła z wozu. Gapiów było coraz mniej, rozeszli się do domów przegnani przez siarczysty mróz. Wielu zapewne było rozczarowanych, inni się oddalili z ulgą w sercu, że nie ma kolejnej ofiary. Zobaczyła mężczyznę z kamerą i napisem TVN na kurtce, biegł w jej stronę. Nie odważył się jednak przekroczyć linii

policyjnego kordonu. Dziennikarze zdołali już ustalić, gdzie mieści się centrum dowodzenia i oblegali teraz wejście do klatki schodowej. Gdy się do nich zbliżyła, wycelowali w nią mikrofony, posypały się pytania, na żadne nie odpowiedziała. Funkcjonariusze uitorowali jej przejście. Wjechała windą na ósme piętro, przed drzwiami mieszkania zajętego przez komisarza Sorokę również stali policjanci. Wpuścili ją do środka. Gdy tylko przekroczyła próg, rozpięła płaszcz, ściągnęła czapkę i rękawiczki. Zajrzała do pokoju na lewo, pięć osób siedziało przy komputerach, nikt się na nią nie obejrzał. Delikatnie otworzyła drzwi pomieszczenia na prawo. Wiedziała, że tam zastanie Kamila Sorokę. W półmroku dojrzała dwie postaci siedzące na kanapie bardzo blisko siebie. Jej oko najpierw rozpoznało długie jasne włosy sierżant Gryś, potem masywną sylwetkę komisarza. W pierwszej chwili pomyślała, że trafiła na intymny moment tych dwojga. Zalała ją silna fala zazdrości, miała ochotę wyjść i trzasnąć drzwiami. Otrząsnęła się jednak z nieprzyjemnego uczucia, była prokuratorem i miała na głowie sytuację zakładniczą, teraz liczyło się tylko życie mieszkańców zajętego wieżowca.

Kamil uniósł wzrok znad laptopa.

— Nie ma kolejnego trupa, apel spełnił swoją rolę — oznajmił z wyraźną ulgą. — Teraz czekamy, aż się terroryści odezwą.

— W wieżowcu ciemno i spokojnie — dodała sierżant Gryś. — Mamy ustawione lunety na górne piętra — wyjaśniła.

Milena czuła, że jest tu zbędna. Tych dwoje wolałoby, aby sobie poszła. Przysiadła jednak na krześle i zapytała:

— Jakież wieści z komendy głównej?

— Przysyłają do nas antyterrorystów z Wrocławia, będą o ósmej rano. Właśnie się zastanawiam, gdzie ich umieścić, sporo ich będzie, pluton szturmowy, zespół od wybuchów i techniczno-logistyczny, w sumie ponad siedemdziesiąt osób, no i masa sprzętu. Przydałaby się jakaś ogrzewana hala w pobliżu.

— Mówiłam Kamilowi, żeby im dać przedszkole na Wiejskiej — odezwała się Beata. — Będą mieli blisko, budynek ma dwie

kondygnacje, jest ogrodzony, łazienki są, łóżka im się wstawi i przede wszystkim przedszkole teraz stoi puste, bo święta.

Komisarz poklepał policjantkę po ramieniu.

— Idź, załatw to przedszkole. Będzie im tam ciasno, ale nic lepszego nie znajdziemy w pobliżu.

Sierżant Gryś wstała i pełnym gracji ruchem wygładziła spódnicę na biodrach.

— Za parę godzin lokal będzie gotowy — zapewniła.

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Milena i Kamil siedzieli przez chwilę w milczeniu. Jej wzrok już się przyzwyczał do półmroku. W nikłym świetle padającym z laptopa i w poświacie zimowej nocy była w stanie dostrzec jego ściągnięte brwi.

— Nasze pierwsze wspólne święta — szepnęła.

— Na długo je zapamiętamy — skonstatował.

Znowu umilkli. Nie mieli sobie wiele do powiedzenia.

— O siódmej mamy spotkanie z prezydentem Falenckim — zagadnęła.

— Nie możesz sama się z nim spotkać? — W głosie Kamila pojawiła się irytacja. — Nie mam czasu na wizytę w urzędzie.

— Myślisz, że ja mam? — odpowiedziała mu równie ostrym tonem.

— No dobra, pojedziemy razem, o ile nic mnie tutaj nie zatrzyma.

— Nie będziemy musieli nigdzie jechać. Falencki przyjedzie do nas. Komisarz uśmiechnął się.

— Rozumiem. Prezydent chce sobie zrobić selfie na tle wieżowca, a przy okazji przespaceruje się przed kamerami telewizyjnymi. Mówisz, że spotkanie o siódmej?

— Tak.

— No to zdążymy pogadać z nim w przedszkolu na Wiejskiej, o tej porze będzie jeszcze puste.

Kamil wstał i podszedł do lunety. Znowu zapadła cisza. Milena zaczęła zapinać płaszcz.

— Nie złożyliśmy sobie dzisiaj życzeń — powiedziała do jego pleców.

— Aha — mruknął.

Nie miała pewności, czy właśnie skomentował jej słowa, czy może jakieś wydarzenie dostrzeżone przez lunetę.

Zamach na wieżowiec powinien ich zbliżyć, ale tak się nie działo. Dystans narastał między nimi od paru dni, może nawet tygodni. Owszem, zaprosił ją na wigilię, ale właściwie wymusiła to na nim. Wypadało, żeby ten dzień spędzili razem, oboje nie mieli bliskiej rodziny i od kilkunastu miesięcy byli kochankami. To ona pierwsza zaprosiła go do siebie na święta, przepraszając za niewygody wynajętego mieszkania. Wtedy on oznajmił, że mogą ten czas spędzić u niego, miał w końcu nowy duży dom.

— Jedź do siebie — odezwał się Kamil, nie odrywając oka od lunety. — I prześpij się trochę.

Milena poczuła się jak przeganiany natręt, a była przecież prokuratorem.

— Masz rację, powinnam odpocząć, ciebie mogą jutro odsunąć od sprawy, mnie na pewno nie ruszą.

Wiedziała, że teraz mu dogryzła.

Dziennikarzy przed klatką już nie było, zapewne pochowali się do samochodów, mroźna noc ich pokonała. Naciągnęła czapkę na uszy. Nie miała ochoty wracać do pustego mieszkania. Od sześciu lat święta były dla niej najtrudniejszymi dniami w roku, w tym czasie bardziej odczuwała brak synka i męża. Pierwsza wigilia po ich zniknięciu niemal doprowadziła ją do szaleństwa. Kupiła wtedy dla obojga prezenty, postawiła na stole trzy talerze, zapaliła choinkę, a potem zajęła miejsce przy oknie i czekała. Uwierzyła, że Paweł tego wyjątkowego dnia dozna przebłysku dawnej świadomości, przypomni sobie ich miłość, ciepłą rodzinną atmosferę i wróci wraz z Krzysiem. Minuty i godziny mijały, a ona wciąż miała nadzieję, że zaraz się pojawią, zapukają do drzwi. Syn rzuci się jej w ramiona, a mąż przeprosi za całe piekło, które jej sprawił. Gdy w tamte święta czekała niemal na cud, koło północy zadzwonił telefon, sięgnęła po niego trzęsącymi się dłońmi. Myślała, że usłyszy głos Pawła, który

zapyta, czy mogą wrócić. Jej nadzieja zgasła w jednej sekundzie, to dzwonił policjant z informacją, że mają samobójcę, starszy mężczyzna powiesił się w piwnicy swojego domu. Ogarnęła ją rozpacz tak wielka, że traciła świadomość, zapadając się w skrawkach czarnych myśli. Otrząsnęła się dopiero na odgłos kolejnego telefonu, znowu dzwoniła policja, czekali na nią na miejscu zdarzenia. W święta praca okazywała się zbawieniem. Na szczęście był to czas, kiedy zawsze coś się działo, cztery lata temu trafiło się jej nawet morderstwo, do którego doszło podczas kolacji wigilijnej. Teściowa pchnęła zięcia nożem. Tegoroczne święta miały być inne. Myślała, że spędzi z Kamilem trzy miłe dni. Ale czy rzeczywiście byłoby tak, jak sobie wyobrażała? Teraz w to wątpiła.

Wsiadła do samochodu. Uruchomiła silnik, a następnie przesunęła palcem po chropowatej warstwie szronu zalegającej na szybie. Kilka minut czekała, aż kryształki lodu zaczną topnieć, potem ruszyła. Jechała przez zimowe miasto pogrążone w świetle lamp ulicznych, poświacie księżyca i iluminacjach świątecznych. Mijała kolejne zaśnieżone ulice. Zegarek na tablicy rozdzielczej pokazywał drugą trzydzieści pięć. Za cztery godziny znowu będzie musiała być w pracy, niewiele snu ją czeka, ale dobre nawet to. Zaparkowała na Gwiezdnej między dwoma samochodami pokrytymi białymi czapami. Wokół panowała nocna cisza, tylko śnieg skrzypiał pod jej butami. Z niechęcią myślała, że zaraz wejdzie do pustego mieszkania, w którym trudno się doszukiwać świątecznego nastroju. Od zniknięcia Krzysia i Pawła tylko raz ubrała choinkę, od pięciu lat tego nie robiła, bo niby po co?

Dojrzała mężczyznę stojącego przed klatką. Przyszło jej do głowy, że to Paweł wrócił. Ale dlaczego nie ma z nim Krzysia? Nadzieja była jak gorące tchnienie wiatru w lodowatą noc. Przyspieszyła. Teraz dostrzegła, że sylwetka mężczyzny jest zbyt szczupła, a nawet drobna. Z każdym kolejnym krokiem zwalniała. Już rozpoznała tę postać. Niestety, był to ktoś, kogo wolałaby nie widzieć, Patryk Lasocki, chłopak, który zwiódł jej prokuratorską czujność. Nie miała

szansy, aby przemknąć niezauważona, szła więc wprost na niego. Przywitał ją uśmiechem. Jeszcze niedawno ten uśmiech by ją rozczulił, dzisiaj przyprawiał ją o ciarki na plecach. Patryk był osobowością dysocjalną. Maskował się doskonale. Oszukał wszystkich, może tylko poza swoim ojcem. Stworzył w swojej głowie obraz grzecznego chłopca i go realizował w kontaktach z otoczeniem. Za melancholijnym spojrzeniem krył się jednak całkowity brak empatii, a za nieśmiałym uśmiechem skrajny egoizm. Nie przypominał psychopatycznego mordercy, a jednak zabił trzy osoby i to tak sprytnie, że uniknął kary. Ją też oszukał tym swoim chłopięcym uroczym zachowaniem.

Wyciągnął do niej rękę. W pierwszej chwili pomyślała, że chce uścisnąć jej dłoń, ale okazało się, że podaje jej prezent. Pokręciła przecząco głową.

— Nie, Patryku, nic od ciebie nie wezmę.

— To nic takiego, tylko gwiazdkowy upominek, naprawdę drobiazg.

Odsunęła jego rękę z prezentem. Każdy inny człowiek o osobowości psychopatycznej wpadłby teraz w szal, ale nie Patryk. Uśmiechnął się przeproszająco i schował podarunek do kieszeni.

— Zimno — oznajmił.

Nie wyglądał na przemarzniętego. Domyśliła się, że nie stał zbyt długo pod jej blokiem. Prawdopodobnie przychodził co jakiś czas i sprawdzał, czy już wróciła.

— Idź do domu! — poleciła mu stanowczym tonem.

— Pani wie, że nie mam domu.

Usta Patryka wykrzywiły się na moment w grymasie irytacji.

— Wracaj do domu swojego ojca.

— Przecież pani go zna. Chciałaby pani spędzać z nim święta?

Minęła Patryka i podeszła do domofonu, wybiła kod. Chłopak postąpił krok do przodu, jak gdyby chciał wejść za nią do klatki. Pociągnęła za klamkę, żeby drzwi szybciej się zamknęły. Udało się, była sama.

Po wejściu do mieszkania od razu podeszła do okna i wyjrzała na

ulicę. Patryk się oddalał w stronę starego miasta. Znowu poczuła silny niepokój, ten chłopak w najbliższym czasie zrobi coś złego, bo osobowości psychopatyczne tak mają, prawdopodobnie znowu zabije, być może ofiara będzie przypadkowa, a może ponownie podniesie rękę na swojego ojca i tym razem uda mu się go zabić. Miała na głowie terrorystów i jakieś dwie setki zakładników, a w tej chwili bardziej ją przerażał dwudziestoletni chłopak o dużych ciemnych oczach, które kiedyś tak bardzo przypominały jej oczy Krzysia. Była już za pięć trzecia, środek zimowej świątecznej nocy. Nie zważając na to, wybrała numer ojca Patryka. Sędzia Lasocki odebrał już po drugim sygnale. Najpierw przeprosiła za telefon późną porą, a potem oznajmiła:

— Pana syn był u mnie, czekał na mnie pod blokiem.

— Boi się go pani.

To nie zabrzmiało jak pytanie, raczej jak stwierdzenie. Od razu zaprzeczyła:

— Nie boję się o siebie, ale się obawiam, że znowu to zrobi.

— Zrobi na pewno, pytanie kiedy? I kto będzie jego kolejną ofiarą? Sędzia tego nie powiedział, ale Milena czuła, że myśli o sobie.

— Panie Edwardzie, musimy coś zrobić, zanim będzie za późno.

— Ma pani jakiś nowy pomysł na unieszkodliwienie mojego syna?

— Nie — przyznała.

Kilka miesięcy temu podjęli próbę umieszczenia Patryka w prywatnym zakładzie dla psychicznie chorych. Nie udało się. Lekarze zwyczajnie się bali zamknąć młodego człowieka, który w ich opinii był zdrowy. Może gdyby sędzia dysponował większymi pieniędzmi, wtedy strach pracowników niepublicznych ośrodków nie byłby tak duży. Gdy Milena przedstawiała im, czego Patryk się dopuścił, odsyłali ją do sądu. Niech sąd go skáže na pobyt w ośrodku zamkniętym. Niestety, dowody, które mieli na winę Patryka, były niewystarczające i to przez jej naiwność. Trzy lata temu uwierzyła, że kolega Patryka sam strzelił sobie w głowę, a młody Lasocki był jedynie tragicznym świadkiem. Zaniedbała tę

sprawę, bo urzekło ją fizyczne podobieństwo Patryka do jej syna. Dopiero gdy zabił po raz trzeci, zrozumiała, z kim mają do czynienia. Ostatnie morderstwo zostało jednak dokonane najsprytniej, bo niemal na oczach policji, która nie była w stanie potwierdzić, że to młody Lasocki pociągnął za spust. Wniosłaby akt oskarżenia przeciwko chłopakowi, ale musieliby mieć przychylnego sędziego, który nie patrząc na starania adwokatów i zainteresowanie mediów, wydałby wyrok skazujący. Edward Lasocki szukał więc dojścia u swoich kolegów. Niestety, największą przeszkodą okazało się jego dobre imię. Nikt nie chciał ulec namowom sędziego, który słynął w środowisku ze sprawiedliwego wydawania wyroków.

Trzymała telefon przy uchu, milczenie ich obojga się przedłużało, w końcu Lasocki się odezwał.

— Wiem, że teraz jest pani bardzo zajęta. Proponuję, żebyśmy się spotkali po zakończeniu sprawy z wieżowcem, a na razie postaram się pilnować Patryka.

Milena wątpiła, że da się upilnować psychopatę, ale w tej chwili nie była w stanie niczego lepszego zaproponować. Rozłączyła się i otworzyła lodówkę. Na górnej półce stały trzy słoiki ze śledziami, sama je przyrzadziła z myślą o dzisiejszej kolacji wigilijnej z komisarzem Soroką. Wyjęła śledzie w ziołach i zaczęła je jeść wprost ze słoika.

Rozdział VIII

PATRYK LASOCKI TRZYMAŁ DŁONIE w głębokich kieszeniach kurtki. Był już na ulicy Bożego Ciała, szedł wzdłuż murów seminarium duchownego. Butami rozgniatał zmrożony śnieg. Uwielbiał miasto zimową nocą, opustoszałe i ciche. Postanowił, że nie wróci od razu do domu, przespaceruje się trochę w świetle ulicznych latarni i świątecznych iluminacji. Czuł się znakomicie, bo była w nim moc. Miał wrażenie, że panuje nad zimową przestrzenią niczym król śniegu. Gdyby tylko zechciał, skinieniem palca przesunąłby olbrzymią bramę targową uwieńczoną zegarem, do której właśnie się zbliżał. Nie tylko nad budynkami panował, nad ludźmi też. Mógł nimi sterować, wywoływać u nich konkretne emocje, a nawet pozbawić ich życia. Był wyjątkowy, jego wielkość znali nieliczni, ale to mu wystarczało.

Dotarł do placu katedralnego, pośrodku którego wznosiła się sztuczna choinka ozdobiona setkami bombek i światełek. Stał przed nią i spojrzał w górę. Zdało mu się, że wierzchołek zakończony gwiazdą przebija granatowe niebo. Wyciągnął z kieszeni prezent, który chciał dzisiaj wręczyć prokuratorce, i powiesił go na gałęzi. W papierowej torebce znajdowała się niebieska apaszka. Może jutro znajdzie ją jakiś przechodzień i ucieszy się z prezentu. Bynajmniej nie poczuł się urażony, gdy Milena Łempicka-Krol odmówiła przyjęcia upominku gwiazdkowego. Spodziewał się tego. Ta apaszka była tylko pretekstem do spotkania się z nią. Chciał sprawdzić, czy nadal patrzy na niego jak na niedosięgniętego olbrzyma, jak na kogoś, kto znajduje się poza zasięgiem prokuratorowskiej władzy. Uśmiechnął się na wspomnienie jej sylwetki. Gdy się do niego zbliżała, kulila się jak przestraszone zwierzątko, raczej nie z zimna, po prostu malała

na jego widok. Kiedyś prokuratorka go lubiła, bo przypominał jej zaginionego syna. Traktowała go jak dziecko, czyli mało poważnie. Dzisiaj już go nie lubiła, ale za to odnosiła się do niego z powagą. Widział w jej oczach strach, bo wiedziała, do czego jest zdolny. Był w nich też podziw dla jego wyjątkowości. Ta twarda kobieta, która niejednego przestępcę posłała za kraty, wymownym spojrzeniem przyznawała, że takie jednostki jak on muszą chodzić wolno i zmieniać świat.

Wracał do domu okrężną drogą, wędrując między sennymi, dostojnymi kamienicami, które zdawały się tulić do siebie w wielkim mrozie. Przesuwał wzrokiem po ciemnych oknach i gzymsach dźwigających śnieg. Na moment przystanął przed witryną, w której dwa aniołki trzymały sznur bombek. Niepostrzeżenie dotarł do kamienicy, w której znajdowało się mieszkanie jego ojca. Wszedł do klatki i dopiero wtedy poczuł, że mocno zmarzł. Policzki go szczypały, palce dłoni zrobiły się sztywne, z trudem rozpinał kurtkę. W salonie paliło się światło, czyli jego ojciec jeszcze nie spał, zapewne czytał. Sędzia nie uznawał innych rozrywek kulturalnych poza dobrą lekturą, choć czasami udawał się też na jakiś koncert muzyki poważnej, szczególnie wtedy, gdy pośród instrumentów znajdowały się skrzypce. Ponadto gustował w uprawianiu różnych sportów. Dwa razy w tygodniu chodził na lodowisko, codziennie biegał, nawet teraz, w tym mrozie. Patryk nienawidził sportów, zwłaszcza tych, które wymagały odwagi, jak skoki na spadochronie czy jazda konna, potwornie bał się koni. Za to jego siostra zdawała się preferować te dyscypliny, w których mogła popisać się męstwem. Ostatnio zaczęła latać na paralotni. Głupia, nie wiedziała, czym jest prawdziwa odwaga. Latać na niepewnych konstrukcjach może wielu, ale tylko nieliczni zdobędą się na wymierzenie broni w drugiego człowieka i naciśnięcie spustu. On to uczynił trzykrotnie. Strzelectwo było jedynym sportem, w jakim widział sens, dlatego uprawiał je od pięciu lat.

Skierował się do kuchni. Dobrze mu zrobi kubek gorącego

barszczu przyprawionego na ostro. Podpalił gaz pod garnkiem i otworzył lodówkę. Rozglądał się za czymś, co mógłby przekąsić na szybko. W końcu wyjął karpia w galarecie przygotowanego przez jego siostrę. Izabela przyszła na wigilię ze swoim nowym partnerem, Krystianem, notariuszem jak ona. Krystian wiedział, z kim będzie musiał usiąść do wigilijnego stołu, i nie poradził sobie z tym zbyt dobrze. Był spięty, mówił za dużo i zbyt głośno, unikał wzroku Patryka, patrząc w talerz albo na choinkę. Patryk postanowił, że podczas wigilii będzie się dobrze bawił. Zagadywał więc siostrę i jej partnera i przyglądał się ich udręce. Izabela najpierw odpowiadała monosylabami, w pewnym momencie uznała, że ignorowanie pytań brata będzie lepszym rozwiązaniem. Zawsze traktowała go jak nic nieznaczący przedmiot. Kiedyś się tym przejmował, dziś czuł do siostry politowanie.

Jadł rybę ze smakiem. Izabela umiała gotować, tę jedną zaletę odziedziczyła po mamie. Poza tym była kopia ojca, jak on wyniosła, lubiąca rządzić i zupełnie pozbawiona ciepłych uczuć. Krystianowi się jednak nie dziwił, że się z nią związał, bo była piękną kobietą mimo ograniczonej mimiki, przywodzącej na myśl oblicze manekina. W wyobraźni Patryka odtworzył się obraz siostry z dzisiejszego wieczoru. Obcisły czarny sweter kontrastował z mlecznobiałą skórą na szyi i dłoniach, ładne dziewczęce usta i jasne włosy rozwiane, jak gdyby przed chwilą potargał je lekki wiatr, a tak naprawdę zostały starannie ułożone przez fryzjera. No i jeszcze chłodne oczy, które dzisiaj go nie zauważały, ale to się zmieni, bo on nie pozwoli, aby ktokolwiek go lekceważył.

Kubek i talerz wstawił do zmywarki. Miał zamiar iść prosto pod prysznic, ale zauważył, że w salonie wciąż pali się światło. Zajrzał tam i zobaczył ojca siedzącego w fotelu. Na jego kolanach leżała otwarta książka, nie czytał jej jednak. Dłońmi podpierał brodę i wpatrywał się w telewizor. Był to niecodzienny widok, telewizja nie była cenioną przez sędziego rozrywką. Patryk wszedł do salonu i dopiero teraz zobaczył, że na ekranie telewizora znajduje się

wieżowiec z wielkiej płyty zajęty przez terrorystów.

— Witaj, synu. Byłeś na spacerze?

Ojciec zadał mu zwyczajne pytanie. Nie pouczał, nie czynił wymówek, nie upokarzał, lecz próbował normalnie rozmawiać. Tak było od kilkunastu miesięcy, a Patryk nie zdołał się jeszcze do tego przyzwyczaić.

— Tak, chodziłem trochę po mieście.

— A tam zaszedłeś? — Sędzia wskazał głową na telewizor.

— Nie, nawet nie planowałem.

Sprawa z wieżowcem też zawładnęła jego wyobraźnią. Przez jakiś czas śledził w internecie rozwój sytuacji, ale terroryści dość szybko go rozczarowali. Byli jedynie pionkami w większej maszynie, którą napędzała marna ideologia, nieważne czy kryły się za nią pieniądze, czy religia, jedno i drugie nie było nic warte. Liczył się tylko człowiek, jego nieograniczona władza nad innymi jednostkami.

Usiadł w fotelu i nieświadomie przybrał postawę ojca, wyciągając przed siebie nogi i podpierając dłońmi brodę.

— Będziecie omawiać ten przypadek na zajęciach — zagadnął sędzia.

— A co tu jest do omawiania? Przecież wszystko jest jasne.

— Sądzę, że będziecie ustalać znamiona tego przestępstwa, bo nie ma nic gorszego niż postawienie zarzutów z nie tego artykułu kodeksu karnego. No i jakie szanse mają sprawcy na uniknięcie kary.

— Jeżeli wypuszczą wszystkich zakładników i udowodnią, że ten jeden sam wyskoczył, będą wolni.

Patryk znał kodeks karny dość dobrze. Co ważniejsze, szybko zrozumiał, że artykuły w nim zawarte służą też do obrony zarówno zwykłych przestępców, jak i wybitnych jednostek, takich jak on.

Na ekranie pojawił się ekspert od zamachów terrorystycznych, sędzia przyciszył telewizor i obrócił się w jego stronę.

— Nawet jeśli terroryści przyznają się do zamordowania jednego zakładnika, mają duże szanse na nadzwyczajne złagodzenie kary,

mogą nawet otrzymać wyrok w zawieszeniu. Wystarczy, że dobrowolnie wypuszczą pozostałych mieszkańców i odstąpią od żądań.

— Artykuł dwieście pięćdziesiąt dwa na to nie pozwala — zauważył Patryk.

— Prawo jest sztuką dobra i sprawiedliwości. Na jednej szali mamy dwustu zakładników, a w większych aktach terroru to może być nawet kilka tysięcy osób. Na drugiej szali znajduje się jedno życie. Dla dobra przyszłych zakładników wielu sędziów zastosowałyby nadzwyczajne złagodzenie kary, żeby śmierć jednego zakładnika nie przekreślała losu całych setek.

— Ale ty byś tego nie zrobił, nie wypuściłbyś morderców.

— Masz rację, nie zrobiłbym tego.

Patryk czuł, że sędzia traktuje go jak równego sobie partnera do dyskusji. Dzisiaj miał szacunek ojca, ale żeby na niego zasłużyć, musiał najpierw wymierzyć w jego plecy z beretty i nacisnąć spust. Na początku myślał, że ojciec go do reszty znenawidzi za to, że próbował go zabić. Stało się inaczej, sędzia zaczął go traktować z poważaniem. Przede wszystkim Patryk przestał być przezroczystry, ojciec kierował w jego stronę wzrok, nadstawiał uszy na jego słowa i otwierał do niego usta. Tylko jak w tym wszystkim odnajdywało się poczucie sprawiedliwości sędziego, który uważał, że wina musi zostać ukarana?

— Mam dla ciebie prezent gwiazdkowy — odezwał się sędzia.

— Przecież już dostałem.

Ojciec wręczył mu dzisiaj skórzane rękawiczki, które wyglądały bardzo skromnie, ale na pewno kosztowały kilka setek.

— Tamten prezent był tylko dla oka. Izabela miała go zobaczyć i zaakceptować.

Sędzia wstał i podszedł do barku. Wyjął z niego metalową kasetkę i podał ją Patrykowi. Ten wstrzymał oddech, już wiedział, co dostał, ale jeszcze nie mógł uwierzyć. Położył palce na wystającym z zamka kluczyku, po chwili wahania przekręcił go i podniósł wieczko. Nie

mógł się powstrzymać od głośnego zachwytu. Wewnątrz leżał pistolet Sig Sauer P226, piekielnie droga broń i podobno niezniszczalna, będąca na wyposażeniu wielu jednostek specjalnych na całym świecie.

Patryk od wielu lat marzył o własnej broni. Szukał nawet w internecie informacji, jak nielegalnie i tanio nabyć pistolet. Niestety, nie było to takie proste, a dzisiaj ojciec wręczył mu sig sauera. Niesamowite.

— Ma magazynek na piętnaście nabojów — odezwał się sędzia.

— Wiem, ma też dodatkowe zabezpieczenia, żeby nie oddać przypadkowego strzału.

Wyjął pistolet z kasetki, przez chwilę trzymał go w obu dłoniach, jak gdyby oceniał ciężar. Następnie ujął go jak do strzału, kładąc palec na spuście. Czuł, że wypełnia go siła, teraz mógł zdecydować o czyimś życiu. Omal nie wycelował broni w łysą czaszkę ojca. Gdyby tu była Izabela, chyba by się nie powstrzymał przed przyłożeniem lufy do jej czoła. Może wtedy zobaczyłaby w nim człowieka.

— Tato, ale ja nie mam zezwolenia na broń.

— Tym się w tej chwili nie przejmuj. Nikt nie musi wiedzieć, że masz pistolet, po prostu się nie chwal. Zarejestrujesz sig sauera, jak otrzymasz zgodę na broń.

W kasetce znajdowało się również pudełko z amunicją. Po świętach pojedzie na strzelnicę wypróbować pistolet, a jutro to tylko za miasto, żeby postrzelać do puszek. Potem zaplanuje kolejne doniosłe wydarzenie w swoim życiu, które go umocni. Ponownie zabije, ale nie będzie się spieszył, wszystko musi dobrze przygotować.

Patryk nagle się ocknął, ze zdumieniem patrzył na sig sauera. Dostał narzędzie do zabijania. Dlaczego? Czy to jakiś podstępny plan sędziego? Spojrzał na ojca, jego posągowa twarz niczego nie wyrażała, oczy były senne, usta nieruchome, mięśnie mimiczne jakby porażone. A może sędzia zaakceptował jego wyjątkowość, dlatego dał mu pistolet, żeby mógł pracować nad dalszym rozwojem

własnej osobowości.

Rozdział IX

MONIKA WAGNER PALIŁA KOLEJNEGO PAPIEROSA, siedząc na podłodze w dzieciennym pokoju. Opierała się plecami o szczebelki łóżeczka, w którym spała Krysia. Na podłodze leżał jej telefon, podnosiła go co chwilę, aby sprawdzić godzinę. W całym mieszkaniu było ciemno. Chcieli stać się niewidzialni, nieobecni, żeby tylko nie zwracać na siebie uwagi terrorystów.

Znowu się zaciągnęła, gryzący dym drapał ją w gardło, wyciskając łzy z oczu. Dobrze, że Zenek miał przy sobie fajki, szkoda, że tylko jedną paczkę. Jeśli blokada potrwa dłużej, zaczną się kłócić o papierosy jak dawniej, gdy byli nastolatkami. Dobrze pamiętała, jak w tym pokoju przyduszał ją poduszką, próbując zmusić do oddania rozpoczętej paczki, którą mu podwędziła. Oboje byli zادیorni, ale ją cechowała większa odwaga. Teraz jednak zawładnął nią silny strach, bała się przede wszystkim o dzieci. Czuła realne zagrożenie, jak gdyby lecieli samolotem, który ma awarię. Sytuacja bez wyjścia, mogli tylko czekać na rozwój wypadków i na łomotanie terrorystów do drzwi. Łudziła się, że jak do nich przyjdą, oszczędzą dzieci i kobiety, ale w takim razie zabiliby jej ojca, brata lub męża. Może niech jednak wyrzucą przez okno kobietę, jej bratową, nie miała nic przeciwko Aśce, ale to w końcu obca osoba.

W ciemnościach przedpokoju dojrzała żarzącą się końcówkę papierosa, to Zenek chodził po mieszkaniu, tylko żeby na coś nie wpadł i nie narobił hałasu. Przywołała go szeptem. Usłyszał. Wszedł do pokoju i przykucnął przy niej.

— W internecie piszą, że terroryści na razie nie zabiją kolejnego zakładnika, bo minął czas, jaki sami wyznaczyli — oznajmił przyciszonym głosem.

— Kto tak pisze?

— Jacyś eksperci.

— Gówno jakieś, a nie eksperci.

— Może i tak, ale jak to przeczytałem, to od razu zrobiło mi się źzej. Zenek miał rację. Ona też poczuła, że wbrew zdrowemu rozsądkowi jej podświadomość chwyta się pseudoeksperckich teorii niczym koła ratunkowego.

— Co nasi robią? — zapytała, zaciągając się po raz ostatni papierosem.

— Mama i tata leżą na kanapie w salonie, chyba usnęli. Szymek i Aśka siedzą w fotelach. Twój syn i moja córka śpią razem w jego łóżku, Rafał oddał jej kołdrę, a sam przykrył się kocem.

— Musi być im ciasno, przecież to pojedyńka.

— Oboje są szczupli, mieszczą się.

Monika wstała.

— Tobie i Aśce pościelę na podłodze w salonie, a Szymek prześpi się tu.

Wskazała na krótką kanapę, stojącą obok dzieciennego łóżeczka.

— A ty?

— Ja pójdę do Ewy Różańskiej. Kobitka mieszka sama i na pewno teraz umiera ze strachu, biedna zawsze wszystkiego się boi. Będzie mi wdzięczna, że spędzę z nią noc.

— Wpuści cię?

— Wyślę do niej esemesa.

Schyliła się po leżący na podłodze telefon i pospiesznie napisała wiadomość. Potem wspólnie z Zenkiem rozścieliła na podłodze największego pokoju trzy śpiwory, rzuciła na nie dwa koce i dwie poduszki. Wszystko robili przy zgaszonym świetle i w ciszy. Aśka od razu się położyła, w bluzce i rajstopach.

Monika pochyliła się nad mężem i oparła dłoń na jego ramieniu. Był spocony, drżał, jak gdyby miał gorączkę. Przyłożyła palce do jego czoła, było zimne i wilgotne. Zemdliło ją z gwałtownego obrzydzenia. Potrzebowała w tej chwili silnego faceta, a miała roztrzęsioną

galaretę. Wiedziała, że powinna być bardziej wyrozumiała, ale w jej głowie samoistnie się pojawiały niepochlebne określenia: tchórz, cienias, mięczak, a nawet jeszcze gorzej: prosiak, głupek. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do pokoju Krysi. Położył się na kanapie, chowając głowę w ramionach i podciągając kolana do klatki piersiowej. Nawet się nie zainteresował, gdzie będzie spała. Poszła do łazienki. Pozwoliła sobie zapalić tutaj światło. Weszła pod prysznic i umyła się pod cienkim strumieniem wody. Starła się nie hałasować. Włożyła na siebie piżamę i szlafrok, wsunęła stopy w kapcie, na końcu umyła zęby, była gotowa.

Zenek stał w przedpokoju z kolejnym papierosem w dłoni.

— Dlaczego jeszcze nie śpisz? — zapytała.

— Chciałem przypilnować, żebyś bezpiecznie dotarła do sąsiadki. Zaprowadzę cię do niej.

— Przestań, przecież to parę metrów. Sama pójdę.

— To chociaż wyślij mi esemesa, jak będziesz już u niej.

Weszła do pokoju Krysi po telefon. Przez chwilę nasłuchiwała, do jej uszu dochodziło ciche posapywanie córki i równy oddech męża. Nie chrapał, czyli prawdopodobnie nie spał. Myślała, że zaraz do niej zagada, coś będzie chciał, kanapkę albo herbatę. Nie odezwał się jednak.

Do jednej kieszeni szlafroka schowała telefon, do drugiej klucze i podeszła do drzwi wyjściowych. Wyjrzała przez wizjer. Na klatce było ciemno. Z internetu wiedziała, że czujnik ruchu nie działa, ale mimo to bała się, że w momencie uchylenia drzwi zapali się światło. Ostrożnie przekręciła zamek i nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Zenek stał za nią. Wyszła na klatkę, chłodne powietrze owionęło jej stopy i zaczęło wsuwać się pod szlafrok. Widziała zarys korytarza, małymi szybkimi krokami przesuwała się do przodu, skręcając lekko w lewo, w stronę mieszkania Ewy. Serce jej waliło, krew pulsowała w skroniach, oczy świdrowały ciemność. Czuła się jak na celowniku snajpera, któremu musi uciec. Nie słyszała, żeby Zenek zamknął drzwi, a więc czekał, aż wejdzie do

mieszkania Ewy. Wyciągnęła rękę w bok i dotknęła ściany, a potem drzwi sąsiadki. Nie zapukała jednak, szła dalej. Pojawiła się kolejna ściana, prostopadła do tej, po której przesuwiała dłoń. Skręciła i trafiła na kolejne drzwi, za którymi mieszkał Marian Jaszczur z dwoma synami. Nacisnęła klamkę. Myślała, że będzie otwarte, przecież wysłała esemesa z informacją, że przyjdzie. Niestety, drzwi były zamknięte. Zapukała najciszej, jak potrafiła. Usłyszała, a raczej poczuła, że drzwi się otwierają. Silna dłoń złapała ją za przedramię i wciągnęła do środka. Miała nadzieję, że Zenek nie zauważył, iż weszła do mieszkania Jaszczurów, a nie Ewy Różańskiej.

U sąsiadów również było ciemno, stała w ciasnym przedpokoju i ciężko oddychała. Była z siebie dumna, że tu dotarła, jak gdyby co najmniej zdobyła Mont Blanc.

— I co, Moniczko? Jak wasze święta? — zapytał Marian Jaszczur.

A zatem to on wciągnął ją do mieszkania. Spodziewała się, że będzie na nią czekał jego starszy syn, Leonard.

— Na szczęście święty mikołaj nas nie odwiedził. Nie sądziłam, że kiedyś będę się z tego cieszyć.

Marian zachichotał.

— Słyszałem, że ci bandyci przebrani są za mikołajów. Do mnie mogliby przyjść, ugościłbym ich naleweczką, do której dodałbym tabletki na sraczkę. Odechciałoby się im tego wszystkiego. A jak twoja mama się czuje? Na pewno przestraszona.

— Tak, ale na szczęście znajduje wsparcie w Matce Boskiej Licheńskiej. — Monika wyjęła smartfona i napisała wiadomość do Zenka. — Mogę wejść do Leonarda? Nie śpi?

— Nie, nie śpi, czeka na ciebie.

Marian Jaszczur ruszył w głąb mieszkania, skrzypiąc skórzanymi kapciami. Została sama w ciemnym przedpokoju. Znała to mieszkanie, bo rozkład był lustrzanym odbiciem jej lokalu. Zaraz na prawo znajdowały się drzwi do pokoju Leonarda. Po omacku odnalazła klamkę i weszła do środka. Blask monitora rozświetlał część pokoju, wydobywając z ciemności kontur męskiej sylwetki

spoczywającej w obrotowym fotelu przy biurku. Leonard wyciągnął do niej rękę.

— Chodź do mnie, mała.

Miała wrażenie, że jego ręka to magnes, a ona jest kawałkiem żelaza. Jej kapcie zostały przy drzwiach, a może na środku pokoju, nie pamiętała, gdzie je zgubiła. Gdy siedziała mu na kolanach, to już miała bose stopy. Wsunęła dłonie w jego przydługie włosy i odchyliła mu głowę do tyłu. Najpierw przesunęła czubkiem języka po jego gorących wargach, a potem przycisnęła do nich swoje usta. Nigdy jeszcze nie całowała go z taką namiętnością. Nawet wtedy, gdy byli nastolatkami, ona miała dziewiętnaście lat, a on piętnaście, całowali się wtedy przez cały kurs windy z dziesiątego piętra na parter. Czuła na jego języku smak kawy, w czarnych oczach widziała natarczywość. Pożądał jej, a ją to podniecało. Jakiś czas temu zrozumiała, że nie potrafi żyć bez męskiego uwielbienia, bez zachłannych spojrzeń zrywających z niej ubranie. Bez tego uschnie, zamieni się w szarą myszkę wtopioną w szarżyznę bloku z wielkiej płyty. Chciała czuć się pożądaną i czerpać z tego satysfakcję, bo co innego mogło zapewnić jej radość? Jakie rozrywki dawało to miasto? Jakie przyjemności mógł zafundować jej wiecznie zmęczony mąż, który dysponował nauczycielską pensją? Żadnych. W kinie ostatni raz byli ponad pięć lat temu, komplementu z jego ust nie słyszała od wieków. Nie lubiła myśleć o sobie jako o niewiernej żonie. Była stuprocentową kobietą, która dba o swoją atrakcyjność, akurat najlepszym narzędziem do osiągnięcia tego celu byli mężczyźni.

Wyplątała dłonie z włosów Leonarda i przesunęła je na jego masywny kark, a potem na umięśnione plecy. Był silny. Nazywała go lwem, bo wyczytała w księdze imion, że Leonard oznacza silny jak lew. Takiego mężczyzny teraz potrzebowała, który ją obroni, wesprze i przede wszystkim otoczy mocnymi ramionami. W swoim mieszkaniu musiała być silna, a tutaj mogła przemienić się w małą dziewczynkę potrzebującą pomocy.

— Dzwoniła do mnie policja — wyszeptała mu wprost do ucha.

— Do wszystkich dzwoniłi, do nas też.

Rozwiązał jej szlafrok i zaczął rozpinać guziki piżamy. Monika wyjęła z kieszeni telefon oraz klucze i położyła je na biurku.

— Oni podejrzewają tych Ukraińców, którzy mieszkają na ostatnim piętrze — oznajmiła.

Ta informacja zrobiła na nim wrażenie, bo jego ręce znieruchomiały na trzecim guziku od góry, po chwili jednak dalej przesuwały się w dół. Rozpiął piżamę do połowy i włożył dłonie pod rozchylający się materiał. Wyciągnął na zewnątrz jej olbrzymie karmiące piersi i zaczął je ugniatać tak mocno, że krople ciepłego mleka skapywały na piżamę. Wiedziała, że w ten sposób nie wolno, bo kanaliki mlekowe popękają, ale w tej chwili niewiele ją to obchodziło. Liczyło się tylko to, że rozpalala ogień namiętności w tym mężczyźnie.

— Psiarze powiedzieli ci, że podejrzewają Ukraińców? Pojebało ich? A może jeszcze kazali ci rozbroić terrorystów. Banda nierobów i kretynów.

— Nie, nie wyjawili mi tego, po prostu o nich wypytywali.

Leonard trochę ją rozczarował tym, że kontynuował rozmowę. Wolałaby, żeby znowu stracił głowę z żądy, jak to się już nieraz zdarzyło. Wybaczyła mu jednak rozdwojenie uwagi, znajdowali się przecież w sytuacji niecodziennej.

— O co dokładnie pytali? Powiedz mi.

— Kto mieszka na dziesiątym piętrze, pod trzydzieści jeden.

— Tylko tyle chcieli wiedzieć?

— Tak.

— A pytali może, ilu jest tych Ukraińców?

— Tak, pytali.

— Moja Monisia jest głupiutka.

— Dlaczego mój lew tak mówi?

— Bo to wcale nie znaczy, że ich podejrzewają. Po prostu ustalają liczbę zakładników.

— Może masz rację, ale myślę, że to ci Ukraińcy za tym stoją.

Rozpiął piżamę do końca i zsunął ją wraz z szlafrokiem z jej ramion. Założyła ręce za głowę i się wyprężyła, podając mu biust jak owoce na tacy. Wiedziała, że ma czym się pochwalić, jej piersi były okrągłe niczym odrysowane cyrklem, ciężkie od mleka i nieskazitelnie białe. Leonard jedynie musnął ustami lewy sutek i przesunął punkt swej uwagi na dolną część jej ciała. Wsunął ręce pod gumkę spodni i złapał ją za fałdę na brzuchu, która jej pozostała po urodzeniu Krysi. Nie chciała, żeby dotykał tego obrzydliwego kawałka wiszącej skóry, tym czymś nie wzbudzi w nim szaleńczej żądz, wręcz przeciwnie, zniechęci go do siebie. Próbowwała mu się wyrwać. On jednak nie ustępował, nadal miętosił luźny fałd skóry, wyciągał go do przodu, jak gdyby chciał się przekonać o jego niewyobrażalnej długości.

— Przestań — syknęła.

— Co? Nie podoba ci się?

— Nie.

— A mi się podoba. Jeszcze czymś takim się nie bawiłem. — Zamachał kawałkiem skóry, jak gdyby nie była to część jej ciała, lecz naszyta luźno powłoka. — Żadna z moich dziewczyn tego nie miała.

Roześmiał się.

— Jesteś ohydny.

— Dlatego mnie uwielbiasz.

Znowu zaczęła go namiętnie całować. Wciąż nie puszczał jej brzucha. Gdy na moment oderwała usta od jego warg, zapytał:

— Co powiedziałaś mężusiowi? Że gdzie idziesz?

— Jemu właściwie nic, a bratu powiedziałam, że będę spać u Ewy Różańskiej.

— Mężuś powinien cię lepiej pilnować.

— Dzisiaj Szymek jest trochę nieprzytomny. Wydaje mi się, że miał w piwnicy spotkanie z terrorystami i go porządnie postraszyli.

Leonard puścił nagle jej brzuch.

— Widział terrorystów? Dopiero teraz mi o tym mówisz? Co o nich powiedział?

— Nic.

— Jak to nic?

— No nic, wrócił do mieszkania jakiś dziwny, bez kapci, w mokrym swetrze, uśmiechał się. Tata do niego coś zagadał, już nawet nie pamiętam co, a Szymek się rzucił na niego, aż Zenek musiał się wtrącić. No i potem Szymek zamknął się w łazience i siedział tam z godzinę, a później klapnął w fotel i do nikogo się nie odzywał, i z policją też nie chciał rozmawiać, choć dzwonili do niego dwa razy.

— Czyli policja wie, że twój mąż trafił na terrorystów?

— Tak, powiedziałam im.

— Moja Monisia jest grzeczną dziewczynką i wypyta mężusia o tych terrorystów, jak wyglądali i w ogóle co zauważył, a potem Monisia przyjdzie do mnie i wszystko mi opowie.

Leonard znowu wsunął dłonie pod gumkę spodni, ale tym razem złapał ją za pośladki.

— A po co ci to wszystko wiedzieć? Chcesz złapać tych terrorystów?

— Może i tak.

Położyła głowę na jego klatce piersiowej.

— Boję się. Chciałabym, żeby to wszystko się już zakończyło.

Od czasu, gdy tu weszła, flirtowała i się przymilała, ale ostatnie słowa wypowiedziała z wielką szczerością. Naprawdę się bała. Leonard wyczuł to, bo przestał ugniatać jej pośladki i objął ją mocno, zapewniając tym gestem, że przy nim może czuć się bezpieczna. Następnie podniósł ją delikatnie i przeniósł na łóżko.

Rozdział X

PARĘ MINUT PRZED SZÓSTĄ komisarz Kamil Soroka opuścił centrum dowodzenia. Wsiadając do jeepa, po raz kolejny pomyślał, że kupno wozu terenowego to była dobra decyzja. Zwykłą osobówką w taką pogodę trudno byłoby dojechać do Łęczna. Musiał się spieszyć, miał tylko godzinę, a chciał jeszcze wziąć prysznic, ogolić się i może coś zjeść. Światła samochodu wydobywały z nocnego krajobrazu Wysoczyzny Elbląskiej linię drogi pięćset trzy. Po obu jej stronach ciągnęły się zaśnieżone pola, potem zaczął się szarogracitowy las z przebłyskami bieli. Miał wrażenie, że jest jedynym kierowcą w powiecie, żadnych świateł samochodowych za nim ani przed nim. Przyspieszył. Kilkaset metrów dalej po lewej stronie pojawiły się wody zalewu, jeszcze dwa dni takiego mrozu, a na lód wyjdą miłośnicy bojerów. Od dawna myślał, żeby spróbować swoich sił w tym oryginalnym sporcie, ale nigdy nie miał czasu, ponadto mroźnych zim nie było wiele. Może w tym roku mu się uda polatać po lodzie. Obiecał sobie, że zainteresuje się bojerami, gdy tylko zamknie sprawę wieżowca.

Zaparkował przed domem i wysiadł. Wokół panowała zimowa cisza. Wirujące w powietrzu śnieżne płatki opadały bezszelestnie na zaspy. Powinien znowu odśnieżyć podjazd i dojście do schodów. Dobrze, że chociaż z dachu biały puch zsuwał się sam. Gdy przekręcał klucz w zamku, usłyszał uderzenia o zmrożoną pokrywę śniegu. Był to sygnał, że odwiedza go leśna zwierzyna. Odwrócił się i w zimowych ciemnościach szukał gościa. Myślał, że zobaczy masywną sylwetkę dzika, one najczęściej podchodziły pod dom. Ujrzał jednak sarnę. Stała nieruchoma na linii pierwszych drzew, jak gdyby czuła, że jest obserwowana, i pragnęła ukryć swoją

obecność. Gdzieś w oddali zaszczekał pies, sarna odwróciła się w stronę lasu, pokazując biały zad. Potem niespiesznie ruszyła między pnie. Lubił te uroki mieszkania za miastem. Chociaż gdyby pozostał na Zawadzie, w wieżowcu, i gdyby właśnie jego blok zajęli terroryści, to będąc jednym z zakładników, miałby ułatwioną sprawę. Może zdołałby rozpracować sprawców, ustalić, ilu ich jest, jaką mają broń, jakie ładunki wybuchowe zamontowali, w którym mieszkaniu się ulokowali i kto z lokatorów im pomaga.

Wszedł do domu i z ulgą przyjął panujące tu ciepło. Włączył światło i od razu poszedł do łazienki. Gdy goląc się, oglądał swoją zmęczoną twarz w lustrze, powrócił myślami do sytuacji zakładniczej. Analizował wszystko to, co zdołali ustalić. Najciekawsza była tożsamość zakładnika wyrzuconego przez okno, Roman Karolak, ksywa Jamnik, recydywista, skazywany za rozboje i kradzieże. Ostatni ośmioletni wyrok otrzymał za gwałt na nieletniej. Wszedł jedenaście miesięcy temu. Od tamtej pory przynajmniej raz w tygodniu ktoś dzwonił na policję bądź do straży miejskiej ze skargą na niego. Zwykle sąsiedzi zgłaszali zakłócanie ciszy nocnej, ale były też poważniejsze zarzuty. Karolak miał grozić lokatorom, oddawać mocz na ich drzwi i zaczepiać kobiety. Wygląda na to, że terroryści wyświadczyli mieszkańcom przysługę, wyrzucając najbardziej uciążliwego sąsiada. Potwierdziły to nawet telefoniczne rozmowy z zakładnikami, paru przyznało, że teraz będzie w końcu święty spokój. Kamila interesowała kwestia, dlaczego akurat terroryści zabili Romana Karolaka. Mieli do wyboru prawie dwieście osób, a wzięli jego. Bo go znali, a on znał ich? Chcieli się go pozbyć, żeby nie wyjawiał ich nazwisk? Ostatnie polecenie, jakie Kamil wydał przed opuszczeniem centrum dowodzenia, dotyczyło Romana Karolaka. Funkcjonariusze mieli ustalić, kto bywał na jego libacjach, a przede wszystkim z kim miał kontakt w zakładzie karnym w Barczewie. Na szczęście ta instytucja pracowała też w święta, czyli niebawem powinni otrzymać informację. Kamil nadal się łudził, że to żaden międzynarodowy terror, lecz robota lokalnych

przestępców, którzy wykazali się zbyt bujną wyobraźnią, a teraz siedzą przerażeni w bloku i zastanawiają się, w jaki sposób się z tego wyplątać. Współudział Romana Karolaka potwierdzałby jego teorię. Przemawiało za nią także to, że terroryści nie skontaktowali się z policją telefonicznie, zwyczajnie się bali, nie wiedzą, jak się prowadzi takie negocjacje, wolą więc milczeć.

Była jeszcze jedna kwestia, która nurtowała komisarza, a mianowicie obecność w wieżowcu dziennikarza, Mikołaja Bukowskiego. Jeśli terroryści mają kogoś wyrzucić przez okno, to mogliby właśnie jego, wówczas zdjęliby Kamilowi problem z głowy. Ten wścibski pismak jako jedyny wiedział, skąd on wziął kasę na nowiuńskiego jeepa grand cherokee i na ten dom pod lasem. Co prawda tak szybko tego nie wypaple, gdyż samego siebie by pograżył, Kamil też miał haka na Bukowskiego, ale nie wiadomo, co odbije dziennikarzowi za parę miesięcy. Wizja, że pismak wylatuje z dziesiątego piętra, była bardzo kusząca, niestety mało prawdopodobna, jak jeden do dwustu.

Kamil wyjął z lodówki szynkę w galarecie, zjadł prawie połowę. Miał ochotę na więcej, ale czas go gonił. Włożył czarny sweter, zapiął pas z kaburą na biodrach, wziął do ręki kurtkę, po czym zgasił światło i wyszedł na zewnątrz. Na próżno rozglądał się za poranną szarością, wciąż panowała noc, w dodatku z powodu nasilających się opadów śniegu widoczność spadła do kilkunastu metrów. Wsiadł do jeepa i ruszył. Dwadzieścia minut później zaparkował na Wiejskiej obok wozu prokurator Łempickiej i skierował swoje kroki do przedszkola. Na terenie placówki zobaczył granatowego volkswagena, zapewne samochód prezydenta. Przy wejściu czekała na niego sierżant Gryś zawinięta w biały szal. Wręczyła mu plik kartek.

— Coś nowego? — zapytał, choć wiedział, że nic się nie wydarzyło, bo w przeciwnym razie już by do niego dzwonili.

— Ustaliliśmy liczbę zakładników. W wieżowcu jest sto dziewięćdziesiąt sześć osób, w tym sześćdziesięcioro troje dzieci do lat szesnastu, siedemdziesiąt jeden kobiet i sześćdziesięciu dwóch

mężczyzn. Ich obecność w bloku potwierdziliśmy telefonicznie. Siedem mieszkań stoi pustych.

— A mieszkanie trzydzieści jeden w pierwszej klatce?

Beata wyjęła mu z ręki kartki i zaczęła je przerzucać.

— Ten lokal jest pusty. Właścicielami są Katarzyna i Marcin Sienkiewiczowie. Pod koniec sierpnia przeprowadzili się do Bydgoszczy, on dostał tam pracę. Rozmawiałam z nimi. Zapewniali, że mieszkanie stoi puste. To tam kogoś widziałeś?

— Tak, podobno to Ukraińcy. Zadzwoń do tych ludzi jeszcze raz. Może zostawili komuś klucze i mieszkanie zostało wynajęte bez ich wiedzy.

Oddała mu raport i ziewnęła, zasłaniając usta. Dopiero teraz zauważył, że białka jej oczu są zaczerwienione.

— Jedź do domu i walnij się do wyrka.

— Z przyjemnością to zrobię, ale nie wiem, czy w ogóle usnę. Cały czas myślę o cateringu dla oddziału z Wrocławia. Gdzie go załatwić? Są przecież święta. Może masz jakiś pomysł?

— Zastanowię się.

Wyminął Beatę i wpadł do budynku. Usłyszał, że koleżanka woła za nim:

— Sala numer trzy! Na parterze!

Rozejrzał się po świątecznie przybranym holu, szybko odnalazł pomieszczenie z cyfrą trzy na drzwiach. Wszedł do środka.

Milena i prezydent siedzieli przy biurku. Wstali na jego widok. Prokurator przedstawiła komisarza. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

— Właśnie mówiłem pani prokurator, że jestem po rozmowie z ministrem. Bardzo się martwimy o mieszkańców. Oby nikt więcej nie zginął.

Damian Falencki odchrząknął i poprawił krawat w sarenki, chowając go pod marynarkę. Był zdenerwowany, ręce mu się trzęsły. Splótł je mocno i położył na kolanach.

— Panie prezydencie — zaczęła uprzejmym tonem Milena — nasz

negocjator, starszy aspirant Edward Kuntz, uznał, że to dobry moment, aby wystosować apel do terrorystów, żeby odstąpili od przetrzymywania zakładników. Właśnie przygotowuje jego treść, zaraz zaczniemy go puszczać przez głośniki i publikować w mediach. Może sprawa skończy się szybciej, niż przypuszczamy.

— Oby miała pani rację.

Nie było trzeciego krzesła o normalnej wysokości, Kamil przysunął więc sobie krzeselko dla przedszkolaka i także usiadł przy biurku. Właściwie jego obecność była tutaj zbędna, bo zanosilo się na spotkanie kurtuazyjne. Prezydent przyszedł na nie głównie po to, żeby móc powiedzieć o tym mediach. Zapewne wygłosi zaraz parę frazesów i szybko się zmyje, bo rodzina czeka ze świątecznym śniadaniem.

— Jak miasto może wam pomóc? Co mogę zrobić? — zapytał prezydent.

Kamil uznał, że jest to pytanie grzecznościowe. Powinni podziękować i zapewnić, że ze wszystkim sobie radzą. On jednak miał ochotę wprowadzić Falenckiego w stan zakłopotania, zmuszając go do wykrętnych odpowiedzi.

— Przyda nam się pomoc miasta w jednej kwestii — oznajmił.

Milena spojrzała na niego zaskoczona.

— Proszę mówić, w czym rzecz — zachęcił prezydent.

— Nie mamy zapewnionego cateringu dla oddziału antyterrorystycznego, bo jest pierwszy dzień świąt i firmy tym się zajmujące są pozamykane. Gdyby chodziło o jedzenie dla kilku osób, to żony policjantów by się tym zajęły, ale ich będzie ponad siedemdziesięciu.

Prezydent uniósł rękę, dając znać, że komisarz nie musi dalej niczego wyjaśniać.

— Obiecuję, że catering będziecie mieli. Sądzę, że w ciągu pięciu godzin dowieziony zostanie tutaj pierwszy gorący posiłek. W szkole gastronomicznej jest nowocześnie wyposażona kuchnia i produkty spożywcze. Kucharki też się znajdują, z transportem posiłków również

nie powinno być problemu.

Kamil był pod wrażeniem. Zamiast wymijającej odpowiedzi otrzymał konkretną propozycję. Chwilowo musiał zmienić swoją opinię o politykach. Ten facet w krawacie w sarenki rzeczywiście chciał pomóc i na poczekaniu znajdował rozwiązania.

— Czy jeszcze w jakiś sposób miasto mogłoby wesprzeć działania policji? — zapytał prezydent.

Kamil pokręcił przecząco głową.

— Panie prezydencie, muszę jeszcze zapytać o dziesięć milionów euro — zaczęła mówić prokurator Łempicka. — Nie otrzymaliśmy z komendy głównej żadnej wskazówki, ani słowa o tym, że rozważana jest zapłata okupu. Czy minister coś mówił panu na ten temat?

Prezydent poprawił krawat i rękawy marynarki. Wyglądało na to, że Łempicka zadała mu trudne pytanie.

— Minister powiedział, że zależy mu na szybkim zamknięciu sprawy i żeby nie było więcej ofiar. W tym celu trzeba podjąć wszystkie możliwe kroki. Nie możemy stać się drugą Dubrowką, do tego nie można dopuścić. Polska ma być pozytywnym przykładem walki z terroryzmem.

Milena opierała łokieć o plik kartek leżących na biurku. Niespodziewanie wzięła je do ręki i zaczęła przeglądać. Wyglądało na to, że jest znudzona komunałami gładko wypowiedzianymi przez prezydenta. Uniosła głowę dopiero wtedy, gdy ten umilkł.

— To jaka jest decyzja ministra? — zapytała.

— Minister powiedział, że najważniejsze jest życie zakładników i dobre imię Polski na arenie międzynarodowej. Ta sprawa musi być załatwiona szybko, minister bardzo to podkreślał, chodzi o to, żeby opozycja nie zdążyła się rozkręcić ze swoimi nienawistnymi atakami.

— Ale ja pytam, czy w negocjacjach z terrorystami mamy brać pod uwagę zapłatę okupu.

Prezydent popatrzył na nich uważnie, nagle ze złością oznajmił:

— Gdy z nim rozmawiałem, to jak z katarynką. — Damian Falencki

wyglądał tak, jak gdyby ktoś go spuścił ze smyczy. Już nie był ugrzecznionym politykiem, urzędnikiem najwyższego szczebla, lecz zwyczajnym człowiekiem, któremu na sercu leży los prawie dwustu zakładników. — Pytam go, czy miasto ma zapłacić te czterdzieści milionów złotych, a on pieprzy mi dalej o zdrajcach Polski i o nagonce na prezesa. Czy uwierzycie, że ten palant zasugerował, iż ten cały akt terrorystyczny to akcja przygotowana przeciwko partii, żeby ich skompromitować? Myślałem, że takie pierdolenie to tylko w telewizji, a w normalnej rozmowie gada się po ludzku. — Falencki zrozumiał, że przesadził, w jednej sekundzie zapanował nad swoimi emocjami. — Przepraszam. Chciałem powiedzieć, że minister na temat okupu nie wyraził żadnego zdania.

— Czyli w tej chwili spełnienie żądań terrorystów nie wchodzi w grę — odezwała się Milena.

— Przykro mi — mruknął Falencki.

— Panie prezydencie, to nie jest dla nas wielki problem, po prostu będziemy szukali innego rozwiązania.

Prokurator Łempicka spojrzała na komisarza, jak gdyby oczekiwała, że potwierdzi jej słowa.

— Realizacja żądań terrorystów to zawsze ostateczność — zaczął mówić Kamil. — Najpierw sięga się po inne możliwości, włącznie ze szturmem na zajęty budynek.

— Szturm? Mam tylko nadzieję, że nikt nie zginie.

Prezydent powiódł wzrokiem po ścianach przyozdobionych gwiazdkami, choinkami i aniołkami wykonanymi przez przedszkolaków. Nad biurkiem wisały rysunki, prawie na każdym znajdował się mikołaj, a jeżeli miał na plecach worek, to był on nieproporcjonalnie wielki w stosunku do postaci świętego.

— Dobrze, że nie przyszło im do głowy zająć przedszkola z setką dzieci — oznajmił prezydent.

Komisarza uderzyło to spostrzeżenie. Właściwie dlaczego nie przedszkole, lecz wieżowiec z wielkiej płyty? Gdyby terroryści wzięli niewielką placówkę oświatową, mieliby większą kontrolę nad

budynkiem i zakładnikami. Mogliby upchać dzieciaki do jednej sali i trzymać je pod lufami kałachów, co uniemożliwiłoby wejście oddziału antyterrorystycznego. Wyglądało na to, że wieżowiec to zły wybór. Chociaż niekoniecznie, bo w wypadku odbijania bloku terrorystom łatwiej byłoby się ukryć między dwiema setkami zakładników. Największe zamachy terrorystyczne pokazywały, że sprawcy próbowali tego wybiegu, nawet w Biesłanie podczas szturm na szkołę dwie terrorystki przebrane za pielęgniarki zdołały przejść przez policyjny kordon.

— Czy miasto mogłoby jeszcze w czymś pomóc? — zapytał prezydent.

— Nie — odpowiedziała krótko prokurator Łempicka.

Prezydent wstał, oni również.

— Życzę powodzenia, tylko nie dziękujcie. — Podał im rękę. — Mam nadzieję, że żaden zakładnik więcej nie zginie.

Mięśnie na twarzy Damiana Falenckiego drgnęły niespokojnie.

— Ma pan kogoś bliskiego w tym wieżowcu?

Komisarz zadał to pytanie spontanicznie, wyglądało jednak na to, że trafił w dziesiątkę. Prezydent starał się uśmiechnąć, ale tak naprawdę zgrzytnął jedynie zębami. Mięśnie mimiczne wokół jego oczu i ust napięły się i na moment znieruchomiały, a potem zaczęły drżeć.

— Nie, nie mam tam nikogo — oznajmił na jednym wdechu, po czym przełknął z trudem ślinę, aż grdyka mu podskoczyła nad krawatem.

Kłamał, tego Kamil był pewien. Zapadła krępująca cisza, Falencki chyba czuł, że nie zabrzmiał wiarygodnie, dodał więc:

— Może jakaś urzędniczka tam mieszka, może nawet z mojego biura, ale nie wiem.

Udali się w trójkę do szatni dla przedszkolaków. Prezydent zdjął płaszcz z wieszaka znajdującego się na wysokości mniej więcej stu dwudziestu centymetrów, założył go i wygładził zagięcie. Gdy szedł do drzwi wyjściowych, miał spuszczoną głowę. Zanim jednak

wyszedł na zewnątrz, wyprostował się, a nawet wyprężył, jak gdyby za progiem czekał na niego sztab wyborczy.

— Wydaje mi się, że Falencki ma jakąś przyjaciółkę w tym wieżowcu — oznajmił Kamil, wyjmując paczkę papierosów.

— To nie nasza sprawa — zauważyła Milena.

— Każdy zakładnik to nasza sprawa.

Zapalniczka zgrzytnęła, Kamil zapatrzył się w płomień. Gdy zwrócił wzrok na Milenę, zobaczył jej zasepioną twarz, miała smutne oczy.

— Co jest? — zapytał, wciągając dym do płuc.

— A o co pytasz?

— O twoje samopoczucie. Wiem, że nie mamy powodów do radości, ale ty jesteś wyjątkowo przybita.

— Miło, że zauważyłeś.

— Powiesz mi, skąd ten nastrój?

— Tak mam w święta — oznajmiła, patrząc na choinkę stojącą w holu.

Zrozumiał wszystko. Właściwie nie powinien pytać. Wypadało, żeby pamiętać, że Milena spędza kolejne święta bez syna i nawet nie wie, gdzie on jest. Kilka dni temu zajrzał na jej profil na portalu społecznościowym. Znalazł tam przejmujące życzenia świąteczne skierowane do Krzysia i prośbę, wręcz błaganie, aby się do niej odezwał. Chłopiec miał już prawie czternaście lat, musiał być bardzo zmanipulowany przez ojca, skoro się nie odważył skontaktować z matką. Prawdopodobnie nadal wierzył, że to ona jest ich największym wrogiem, to przed nią uciekają. Milena ostatnie wieści o mężu i synu otrzymała kilkanaście miesięcy temu. Wtedy obaj przebywali w Szwecji, a Paweł Krol poszukiwany był przez tamtejsze służby specjalne, bo rzekomo miał coś wspólnego z podłożeniem ładunku wybuchowego na dwóch posterunkach. Kamil pomyślał, że powinien bardziej wspierać Milenę w poszukiwaniu syna. Rok temu pojechała do Falun i rozpytywała o Krzysia, zdołała potwierdzić, że chodził tam do szkoły. Może warto byłoby udać się do Falun jeszcze raz i prześwietlić środowisko nastolatków.

— Obiecuję ci, że jak ta sprawa z wieżowcem się skończy, to pomogę ci szukać Krzysia.

Kiwnęła głową od niechcienia i nawet próbowała się uśmiechnąć.

— Pojedziemy jeszcze raz do Falun.

— Po co? Przecież już tam byłam.

— A rozmawiałaś z kolegami Krzysia?

— On nie miał kolegów, nauczyciele to potwierdzili.

— Słuchaj, Milena, jeśli nawet ojciec zabronił mu nawiązywać bliższych relacji z rówieśnikami, to młodość ma swoje prawa, być może z kimś się zaprzyjaźnił bardziej i przez internet nadal utrzymuje kontakt z tym kimś.

— Tak myślisz?

W głosie Mileny pojawiła się nadzieja, aż Kamil poczuł się nieswojo. Wolałby jej dać realny ślad, konkretny dowód, a nie ułudę. Uznał, że najbezpieczniej będzie zmienić temat.

— Może napijemy się kawy, zanim antyki przyjadą. Tu musi być kuchnia i na pewno mają kawę.

— To zrób ją, a ja idę dalej czytać raport sierżant Gryś.

Gdy z zaparzoną kawą wszedł do sali numer trzy, zastał Milenę nad plikiem kartek. Patrzył na jej lekko pochylony profil. Wyglądała jak zwyczajna dziewczyna, ale zarazem miała coś w sobie z generała gotowego do boju, to przez ten podbródek wysunięty i wsparty na zaciśniętej dłoni. Uniosła brwi, chyba jakaś informacja zawarta w raporcie ją zdumiała. Odwróciła się w jego stronę.

— W wieżowcu jest żołnierz zawodowy po dwóch misjach w Afganistanie, piąte piętro, druga klatka.

To była istotna informacja, ktoś taki na miejscu mógł im się przydać. Kamil wziął do ręki swój raport, żeby znaleźć dane dotyczące tego zakładnika.

— Ten żołnierz nazywa się Dariusz Wawryn. Nie licz na to, że w jakiś sposób nam pomoże — mówiła dalej Milena.

— Dlaczego nie?

— Bo terroryści uszkodzili mu zamek w drzwiach. Jest uwięziony

w mieszkaniu razem z żoną i trzyletnim synem.

Kamil pomyślał, że gdyby żołnierz chciał, poradziłby sobie z odblokowaniem zamka, ale ta kwestia była teraz mniej ważna. Sam fakt, że właśnie jemu uniemożliwiono wyjście z mieszkania, był istotniejszy. Terrorysty, przystępując do akcji, dobrze wiedzieli, kto im może zagrozić. To nie mógł być przypadek, że uszkodzili zamek w drzwiach zawodowego żołnierza. Wyeliminowali człowieka, który umiał strzelać i prawdopodobnie miał w domu broń.

— Komu jeszcze zablokowali drzwi? — zapytał.

— Siedmiu innym lokatorom, wszystko masz na stronie dwudziestej pierwszej.

Znalazł ten fragment i zaczął czytać.

— Zastanawiasz się, dlaczego właśnie drzwi do tych lokali zablokowano? — zapytała prokurator.

Kiwnął twierdząco głową.

— Sądzę, że wybrano je przypadkowo — mówiła dalej Milena. — Prawdopodobnie terroryści chcieli zatrzymać część lokatorów w mieszkaniach, na wypadek paniki lub masowej ucieczki z bloku. Powiedziałabym, że zabezpieczyli sobie zakładników na czarną godzinę, raczej nie chodziło im o unieszkodliwienie żołnierza.

Teza Mileny była rozsądna. Przemawiało za nią choćby to, że mieszkania zostały zablokowane na różnych piętrach i po cztery w każdej klatce, jak gdyby terroryści w każdej chwili chcieli mieć pod ręką zakładników. On jednak skłaniał się ku temu, że chodziło o wyeliminowanie żołnierza.

— Resztę lokatorów zatrzymali w mieszkaniach dla niepoznaki — wymamrotał pod nosem. — Żebyśmy się nie domyślili, że dobrze się orientują, kto gdzie mieszka.

— Skoro wyeliminowali żołnierza, policjanta też powinni. Nie sądzisz? A tymczasem Eugeniuszowi Jackowskiemu, lat pięćdziesiąt dwa, od dwunastu lat na emeryturze, nie uszkodzili zamka w drzwiach.

Komisarz wyjął z kieszeni telefon.

— Daj mi numer Jackowskiego.

Milena przesuwiała szczupłym palcem po kartkach, szybko odnalazła dane emerytowanego policjanta.

— To sierżant — dodała, gdy Kamil wybierał numer.

Jackowski odebrał dopiero po sześciu sygnałach, miał zaspany głos.

— Sierżancie, czy ma pan w mieszkaniu broń? — zapytał komisarz.

Jackowski wydał z siebie nieartykułowany dźwięk, następnie przez chwilę milczał, jak gdyby usiłował sobie przypomnieć, czy ma broń. W końcu oznajmił:

— Tak, pistolet P-83.

— Amunicję też pan ma?

— Tak.

— Na strzelnicę nadal pan chodzi?

— Nie. — W głosie sierżanta pojawiła się irytacja. — Jeśli pan myśli, że pójdę zastrzelić sprawców, to się pan myli. Ja tu mam córkę z wnukami i żonę.

— Tego od pana nie oczekujemy. Dobrze pan wie, że nie trzeba nam martwych bohaterów.

Kamil się rozłączył. Zdołał potwierdzić, że Jackowski nie stanowił dla terrorystów żadnego zagrożenia. Tylko czy oni mogli o tym wiedzieć?

Spojrzał na prokurator, powróciła do czytania raportu. Również zabrał się do przeglądania jego treści. Dziewięćdziesiąt pięć procent informacji dotyczyło zakładników, pozostałe pięć procent odnosiło się do samego wieżowca, były to dane pozyskane od spółdzielni mieszkaniowej, głównie szczegóły techniczne i wykaz remontów. O ósmej otrzymał sygnał z komendy, że na płycie lądowiska przy szpitalu wojewódzkim stoi już helikopter oddziału antyterrorystycznego, a ich samochody zbliżają się do Elbląga.

Szybko skończył pić kawę, Milena też opróżniła swój kubek, po czym razem wyszli przed budynek przedszkola. Sypało coraz

mocniej, płatki śniegu wydawały się większe i cięższe niż przed godziną, wtedy wirowały, a teraz opadały po linii prostej w dół, na schody i na ich ubrania. Śnieżne chmury wisiały nisko po horyzont wyznaczony z jednej strony przez wieżowce, z drugiej przez pięciokondygnacyjne bloki. W większości okien rozbłysło światło, ludzie musieli wspierać się elektrycznością, bo w powietrzu wciąż wisiała szarość zimowego poranka spotęgowana przez padający śnieg. Nawet wieża kościoła Świętego Wojciecha ginęła za śnieżną kurtyną.

Milena poprawiła kaptur i cofnęła się pod drzwi przedszkola, żeby się nie znajdować w zasięgu padającego śniegu. On ruszył do bramy. Otworzył ją i czekał. Po kilku minutach z Podgórnej w Wiejską skręciła ciężarówka, a za nią kolejne opancerzone pojazdy, sześć radiowozów, dwa autobusy i na końcu ponownie ciężarówka. Wszystkie były pokryte warstwą śniegu. Kamil ze zdumieniem zobaczył, jak z autobusów wysypują się antyterrorysty w czarnych kombinezonach i kominiarkach, jak gdyby zaraz mieli wkroczyć do akcji. Z pierwszego radiowozu wysiadły trzy osoby i ruszyły w stronę drzwi przedszkola, przy których stała prokurator Łempicka. Gdy Kamil się do nich zbliżył, Milena zdążyła już wszystkim podać rękę.

— Jeszcze dwa dni takich opadów, a musielibyśmy do was na saniach przyjechać — odezwała się niewysoka kobieta w czarnym kombinezonie.

W przeciwieństwie do kolegów nie miała na sobie kominiarki, lecz kaptur, spod którego wyglądały zielone oczy. Inspektor Ada Kamińska była szefem grupy antyterrorystycznej. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn, komisarz Piotr Kowalik i inspektor Oleg Semeniuk.

— Wy od razu do boju? — zagadnął Kamil, wskazując na ich kominiarki.

— Na akcję zakładamy jeszcze hełmy — odezwał się Semeniuk.

Weszli w piątkę do przedszkola. Ada chciała się rozejrzeć w budynku, żeby wiedzieć, jak rozlokować ludzi i sprzęt. Zsunęła kaptur, odsłaniając czarne włosy sięgające połowy karku. Kamil

pomyślał, że to atrakcyjna kobieta mimo szerokiej twarzy i męskiej sylwetki. Szła pewnym krokiem, energicznie otwierała kolejne drzwi, przyciszonym głosem wydawała polecenia. Kazała umieścić elektronikę i broń w największej sali na parterze, a taktyczny sprzęt wyważeniowy w holu.

— Przysłać wam ludzi do pomocy? — zapytał Kamil.

Semeniuk ściągnął kominiarkę, jego ogolona czaszka zaśniła w elektrycznym świetle.

— Nie trzeba, dużo nas jest, poza tym nie lubimy, gdy inni dotykają naszego sprzętu.

Komisarz Soroka otrzymał wyraźny sygnał, że współpracy nie będzie, ewentualnie zostanie ograniczona do koniecznego minimum.

— Przywieźliście ze sobą prowiant? — pytał dalej.

Inspektor Ada Kamińska uśmiechnęła się szeroko, ale jej zielone oczy pozostały poważne i skupione.

— Nie. Mam jednak nadzieję, że nie dacie nam umrzeć z głodu w święta.

— Nie damy. Dostaniecie grochówkę i chleb.

— Jak dla mnie może być.

Znowu się uśmiechnęła samymi tylko ustami.

Gdy weszli do sali numer trzy, prokurator Łempicka wzięła z biurka plik kartek i podała Kamińskiej.

— Sądzę, że masz już elektroniczną wersję raportu, ale czasami na papierowej lepiej się czyta między wersjami.

— My między wersjami nie czytamy, nas interesują fakty — odezwał się Semeniuk.

Cała twarz Mileny rozpromieniła się w szczerym uśmiechu, tak innym od uśmiechu Ady.

— Panie inspektorze, czasami fakty znajdują się między wierszami.

— Co pani powie? A może powróży nam pani jeszcze z fusów.

Spojrzał na kubki z resztką czarnego płynu.

— Też bym się napiła kawy — mruknęła Ada.

Milena z rozbawieniem w oczach zwróciła się do Kamila:

— Komisarzu, pamiętasz, gdzie jest kuchnia?

Zgarnął z blatu biurka kubki i wyszedł z sali, za nim ruszył Oleg Semeniuk.

— Skąd jesteś? Nazwisko masz niepolskie — zagadnął Kamil, siląc się na uprzejmy ton.

— Urodziłem się we Wrocławiu, a nazwisko mam ukraińskie jak ty.

— Moje jest polskie.

— Jak nie chcesz się przyznawać do pochodzenia, to twoja sprawa, ale powiem ci, że Soroków na Ukrainie jest tylu, co Kowalskich w Polsce.

Inspektor naciągnął kominiarzkę i skierował się do wyjścia, a Kamil udał się do kuchni. Gdy wrócił z kawą do sali, Ada siedziała na stoliku dla przedszkolaków, opierając nogę na krzeselku. Wyglądała jak kulturystka prezentująca muskularne barki i nogi. Musiała połowę życia spędzić na siłowni, bo kobiety takie się nie rodzą.

Podał jej kawę, drugą postawił przed Kowalikiem.

— My przejmujemy dowodzenie, wy wykonujecie polecenia— zakomunikowała inspektor Kamińska. — Mamy tylko jedną łączność radiową, naszą. Nie może być wydany żaden rozkaz bez mojej wiedzy, dlatego dostaniecie od nas krótkofalówki i będziecie na podsłuchu. Przywieźliśmy grupę szturmową, zespół od wybuchów i techniczno-logistyczny, także zespół negocjatorów. Nie mamy pododdziału medycznego. W tej kwestii liczymy na was.

Ada przyjrzała się koziółkom wymalowanym na kubku, potem uniosła wzrok na komisarza Sorokę.

— Szpitale zostały poinformowane o sytuacji, lekarze są w gotowości — oznajmił Kamil.

— To dobrze, ale nie o to mi chodziło. Mogą być potrzebni ratownicy medyczni, którzy wejdą za oddziałem szturmowym do bloku i będą ewakuować rannych, w razie potrzeby udzielać pierwszej pomocy. To muszą być ludzie przeszkoleni do działania w sytuacjach kryzysowych.

Komisarz gorączkowo szukał rozwiązania. Niech jednostka

specjalna wie, że w Elblągu działa się szybko i sprawnie. W pierwszej chwili pomyślał, żeby poprosić o pomoc garnizony wojskowe, ale czy któryś z nich dysponował oddziałem medycznym? Chyba nie. Pozostawiali ratownicy medyczni ze szpitali, można by ich było szybko przeszkolić do działania w warunkach ataku terrorystycznego. Miał świadomość, że to nie zadowoli inspektor Kamińskiej. Nagle go olśniło, straż pożarna była idealnym rozwiązaniem.

— Jeszcze dzisiaj zorganizuję oddział medyczny ze strażaków — oznajmił. — Jednostki ochrony przeciwpożarowej mają swoich ratowników medycznych, wolno im transportować ludzi i udzielać pomocy w strefie zagrożenia, a za taką możemy uznać blok zajęty przez terrorystów.

Ada kiwnęła głową z uznaniem.

— Przydałoby się co najmniej czterdziestu ratowników medycznych. Za osiem godzin chciałabym poznać nazwisko ich szefa, oni też otrzymają od nas krótkofalówki i to ja będę wydawać im polecenia.

Spojrzała na komisarza Kowalika, który dopiero teraz zdjął kominiarkę, odsłaniając poranioną twarz.

— Jestem członkiem zespołu negocjacyjnego. — Rozsunął zamek kurtki, pokazując odznakę negocjatora, na której widniała wyciągnięta dłoń, a na niej kula ziemiska. — Zanim przystąpimy do pracy, chcielibyśmy porozmawiać z waszymi negocjatorami.

— Mamy tylko jednego, starszego aspiranta Edwarda Kuntza z Gdańska — zakomunikowała prokurator Łempicka.

— Tylko jednego? — W głosie Kowalika pojawiło się zdumienie. — I to jeszcze z Gdańska? Na miejscu nikogo nie macie?

— Mamy — wtrącił się Kamil. — Trzech funkcjonariuszy u nas nosi takie znaczki. — Wskazał na pierś Kowalika. — Nasi negocjatorzy mają głównie doświadczenie w ratowaniu potencjalnych samobójców. Kuntz więcej potrafi, parę razy negocjował podczas wzięcia zakładnika. Ostatnio negocjował, gdy ojciec rodziny wziął na

zakładników trójkę swoich dzieci, żonę i sąsiadkę.

Kowalik kiwnął głową na znak, że wszystko jasne. Grzbietem dłoni potarł zmasakrowany policzek. Zapewne swędziały go gojące się rany.

— Przywieźliśmy dwa zespoły negocjacyjne, każdy złożony z trzech osób: negocjatora głównego, który prowadzi rozmowy, drugi negocjator przysłuchuje się i opracowuje profil terrorystów, a trzeci poszukuje potrzebnych informacji. Zespoły negocjacyjne zmieniają się co dwanaście godzin.

— Na razie to nie ma z kim negocjować, terroryści się jeszcze nie odezwali — oznajmiła Milena.

— To nie do końca prawda — stwierdził negocjator z wyraźną wyższością człowieka, który zna się na rzeczy, a rozmawia z amatorem. — Przecież sformułowali żądania i je przekazali. Raz się odezwali, to i kolejny raz to zrobią.

— Oby nie w ten sam sposób — zauważył Kamil. — Kolejny zakładnik z listem w kieszeni wyrzucony przez balkon nie jest nam potrzebny.

— Nie jest — zgodziła się Ada. Wskazała palcem na raport. — Tutaj są tylko informacje o mieszkańcach i samym wieżowcu, chciałabym jeszcze szczegółowy raport z przebiegu sytuacji zakładniczej, minuta po minucie.

— Przyniosę ci go za pół godziny.

Obawiał się, że może przesadził, przechodząc na „ty” z dowódcą, ale Ada nie zaprotestowała, nie rzuciła też żadnego złośliwego komentarza.

Kamil wyszedł z sali i udał się do kuchni po trzeci kubek kawy. W holu antyterrorystów rozstawiali skrzynki, wnosili je także do dwóch pomieszczeń. Nadal mieli na sobie kominiarki, ich starania o zachowanie anonimowości były godne podziwu. Tylko jeden człowiek w czarnym kombinezonie pokazywał swoje oblicze, był to inspektor Semeniuk. Stał pośrodku holu i wskazywał antyterrorystom kierunki. Dominował nad wszystkimi wzrostem

oraz szerokością ramion. Komisarz Soroka podszedł do niego i wręczył mu kawę. Tamten podziękował i trzema łykami wypił połowę kubka.

Część skrzyń nie była zamknięta, Kamil mógł więc przyjrzeć się młotom, łomom, nożycom i taranom.

— Co? Rozczarowany? — zagadnął Semeniuk.

— Trochę, spodziewałem się nowych technologii, a tu wieje tradycją. Takie młoty i łomy to my też mamy.

— A jak często ich używacie?

— Rzadko — przyznał. — Gdy trzeba otworzyć jakieś drzwi, dzwoniemy po ślusarza, ale nie z lenistwa, raczej chodzi o ewentualną wypłatę odszkodowań. Ślusarz generuje mniejsze straty materialne.

Semeniuk uśmiechnął się, doceniając autoironię komisarza.

— Młot, niby takie proste narzędzie, a trzeba umieć nim przywalić, zwłaszcza w Polsce, bo w Stanach można kopniakiem drzwi wywalić. Kilku chłopaków od nas umie się nim posługiwać, trzy uderzenia i już wejście do lokalu otwarte.

— Chcecie wyważać drzwi do każdego mieszkania w wieżowcu?

— Kolego, na tym polega szturm.

— A nie lepiej zadzwonić i poczekać, aż lokator sam je otworzy? Byłoby szybciej, a po akcji mięśnie by mniej bolały.

Kamil nie próbował ukryć złośliwego tonu, ale i tak nie udało mu się wyprowadzić z równowagi Semeniuka, który spokojnie wyjaśnił:

— Ludzie będą tak przerażeni, że nikt nie otworzy dobrowolnie drzwi. Szturm to nie jest potyczka kiboli. Przypomnij sobie swoje pierwsze spotkanie z granatem hukowym. Co? Bolało?

Trzech antyterrorystów wniosło do holu tyczki pirotechniczne. Semeniuk pokierował ich do szatni dla przedszkolaków.

— To wam się nie przyda — zauważył Kamil. — Podczas wybuchu może zostać ranny zakładnik.

Inspektor oddał mu pusty kubek i wskazał drogę do kuchni.

— Kolego, na szczęście to ja decyduję o tym, jaki sprzęt weźmiemy do szturmu, a teraz zrób mi jeszcze jedną kawę, ale z mlekiem. Mam

nadzieję, że to nie problem.

— Żaden problem, jesteśmy w przedszkolu, tutaj mleka nie brakuje.

Komisarz Soroka ruszył w stronę kuchni z mocnym postanowieniem udowodnienia, że elbląski glina bez wsparcia przeszkolonej brygady i całego tego sprzętu jest w stanie wyrwać prawie dwustu zakładników z rąk terrorystów. Uda mu się to, jeśli tylko ustali, kto jest po tej drugiej stronie, kto się kryje za wielką płytą jedenastokondygnacyjnego budynku.

Rozdział XI

SZYMKOWI NIE PODOBAŁO SIĘ, że Monika pali w obecności ich córki. Wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa o czarnej barwie i włożyła go do ust. Dopiero teraz zauważył, że ma trochę spuchnięte wargi, a może mu się zdaje, może to trik wykonany za pomocą szminki, żeby usta wydawały się pełniejsze. Kiwnęła na brata, a ten podsunął jej ogień. Szymek nie zaprotestował. Uznał, że jego żona ma prawo koić nerwy w sposób, jaki jej najbardziej odpowiada. Dziś rano przyniosła od Ewy Różańskiej, u której spędziła noc, dwie paczki papierosów Black Devil. Wyjaśniła, że pozostały one sąsiadce po ostatnim związku z poznanym w sanatorium fizykiem jądrowym, który ostatecznie okazał się bezrobotnym piekarzem.

Teściowa uchyliła drzwi balkonowe i zaczęła machać rękami, jak gdyby chciała wygnać z pokoju dym papierosowy.

— Mamo, zamknij! Zimno! — zawołała Aśka.

Żona Zenka wyglądała źle bez makijażu, zwykle wykonanego bardzo perfekcyjnie, była przecież właścicielką salonu urody. Monika zaproponowała jej rano swoje kosmetyki, ale Aśka nie skorzystała, angażując wszystkie swoje siły w narzekanie. Teraz na jej twarzy dobrze wyglądały jedynie brwi, choć mocno kontrastowały z bladą, zmęczoną cerą. Uroku nie dodawała jej wymięta bluzka i oklapnięta fryzura. W porównaniu z nią Monika prezentowała się znakomicie w dopiero co umytych włosach i delikatnym makijażu.

— Smakuje wam szynka z dzika? — zapytała teściowa.

Szymek machinalnie kiwnął głową, choć jeszcze jej nie spróbował. Za to Aśka kończyła jeść kolejny plaster mięsa.

Matka Moniki uśmiechała się, dzwoniąc łyżeczką w herbacie.

— To od naszego znajomego, jest myśliwym, sam wędzi —

oznajmiła z dumą.

— A wiecie, w jaki sposób myśliwi kończą udane polowanie? — zagadnął teść.

Szymek co roku słyszał ten kawał i zawsze się z niego śmiał, bo tak wypadalo. Teraz machinalnie dopowiedział dalszy ciąg:

— To oczywiste, strzelają sobie po jednym.

Nikt się nie zaśmiał, a ojciec Moniki spojrzal na niego z wyrzutem. Jeszcze wczoraj Szymek byłby zakłopotany tym, że zepsuł teściowi kawał, ale teraz poczuł dziecinna satysfakcję. Żeby ją w sobie ugruntować, dodał jeszcze:

— Tato, mam nadzieję, że w następane święta opowiesz nam nowy dowcip, bo ten już znamy.

Starszy mężczyzna powoli przeżuwał wędlinę. Gdy ją przełknął, oznajmił chłodno:

— Postaram się.

Zenek wyjął z paczki papierosa, przez chwilę obracał go w palcach, jak gdyby zastanawiał się, czy na pewno chce zapalić. W końcu zdecydowanym ruchem umieścił go między wargami. Nie podniósł zapalniczki leżącej tuż pod ręką, lecz pochylił się nad stołem, przytykając końcówkę czarnego papierosa do płomienia świeczki.

— Zgaś — polecił Szymek.

Zenek dmuchnął. Płomień świeczki się wydłużył, po czym zgaś.

— Nie świeczkę! Kiepa zgaś!

Szymek miał wrażenie, że to nie on mówi. Nigdy niczego szwagrowi nie zabronił. W ogóle starał się nie formułować żadnych zakazów, a to od momentu, gdy dziesięć lat temu na wycieczce szkolnej kazał uczniowi oddać piwo. Chłopak zareagował szczerym śmiechem, który udzielił się jego kolegom i koleżankom. Młodzież się zaśmiewała, a on czuł się bezradny. Od tamtej pory starał się nie zauważać uczniów popalających papierosy lub trawkę za szkołą, wolał nie widzieć żadnego niestosownego zachowania.

Zenek zaciągnął się papierosem, po chwili wydmuchnął dwa obłoczki dymu. Szymek zaczął się zastanawiać, czy nie wyrwać mu

fajki i nie rozgnieść jej w jego talerzu, na którym znajdowała się sałatka jarzynowa. Sekundy mijały, a on nie umiał podjąć decyzji. Niepotrzebnie się namyślał, powinien działać z rozpędu. Końcówka papierosa rozżarzyła się, gdy Zenek ponownie się zaciągnął.

Szymek powrócił myślami do wizji, która dopadła go dziś po przebudzeniu. Święci mikołajowie wchodzą do ich mieszkania i znowu każą mu wybierać, ale tym razem spośród członków własnej rodziny. Kogo skazałby na śmierć? W pierwszej chwili pomyślał o teściach, bo najstarsi, już się nacieszyli życiem. Teraz jednak pokazałby palcem na szwagra. Nigdy go nie lubił. Zenek wielokrotnie przytykami i złośliwościami dawał mu do zrozumienia, że nie zasługuje na Monikę. Już ich pierwsze spotkanie było katastrofą. Siedemnaście lat temu leżał z Moniką na plaży w Stegnie. Nagle pojawił się jej dziewiętnastoletni brat z dwoma kolegami, wszyscy trzej wysportowani i opaleni, wyglądali jak modele. Spojrzenie Zenka zdawało się mówić: „Siostra, skąd wzięłaś tego cieniasa”. Z ironicznym uśmiechem zaproponował wyścigi w pływaniu, kto pierwszy pokona trasę do boi. Szymek chciał się wykręcić, nie był dobrym pływakiem, przyjął jednak wyzwanie, bo Monika oznajmiła, że będzie mu kibicować. Dla tej blondynki w dwuczęściowym stroju kąpielowym w biało-czarne pasy był gotów się utopić. Niewiele brakowało, a tak by się zakończyła jego rywalizacja z bratem ukochanej. Zimna woda sparaliżowała mu mięśnie i odebrała oddech. Po przepłynięciu piętnastu metrów fala przykryła mu głowę. Koledzy Zenka odholowali go na brzeg. Przez kilka minut klęczał na piasku i opróżniał żołądek z morskiej wody. Blamaż totalny, nawet świeżo obroniony dyplom magistra historii wtedy go nie ratował.

— Mamo, przestań dzwonić! — wrzasnęła Aśka.

Łyżeczka w dłoni teściowej znieruchomiała, a ona sama skuliła się przestraszona. Wszyscy byli zaskoczeni wybuchem Aśki. Owszem, zdarzało jej się podnieść głos, zwykle na córkę, czasami na męża, ale na teściów nigdy. Zenek skarcił wzrokiem żonę, ta się zaczerwieniła po nasadę platynowych włosów.

— Przepraszam — mruknęła i się rozplakała.

Teściową łatwo było dotknąć, ale na szczęście nie gniewała się długo. Teraz pogłaskała synową po dłoni.

— Kochanie, nie płacz, Matka Boska Licheńska nad nami czuwa.

Szymek odruchowo uniósł wzrok na obraz wiszący obok telewizora.

— Ona ma nas w dupie.

Wypowiedział te słowa z rozmysłem, nie chciał jednak sprawić przykrości teściowej, nawet ją lubił, miał po prostu dosyć tych jej licheńskich świętości. Monika zawsze mu przypominała, żeby nie uraził uczuć religijnych mamusi, jak gdyby robił to codziennie. Teraz rodzina patrzyła na niego z wyrzutem, jak mógł być tak obcesowy. Jedynie jego syn parsknął śmiechem, aż kawałek wędliny wypadł mu z ust. Monika natychmiast go pouczyła:

— Jak ty się zachowujesz? Uważaj! Dzisiaj położyłam nowy obrus.

— Tata ma rację, ta kobieta z obrazu nam nie pomoże. Musimy czekać na antyterrorystów.

Teściowa wyglądała na zdruzgotaną. Brak wiary wnuka był dla niej większym ciosem niż uwięzienie przez terrorystów.

— Miejmy nadzieję, że wszystko dobrze się skończy — powiedział pojednawczo teść. — To może w tej intencji napijemy się wiśnióweczki. — Sięgnął butelkę i zaczął polewać. — Monia, daj jeszcze jeden kieliszek, Rafałek też się napije.

— Dziadku, ja nie chcę.

— Z dziadkiem się nie napijesz?

Rafał spojrzał błagalnie na ojca, prosząc go o interwencję.

— On jest jeszcze niepełnoletni — odezwał się Szymek.

Teść nie słuchał, już napełnił kieliszek stojący przed wnukiem.

— Jaki niepełnoletni? Ma przecież szesnaście lat. Ja byłem młodszy od niego, gdy zacząłem pić.

Szymek miał już wyciągnąć rękę po kieliszek syna, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy znieruchomieli, zamieniając się w bożonarodzeniowy obraz, rodzina przy stole, a w tle choinka. Zaraz do mieszkania wejdą terroryści i kogoś zabiją.

Szymek poczuł strach, ten sam co wczoraj, gdy dwóch świętych mikołajów chciało go wyrzucić z dziesiątego piętra. Był to lęk pierwotny, niezakłócony żadnym innym uczuciem, czyste przerażenie związane z realnym zagrożeniem. Trząśnięcie w środku, wręcz się rozpadał na kawałki. Nie myślał o bezpieczeństwie dzieci i żony, oni byli nierealni, prawdziwy był tylko jego strach. Krysia pierwsza przerwała martwość, która ogarnęła całą rodzinę. Rzuciła lalkę dziadkowi pod nogi i zaśmiała się beztrosko. Pirat z czarną opaską na oku leżał na plecach z rozrzuconymi nogami i rękami. Wyglądał groźnie, choć to tylko lalka.

Znowu ktoś zapukał do drzwi. Dopiero teraz Szymek zauważył, że jest to pukanie dyskretne, ostrożne, tak nie pukają terroryści, oni waliliby pięściami. Odetchnął z ulgą. Pozostali też zrozumieli, że nic im nie grozi, bo ich twarze drgnęły, dłonie się poruszyły, do ich ciał wróciło życie. Zenek zgasił papierosa i wyszedł do przedpokoju. Słyszeli, jak otwiera drzwi, potem dobiegły do nich przyciszone głosy. Po chwili w drzwiach pokoju stanęła Ewa Różańska.

— Kochani, chyba mnie nie wygonicie? Nie chcę sama siedzieć w mieszkaniu, bo czarne myśli mnie nachodzą.

Monika zerwała się zbyt raptownie, uderzyła kolaniem w stół, zadźwięczały filiżanki w spodeczkach. Podeszła do sąsiadki z wyciągniętymi ramionami. Objęły się i zaczęły całować w policzki, jak gdyby nie widziały się kilka miesięcy, a przecież spędziły razem noc.

— Kochani, co teraz zrobimy? Najchętniej bym się gdzieś schowała, myślałam, czy nie do szafy albo pod łóżko.

Monika włożyła w dłoń sąsiadki kieliszek z wiśniówką. Tamta od razu go opróżniła. Chyba nie spodziewała się tak mocnego alkoholu, bo na moment zabrakło jej tchu. Przyłożyła dłoń do klatki piersiowej i załzawionymi oczami spojrzała na ojca Moniki.

— Panie Waldku, już zapomniałam, jak smakują pana nalewki.

Założyła nogę na nogę, odsłaniając kolano. Miała na sobie rajstopy w róże i kapcie z pomponem. Szymek zastanawiał się, czy sąsiadka

jest wystrojona, czy może dzisiaj włożyła to, co wpadło jej pod rękę. U obcych kobiet nigdy nie potrafił tego ocenić, zwłaszcza u takich po pięćdziesiątce.

— Dobrze, że pani przyszła, razem zawsze raźniej — odezwała się Aśka.

Monika postawiła przed sąsiadką talerz i bez pytania nałożyła jej sałatkę oraz dziczyznę.

— Dziękuję, kochana, w mieszkaniu mam dużo jedzenia, ale nie miałam ochoty jeść w samotności. Przyniosę wam potem potrawkę z łososia, naprawdę jest wyśmienita. Jedno w tym wszystkim jest dobre, że nie umrzemy z głodu.

Jadła, machając nogą, a z każdym ruchem kapeć przesuwiał się w stronę palców. Przyszła do nich, żeby poczuć się bezpieczniej, nadal jednak była przerażona, usta jej drżały, oczy sprawiały wrażenie wytrzeszczonych.

— Panie Zenku, może ma pan pomysł na ratunek dla nas.

Brat Moniki sięgnął kolejnego papierosa.

— Dziwi mnie, że nikt jeszcze nie próbował wyskoczyć z balkonu na drugim piętrze, to przecież nie jest tak bardzo wysoko, siedem metrów, może trochę więcej. — Spojrzał na żonę i córkę. — Gdybym był sam...

Aśka rzuciła widelcem, który odbił się od talerza i spadł na dywan.

— Chcesz, to idź, ja cię nie zatrzymuję.

— Przestań — warknął Zenek.

Ewa machnęła nogą na tyle mocno, że kapeć spadł ze stopy, odsłaniając dziurę w rajstopach na dużym palcu.

— Też o tym myślałam w nocy, żeby po prześcieradłach zejść z drugiego piętra.

Szymek wyobraził sobie korpulentną, pięćdziesięcioletnią sąsiadkę schodzącą po prześcieradle z balkonu. Zachichotał w duchu.

— Też bym zeszła — odezwała się Marysia.

Matka spojrzała na nią surowo.

— Żebyś spadła? Zaraz ci pozwolę.

Piętnastoletnie ciało Marysi wydawało się pozbawione tkanki mięśniowej. Mimo obszernego sweterka widać było ostre wypukłości obojczyków i łopatek. Paluszki cieniutkie ze sterczącymi kosteczkami raczej nadawały się do operowania igłą niż do schodzenia siedem metrów po prześcieradle. Zenek zdawał się nie zauważać mikrej postury córki.

— Obwiążemy Marysię sznurkiem w pasie, będę ją zabezpieczał. A Krysię włożymy w śpiwór i spuścimy na linie.

— Zenuś, zapomniałeś o matce — odezwał się teść.

— Mamę zabezpieczymy jak Marysię. Będzie schodziła po prześcieradle, a my ją będziemy dodatkowo trzymać na linie.

Szymek nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Zenek snuł nierealną wizję ucieczki, co najgorsze, wszyscy mu przytakiwali, nawet Aśka. Gdzie się podział zdrowy rozsądek tych ludzi? Gdzie jest ich strach?

Zenek strzepnął popiół i oddał papierosa siostrze.

— Chodź, Szymuś! Zobaczymy, jak to wygląda z drugiego piętra.

— Zwariowałeś — wyszeptał Szymek.

— Ze wszystkich planów zawsze najlepszy jest plan ucieczki, każdy mąż tak uważa. Chodź! Idziemy.

Zenek wstał.

Szymek poczuł ucisk na żebra jak wtedy, gdy leżał przewieszony przez parapet okna na dziesiątym piętrze. Patrzył wówczas z przerażeniem na zaśnieżony chodnik oddalony o dwadzieścia pięć metrów. Nie czuł się w tamtym momencie człowiekiem, był roztrzęsioną kupą mięsa. Tylko on wiedział, z jak niebezpiecznymi ludźmi mieli do czynienia, tylko on zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Zenek nie natknął się na terrorystów, jemu zagrożenie mogło wydawać się dalekie i odrealnione, dlatego teraz odgrywał kozaka.

— Czy ty naprawdę wierzysz, że tak po prostu pozwolą nam uciec przez balkon na drugim piętrze? I jeszcze może nam z góry pomachają?

— Szwagier, nie trzęś dupą, zrób coś dla swojej rodziny.

— Nie będę ich narażał na upadek z wysokości siedmiu metrów. Zejście po prześcieradłach tylko na filmach wygląda na proste. Ty może dałbyś radę, ale nikt z nas.

— Zenuś, idź sam, zbadaj teren — odezwał się teść. — A on niech siedzi w ciepełku. — Ojciec Moniki kaszlnął i niby przypadkiem z jego ust wypadło jeszcze jedno słowo: — Tchórz.

Zenek wyciszył telefon i schował go do kieszeni spodni. Przystojny, wysportowany i w dodatku odważny, Ewa Różańska patrzyła na niego z podziwem, a rodzice z dumą.

— Może od razu weźmiesz prześcieradła? — zagadnął Szymek.

— Zamknij się — syknęła Monika. — Mój brat chociaż próbuje coś robić, a ty...

Chciał powiedzieć, że wczoraj zszedł do piwnicy, aby tamtędy znaleźć drogę ucieczki, i omal nie przyplacił tego życiem. Nie zdołał jednak wydusić z siebie słowa. Pogardliwe spojrzenie żony sparaliżowało mu struny głosowe. Patrzyła na niego jak na śmiecia. W głębi ducha rodził się w nim bunt. Dlaczego ona nie rozumie, że on kieruje się rozsądkiem?

— Wujku, pójdę z tobą — oznajmił cicho Rafał.

Szymek czuł się tak, jak gdyby dostał nożem w plecy. Nawet własny syn uznał go za tchórze i teraz czynem chciał zmazać ujmę z honoru rodziny. Nie może na to pozwolić. Wstał i wyszedł z pokoju za Zenkiem. Pamiętał, żeby włożyć buty, nie chciał kolejnego spotkania z terrorystami w kapciach. Tam za drzwiami byli niebezpieczni ludzie z bronią, bał się, drżały mu łydki. W mieszkaniu nie mógł jednak zostać, bo gdzie by się skrył przed pogardliwym wzrokiem żony. Tym swoim spojrzeniem wypychała go na klatkę, grymasem twarzy mówiła mu, że jeżeli nie wyjdzie, to będzie zerem.

Zenek otworzył drzwi i przekroczył próg, on zaraz za nim. Na klatce panowała cisza, żadne odgłosy nie dobiegały z mieszkań, ludzie bali się pogłośnić telewizor, nikt nie ośmielił się zaśpiewać kolędy, nawet dzieci nie hałasowały. W tej ciszy ich kroki zabrzmiały niepokojąco głośno, spotęgowane jeszcze przez echo klatki schodowej. Szymek

liczył stopnie, jak gdyby to miało pomóc w pokonaniu dwóch pięter. Najtrudniejsze były zakręty, gdy w zasięgu wzroku pojawiała się nowa przestrzeń. Złęknionym wzrokiem wypatrywał stojącego za ścianą świętego mikołaja. Stanęli wreszcie na drugim piętrze. Szymek zapukał do mieszkania Łukasza Bociana, tamten otworzył dopiero po minucie.

— Możemy wejść? — zapytał szeptem Szymek.

— Wchodźcie.

Znaleźli się w ciasnym przedpokoju.

— Przechodźcie dalej.

Weszli do kolejnego pomieszczenia, tu znajdowało się pięć par drzwi. Wyglądało na to, że nigdzie nikogo nie ma, choć stół w największym pokoju był zastawiony na cztery osoby. Szymkowi przyszło do głowy, że pozostali członkowie rodziny Bociana już uciekli przez balkon.

Sąsiad zapukał do toalety i powiedział:

— Możecie wyjść.

Klucz przekręcił się od środka i z pomieszczenia liczącego dwa metry kwadratowe wyszły trzy dorosłe osoby.

Bocian przedstawił im swoją żonę Natalię, siostrę żony Gosię i jej męża Artura. Obie kobiety były w ciąży. Szymek ocenił, że Natalii niewiele brakuje do porodu. Miała brzuch jak Monika w dziewiątym miesiącu z Krysią.

— Mamy pomysł, żeby uciec przez wasz balkon — oznajmił Zenek.

Bocian pokręcił przecząco głową.

— To nie jest dobry pomysł. Wy uciekniecie, a my zostaniemy. TERRORYŚCI na pewno tu przyjdą, jeśli wam się uda. Jak myślicie, co z nami zrobią?

— Moglibyście schować się u nas — oznajmił Zenek. — Gdyby TERRORYŚCI tu przyszli, w mieszkaniu nikogo by nie było.

Bocian nie skomentował tej propozycji. Spojrzał z niepokojem na swoją żonę, która usiadła na kanapie, kładąc nogi na fotelu. Szymek domyślił się, że puchną jej stopy. Monika też często przyjmowała

taką pozycję.

— Tylko we dwóch chcecie wiać? — zapytał Artur.

— Nie, jeszcze nasze żony, dzieci i moi rodzice.

Artur roześmiał się, jak gdyby usłyszał dobry żart. Wiele rzeczy musiało go bawić, częsty śmiech wpłynął na jego rysy twarzy, oczy mu się śmiały, usta też. Bocian jednak podszedł do sprawy z pełną powagą. Oglądając własny kciuk, zapytał:

— Ile wam zajmie ucieczka z drugiego piętra przez balkon?

— Dziesięć minut — odpowiedział Zenek.

— Na pewno nie, minimum pół godziny i to pod warunkiem, że będziecie mieli przygotowaną porządną drabinę sznurową. Mam też poważne wątpliwości, czy wszyscy zdołacie po niej zejść, do tego naprawdę potrzebna jest odwaga. Dzisiaj z Arturem stanęliśmy na balkonie, przy barierce i jak sobie pomyślałem, że miałbym przez nią przełożyć nogi... Zresztą sami zobaczcie.

Łukasz podszedł do balkonu.

— Nie otwieraj, bo mnie przewieje! — zawołała Natalia. — Wyjdźcie sobie na tamten balkon. — Machnęła ręką w stronę przedpokoju.

Bocian poprowadził ich na drugą stronę mieszkania. Weszli do pokoju, w którym stało dziecinne łóżeczko obciążone folią, a na ścianach wisiały kolorowe plakaty z postaciami z bajek. Czuło się tutaj serce kochających rodziców, którzy czekają na dziecko.

— Na kiedy twoja żona ma termin? — zapytał Szymek.

— Na pierwszego stycznia. Obiecała mi, że nie będzie wcześniej rodzić.

W czwórkę wyszli na balkon. Żaden z nich nie miał kurtki ani nakrycia głowy. Skrzyżowali na piersiach przedramiona, próbując w ten sposób zatrzymać trochę ciepła. Ich oddechy zawisły w mroźnym powietrzu. Sypało, białe płatki śniegu tworzyły kurtynę, za którą stał policyjny kordon, a dalej, przed „Biedronką”, grupka ludzi skupiona przy rozświetlonej złotymi gwiazdkami choince. Szymek patrzył na nich jak na aktorów biorących udział w świątecznym spektaklu. Po chwili dotarło do niego, że tamci tak

samo widzą jego i pozostałych zakładników.

— Przyszli na nas popatrzeć jak na mały w klatce — padło z ust Artura.

Stanęli przy barierce. Szymek wyobraził sobie, że przekłada przez nią nogi i próbuje w dwudziestostopniowym mrozie zejść po niestabilnej drabince splecionej z prześcieradeł. W tej chwili siedem metrów wydało mu się dystansem maratońskim. Nie pokona go.

Bocian pokazał palcem w dół.

— Zejście na chodnik zajmie wam więc jakieś pół godziny, a terrorystom wystarczy pięć minut na dotarcie tutaj i wyważenie drzwi. Sami myśleliśmy o ucieczce przez balkon, ale Natalia i Gośka nie dałyby rady, i tak jest w każdej rodzinie, zawsze znajdzie się ktoś, kto nie da rady zejść, a terroryści o tym wiedzą.

Zenek milczał wpatrzony w chodnik. Zrozumiał, że ucieczka przez balkon całej rodziny jest nierealna.

Artur poklepał go po plecach.

— Jeśli coś wydaje się łatwe, to tak naprawdę jest cholernie trudne. A jeśli coś wydaje się trudne, to jest niewykonalne. Pozostaje nam czekać na pomoc z zewnątrz. — Skulony podszedł do drzwi balkonowych. — Jeśli się zaraz nie schowamy, to szybciej nas zabije zapalenie płuc niż terroryści.

Szymek przyznał mu w duchu rację. Jeszcze jeden oddech na tym mrozie, a zamieni się w sople lodu.

Nagle rozległ się krzyk. Jakaś kobieta, nie zważając na mróz zabijający płuca, otworzyła usta, żeby wydać z siebie dźwięk będący ostrzeżeniem. Właśnie tak Szymkowi skojarzył się ten okrzyk dochodzący zza policyjnego kordonu, jako chęć zapobieżenia tragedii. Szymek cofnął się o krok, czując, że zaraz coś strasznego się stanie. Drugi okrzyk, który dotarł do jego uszu, wyrwał się z jego własnego gardła. Okrzykowi towarzyszył jeszcze jeden dźwięk, huknięcie ciała o zmrożoną ziemię. Ktoś wypadł z wieżowca. Szymek próbował zacisnąć pięści, żeby opanować dygot. Daremny wysiłek, miał zgrabiące palce, zamarzał.

— To kobieta — wyszeptał Zenek.

Miał rację, na śniegu leżała kobieta. Ciemna i drobna sylwetka odcinała się od wszechobecnej bieli. Krwi było niewiele, jedynie plama wielkości bochenka chleba tuż przy głowie. Jej ręce były ugięte w łokciach, jak gdyby chciała je podłożyć pod głowę. Widok był aż do bólu prawdziwy. Zamknięcie oczu by nie pomogło, bo obraz znajdował się już w mózgu.

Dwóch policjantów z kordonu rzuciło się w stronę ciała, ale nie dobiegli do niego. Jak na komendę obaj się cofnęli, wracając na swoje miejsca. Parę sekund później zza bloku wybiegły trzy osoby, dwie z noszami. Zbliżyli się do ciała kobiety. Jeden z mężczyzn się pochylił, po czym bardzo szybko wyprostował i pokręcił przecząco głową.

— Trup — skomentował Bocian.

Szymek miał wrażenie, że dusza mu zamarza, uczucie straszne, ale też kojące, bo dobrze jest nie czuć nic, nie bać się o siebie i rodzinę. Zenek i Łukasz wciągnęli go do pokoju. Ciepło wracało mu do ciała powoli, najpierw do dłoni i stóp, skóra piekła i swędziała. Artur i Łukasz energicznie rozcierali dłonie, a Zenek schował je do kieszeni spodni. Do pokoju zajrzała Gosia.

— Czy was pogięło? Nie mogliście się ubrać?

Żaden z nich się nie odezwał. Gosia przyjrzała im się uważnie.

— Co się stało? Mówcie!

— Żono moja kochana, zrób cztery herbatki i rumu nam nie żałuj — powiedział Artur, szcękając zębami po każdym słowie.

Gosia się nie ruszyła.

— Co się stało? Niczego nie ukrywajcie przede mną.

— No dobrze, powiem ci, bo i tak się dowiesz, tylko proszę, nie denerwuj się, bo dziecku zaszkodzisz.

Kobieta położyła jedną dłoń na brzuchu, drugą złapała się futryny.

— Wyrzucili kolejnego mieszkańca? Zgadłam?

Artur potwierdził ruchem głowy.

— Kobietę, wyrzucili kobietę — wyjaśnił Zenek.

Dopiero ta informacja przywołała na twarz Gosi przerażenie. Zrozumiała, że płęć jej nie uratuje, ciąży prawdopodobnie też nie. Niestety, nie byli bohaterami amerykańskiej produkcji filmowej, w której terroryści zwykle uwalniali kobiety i dzieci. Rzeczywistość okazała się okrutniejsza.

Usiedli w szóstkę do herbaty przy migającej czerwonymi światełkami choince. Zawieszona na niej elektryczne urządzenie zaczęło wygrywać melodię znanej kolędy. Nastrój był ciężki. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Wszyscy byli przygnębieni, a przede wszystkim niespokojni. Śmierć drugiego mieszkańca bardziej ich przeraziła niż pierwszego. Wczoraj zagrożenie znajdowało się gdzieś daleko, dzisiaj niemal zaglądało im do mieszkań. Natalia nadal trzymała nogi na fotelu, Łukasz wpatrywał się w ścianę, Gosia wcisnęła się w róg wielkiej kanapy, jak gdyby tam szukała schronienia. Nawet wesoła fizys Artura teraz zdawała się markotna. Zenek schował telefon do kieszeni. Esemesem zawiadomił Aśkę, że z nimi wszystko w porządku.

— Znaliście tę kobietę? — zapytał Łukasz.

— Ja tu nie mieszkam — odezwał się Zenek. — Przyszedłem na wigilię do siostry. Znam tylko tych starszych mieszkańców, bo kiedyś mieszkaliśmy tutaj z rodzicami.

Wszyscy spojrzeli na Szymka.

— Też jej nie kojarzę. — Odchrząknął. — W windzie może bym ją rozpoznał, ale leżącą na śniegu... sami rozumiecie.

Z ust Gosi wydobyło się głośne westchnięcie.

— Na pewno miała rodzinę. Może nawet wyrzucili ją na oczach męża i dzieci.

— Ciekawe, jakim kluczem się kierują? — zastanowiła się Natalia.

Szymek wiedział, o jaki klucz jej chodzi. Zaczął popijać herbatę. Parzyła go w usta, mimo to brał kolejne łyki. Chciał ukryć zdenerwowanie. Nikomu nie wyjawiał, że to on miał wylecieć z dziesiątego piętra, a terroryści darowali mu życie pod warunkiem, że wskaże osobę, która zginie zamiast niego. Bał się konsekwencji

prawnych: że sąd uzna go za współwinnego śmierci Romana Karolaka i pójdzie siedzieć. Jeszcze bardziej obawiał się sąsiedzkiego ostracyzmu. Dobrze wiedział, jak to się potoczy. Najpierw mieszkańcy mówiliby, że dobrze zrobił, wskazując tego degenerata i recydywistę. Z czasem jednak zapomnieliby, kim był Karolak, ale by pamiętali, że podczas ataku terrorystycznego ten nauczyciel spod trzynastki kazał wyrzucić z dziesiątego piętra sąsiada. Trochę mieliby racji, to, co zrobił, nie przynosiło mu chluby, a kryminalna przeszłość Karolaka nie była żadnym usprawiedliwieniem.

— Myślę, że parę osób jeszcze zginie, zanim policja nas odbije — oznajmił Łukasz.

Ponurym milczeniem przyznali mu rację.

— Myślicie, że to rzeczywiście ci Arabowie? — zapytała Natalia. — Nie widziałam ich, ale ktoś w internecie napisał, że jacyś w naszym bloku są.

— Na pewno oni, bo kto inny? — Gosia położyła obie dłonie na brzuchu, jak gdyby chciała tym gestem ochronić dziecko. — Dlaczego policja nic nie robi? Dlaczego nas nie ratują? Stoją tylko wokół bloku i telefonują do nas, i mówią, że mamy zachować spokój.

— Skarbie, muszę stanąć w obronie policji — odezwał się Artur. — Te telefony do mieszkańców nie są takie całkiem bez sensu. Przysłuchiwałem się, gdy Łukasz z nimi rozmawiał. Zadawali mu bardzo konkretne pytania.

— I co z tego? — zapytała poirytowanym tonem Gosia.

— To z tego, skarbie, że policja próbuje zebrać fakty na temat terrorystów. Chcą o nich się czegoś dowiedzieć. Zanim zniszczysz przeciwnika, najpierw musisz poznać jego siłę.

— Mężu kochany, przecież nikt z mieszkańców nie widział terrorystów.

— Skąd wiesz? Kurczę, przecież tu jest ponad sześćdziesiąt mieszkań, może ktoś akurat wyjrzał przez wizjer, gdy podrzucali listy na wycieraczki.

Znowu odezwało się urządzenie wiszące na choince, wygrywając

melodię znanej kolędy. Szymek nie mógł sobie przypomnieć tytułu. Zirykowało go to. Poza tym drażnił go upiorny elektryczny dźwięk. Dlaczego tego paskudztwa nie wyłączą? Odstawił szklankę z resztą herbaty. Miał zamiar wrócić do Moniki i dzieci, już się podnosił, ale w tym momencie szwagier wymierzył w niego palec.

— On wczoraj widział terrorystów. Tak wiał przed nimi, że kapcie zgubił. No, Szymuś, pochwal się sąsiadom.

Szymek zdrętwiał. Nie miał ochoty opowiadać o wczorajszym wydarzeniu i to o zmyślonej jego wersji. Wpatrywały się jednak w niego cztery pary oczu nienaturalnie rozszerzonych ciekawością.

Bocian przetarł palcami szkła okularów.

— Wszedłeś z mieszkania po tym wystrzale z broni maszynowej?

Szymek potwierdził ledwo widocznym ruchem głowy.

— No, niech mnie, masz jaja — skomentował Artur.

— No, Szymuś, nie daj się prosić, opowiedz, jaki z ciebie bohater — odezwał się Zenek.

Szymek wpatrywał się w swoje dłonie. Czuł, że nie ma wyjścia, nie wypuszczą go, dopóki im nie zrelacjonuje spotkania z terrorystami.

— Było ich dwóch, przebrani za świętych mikołajów. Natknąłem się na nich w piwnicy, zszedłem tam, żeby sprawdzić, czy da się uciec przez okno. Kazali mi spieprzać do mieszkania, dali mi trzy sekundy na zniknięcie, a potem mieli strzelać. Miałem skórzane klapki, ciężko by mi się w nich uciekało, wyskoczyłem więc z kapci i w nogi.

Wygłosił kwestię, którą przygotował dziś rano dla rodziny. Sąsiedzi słuchali go z zapartym tchem, jak gdyby wyjawiał im numery totolotka mające paść w najbliższym losowaniu.

— Mówili do ciebie po polsku? — zapytała Gosia.

— Tak, przez tubę, czyli po głosie bym ich nie rozpoznał.

— To znaczy, że to nie muzułmanie, to nasi, Polacy.

Gosia odetchnęła z ulgą.

Znowu rozległa się kolęda wygrywana przez elektryczny mechanizm. Szymek próbował znaleźć słowa pasujące do tej melodii,

ale niestety jego umysł zepchnął mało istotne informacje w niepamięć.

— Powiedziałeś o tym policji? — zapytał Łukasz.

— Tak, dziś rano rozmawiałem z aspirantem, chyba nazywał się Nowak. Pytał głównie o broń terrorystów. Powiedziałem mu, że mieli karabiny i na tym koniec moich spostrzeżeń.

— A konkretnie, to co chciał wiedzieć? — pytał dalej Bocian.

— Czy przy karabinach były lunety i jakiej szerokości były magazynki, czy na dwa palce, czy na cztery.

— Karabiny, mój Boże — szepnęła Gosia, przesuwając dłońmi po wystającym brzuchu.

Wyglądała na coraz bardziej przerażoną, za to Bocian się ożywił, wstał i zaczął krążyć po pokoju. Wyciągnął w górę jeden palec.

— Po pierwsze, lunety przy broni i szerokość magazynka, na to mamy zwrócić uwagę przy spotkaniu z terrorystami.

— Oby do takiego spotkania nie doszło — zauważyła rozsądnie Natalia.

Łukasz zdawał się jej nie słyszeć. Nakręcał się coraz bardziej. Wyciągnął drugi palec.

— Musimy ustalić, ilu terrorystów jest w bloku.

— Może przykleisz kartkę z pytaniem do drzwi piwnicy, tylko nie zapomnij podać swojego numeru telefonu. Terrorysty na pewno oddzwonią.

Artur żartował, ale jego rozbiegane spojrzenie dowodziło, że był mocno zaniepokojony. Być może obawiał się zapału Łukasza, tego, że tamten ściągnie na wszystkich nieszczęście.

— Nie możemy siedzieć na dupie i czekać, aż przyjdą nas zabić — przekonywał Bocian, chodząc po pokoju. Zaczepił ręką o choinkę, jedna z bombek spadła i z cichym trzaskiem rozbiła się o podłogę. — Możemy pomóc policji i przede wszystkim sobie. Zróbmy coś, ustalmy chociaż, ilu jest terrorystów.

Szymek był pod wrażeniem postawy Bociana. Ten niepozorny człowieczek o bladej cerze w bublowlatych okularkach gotów był

działać. Gdyby terroryści weszli do jego mieszkania, prawdopodobnie chwyciłby za broń, choćby kuchenny nóż. Sytuacja generuje bohaterów i tchórzy, on sam wczoraj okazał się tym drugim. Ze zwielokrotnioną siłą poczuł swoje upokorzenie. Żałował, że błagał tych bandytów o darowanie mu życia, na kolanach, ze smarkami na brodzie.

Bocian kontynuował:

— Trzeba by podzwonić po sąsiadach i poprosić, żeby czuwali przy wizjerach. A gdy już zobaczą świętego mikołaja, to niech zwracają uwagę na broń. Czy przy karabinach są lunety, no i na szerokość magazynków. Aha, trzeba się jeszcze przyglądać przebraniu, bo ono pozwoli nam ich policzyć. Wiecie, o co mi chodzi, mikołaj z podwiniętymi rękawami, Mikołaj w za dużym płaszczu albo za ciasnym.

— To dobry pomysł — odezwał się Zenek. — Szymuś, czy te przebrania terrorystów były identyczne?

— Tak.

— A buty też mieli takie same?

Szymek dobrze pamiętał, jak w piwnicy ze strachem podnosił głowę, a w zasięgu jego wzroku pojawiły się dwie pary czarnych butów.

— Tak, buty też mieli takie same, to akurat pamiętam, i okulary przeciwsłoneczne także.

— No dobra, powiedz, czy zauważyłeś coś, co ich różniło, może jeden był wysoki, a drugi niski?

— Obaj byli wysocy, bardzo wysocy, ode mnie o głowę.

Zenek podniósł w górę dwa palce.

— Czyli mamy dwóch wysokich terrorystów, takich powyżej metra dziewięćdziesięciu. Jeśli ktoś zobaczy niższych, to znaczy, że możemy doliczyć kolejnych.

Ponownie rozległa się irytująca melodia wygrywana przez elektroniczny mechanizm. Gosia zaczęła śpiewać pod nosem:

— „Cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszem”.

Szymek nie dowierzał, że to ta najpopularniejsza z kolęd. Parsknął śmiechem. Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

— Przepraszam — mruknął. — Pomyślałem sobie, że słowa tej kolędy brzmią jak żart.

Łukasz usiadł i przeniósł stopy żony na swoje kolana i zaczął je masować.

— Dwóch świętych mikołajów jest w piwnicy, trzeba ustalić, gdzie jest reszta terrorystów. Ich lokalizacja jest tak samo ważna jak liczba.

— To ma sens pod warunkiem, że się nie przemieszczają — zauważył Zenek.

Bocian spojrzał na Szymka.

— Ci z piwnicy wyszli za tobą?

Szymek przymknął oczy i niepewnie zaprzeczył ruchem głowy. Nie chciał kłamać. Bał się, że może tym doprowadzić do tragedii.

— Właściwie to nie wiem, nie oglądałem się za siebie.

— Myślę, że tam są — powiedział Łukasz. — Pilnują piwnicy, żeby nikt przez nią się nie wydostał na zewnątrz. No i na pewno liczą się z tym, że przez okienka piwniczne będzie próbowała wejść do wieżowca policja. Prawdopodobnie czuwają także na ostatnim piętrze, na ich miejscu bałbym się ataku od strony dachu. Może uda się ich zobaczyć przez wizjer, tylko trzeba cierpliwie stać i patrzeć. Trzeba ludzi do tego przekonać.

— Skarbie, nie baw się w podchody, to nie harcerstwo — poprosiła Natalia.

— Co złego jest w moim pomysle?

— Nic złego, to po prostu nie należy do naszych obowiązków.

— Mamy czekać, aż do nas przyjdą, żeby nas wyrzucić przez okno?
— Czerwone światełka choinkowe rzucały blask na białą koszulę Bociana, odbijały się też od szkielec jego okularów. Twarz pozostała blada, nijaka, jedynie zaciśnięte szczęki dowodziły, że ma charakterek i potrafi postawić na swoim. — My tu jesteśmy nowi, ale ty, Szymek, mieszkasz w tym bloku jakiś czas. Sądzę, że macie

z żoną numery telefonów kilku sąsiadów, a oni będą mieli kontakt do następnych. Poza tym do tych mieszkających na naszych piętrach można wdepnąć. A w ogóle, na którym wy mieszkanie?

— Na czwartym.

— No to wiemy, że terroryści nie stoją na każdym piętrze, ani na co drugim. Prawdopodobnie nie jest ich tak wielu.

Artur przeciągnął się, prezentując mięśnie przysłonięte cienkim swetrem. Wyglądał na wysportowanego jak Zenek. Wydawałoby się, że pierwszy zgłosi się do działania, on jednak zaprotestował.

— Łukasz, daj spokój, poczekajmy na policję.

Szymek przypomniał sobie, że gdy weszli do tego mieszkania, Artur chował się z dwiema kobietami w toalecie. On też najchętniej by się gdzieś ukrył wraz z Moniką i dziećmi, żeby tylko uniknąć ponownego upokorzenia w konfrontacji z terrorystami. Poczul w Arturze bratnią duszę. Machinalnie przytaknął jego słowom. Z kolei Zenek poparł propozycję Bociana.

— Moja siostra zna wiele osób z bloku, ona łąpie dobry kontakt ze wszystkimi. Też będzie dzwonić po sąsiadach.

— A jeśli zadzwonimy do kogoś na komórkę, a u niego będą siedzieć terroryści i się dowiedzą, że ich szpiegujemy, co wtedy? — zapytała Natalia.

Zenek stanowczo zaprzeczył ruchem głowy.

— Jeśli terroryści zajęli jakieś mieszkanie, to prawdopodobnie to, które już wyczyścili z lokatora, czyli mieszkanie Romana Karolaka. Szymuś, na którym piętrze mieszkał ten bandyta?

— Na ósmym.

— Bandyta? — zdziwiła się Natalia.

— Tak, bandyta i pedofil, siedział parę lat za gwałt na dziecku, ale na szczęście był tu jedynym takim. To całkiem spokojny więzowiec.

— Całkiem spokojny więzowiec — powtórzyła Natalia, kiwając ze zrozumieniem głową.

Rozdział XII

KOMISARZ KAMIL SOROKA STAŁ z protokołem nad zwłokami kobiety. Długopis nie chciał mu pisać, prawdopodobnie z powodu zbyt dużego mrozu, w dodatku kartki zaczęły wilgotnieć od padającego śniegu. Opisywał właśnie ułożenie zwłok. Dziewczyna leżała na plecach, z głową nienaturalnie wygiętą w bok. Czaszka wgnieciona tuż za lewą skronią, być może uderzyła bokiem głowy w balustradę któregoś z balkonów. Ręce miała ugięte w łokciach, przedramiona skierowane ku górze, nogi blisko siebie, to akurat zdumiało Kamila, kończyny powinny być rozrzucone. Wielu spadochroniarzy widział w swoim życiu, zwykle wyglądali jak rozciągnięci we wszystkie strony świata.

Długopis znowu zaczął przerywać. Zaklął.

— Co jest? — zapytał sierżant Pociecha stojący obok z kamerą.

— Masz coś do pisania?

Pociecha podał mu długopis identyczny jak ten, z którym się do tej pory męczył. Powrócił do notowania, szło mu nieco lepiej. Teraz tekst był ciemniejszy, zrobił więc adnotację na marginesie o wymianie długopisu z powodu wypisania się poprzedniego.

Trzej funkcjonariusze, którzy towarzyszyli mu przy zwłokach, skończyli robić dokumentację. Czekali teraz, aż on uwinie się z protokołem.

Namiot do oględzin zwłok ustawili przy ścianie szczytowej wieżowca, bo tam nie sięgały karabiny terrorystów. Kazał do niego przenieść ofiarę, polecił też sierżantowi dokumentować transportowanie zwłok.

Gdy wszedł do namiotu, poczuł przyjemne ciepło. Tutaj również panowała temperatura poniżej zera, ale różnica wynosiła co

najmniej dziesięć stopni. Medyk sądowa Magdalena Piekarska stała przy dmuchawie, zdjęła skórzane rękawiczki i włożyła lateksowe. Aspirant Konarski pochylał się nad kryminalistyczną walizką i wyjmował worki na dowody. Wszyscy obrócili wzrok w stronę funkcjonariuszy wnoszących nosze ze zwłokami. W namiocie momentalnie zrobiło się ciasno. Konarski palcem pokazał, że mają położyć nosze bliżej lewej ściany namiotu. Każdy ich ruch śledziło oko kamery trzymanej przez Pocięchę. Pod sufitem zawisły dwa reflektory. Gdy białe światło wypełniło wnętrze namiotu, stanęli w czwórce nad zwłokami. Magda Piekarska odezwała się pierwsza:

— Młodziutka ta dziewczyna.

Kamil wpatrywał się w martwą twarz, w totalny bezruch mięśni mimicznych. Po śmierci fizys przestawała być nośnikiem emocji. Mógł się tylko domyślać, że w momencie śmierci malował się na niej strach. A może dziewczyna nie zdążyła się przerazić? Ogarnęło ją tylko zdumienie, gdy obce ręce przerzucały ją przez balustradę balkonu. W tej chwili z twarzy ofiary dawało się wyczytać jedynie jej młody wiek, mogła mieć zaledwie osiemnaście lat. Jeszcze nie znali jej tożsamości, ale to kwestia czasu. Jeśli była lokatorką bloku, to za parę minut będą mieli jej personalia.

Ogłędziny rozpoczęli od sprawdzenia kieszeni w spodniach ofiary. Kamil ukląkł przy zwłokach i wsunął dłoń do pierwszej, wyciągnął papierek po cukierku. Śmieć, który dziewczyna schowała do kieszeni, bo pod ręką akurat nie było kosza. Teraz ten śmieć zostanie opisany w protokole, a potem trafi do woreczka i otrzyma metryczkę, bo tego wymagały procedury. Komisarz przywiązywał wagę do każdego dowodu, nigdy nie wiadomo, co okaże się ważne. Rozpostarł papierek i zobaczył żółto-pomarańczowe logo Elbląga, wirującą spiralę przypominającą literę „e”. To był cukierek robiony na zamówienie, litery „UM” wskazywały, że zamawiającym był urząd miasta. Kamil spojrzał ponownie na twarz dziewczyny. Czy mogła być tą urzędniczką, o którą zamartwiał się prezydent?

Gdy z drugiej kieszeni wyjął kartkę złożoną na cztery części,

w namiocie zapadła idealna cisza, nikt się nie ruszył, nikt nie pozwolił sobie na komentarz czy pytanie. Dwóch funkcjonariuszy i medyk sądowa patrzyli mu na ręce, czekali, aż potwierdzi ich przypuszczenia. Wyglądało na to, że znowu otrzymali list. Przesunął wzrokiem po pierwszych dwóch wersach. Miał wrażenie, że trzyma w dłoni kopię pierwszego listu z żądaniami. Nie chodziło nawet o tę samą treść, ale o identyczne rozmieszczenie słów na kartce. Zastanawiał się przez chwilę, co to znaczy. Czy to świadomy zabieg terrorystów? Chcieli w ten sposób poinformować, że zmiana stanowiska nie wchodzi w grę, nie będzie żadnych ustępstw z ich strony?

Podał list Konarskiemu, tamten zaczął czytać półgłosem:

— „Co osiem godzin będziemy wyrzucać kolejnego zakładnika, dopóki nie spełnicie naszych żądań. Na nasze konto ma zostać przelane dziesięć milionów euro. Przed blokiem ma stanąć autobus z pełnym bakiem i kanistrami z paliwem, które wystarczy na przejechanie trzech tysięcy kilometrów”.

Kamil zanotował treść listu w protokole. Technik podyktował mu jeszcze nazwę banku i numer rachunku.

Medyk sądowa uklękła przy zwłokach. Z jej ust wydobywał się biały obłoczek pary.

— Jak myślicie, gdzie oni chcą dojechać? Bo mi się wydaje, że dojadą do jakiegoś lotniska i tam zażądają samolotu z pilotem.

— Pani doktor, takie akcje to tylko na filmach — odezwał się sierżant Pocięcha.

Piekarska spojrzała pytająco na komisarza, jak gdyby oczekiwała, że potwierdzi jej hipotezę. On jednak milczał. Wczoraj późnym wieczorem wraz z Rumunem zastanawiali się, co się kryje za żądaniem autobusu z taką właśnie ilością paliwa. Aspirant na mapie internetowej obrysował Elbląg promieniem o długości trzech tysięcy kilometrów i wyszło mu, że w zasięgu jest między innymi Donbas. Gdyby tam dojechał autobus z terrorystami i zakładnikami, to jak kamień w wodę, pod warunkiem że sprawcy stamtąd pochodzą, a to

wydawało mu się mało prawdopodobne. Wciąż nie wierzył, że mają do czynienia z międzynarodowym terrorem. Stawiał na przestępców lokalnych, którzy dobrze znają teren i zaplanowali prosty sposób ucieczki. Jest zima, warunki trudne dla pościgu, ale mogą sprzyjać ucieczce, można przejechać autobusem przez zamarznięte jezioro albo nawet rzekę, a następnie odjechać na wcześniej ukrytym śnieżnym skuterze przez las i pola pod osłoną nocy. Kolejnym etapem będzie opuszczenie Polski z rodziną zupełnie legalnie, prawdopodobnie terroryści już mają kupione bilety lotnicze. Kamil uśmiechnął się na myśl, że to również wizja jak z amerykańskiego filmu.

— Co ona ma na swetrze? — zapytała Piekarska, wskazując palcem na klatkę piersiową ofiary.

Technik pochylił się nad zwłokami:

— To kawałki bombek choinkowych — oznajmił.

Kamil odłożył protokół na podłogę i wyprostował plecy.

— Rozbieramy ją!

Miał wrażenie, że to polecenie w jego ustach zabrzmiało jak wezwanie do zbiorowego gwałtu. Na szczęście pozostali odebrali je jako zapowiedź wykonania czynności przewidzianej procedurami. Jedynie prokurator Milena Łempicka-Krol zdołała go przejrzeć, tylko ona wiedziała, że komisarza Sorokę fascynują trupy, a właściwie podniecają. Choć sam wolał to pierwsze określenie, bo fascynacja zwłokami nie kojarzyła się tak bardzo z dewiacją seksualną. Nie lubił myśleć o sobie jako o zbrodniarzu, Milena raz go tak nazwała, naprawdę się wtępił. Dzisiaj prokurator Łempickiej nie było przy oględzinach, choć ta czynność należała do jej obowiązków. Pół godziny temu zadzwonił do niej sędzia Lasocki i poprosił o spotkanie. Podobno dowiedział się czegoś o jej mężu i synu. Pojechała od razu, zostawiając go ze zwłokami młodej kobiety.

Wsunął obie dłonie pod sweter ofiary, żeby go jej ściągnąć przez głowę. Przez chwilę dotykał palcami w lateksowych rękawiczkach martwego brzucha. Sądził, że poczuje ciepło uchodzące z ciała.

Niestety, zimno było wszechobecne, najbardziej ciągnęło od plastikowej podłogi, o którą opierał kolana. Podciągnął sweter dziewczyny i zdecydowanym ruchem zsunął go z jej rąk uniesionych nad głową. Następnie położył go sobie na kolanach i bardzo ostrożnie zaczął szukać metki, uważał przy tym, żeby nie strząsnąć skrawków bombki. Opisując w protokole ubranie ofiary, zerkał na martwe ciało, pozbawione podskórnej pulsacji i minimalnych drgnień, które zawsze występują u żywych ludzi, nawet gdyby ze wszystkich sił starali się zachować nieruchomość mięśni. Myślał już o tym, że zaraz zdejmie z dziewczyny stanik. Niestety, uprzedziła go w tym medyk sądowa. Pochyliła się do przodu, wsunęła dłoń pod plecy trupa, a za chwilę trzymała w dłoni granatowy biustonosz. Kamil wyciągnął po niego rękę, nagle znieruchomiał na widok nagiego tułowia. Piersi dziewczyny były dużo jaśniejsze od ramion i brzucha, a ciemnobrązowe sutki wyglądały jak plamy po czekoladzie. Krew mu tętniła w żyłach, oddech niebezpiecznie przyspieszył.

— O co chodzi? — zapytał Pociecha stojący za jego plecami z kamerą.

Komisarz poczuł się przyłapany na gorącym uczynku. Chciał coś zręcznego powiedzieć, żeby nie wzbudzić wśród obecnych podejrzeń, ale nie zdążył. Głos zabrała medyk sądowa.

— No właśnie, coś mi tu nie pasuje.

Kamil uzmysłowił sobie, że sierżant zadał pytanie Piekarskiej, a nie jemu. Medyk sądowa też wpatrywała się w trupa, nie z fascynacją jak on, ale ze zdumieniem.

— O co chodzi? — Teraz to pytanie powtórzył komisarz.

— Ona jest sztywna. Na pewno nie zginęła w momencie upadku na chodnik. Nie żyje przynajmniej od kilku godzin.

Kamilowi przyszło do głowy, że dziewczyna została zabita o pierwszej w nocy, dokładnie w czasie zapowiedzianym w pierwszym liście z żądaniami, ale z jakiegoś powodu terroryści od razu nie wyrzucili jej przez okno. Zdjął lateksową rękawiczkę

i przycisnął trzy palce do brzucha ofiary. Upajał się tym dotykiem, totalną nieruchomością mięśni i chłodną skórą. Teraz ten gest nie powinien specjalnie nikogo dziwić, po prostu sprawdzał temperaturę ciała.

— Jest zimna — mruknął i z powrotem włożył rękawiczkę.

— Gdy ją rozbierzemy, zmierzę jej temperaturę — oznajmiła medyk sądowa.

Komisarz zdjął dziewczynie skarpetki, spodnie i na końcu majtki. Wszystkie części garderoby obejrzał i opisał w protokole. Potem patrzył, jak medyk sądowa sprawdza stężenie mięśni żuchwy i kończyn.

— Całkowite *rigor mortis*, nie żyje od co najmniej sześciu, ośmiu godzin, ponadto ma złamaną lewą rękę w łokciu i wybitą z barku oraz przesunięte biodro w prawo.

Komisarz zapisał uwagę Piekarskiej w protokole. Na razie jej spostrzeżenia zgadzały się z czasem śmierci, który założył, pierwsza w nocy, czyli jedenaście godzin temu. Wspólnie przekręcili ciało na brzuch. Wzrok Kamila zatrzymał się na pośladkach i plecach ofiary z widocznymi plamami opadowymi. Medyk sądowa zaczęła je przyciskać palcami.

— Plamy opadowe nie ulegają przemieszczeniu pod wpływem ucisku — zaczęła dyktować. — Co oznacza, że śmierć mogła nastąpić najwcześniej dwanaście godzin temu.

Długopis znowu przesuwiał się po protokole, wydając cichy szelest. Dwanaście godzin temu, to by się prawie zgadzało.

Piekarska rozsunęła pośladki dziewczyny i włożyła termometr w odbył. Kamil powinien odnotować tę czynność, ale nie mógł oderwać wzroku od tyłka dziewczyny ze sterczącym w nim kawałkiem plastiku. Miał wrażenie, że cała krew spływa mu do lędźwi.

Piekarska wyjęła termometr i odczytała temperaturę:

— Dziewiętnaście i pół stopnia!

Była zaskoczona, Kamil również. Miał jedynie podstawową wiedzę

z zakresu medycyny sądowej, ale wiedział, że dziewiętnaście i pół stopnia to mało. Jeden stopień na godzinę — kojarzył, że w takim tempie ochładza się ciało po śmierci.

— Ona nie żyje od siedemnastu godzin — oznajmiła medyk sądowa, potwierdzając jego przypuszczenia.

Terrorysty zabili dziewczynę zaraz po Karolaku. Złamali swoją własną zasadę, że będą uśmiercać co osiem godzin. To bardzo wiele zmieniało. Sprawcy byli nieprzewidywalni, być może cechowała ich słaba psychika, zwyczajnie puszczały im nerwy, może też zaczęli sprzeczać się między sobą. Jeżeli tak było, to sytuacja zakładnicza stała się o wiele trudniejsza, w każdej chwili mogą pojawić się kolejne ofiary wśród zakładników, może nawet są już w więzowcu następne trupy. Muszą znowu zacząć dzwonić do lokatorów, aby sprawdzić, czy wszyscy odbiorą, czy nadal żyją. Odruchowo sięgnął do kieszeni po aparat, trafił palcami na radiotelefon, który dostał od inspektor Ady Kamińskiej. To przez niego powinien wydać polecenie swojemu podwładnemu, żeby koordynator z grupy antyterrorystycznej je usłyszał i ewentualnie wstrzymał bądź na nie zezwolił. Wyjął rękę z kieszeni. Niech Ada sama podejmie decyzję o ponownym sprawdzaniu lokatorów.

Magda podniosła się z kolan, tupnęła w miejscu i rozcierała dłonie w lateksowych rękawiczkach.

— Pisz! — poleciła mu. — Zimno jest, nie możemy tu siedzieć pół dnia.

Konarski ukierunkował podmuch powietrza na jej nogi. Podziękowała mu uśmiechem. Kamil zanotował ostatnią czynność w protokole.

— Co ty na to, że dziewczyna zginęła o pierwszej w nocy, a potem ją trzymali na balkonie, stąd to wychłodzenie ciała? — zapytał Piekarską, wodząc wzrokiem po zgrabnych łydkach ofiary.

— Możliwe. Jeżeli ustalenie godziny śmierci jest dla was tak ważne, to proponuję wysłać ciało do zakładu medycyny w Gdańsku. Niech tam zmierzają temperaturę narządów wewnętrznych i stężenie potasu

w płynie mózgowo-rdzeniowym. Tylko trzeba by było to zrobić jak najszybciej, najlepiej za parę godzin.

— Dzisiaj jest pierwszy dzień świąt — zauważył sierżant. — Nikt nie ruszy tyłka od stołu.

— Też tak sędzę — potwierdziła Magda.

Patrzyła na zwłoki z góry. Widać było, że się nad czymś zastanawia.

— Co jest? — zapytał Kamil.

Nie odpowiedziała. Zdjęła rękawiczkę i się pochyliła. Wsunęła dłoń we włosy ofiary na czubku głowy.

— Komisarzu, mógłbyś dotknąć jej włosów w tym miejscu? Ja mam za bardzo zmarznięte ręce.

Kamil zdjął rękawiczki i roztarł dłonie, następnie uważając, aby nie dotknąć kosmyków sklejonych krwią, zanurzył palce we włosach na czubku głowy dziewczyny.

— Są ciepłe i suche — oznajmił.

— Też odniosłam takie wrażenie. To mało prawdopodobne, że spędziła kilka godzin na balkonie w tym mrozie.

Do namiotu wszedł inspektor Oleg Semeniuk, był w czarnym mundurze i kominiarce na głowie. Wraz z nim wpłynęła fala lodowatego powietrza.

— Jest kolejny list z żądaniami?

Kamila zirytował ton Semeniuka, jak gdyby sugerował, że zwlekają z przekazywaniem informacji. W dodatku to niespodziewane wkroczenie do namiotu podczas oględzin zwłok, jakby ich sprawdzał, nadzorował. Czynności kryminalistyczne należały do obowiązków elbląskiej policji i żaden antyk nie będzie mu się wpieprzał, nawet taki ze stopniem inspektora.

— Dostaniesz kopię protokołu za pół godziny, a teraz wyjdź, bo robisz tłok.

Sierżant Pociecha skierował kamerę na Semeniuka. Tamten zsunął kominiarkę z twarzy i mrugnął do obiektywu.

— Lubię czytać, ale policjanci mają okropny charakter pisma,

gorszy niż lekarze. Wolałbym usłyszeć twoją relację, a przede wszystkim chcę wiedzieć, czy sprawcy sformułowali nowe żądania.

— Dowiesz się, gdy skończymy.

Semeniuk spojrział na zwłoki.

— Ile ona ma lat?

— Jeżeli nie wyjdiesz, wpiszę cię do protokołu jako obecnego przy oględzinach. Musisz się liczyć z tym, że prokurator Łempicka poprosi cię o pisemne wyjaśnienie twojej obecności tutaj.

Inspektor naciągnął kominiarkę na twarz. Zanim wyszedł, kiwnął im głową.

— Szefie, ty go chyba nie lubisz? — zagadnął Pocięcha.

— Kończymy — oznajmił Kamil i znowu przykucnął przy zwłokach, opierając protokół o kolano.

Już nie wpatrywał się w martwe ciało. Całe podniecenie opuściło go wraz z wejściem do namiotu inspektora. Szybko notował uwagi medyk sądowej, która zaczęła opisywać obrażenia na głowie ofiary. Na koniec zebrał podpisy od wszystkich obecnych i nie czekając, aż zwłoki zostaną zapakowane do czarnego worka, opuścił namiot.

Wybrał numer aspiranta Nowaka.

— Gdzie jesteś?

Nie dosłyszał jego odpowiedzi, bo w mroźnym powietrzu zaczął narastać huk. Uniósł głowę i wypatrywał helikoptera. Nadleciał od wschodu, masywny korpus unosił się pod pułapem śnieżnych chmur. W tym samym momencie z wieżowca, w którym było ich centrum dowodzenia, wystrzeliły snopy światła i zaczęły lustrować okna w bloku zajęтым przez terrorystów. Antyterrorysty dawali znać, że już są na miejscu. Kamil nie rozumiał, po co te spektakularne kroki. Czy nie lepiej po cichu przygotować się do szturm? A może chodziło o wystraszenie sprawców, o zmuszenie ich do ustępstw. Ponownie zapytał Rumuna, gdzie jest, i przycisnął telefon do ucha, żeby go usłyszeć.

Aspirant czekał na niego w centrum dowodzenia, stał przy kuchence gazowej i wpatrywał się w syczący czajnik. Na kredensie

stały dwa kubki z nasypaną kawą i otwarty laptop. Komisarz usiadł przy stole kuchennym.

— Właściciel mieszkania nie ma czajnika elektrycznego, chyba musimy przywieźć jeden z firmy — odezwał się Rumun.

— Czego dowiedziałeś się o ofierze? Mów!

— Nazywa się Agnieszka Hulewicz, ma dwadzieścia sześć lat. Została wyrzucona z balkonu mieszkania rodziców na szóstym piętrze.

Komisarza zaskoczył wiek ofiary, wyglądała na dużo młodszą.

— Karolaka też wyrzucili z jego mieszkania — zauważył. — Na razie najbezpieczniejsi są ci, którzy mieszkają na niższych piętrach. Dobra, mów dalej.

Mamy nagrane, jak ją zrzucają, ale jakoś nie jest rewelacyjna, akurat sypnęło mocniej śniegiem.

Aspirant postawił przed nim laptop i uruchomił film. Kamil zobaczył rozmazany obraz złożony z plam o różnych odcieniach szarości. Jego oko wiedziało czego szukać, dlatego szybko dojrzał zarys balkonu i okna. Po chwili zobaczył czerwoną plamę, to były plecy osoby wychodzącej tyłem na balkon. Za moment pojawiła się kolejna postać, także ubrana na czerwono. Przełożyli zwłoki przez barierkę. Nie schylili się po nie, a więc trafnie uznali z Magdą, że dziewczyna nie spędziła nocy na balkonie. Sprawcy nie czekali, aż ciało uderzy o chodnik, od razu schowali się do mieszkania.

— Co z jej rodzicami? Powiedziałeś, że to ich mieszkanie.

— Właśnie wracają z Lublina, dzwonili do nas po ósmej, zaniepokojeni, bo córka nie odbiera od nich telefonu.

— A ofiara, kiedy się z nami kontaktowała ostatni raz?

— Agnieszka Hulewicz w ogóle do nas nie zadzwoniła. Z rodzicami rozmawiała w wigilię parę minut po jedenastej. Beata próbowała się skontaktować z właścicielem mieszkania wczoraj po dwudziestej. W spółdzielni mieszkaniowej mieli numer ojca Agnieszki, do niego więc zadzwoniła, ale Hulewicz nie odebrał, bo ma zasadę, że nie odbiera nieznanym połączeń. O zajęciu ich bloku przez terrorystów

dowiedzieli się dopiero dziś rano z telewizji i zaczęli dzwonić do córki, a potem do nas.

— Już wiedzą?

— Nie, ale chyba się domyślają. Usłyszeli w radiu, że tym razem terroryści wyrzucili kobietę. Pytali naszego człowieka, czy to ich córka. Powiedział im, że ofiara nie została jeszcze zidentyfikowana. — Rumun obrócił laptopa w swoją stronę i przebiegł palcami po klawiaturze. — To ona? Zobacz!

Komisarz ujrzał na ekranie dziewczęcą twarz z przymrużonym prawym okiem i lekko rozchyłonymi ustami, spomiędzy których wystawał czubek języka. Pajacowate zdjęcie komunikujące, że jego bohaterka ma wesołą naturę, skorą do niesfornych zachowań.

— Tak, to oględziny jej zwłok robiliśmy — potwierdził. — Pracowała może w urzędzie miasta?

— Nie, w centrum handlowym, na kasie. Na Facebooku sporo pisała o swojej pracy, głównie narzekała.

Kamil poczuł się nieco rozczarowany, to nie była przyjaciółka prezydenta Falenckiego. Podświadomie liczył na pikantny wątek obyczajowy, który podchwycą media.

— Nie wyrzucili jej żywej, zginęła kilkanaście godzin temu, prawdopodobnie zaraz po Karolaku.

Nowak właśnie zalewał kawę. Odwrócił się raptownie, a para z czajnika uderzyła wprost w Kamila.

— To po co ten list z zapowiedzią, że co osiem godzin trup, skoro nie trzymają się swoich gróźb?

— Też wydało mi się to dziwne, ale teraz myślę, że wyjaśnienie może być banalnie proste.

— No, słucham — mruknął Rumun.

— Jeszcze przed zajęciem bloku wydrukowali kilka egzemplarzy tego samego listu z żądaniami. Agnieszka miała kolejny w kieszeni spodni. Naiwnie sądzą, że raz wymyślony plan wystarczy. To amatorzy. Myślę, że Agnieszka zginęła przypadkiem, może uciekała po schodach i się nieszczęśliwie potknęła.

Aspirant się zamyślił, po chwili zapytał:

— Udało się Piekarskiej ustalić, co było przyczyną śmierci?

— Na głowie oprócz świeżej krwi miała też trochę zaschniętej, a więc wygląda na to, że zginęła od obrażeń czaszki, ale ostateczną przyczynę poznamy po sekcji.

Rumun kiwał głową.

— Przyznaję, że twoja hipoteza ma ręce i nogi.

Komisarz napił się kawy. W kontakcie z gorącym kubkiem poczuł, że wargi i dłonie ma nadal zmarznięte.

— Chodź! Popatrzemy, co się dzieje w wieżowcu.

Rumun wziął laptopa i kawę, po czym ruszył za nim.

Przy stanowisku z lunetą siedział młody funkcjonariusz. Na widok przyszłego naczelnika wydziału wyprężył się jak do apelu.

— Co nowego? — zapytał Kamil.

Policjant ciężko przełknął ślinę.

— Panie komisarzu, melduję, że nic nowego się nie wydarzyło.

Kamil wyciągnął protokół z oględzin zwłok i podał chłopakowi.

— Zrobisz kopię i zaniesiesz ją do przedszkola na Wiejskiej. Dokument przekażesz inspektorowi Semeniukowi albo inspektor Kamińskiej. Jasne?

— Tak, komisarzu.

— Oryginał oddasz sierżant Beacie Gryś, gdy tylko wróci do pracy.

— Już wróciła, zaraz jej przekażę.

Funkcjonariusz miał minę, jak gdyby otrzymał zadanie najwyższej wagi państwowej. Gdy zamknęły się za nim drzwi, aspirant Nowak z uznaniem pokiwał głową.

— Ludzi to ty umiesz sobie podporządkować.

— Żebym tylko miał kogo, poza tobą i Konarskim nie mam kim robić.

— A Beata?

— Ona w papierkach jest dobra, w zbieraniu informacji też, pod warunkiem że powie się jej, czego ma szukać, ale śledcza z niej wciąż kiepska.

Stanęli przy oknie, kubki z kawą postawili na parapecie. Kamil spojrział przez lunetę. Prawie połowa okien była zasłonięta, może lokatorów zaniepokoiły reflektory zaglądale do ich mieszkań. Byli też tacy mieszkańcy, którzy stanęli przy parapetach, niektórzy wyszli nawet na balkony, wpatrywali się w krążący nad wieżowcem helikopter.

— Widziałeś szefową antyków? — zapytał Nowak.

Kamil przytaknął.

— I co o niej sądzisz?

— A o co konkretnie pytasz?

— O rysopis.

Kamil przypomniał sobie zielone oczy inspektor Ady Kamińskiej i jej masywną sylwetkę. Nie była wysoka, dlatego umięśnione ciało przyciągało wzrok swoją nienaturalnością. Wolał szczupłe kobiety, wręcz wychudzone, takie jak Milena.

— Nie jest w moim typie, wygląda na żeńską wersję osiedlowego pakera, ale ma ładne oczy.

— Aha, oczy. A jak się będzie układała współpraca z nimi?

— Już mi pokazali miejsce w szeregu. Mam być kurierem przynoszącym dokumenty i baristą parzącym kawę. Do reszty mamy się nie mieszać, bo na niczym się nie znamy i przede wszystkim nie mamy sprzętu.

— Na razie to odstawiają szopkę, chyba że to ma jakiś cel — oznajmił Rumun, wskazując na snopy świateł wędrujące po elewacji wieżowca naprzeciwko.

Komisarz odsunął się od lunety i ogarnął wzrokiem cały blok. Coś się zmieniło od wczoraj. Potrzebował chwili, aby zrozumieć na czym polega różnica. Brakowało świątecznych iluminacji, kolorowych, świetlnych łańcuchów wijących się po balkonach i sprawiających wrażenie, że wieżowiec pulsuje, płynie, żyje. Mieszkańcy pogasili lampki, bo dla nich święta się skończyły. Kamil napił się kawy.

— Szkoda, że nas tam nie ma.

— Gdzie? — zapytał aspirant.

Komisarz popukał w szybę.

— W wieżowcu. Gdybym tam chociaż ciebie miał, pokazalibyśmy antykom, co potrafią psy z Elbląga. Oni myślą tylko o szturmie, a to nie jest dobry pomysł. Zakładników można uwolnić w mniej ryzykowny sposób. Najpierw trzeba ustalić, kim jest sprawca, a potem go podejść, przechytrzyć.

— Chcesz, żebym przedostał się do wieżowca?

Kamil z zaskoczeniem spojrział na swojego najlepszego człowieka, który całkiem serio zadał to pytanie.

— Rumun, kurwa, jak? Chcesz tam przefrunąć?

— Przekrunąć? Raczej nie, ale chyba byłbym w stanie wdrapać się po balkonach na drugie piętro. Chodzi tylko o to, żeby tego nie zauważyli ani terroryści, ani antyki. O media nie musimy się martwić, ich na ten czas można by było czymś zająć, a gapiów można przepędzić. Na szczęście kordon robią nasi ludzie.

Komisarz wyciągnął papierosy z kieszeni, przez pół minuty obracał jednego w palcach. Świadomie zwlekał z zapaleniem, lubił ten moment oczekiwania na pierwsze zaciągnięcie się, wtedy lepiej mu się myślało. Włożył papierosa między usta i pstryknął zapalniczką. Czekał na błysk myśli w głowie, na pomysł. Zapalniczka zgasła. Zaklął.

Rozdział XIII

SĘDZIA EDWARD LASOCKI CZEKAŁ na parkingu przed nowym gmachem sądu. Stał przy swoim volvo, ubrany w czarny długi płaszcz. Wyglądał jak postać z filmu gangsterskiego, zły bohater, ale z rodzaju tych budzących bardziej podziw niż strach. Milena wysiadła z samochodu i ruszyła w jego stronę. Ukłonił się z daleka. Patrzył na nią spod kaptura chłodnymi oczami. Nie dojrzała żadnego grymasu na jego twarzy. Przyszła jej do głowy myśl, która nie raz ją nawiedzała, gdy widziała Lasockiego. Nie chciałyby go oglądać codziennie przy śniadaniu. Każdego dnia musiałyby się zmagać z myślą, że przebywa w towarzystwie osoby niezdolnej do uczuć. Posągowe oblicze sprawdzało się na sali sądowej, wszyscy widzieli w nim niewzruszony majestat wymiaru sprawiedliwości, ale w codziennych relacjach odstręczało. Sędzia nie próbował przełamać swojego wizerunku. Milena czasem zastanawiała się, czy ten człowiek choć raz się uśmiechnął.

Uniosła głowę, ogarniając wzrokiem budynek sądu wznoszący się niczym wieża pośród dużo niższych bloków mieszkalnych.

— Niedługo będziemy się tu spotykać na sali rozpraw — zagadnęła.

— Nowy budynek, a wymiar sprawiedliwości ten sam.

Lasocki słynął z surowej oceny pracy sędziowskiej. Nie wiedziała, jak ma skomentować jego uwagę, zmieniła więc temat.

— Wypijemy u mnie kawę?

— Wolałbym spacer, w końcu mamy zimę, korzystajmy z jej uroków.

Chciała zaprotestować, powiedzieć, że zima jest piękna, ale do pewnego stopnia... Celsjusza, a poza tym ma na nogach włoskie kozaki, a co Włosi wiedzą o ujemnej temperaturze? Znają ją tylko

z lodówki. Nie zdążyła się jednak odezwać, sędzia wziął ją pod rękę i poprowadził ulicą Pułkownika Dąbka w stronę starego budynku sądu. Nadal prószło. Białe drobinki osiadały na ich płaszczech i wcale nie topniały w kontakcie z tkaniną. Za pół godziny zamieniają się w dwa wędrujące bałwany.

— Domyślam się, że ma pani bardzo pracowite święta.

— Tak.

— Panujecie nad tym, co się dzieje w wieżowcu?

— Tak.

Nie miała zamiaru wdawać się w szczegóły, choć czuła, że Lasocki chętnie dowiedziałby się więcej. Tego człowieka o posągowej twarzy też trawiła ciekawość.

— Podobno antyterrorysty są już na miejscu?

Nie odpowiedziała, sędzia mówił więc dalej:

— Komisarz będzie chciał zapunktować przy tej sprawie, ale powinien odpuścić, ma za mało doświadczenia, a właściwie w ogóle.

— Komisarz Soroka radzi sobie, zapewniam.

Poczuła się niezręcznie, stając w obronie Kamila. Sędzia miał rację, komisarz nie miał doświadczenia z międzynarodowym terrorem.

— Nadal uważam, że nie powinna mu pani ufać.

Zatrzymali się na przejściu dla pieszych i mimo że nic nie jechało, czekali na zielone światło.

Nigdy nie dopytywała sędziego, co ma na myśli, ostrzegając ją przed Kamilem. Czuła, że chce ją ustawić przeciwko komisarzowi dla własnych korzyści. Sądziła nawet, że to swoista rywalizacja o nią, ale teraz nie była tego pewna. Miała dosyć tych podszeptów, mimochodem rzucanych aluzji wobec Kamila.

Schyliła głowę, żeby ochronić twarz przed ostrymi płatkami śniegu.

— Co pan ma do komisarza? Proszę mi powiedzieć. To mój podwładny i przyszły naczelnik wydziału. Jeśli coś... tę nominację można jeszcze zatrzymać.

— Gdyby pani nie była taka zapatrzona w komisarza, sama by pani zauważyła.

Poczuła nieprzyjemne napięcie mięśni na karku. Czyżby sędzia wiedział o nekrofilskich skłonnościach Kamila?

— Nie jestem zapatrzona, zapewniam, i nie bawmy się w zgadywanki. Jeśli ma pan coś na komisarza, proszę teraz mówić.

Sędzia milczał. Milena pomyślała, że temat skończony.

Szli Królewiecką, dawnym traktem prowadzącym do Królewca, a dzisiaj jedną z dłuższych ulic miasta. Czuło się tutaj Elbląg sprzed kilkudziesięciu lat. Po obu stronach drogi stały głównie stare budynki, szarą i nijaką elewacją przypominające o konieczności przeprowadzenia remontu, który nadałby im ciekawy koloryt. Jedynie szyldy sklepów i punktów usługowych informowały, że trwa era smartfonów i tabletów. Minęli otulony śniegiem słup ogłoszeniowy pochodzący z czterdziestego piątego roku i weszli w Kopernika. Tutaj po obu stronach ulicy stały niemal wyłącznie niskie przedwojenne budynki, dawne wille zamożnych Niemców. Milena miała wrażenie, że jeszcze bardziej cofnęła się w czasie. To doznanie potęgował śnieg pokrywający współczesną nawierzchnię drogi. Sanie zaprzężone w konie bardziej by tu pasowały niż samochody.

Sędzia nagle się odezwał:

— Komisarz kupił niedawno dom za miastem, na który nie było go stać.

Odetchnęła z ulgą. Chodziło tylko o podejrzenie korupcji.

— Coś jeszcze? — zapytała zaczepnie.

— Wrobił też dwóch bezdomnych w morderstwo. Jeden z nich od dwóch lat pisze pisma do wszystkich instancji, ale na odwołanie się od wyroku jest już za późno. Przyjrzałem się sprawie, dowody są wątpliwe, zostali zmuszeni do przyznania się. Chyba nie muszę mówić, że komisarz przesłuchiwał ich osobiście. Pani uważa, że to wyjątkowy śledczy, a okazuje się, że dla niego statystyki najważniejsze.

Nie wierzyła, żeby Kamil był tak perfidny. Owszem, ambicja często stała za jego działaniem, ale niewinnych ludzi nie posłałby za kratki.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna teraz go bronić, byłoby to nieprofesjonalne.

— Proszę złożyć oficjalną skargę na komisarza Sorokę do KGP, biuro spraw wewnętrznych przeprowadzi dochodzenie.

— Wtedy komisarza zwolnią. Jest pani na to gotowa?

Zatrzymała się i spojrzała na Lasockiego. Nawet czynniki zewnętrzne nie miały wpływu na jego posagową twarz. Jej policzki były zaczerwienione od mrozu i marszu, a on pozostał blady.

— Sprawiedliwość ponad wszystko, nawet ponad prawem — oznajmiła przekornie, wiedząc, że to jego kwestia. Myślała przez chwilę, że Lasocki się uśmiechnie, kąciki jego ust jednak nie drgnęły, nawet spojrzenie się nie zmieniło. — Skończmy już temat komisarza. W innej sprawie się spotykamy. Wspomniał pan, że wie coś nowego o moim synu i mężu.

Po telefonie od sędziego ogarnęła ją euforia, wreszcie jakiś sygnał, że są, żyją. Jechała na to spotkanie z wielką nadzieją. Ten człowiek już raz jej udowodnił, że jest w stanie dotrzeć do rzetelnych informacji. To on ją powiadomił o pobycie Pawła i Krzysia w Szwecji. Teraz poczuła jednak silny niepokój. Bała się tego, co może zaraz usłyszeć. A jeżeli Paweł znowu zrobił coś złego? Wykrył jakiś spisek międzynarodowy istniejący tylko w jego głowie i postanowił działać przeciwko spiskowcom. Jej mąż był nieobliczalny w swej chorobie i niestety bardzo sprytny. Nękające go obsesje sprawiły, że stał się bardzo ostrożny, prawdopodobnie wszędzie widział zagrożenie i skutecznie się przed nim chronił, dlatego do tej pory był nieuchwytny. Łudziła się, że miłość ojcowska jest silniejsza od paranoi, że ich syna na niebezpieczeństwo nie narazi. W tej chwili nie miała tej pewności. Sędzia milczał, a jej umysł wpadał w okowy paralizującego lęku.

— Czy ma pan sprawdzone informacje?

Tym pytaniem próbowała wyczuć, czy czekają ją złe wieści, czy dobre.

— Ufam moim przyjaciółom, że nie wprowadziliby mnie świadomie

w błąd. Poinformowali mnie dzisiaj, że pani mąż opuścił Szwecję parę dni temu.

— Razem z Krzysiem?

Miała ściśnięte gardło, słowa z trudem się przez nie przedostawały.

— Tak, bo obaj zostali zarejestrowani przez kamery jakiegoś hotelu w Wiedniu. Podobno tamtejsze służby bezpieczeństwa rutynowo sprawdzały gości.

Milena uświadomiła sobie, że wokół panuje nienaturalna cisza, jak gdyby mróz uwięził wszystkie dźwięki. Nawet śnieg przestał skrzypieć pod ich butami. Spojrzała na swoje stopy, zastanawiając się, jak to możliwe, że nie słyszy kroków.

— Nie zostali zatrzymani? Dlaczego?

— Zapytałem o to samo moich przyjaciół. Gdy Austriacy ustalili, że tego gościa szuka SÄPO, to on już zniknął. Na pewno nie opuścił Austrii samolotem, nie ma go też w żadnym z hoteli.

— Wiedzą, jakim nazwiskiem teraz się posługuje?

— Tak, Knud Jönsson. Nasze służby już ich szukają w Polsce. Szwedzi o to poprosili.

— Tylko służby? A policja? Przecież policja ma większe możliwości. Trzeba powiadomić wszystkie komendy wojewódzkie, jeszcze raz wysłać im zdjęcia Pawła i Krzysia, podać nowe nazwisko mojego męża. Niech ich szukają.

— Nie będę pani powstrzymywał przed rozpoczęciem poszukiwań na szeroką skalę, bo mogą przynieść efekt. Nie sądzę jednak, żeby udało się pani ruszyć tę całą maszynę, nawet stanowisko prokuratorskie pani nie pomoże. Chyba że uderzy pani wprost do komendanta głównego i przekona go, że ma wiarygodne informacje, przy czym nie może mu pani powiedzieć, że wyłynęły one ze służb, bo wtedy komendant nic nie robi, lepiej nie wchodzić w zakres działania tych, co się znajdują wyżej.

Milena wiedziała, że sędzia ma rację. Rosło w niej rozdrażnienie, bo niewiele mogła zrobić. Jeżeli zacznie działać, dzwonić po wysoko ustawionych ludziach, może narobić sobie wrogów. Przyszło jej do

głowy, żeby skontaktować się z kimś na samym świeczniku, kto nie będzie się obawiał podjęcia decyzji, na przykład z ministrem spraw wewnętrznych. W normalnych okolicznościach byłoby to niemożliwe, ale w tej chwili była prokuratorem pracującym na miejscu ataku terrorystycznego. Minister na pewno odbierze od niej telefon, nawet mimo świąt. Ale jak zareaguje, gdy się okaże, że nie dzwoni w sprawie zamachu? Będzie miły i zniecierpliwiony, powie, że pomoże, i oczywiście nic nie zrobi.

— Czy mógłby pan mnie skontaktować ze swoim przyjacielem ze służby bezpieczeństwa?

— Gdybym to zrobił, to już bym nie miał przyjaciela. Jeśli potrzebny jest pani ten kontakt, aby przekonać ich do wciągnięcia policji w poszukiwania pani męża i syna, to uważam, że to zbyteczny wysiłek. I tak zrobią to, co uznają za słuszne. Nie ulegną namowom zrozpaczonej matki i żony.

Szli przez chwilę w milczeniu. Milena uniosła głowę i rozejrzała się. Bolesnie uderzyło ją piękno krajobrazu rozciągającego się wokół. Byli już na Dolince. Miejsce, które latem raziło wieloma zaniedbaniami, teraz wyglądało jak kraina z zimowej baśni. Wszystko tu było jasne i monumentalne, drzewa obsypane śniegiem stały niczym filary w pałacu, nawet walący się amfiteatr ozdobiony kryształkami lodu przypominał roztrzaskaną przez mróz mitologiczną konstrukcję, a forma przestrzenna wyglądała jak majestatyczny stwór. Jakim prawem świat jest tak piękny, gdy ona się zamartwia?

Sędzia wyprzedził ją o dwa kroki. Przyspieszyła.

— Rozumiem, że służby działają inaczej, ale dlaczego mnie nie powiadomiono, że Paweł mógł z Krzysiem wrócić do Polski? Dlaczego muszę się o tym dowiadywać od pana, po kryjomu.

— Bo wszystko, co robi służba bezpieczeństwa, jest tajne, nawet parzenie kawy. Pani Mileno, to są ludzie, którzy najwięcej w tym kraju mogą, my przy nich jesteśmy pionkami. Owszem, wielu jest tam kretynów, ale są też fachowcy. Proszę im zaufać, bo właściwie

nie ma pani wyjścia.

— Nie potrafię, to moje dziecko, muszę je odnaleźć. Dzisiaj wiem więcej niż przez ostatnich sześć lat i mam siedzieć z założonymi rękami?

Chciała usłyszeć, że sędzia przyznaje jej rację i ofiarowuje swoją pomoc, zapewnia, że przekona przyjaciół ze służb do szerokiej współpracy z nią i policją. On jednak milczał. Pokonywał alejkę długimi krokami, niemal za nim biegła, nogi się jej zapadały w miękkim śniegu. Weszli na kamienny mostek otulony białym puchem, nikt wtedy przed nimi nie szedł, żadnych śladów, jedynie gładka biel, nierzeczywista biel. Przestrzeń była nieskazitelna, nierealna, przeszkadzało jej to, chciała wrócić do centrum i zatrzymać wzrok na zaniedbanych elewacjach. Zeszli z mostku i stanęli porażeni pięknem widoku unieruchomionego mrozem wodospadu. Stali przed wielką zmarzliną o formie kaskadowej, skonstruowaną z kryształków połyskującego siną barwą lodu.

— Pomoże mi pan? — szepnęła.

— Nic więcej nie mogę zrobić. Pani też nie była w stanie pomóc mi z Patrykiem.

— Ma pan do mnie żal, słusznie. Powinnam rozpracować Patryka, gdy zastrzelił swojego kolegę. Dzisiaj siedziałby w zakładzie karnym i przede wszystkim nie byłoby kolejnych ofiar, które teraz obciążają moje sumienie. Obiecuję panu, że po zakończeniu sprawy z wieżowcem zajmę się Patrykiem. Coś wymyślę.

Chciała dodać, że jest gotowa sfałszować dowody, przemilczała to jednak.

— Nic pani nie robi — oznajmił spokojnie sędzia i ruszył dalej.

Nie poszła za nim, nie było sensu, ten człowiek jej nie pomoże w poszukiwaniach Krzysia. Stała i wpatrywała się w unieruchomioną kaskadę, a mróz podstępnie wkradał się do jej kozaków i rękawiczek. Z nadzieją pomyślała, że może komisarz ją wesprze, wpadnie na jakiś genialny pomysł, dzięki któremu Krzys się odnajdzie. Wrony zerwały się z pobliskich drzew, krakaniem

przerywając zimową ciszę. Milena ruszyła w drogę powrotną.

Rozdział XIV

NA SZEŚĆDZIESIĘCIU METRACH KWADRATOWYCH panowała ciężka atmosfera. Nikt się nie odzywał. Zenek znowu krążył między kuchnią a salonem z czarnym papierosem w ustach. Aśka siedziała przed telewizorem i słuchała kolęd, ich piętnastoletnia córka Marysia leżała na podłodze i patrzyła w sufit. Ta trójka miała do siebie wzajemne żale. Aśka oskarżyła męża, że to przez niego są zakładnikami, przez niego zginą. Ona nie chciała przyjść do Moniki i Szymona na wigilię, wolała jechać do Egiptu albo chociaż do Zakopanego. Na palcach wyliczała mu, co jeszcze źle zrobił. Wypomniała mu też, że to mieszkanie, w którym teraz są uwięzieni, dostała Monika od rodziców, a on nic od nich nie otrzymał, nawet nie potrafi upomnieć się o swoje, a przecież ma córkę, o której przyszłość trzeba zadbać, bo niedługo pójdzie na studia medyczne, a to będzie kosztowało. Na co wtrąciła się Marysia, krzycząc, że nie będzie studiować, bo ma w planach wyjechać z Mateuszem na Florydę i tam tresować delfiny. Gdy tylko skończy osiemnaście lat, od razu wyjedzie, bo ma ich dosyć. Zenek warknął na nią, że temu jej Mateuszowi powyrywa nogi z dupy, a żonie zarzucił, że rozpieszcza ich córkę. Marysia się rozplakała, a Aśka oznajmiła, że się z nim rozwodzi. Zenek od razu przystał na tę propozycję, co wprawiło ją w szal i zaczęła walić pięściami w poręcz fotela. Teściowa próbowała ich pogodzić, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Teść przycupnął w rogu i popijał nalewkę. Rafał zamknął się w swoim pokoju, a Monika i Szymon siedzieli w kuchni i dzwonili po sąsiadach, aby się czegoś dowiedzieć o terrorystach. Po godzinie wiedzieli, że to zadanie nie ma sensu. Na początku sąsiedzi mówili, że nie widzieli świętych mikołajów, choć nieraz wyglądali przez wizjer na klatkę, a potem kolejni mieszkańcy

zapewniali, że widzieli terrorystów krążących po schodach, wsiadających do windy bądź ją opuszczających. Nagle święci mikołajowie zaczęli się niebezpiecznie mnożyć w relacjach sąsiadów. Szymek podejrzewał, że ludzie zmyślają, wystraszona wyobraźnia brała górę. Monika w końcu odłożyła aparat i oznajmiła dosadnie:

— Dupa.

Szymon musiał się z nią zgodzić. Zadzwoił do Bociana i poinformował go o braku efektów. Tamten cierpliwie go wysłuchał i powiedział, że będzie myślał, co jeszcze można zrobić.

Krysia dreptała przed nimi i machała srebrną gwiazdką na sznureczku, którą zdjęła z choinki. Próbowwała przyciągnąć uwagę matki, ale ta utkwiała wzrok w esemesie, który właśnie przyszedł.

— Muszę skoczyć do Jaszczurów, pan Marian źle się czuje — oznajmiła Monika.

— A w czym ty mu pomożesz?

— Zmierzę mu ciśnienie. Jeśli mu skoczyło, to powinien wziąć podwójną dawkę leków.

Wyszła z pokoju. Dopiero gdy lekko stuknęły drzwi na klatkę, dotarło do niego, że powinien ją odprowadzić pod drzwi Jaszczurów, niby to niedaleko, ale przecież chodziło o jego żonę, matkę jego dzieci, powinien okazywać większą troskę. Zerwał się i podbiegł do drzwi. Wyjrzał przez wizjer i zobaczył, że Monika znika w mieszkaniu sąsiadów. Odetchnął z ulgą, była bezpieczna.

Krysia, zorientowawszy się, że matka wyszła, rozplakała się. Wziął ją na ręce i zaczął chodzić po mieszkaniu, wymijali się z Zenkiem w przedpokoju. Za tamtym ciągnął się obłok papierosowego dymu. Tym razem nie kazał mu zgasić kiepa, nie chciał go bardziej denerwować. Szwagier wciąż był podminowany, co było widać po energicznych ruchach i czerwonych plamach na szyi. Szymek przystanął z córką przy choince i próbował zwrócić jej uwagę na wiszące tam bałwanki. Daremny wysiłek, nadal marudziła. Z kuchni dochodził brzęk talerzy i sztućców, teściowa zmywała po świątecznym obiedzie. Poszedł do niej.

— Mamo, zmywarka jest.

— Oj tam, zmywarka, zrobię to dokładniej.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi, jak gdyby ktoś nie był pewien, czy to właściwe mieszkanie. Teściowa przykręciła kran i szybko wytarła dłonie w ścierkę. Podał jej Krysię i wyszedł z kuchni. Zenek już otwierał drzwi. W progu stał Łukasz Bocian.

— Przeglądałem trochę wpisy internetowe mieszkańców — zaczął mówić Łukasz, gdy usiedli w pokoju Krysi. — Najwięcej i najbardziej sensownie pisze niejaki Jaszczur. Widać, że śledzi tę sprawę. Znacie go?

— Tak, mieszka naprzeciwko — odpowiedział Szymek.

Zenek przesunął papierosa w kącik ust.

— Znam go od trzydziestu lat. W porządku ziomuś, kiedyś razem podpalaliśmy śmieci w zsypach i podmienialiśmy wycieraczki sąsiadom. Nasi ojcowie byli kumplami, ale potem się pokłócili i do dziś mijają się z daleka. Nawet nie wiem, o co im poszło.

— Może wciągniemy go do naszego planu? — zapytał Bocian.

Szymek nie ukrywał zaskoczenia.

— To my jeszcze mamy jakiś plan?

— Ten sam, musimy uratować nasze rodziny, w tym celu postaramy się zrobić mapę wieżowca z lokalizacjami terrorystów. To powinno pomóc policji w odbiciu nas.

— Już dzwoniliśmy z Moniką po sąsiadach. Mówiłem ci, ich relacje są sprzeczne.

— Nie muszą być sprzeczne, może raczej chodzi o ich uporządkowanie.

Z głębi mieszkania dobiegła kolęda:

— „Mizerna, cicha, stajenka licha, pełna niebieskiej chwały. Oto leżący, przed nami śpiący w promieniach Jezus mały”.

Profesjonalnemu głosowi wokalistki towarzyszyło zawodzenie Marysi. Córka Zenka też śpiewała, ale przy okazji wyrzucała z siebie gniew. W jej wykonaniu spokojna kolęda przypominała stadionową przyśpiewkę. Zenek wyprostował się raptownie. Szymek myślał, że

szwagier zaraz pójdzie uciszyć córkę, ale ten zaproponował:

— Wdepniemy do Leonarda Jaszczura? Może on też ma jakiś plan?

Szymek się ożywił. Chętnie wyrwałby się na moment z tej ciężkiej atmosfery, którą roztaczały Aśka i Marysia, poza tym u sąsiadów jest Monika, a on zwykle czuł potrzebę przebywania blisko niej.

Gdy przechodzili przez przedpokój, zobaczył, że Marysia robi świecę na środku salonu. Zsunęły się jej spodnie, odsłaniając nogi jak patyczki. Nadal śpiewała kolędę, ale bez wcześniejszej wściekłości w głosie, ta pozycja prawdopodobnie nie pozwalała na wyrażanie emocji.

— Zamknij się! — wrzasnęła Aśka. — I usiądź normalnie.

Marysia opuściła nogi, waląc stopami o podłogę. Teraz już nie śpiewała, lecz wykrzykiwała kolejne słowa kolędy. Zenek wszedł do salonu, za chwilę znowu pojawił się w przedpokoju.

— Sorry, muszę zostać. Boję się, że gdy wyjdę, moja żona i córka się pozabijają.

Bocian ze zrozumieniem kiwnął głową. Ostrożnie wyszli na klatkę. Chwilę później Szymek zapukał do mieszkania Jaszczurów. Czekali, ale nikt nie otwierał. Gdzieś z górnych pięter dobiegło szczekanie psa, to musiał być trudny czas dla tych czworonogów, dla właścicieli też. Pies to nie kot, nie skorzysta z kuwety.

Drzwi się uchyliły i wyjrzał Leonard. Był zaskoczony ich widokiem.

— Chcielibyśmy pogadać — powiedział konspiracyjnym szeptem Szymek.

Wpuścił ich do środka. Znaleźli się w trójkę w niewielkim przedpokoju. Zrobiło się ciasno.

— Tutaj — powiedział Leonard i wszedł do najbliższego pokoju. Szymek znalazł się tam zaraz za nim, zdążył jeszcze zobaczyć, że sąsiad wpycha stopą pod kanapę kawałek różowego materiału.

— Chcieliśmy pogadać o tym, co możemy zrobić, żeby się z tego bagna wydostać — powiedział Bocian, siadając w obrotowym fotelu.

Szymek zajął miejsce na brzegu kanapy. Leonard stał przed nimi. Był bosy, ubrany w czarne dżinsy i czarną rozpiętą do pasa koszulę.

Wyglądał jak model gotowy do wyjścia na wybieg. Przydługie, teraz rozczochrane włosy dodawały mu uroku i przede wszystkim odejmowały lat. Uniósł brwi i patrzył na nich zdziwionym spojrzeniem ciemnych oczu.

— Żeby się z tego bagna wydostać? Sorry, ale chyba nie obczajam tematu.

— Szymek widział terrorystów — oznajmił Łukasz.

Młody Jaszczur w pierwszej chwili nie zareagował, jak gdyby ta informacja nie miała większego znaczenia. Po chwili jednak na jego twarzy pojawiło się niedowierzenie.

— Serio? Widziałeś terrorystów? I co? Mówili coś?

— Tak, w piwnicy, przebranych za mikołajów. Kazali mi spieprzać do mieszkania.

— Aha, czyli zadekowali się w piwnicy.

Leonard się uśmiechnął, pokazując krzywy zgryz. Kły miał wysunięte do przodu, ale wcale go to nie szpeciło, wręcz przeciwnie, dodawało mu magnetycznej drapieżności.

— Właśnie o to chodzi, żeby ustalić, gdzie znajdują się terroryści i tę informację przekazać policji — kontynuował Łukasz. — Może się też da określić, ilu ich jest, mniej więcej, trzech, czterech czy piętnastu.

— Psiarze tego od was chcą? Bo mi powiedzieli, że mam nie wyściubiać nosa za drzwi, a gdy terroryści wydadzą jakieś polecenia, to mam je wykonać.

Leonard wyciągnął z szuflady biurka paczkę papierosów Black Devil i skierował ją w stronę Bociana. Ten ruchem głowy podziękował.

— Będą dalej zabijać. Już zabili dwie osoby, każdy z nas może być następny. Mam żonę w dziewiątym miesiącu ciąży. Mogę za jednym zamachem stracić dwie bliskie osoby.

Młody Jaszczur prawie się oburzył.

— No co ty, przecież ciężarnej nie zabijają.

— A ja sądziłem, że nie zabijają kobiety — wtrącił się Szymek. —

A jednak to zrobili.

Leonard usiadł na kanapie, w ustach trzymał czarnego papierosa, zaciągnął się. Drzwi do pokoju uchyliły się i zobaczyli twarz Moniki. Była zaczerwieniona, włosy przykleiły się jej do czoła.

— Pan Marian się położył, a ja wracam do siebie.

Szymek się podniósł.

— Odprowadzę cię.

— Nie żartuj, sama trafię.

Stał niezdecydowany. Monika cofnęła się do przedpokoju. Leonard ją zawołał, zajrzała więc ponownie. Rzucił w jej stronę paczkę Black Devilów, złapała ją zręcznie w powietrzu, podziękowała i zamknęła drzwi.

— No to co proponujecie? — zapytał młody Jaszczur.

— Myślę, że efekty może przynieść obserwacja klatki schodowej przez wizjer, ale musi być prowadzona rzetelnie. Na piętrze są trzy mieszkania, każda z rodzin bierze na siebie godzinę stania przy wizjerze, ale obserwowanej przestrzeni nie można spuścić z oka nawet na parę sekund.

— My możemy obserwować po godzinie, ale Ewa Różańska krócej, bo ona jest sama, nie da rady tak długo stać przed wizjerem — oznajmił Szymek.

— Właśnie o to mi chodzi, żeby ludzie na każdym piętrze dogadali się między sobą, wyznaczyli sobie godziny obserwacji, a przede wszystkim, żeby uwierzyli, że to ma sens, że możemy wspólnie coś zrobić.

Leonard zaczynał się niecierpliwić. Siedział przyczajony na brzegu kanapy, jak gdyby miał zaraz się zerwać do biegu.

— Nie rozumiem, co nam da taka obserwacja.

— Może zdołamy ustalić, gdzie terroryści są i gdzie ich nie ma, no i ilu ich jest, kilku czy kilkunastu.

— Dzień jest krótki, a na klatce nie ma światła — zauważył Leonard.

Bocian ruchem głowy przyznał mu rację.

— Ja bym jednak prowadził obserwację także wieczorem i w nocy, przecież trochę światła w końcu będzie, przedostatnia noc była bardzo jasna, w blasku księżyca i lamp ulicznych ruch na klatce da się wypatrzeć. Ponadto trzeba nasłuchiwać, czy winda jeździ. Jeśli będzie kursowała, to z którego piętra i na które. A gdy mieszkańcy zobaczą świętego mikołaja, niech zapiszą godzinę i najlepiej dzwonią do mnie. Będę wszystkie informacje zbierał i analizował.

Leonard w skupieniu obserwował żarzącą się końcówkę papierosa. Zastanawiał się przez kilkanaście sekund, wreszcie zapytał:

— Kiedy zaczynamy?

— Od razu, tu nie ma na co czekać. Najpierw trzeba podzwonić po ludziach i ich przekonać. Ja tu jestem nowy, ale ty na pewno znasz trochę sąsiadów.

— Jasne. — Jaszczur się uśmiechnął, przygryzając końcówkę kiepa. — W drugiej klatce mam dwóch kumpli, na drugim i dziewiątym piętrze. Zaraz do nich zadzwonię, na pewno się włączą.

Szymek poczuł, że musi coś zaproponować, po prostu się wykazać pomysłowością, zaangażowaniem. Odchrząknął.

— Podejrzewam, że terroryści mogą siedzieć na ósmym piętrze, w mieszkaniu Karolaka albo na szóstym w mieszkaniu tej dziewczyny. Na tych piętrach mieszkańcy powinni być szczególnie czujni. Dobrze byłoby, gdyby nasłuchiwali, bo u nas ściany przecież cienkie. Poza tym po rurach się niesie, czyli ci piętro wyżej i niżej też powinni nastawić uszy.

— Dobry pomysł — przyznał Leonard i zbliżył dłoń z czarnym papierosem do popielniczki.

Szymek rozochocony ciągnął dalej:

— Słuchajcie, trzeba jeszcze ludziom powiedzieć, żeby patrzyli, czy przy karabinach są lunety i jakiej szerokości były magazynki, czy na dwa palce, czy na cztery. Policja o to mnie wypytywała.

Jeszcze przez pół godziny omawiali szczegóły swojego planu. Szymek poczuł się ważny. On, zwykły nauczyciel, był na pierwszej linii frontu walki z terroryzmem. Miał nadzieję, że zmaże tym

poczucie winy, w końcu skazał na śmierć Karolaka. Może opuści go też to dręczące uczucie upokorzenia, którego doświadczył w wigilię.

Rozdział XV

ADA KAMIŃSKA UDERZYŁA PIĘŚCIĄ W STÓŁ, a raczej w kawałek blatu, który pełnił tę rolę w mobilnej ciężarówce. Właśnie w niej urządziła swój sztab, znajdowało się tutaj sześć stanowisk z komputerami, system radiowy z masztami, generator oraz winda na robota pirotechnicznego. Teraz w ciężarówce przebywało osiem osób, cztery siedziały przed monitorami, pozostałe uczestniczyły w dyskusji.

— Dlaczego zakładnicy nie wiedzą, jak mają się zachowywać?! — mówiła podniesionym głosem i oskarżycielsko patrzyła na Kamila Sorokę.

To był obowiązek elbląskiej policji przeszkolić wszystkich mieszkańców pod kątem zachowania w sytuacji zakładniczej. Zrobili to telefonicznie zaraz po zajęciu bloku, wzmianka o tym była w protokole, który Ada trzymała teraz w ręku. Mieszkańcy się jednak nie dostosowali. Trzy godziny temu jakiś człowiek przemieścił się z drugiego piętra na czwarte, po upływie siedemdziesięciu minut wrócił na drugie piętro. Okazało się, że to niejaki Łukasz Bocian poszedł odwiedzić sąsiadów. Chwilę później przez lunety zobaczyli, że klatką schodową biegną w górę dwie osoby, kobieta i dziecko. Oboje znikli na szóstym piętrze. Okazało się, że to pani Bożena Kwiatkowska wraz z synem uciekła z mieszkania na parterze. Bała się, że ładunki wybuchowe zaraz eksplodują, podobno kable przyklejone do futryny okiennej się nieco obsunęły, a tak w ogóle ostatnią noc spędziła z synem na materacu w przedpokoju, żeby być jak najdalej od tych bomb.

— Wszyscy zakładnicy zostali przeszkoleni — oznajmił spokojnie Kamil.

— To dlaczego panoszą się po całym wieżowcu, narażając własne

życie i utrudniając nam robotę?

— A dlaczego kierowcy łamią przepisy drogowe? — odciął się komisarz.

Nie miał zamiaru zgodzić się z zarzutami, że elbląska policja zaniedbała ważną procedurę. Rozumiał jednak oburzenie Kamińskiej, każdy kolejny trup obciążał wyłącznie ją. Za śmierć następnego zakładnika mogłaby nawet zapłacić własnym stanowiskiem, a dla tak ambitnej funkcjonariuszki byłby to ogromny cios. Dobrze pamiętał, jak Ada odetchnęła z ulgą, gdy dowiedziała się, iż Agnieszka Hulewicz zginęła kilka godzin przed przyjazdem grupy antyterrorystycznej, a dopiero później wyrzucono jej ciało. Tej śmierci nie dało się zapisać na konto Kamińskiej. Kamil uważał, że ambicja to dobra cecha u funkcjonariusza. Sam był ambitny i dlatego wkładał dużo wysiłku w pracę. Czasami nie przestrzegał procedur, nie zawsze był uczciwy, ale cel osiągał. On i Ada byli bardzo do siebie podobni, ona zaszła dalej, bo była inspektorem i dowodziła najlepszą grupą antyterrorystyczną w Polsce. Poza tym zapewne przeszła trudniejszą drogę, bo była kobietą, a te w policji kryminalnej są głównie od pracy papierkowej. Sam w ten sposób traktował sierżant Beatę Gryś, dawał jej głównie do robienia dokumentację i sam sobie wmawiał, że w tym jest najlepsza. Mimo że Ada obwiniła go za samowolkę lokatorów, patrzył na nią z uznaniem. Jej zielone oczy były niespokojne i czujne, wiedziała, co ma robić. Wskazała palcem na komisarza Kowalika, ten się natychmiast wyprostował.

— Masz w tej chwili trzech wolnych negocjatorów, niech dzwonią do zakładników i przeszkolą ich co do zachowania się w sytuacji zakładniczej. Bierz się do roboty.

Komisarz Kowalik oddalił się na koniec ciężarówki i wyciągnął radiotelefon z kieszeni. Jego miejsce przy Kamińskiej zajął inspektor Oleg Semeniuk, który do tej pory siedział przy komputerze. Patrzył na komisarza Sorokę i aspiranta Nowaka z pobłażliwym uśmiechem zdającym się mówić, że należał im się ten opieprz.

— Jak plan szturmu? Daleko już jesteś? — zapytała Kamińska.

Semeniuk milczał i wymownie kierował wzrok na policjantów z Elbląga, dając znać szefowej, że ci panowie nie powinni być obecni podczas ich rozmowy. Adę jego zachowanie tylko mocniej zdenerwowało.

— Oluś, otrząśnij się, przecież oni muszą być w temacie, bo być może będziemy musieli skorzystać z ich pomocy. A tak w ogóle to pamiętasz o przeszkoleniu strażaków?

— Tak, jutro rano zrobię im wykład.

— Jaki wykład? Oluś, pojebało cię? Masz ich w terenie przeszkolić, mają usłyszeć huk granatów i schylać się na odgłos karabinu. Nie chcę, żeby podczas akcji ktoś mi się zesrał ze strachu albo co gorsze zginął.

— Nie mamy na to czasu — oznajmił Semeniuk.

Ada po raz kolejny walnęła pięścią w stół.

— Nie masz czasu? Wyjaśnij mi, co to znaczy!

Semeniuk był lekko dezorientowany.

— Przecież na jutro planujemy szturm.

— Szturm będzie wtedy, kiedy będziemy gotowi, ani minutę wcześniej. Zrozumiałeś?

— Tak.

— No to zorganizuj praktyczne szkolenie dla strażaków i nie nawal jak ostatnio.

Twarz Semeniuka ściągnęła się, a czoło zaczęło błyszczeć od potu, choć w ciężarówce wcale nie było gorąco. Kamil nie spuszczał z niego oczu, wiedząc, że tamten męczy się pod jego spojrzeniem. Właśnie się wydało, że pewny siebie inspektor nie jest taki doskonały.

— W kwestii szturmu co już ustaliłeś? — zapytała ponownie Ada.

Semeniuk wyjął tablet i przesunął długim kościstym palcem po ekranie. Być może miał tam notatki albo chciał w ten sposób uniknąć patrzenia na policjantów z Elbląga, w oczach których przed chwilą pojawiło się rozbawienie.

— Lokatorzy z parteru i pierwszego piętra sfotografowali pudełka

z ładunkami wybuchowymi, które znajdują się w ich mieszkaniach, i przysłali nam te zdjęcia. Pirotechnicy już je przeanalizowali. Udało się określić wielkość pudełka, trzydzieści centymetrów na trzydzieści i na pięćdziesiąt. — Semeniuk wykonał w powietrzu ruch ręką obrazujący, o które długości mu chodzi. — Nie wiemy, co jest w środku, stawiałbym na trotyl. Jeśli to wybuchnie, to na pewno wyrwie okno i zniszczy całe pomieszczenie, no i zabije znajdujące się tam osoby. W czasie szturmowania lokatorzy powinni schować się do łazienki, tam będą bezpieczni. Ostrzeżemy ich telefonicznie na kilka minut przed atakiem.

— Dużo tych ładunków wybuchowych, aż w dwunastu mieszkaniach — mruknął Rumun. — To dziwne, że nikt nie zauważył, jak sprawcy je wnoszą.

— Przypominam koledze, że są święta, w tym czasie kurierzy z paczkami stają się niewidzialni — rzucił inspektor, po czym kontynuował wcześniejszą wypowiedź: — Zakładamy, że ładunek wybuchowy znajduje się też w przedsiionku klatki. Niestety, nasz robot nie zdołał go sfotografować. Szturm zaczniemy od zdetonowania właśnie bomb przy drzwiach wejściowych do wieżowca, wykorzystamy do tego roboty pirotechniczne. Potem ruszymy do środka, po trzydziestu czterech do każdej klatki. W czasie podchodzenia do bloku będziemy trzymać nad głowami tarcze balistyczne, na wypadek gdyby terroryści puścili serię z góry. W środku też posłużą nam jako zasłona. Do piwnicy wejdziemy przez drzwi z dwóch stron jednocześnie, po czterech antyterrorystów z każdej strony. Reszta na górę, siłą wchodzimy do każdego mieszkania i sprawdzamy lokal. Drzwi wyważamy taranami i młotami. Działamy czwórkami, dwóch komandosów wyważa drzwi, kolejna dwójka ich osłania, potem ci, którzy osłaniają, wrzucają do środka lokalu granaty hukowo-błyskowe. Pirotechnicy od razu wezmą się za zabezpieczanie ładunków wybuchowych. Straż pożarna będzie wyprowadzała zdrowych i rannych zakładników, a wy ich przejmujecie. Wśród zakładników mogą się kryć terroryści, to będzie

wasze zadanie, żeby ich wyłapać.

Semeniuk zawiesił głos i zerknął na tablet.

— A co z windą? — zapytał Nowak.

— Odłączymy prąd od wieżowca na czas szturm. Zawsze się tak robi, dlatego o tym nie wspomniałem.

Rumun kiwnął głową na znak, że przyjął to wyjaśnienie, ale wciąż coś budziło jego wątpliwości, o czym świadczyły ściągnięte brwi.

— Coś jeszcze? — zapytał Semeniuk.

— Po co wywazać drzwi? Nie lepiej polecić lokatorom, żeby je zostawili otwarte?

Kamil się uśmiechnął. Rumun myślał identycznie jak on. Po co robić dużo hałasu i wielki rozpierdólnik, gdy to samo można osiągnąć po cichu, przy mniejszym nakładzie sił i mniej kosztownych zniszczeniach.

Semeniuk również się uśmiechnął, dał tym wstępnie do zrozumienia, że pytanie aspiranta jest naiwne.

— Jeżeli kazalibyśmy mieszkańcom zostawić niezamknięte na klucz drzwi, to i tak nie wszyscy by nas posłuchali, ale nie to jest najistotniejsze. Naszym priorytetem jest życie i zdrowie zakładników, a oni będą bezpieczniejsi w zamkniętych mieszkaniach. Naszych ludzi będzie trzydziestu na klatkę, po czterech na mieszkanie, dwóch muszą też zostawić na schodach, to znaczy, że w krótkim czasie jesteśmy w stanie oczyścić siedem mieszkań, czyli niecałe trzy kondygnacje. Terrorysty będą mieli trochę czasu, żeby na pozostałych piętrach robić, co im się spodoba. Lepiej, żeby nie mieli ułatwionego dostępu do zakładników. Najgorsze, co nas może spotkać, to sytuacja, kiedy sprawcy barykadują się z kilkoma rodzinami w jednym mieszkaniu i zaczynają zabijać zakładników. Jest to dla was jasne?

W ostatnich słowach inspektora zawarta była sugestia, żeby nie zadawać mu więcej pytań. Ale Rumun nie miał zamiaru tak szybko odpuścić.

— Dlaczego zaplanowałeś szturmować budynek tylko z dołu?

Przecież w przypadku obiektów stałych zwykle zakłada się atak równoczesny z różnych kierunków. Macie helikopter, można by uderzyć też od góry.

— A zauważyłeś, że dach jest naszpikowany antenami jak tort świeczkami?

— Zauważyłem, ale ja wam nie każę skakać na spadochronach. Sądzę, że znajdzie się kawałek wolnego dachu, na który można zjechać na linie z helikoptera.

— To zbyt ryzykowna akcja, tego się nie da zrobić szybko. Terrorysty zdążyliby wystrzelać naszych, sam ukryci we włazach.

— W takim razie po co ten śmigłowiec? Macie nadwyżkę w przydziale paliwa?

Ada postanowiła zapobiec wymianie złośliwych ripost.

— Popieram Olega — oznajmiła. — Podczas szturmów od strony dachu nie damy rady zapewnić naszym bezpieczeństwu.

Inspektor wyglądał na zadowolonego, właśnie szefowa poparła przygotowany przez niego plan szturmów. Relacjonował dalej:

— Snajperów ustawimy na dziesiątym piętrze wieżowca stojącego naprzeciwko, a także na dachu bloku znajdującego się na wschód i tego na południe. To na wypadek, gdyby sprawcy wycofali się na dach i wzięli ze sobą zakładników.

— Masz wszystkie informacje na temat budynku? — zapytała Kamińska.

— Tak, znamy grubość ścian, rozkład pomieszczeń, rozmieszczenie drzwi i ich rodzaj, w większości są wzmocnione, antywłamaniowe. Wiemy też o wszystkich przebudowach wewnątrz mieszkań.

Ada zaciśniętą pięścią podparła brodę i patrzyła na policjantów z Elbląga.

— Macie jeszcze jakieś pytania?

Żaden z nich się nie odezwał, zakończyła więc spotkanie. Kamil i Rumun wyszli z ciężarówki wprost na mroźne powietrze, które natychmiast przyłgnęło do ich twarzy. Aspirant mocniej naciągnął kaptur, a komisarz uniósł głowę, żeby lepiej czuć chłód. Niska

temperatura studziła jego emocje. Semeniuk stanął za nimi, w kominiarce wyglądał jak ich osobista ochrona.

— Chcesz nas odprowadzić? — zapytał Kamil.

— Nie. Sądzę, że sami traficie. Potrzebny mi jest budynek, w którym mógłbym przeszkolić strażaków. Nie musi być wieżowiec, chodzi o dowolne zamknięte pomieszczenie ze schodami, żeby ich oswoić z granatami hukowo-błyskowymi i nauczyć poruszania się po schodach w obniżonej pozycji ciała.

Kamil i Rumun milczeli, wpatrując się w blok z wielkiej płyty. Robił ponure wrażenie. To przez te ciemności, przez rzędy czarnych okien przedzielonych szarością elewacji. Ludzie wprawdzie włączali oświetlenie, nie pozwalali jednak jasności wydostać się na zewnątrz, starannie zaciągając zasłony lub opuszczając rolety. Ponadto wielką płytę ogarnęła posępna nieruchomość, nikt nie wyglądał przez okno ani nie wychodził na balkon, jak gdyby mieszkańcy stracili nadzieję, że z zewnątrz przyjdzie ratunek. Wieżowiec po przeciwnej stronie ulicy wydawał się negatywem tego wziętego przez terrorystów. Na żółto rozświetlone szyby i balkony oplecione siatką migoczących kolorowych lampek. Tam trwały święta, tam było życie, o czym świadczył choćby ruch za oknami.

Semeniuk chrząknął, przypominając o swojej obecności.

— Jeżeli nie ogarniacie tak prostej rzeczy jak znalezienie budynku do treningu, to zgłoszę się bezpośrednio do sztabu kryzysowego.

— Nie marudź — odezwał się Kamil. — Znajdę ci ten budynek.

Wyciągnął paczkę fajek i dłonią w rękawiczce próbował wydobyć ostatniego papierosa. Bez powodzenia.

Z ciężarówki wyskoczyła inspektor Kamińska. Też miała na głowie kominiarkę, ale tak zsuniętą, że było widać całą jej twarz.

— Przywieźli nam kolację — zwróciła się do Semeniuka.

— Dobrze was karmią? — zainteresował się Nowak.

— Tak, starają się.

Ada się uśmiechnęła, odsłaniając białe równe zęby, których mogłaby jej pozazdrościć niejedna amerykańska aktorka. Nikt

z obecnych nie mógł mieć wątpliwości, że ten uśmiech był przeznaczony dla Rumuna, najprzystojniejszego policjanta w Elblągu. To jemu prezentowała swoją niepodrasowaną kolorowymi kosmetykami urodę.

— Może zjecie z nami? Dużo nam przywożą, dla was też starczy.

Patrzyła na Rumuna, do niego skierowana była ta propozycja.

— Innym razem — oznajmił aspirant takim tonem, jak gdyby składał subtelną propozycję.

Pani inspektor zapewne ją wychwyciła, bo znowu ułożyła wargi w promiennym uśmiechu, aż Semeniuk uniósł brwi, był zdumiony, prawdopodobnie takiej szefowej jeszcze nie widział.

— To do zobaczenia — rzuciła Ada i ruszyła w stronę przedszkola na Wiejskiej.

Śnieg skrzypiał pod butami dwóch oddalających się osób. Kamińska i Semeniuk wyglądali teraz jak postaci z kreskówki, w której bohaterów prezentuje się na zasadzie kontrastu, ona niska i krępa, on wysoki i szczupły, choć z szerokimi barami.

— Ciekawe, jak ona wygląda w sukience? — zastanowił się Rumun.

— Jak kawałek szynki w siatce — mruknął Kamil.

Chciał zdeprecjonować atrakcyjność Kamińskiej, bo to nie jego próbowała poderwać, poza tym to ona wraz z Semeniukiem ukradną mu całe show związane z uwolnieniem zakładników.

— Myślałem, że tylko ten Rusek cię uwiera — zagadnął Rumun.

— On przede wszystkim, a tak w ogóle jest z pochodzenia Ukraińcem. Chciał mi wmówić, że ja też.

— Soroka? — Aspirant wypowiedział to słowo, jak gdyby wypróbowywał jego fonetyczną jakość. — Kto wie? Do nas przyjechało tylu Ukraińców po akcji Wisła. Znasz swoich dziadków?

— Nie, ojca też nie.

— No to może twój dziadek wyżywał Polaków w beskidzkich wsiach i po nim jesteś taki... — Nowak zrobił pauzę, jak gdyby szukał najwłaściwszego określenia, które nie uraziłoby komisarza. — Jesteś

taki twardy — dokończył.

— Ja Ukraińcem z pochodzenia? Nie sądzę. — Wciąż trzymał pogniecioną paczkę, z której nie udało mu się wydobyć papierosa. Wcisnął ją do kieszeni. — Ten ich plan szturmu jest do dupy — mruknął.

— No — potwierdził Rumun.

Ruszyli w stronę centrum dowodzenia. Śnieg, choć porządnie udeptany, nadal skrzypiał przy każdym kroku.

Kamil odwrócił głowę w stronę ciemnej bryły wieżowca.

— Zajmą jedynie trzy kondygnacje, a resztę zostawią terrorystom, szaleństwu, tylko narażą zakładników.

— Też tak sądzę — odezwał się Nowak. Machnął w stronę kilku dziennikarzy, dając im znać, żeby się nie zbliżali. Tamci zlekceważyli jego gest i podeszli z wyciągniętymi mikrofonami. Padło kilkanaście standardowych pytań, które policjanci zbyli milczeniem. Jeszcze kilkanaście kroków i weszli do klatki, a przedstawiciele mediów musieli zostać na zewnątrz, zatrzymani przez funkcjonariuszy z prewencji.

Gdy czekali na windę, Rumun podjął temat szturmu:

— Cały blok trzeba wziąć w ciągu pięciu minut, inaczej będą ofiary. Ofensywa powinna też nastąpić z góry, przez balkony na dziesiątym piętrze i przez włazy w dachu. Jak myślisz, zjazd na linie ze śmigłowca jest zbyt niebezpieczny?

Komisarz pokręcił przecząco głową.

— Wystarczy, że mieliby na pokładzie takiego snajpera jak ty.

— Kamil, czy my się nie wymądrzamy? Przecież oni lepiej od nas wiedzą, jak się przeprowadza szturm.

— Wiesz, o co tu chodzi?

— O co?

— O to, że nie mają ludzi, żeby przeprowadzić atak z dwóch stron, nawet nie mają wystarczająco dużej ekipy na szturm z dołu. Do jedenastu kondygnacji i dwóch klatek trzeba dwa razy więcej antyków, co najmniej stu czterdziestu. Ada powinna zgłosić

komendantowi głównemu, że potrzebuje jeszcze jeden wyspecjalizowany oddział.

— Ale tego nie zrobi, bo ewentualna sława zostałaby podzielona na dwie grupy.

— Nawet nie to, ona mogłaby stracić dowodzenie, bo przecież kolejny oddział przyjechałby tu ze swoim dowódcą, zapewne byłby to ktoś z jajami, dosłownie.

W centrum dowodzenia czekał już na nich starszy aspirant Konarski. Drzemał przy stole kuchennym, przy jego nogach leżała torba. Gdy weszli, uniósł głowę.

— I co, wymyśliłeś, jak można przedostać się do bloku? — zapytał komisarz.

Bardzo liczył na Konarskiego w tej kwestii. Niestety, tamten pokręcił przecząco głową.

— Na razie sobie to odpuście.

Technik sięgnął torbę i położył ją na swoich kolanach. Dłonią przesuwiał wzdłuż jej krawędzi. Nietrudno było się domyślić, że wewnątrz jest coś wartościowego.

— Co tam masz? — zapytał komisarz.

— Prezent gwiazdkowy dla was.

Konarski rozsunął zamek torby i wyjął z niej kulkę kształtem przypominającą spłaszczoną śliwkę. Miała szary kolor i była wykonana z gumy.

— Wolałbym kratę piwa — mruknął Rumun.

Soroka wziął kulkę w palce. Dopiero teraz zobaczył, że ma szklane oczko.

— To kamera?

— Tak, to szpiegowska kamera z modułem wi-fi. Można ją ukryć w dowolnym miejscu. Na forach to cudo nazywane jest batem na nianie. Rodzice wsadzają kamerkę do maskotki i widzą w biurze, jak niania wykręca rączki ich pociechom. Podobno niejedna szczęśliwa żona mogła też zaobserwować, jak opiekunka kładzie dziecko spać, a potem zaczyna obsługiwać tatusia. W internecie są filmiki właśnie

tego typu, głównie ze Stanów, bo tam mają największą obsesję na punkcie kontroli dzieciaków. Ostrość obrazu znakomita, naprawdę powala, zapotrzebowanie matrycy na światło jest minimalne, można więc nagrywać w słabo oświetlonych pomieszczeniach. Nasza kamerka to wersja ulepszona, bo ma możliwość włączenia noktowizora.

Rumun podszedł do stołu i również podniósł jedną kulkę.

— Masz ich więcej?

Starszy aspirant wyjął z torby dziewięć identycznych kulek i rozłożył je na stole z takim namaszczeniem, jak gdyby były to diamenty. Patrzył na nich z miną skromnego chłopca, który jednak wie, że się sprawił na medal.

— Te kamery są na wyposażeniu firmy? — pytał dalej Rumun.

— Tak, od sześciu miesięcy, zostały zakupione z funduszy unijnych i do tej pory nie były używane.

Konarski rozbudził ich wyobraźnię, policyjne oko w postaci kamer w wieżowcu, a gdyby jeszcze dało się nimi sterować... starszy aspirant już wyliczał zalety urządzenia.

— Jasność, kontrast i rozdzielczość reguluje się poprzez specjalną aplikację, można ją zainstalować na telefonie. O opcji z noktowizorem już wspomniałem. Kąt patrzenia kamery osiemdziesiąt stopni. Możliwy jest podgląd w czasie rzeczywistym i oczywiście zapis obrazu w postaci filmu albo zdjęć, kto co woli. Nieźle, co?

— Nieźle, ale mów lepiej, jak przetransportujemy te kamerki do wieżowca — odezwał się Kamil.

Nurtowało go to od momentu, gdy wziął kulkę w palce. Nie wątpił, że jest jakiś sposób, inaczej Konarski nie demonstrowałby im tego sprzętu.

Technik wyjął z torby pistolet i położył go na stole. Teraz wszystko stało się jasne. Wystrzelą kamerki, oczywiście zrobi to Rumun, najlepszy strzelec w ich firmie.

— Brytyjska produkcja — zakomunikował Konarski. — Na

początku używana przez armię, ale dla wojskowych to już przeżytek. Teraz bawi się tym policja.

Rumun podniósł pistolet i zaczął go oglądać.

— Z czegoś takiego jeszcze nie strzelałem, musiałbym najpierw go wypróbować.

— Kamerki można wystrzeliwać na sporą odległość. Przyklejają się do w miarę gładkiej powierzchni, na przykład do szyby, i przekazują obraz wraz z dźwiękiem — wyjaśnił starszy aspirant.

Komisarz z sykiem wypuścił powietrze. Nie o to mu chodziło, chciał mieć policyjne oko i ucho wewnątrz wieżowca, a nie przyklejone do okna. Tak naprawdę Konarski nie zaproponował nic ponad to, co mają teraz, czyli zaglądnienie do mieszkań i na klatkę przy pomocy teleobiektywu.

Starszy aspirant spostrzegł niezadowolenie na obliczu szefa.

— Gdybyście dogadali się z jakimś zakładnikiem... posłalibyśmy mu kamerki, a on wyniósłby je na klatkę i przykleił tam, gdzie byście chcieli.

— Nie wolno nam narażać życia zakładników — mruknął Rumun.

Komisarz spojrzał na niego z dezaprobatą.

— Co ty nie powiesz?

Czasami zawodowa uczciwość aspiranta Nowaka działała mu na nerwy. W tej robocie trzeba sięgać po środki niezgodne z procedurami, inaczej górą będą przestępcy, ewentualnie sukces zgarnie ktoś inny, na przykład taki inspektor Oleg Semeniuk.

— Bukowski rozmieści dla nas te kamery — oznajmił Kamil tonem nieznoszącym sprzeciwu. — I zrobi to w całym bloku.

Rumun nie zaprotestował, zapytał jedynie:

— Jak go do tego przekonasz?

To rzeczywiście był problem. Dziennikarz był odważny i bystry, był gotów wejść w każde gówno, pod jednym warunkiem, że mu się to opłaci. Musi temu gówniarzowi coś zaproponować, ale co?

— Przetestuj ten pistolet — zwrócił się do aspiranta. — Będziesz gotowy, to wtedy zadzwonimy do Bukowskiego i z nim pogadamy.

Oczywiście o tych kamerkach wiemy tylko my trzej.

Do kuchni weszła sierżant Beata Gryś, a wraz z nią wplynęła słodka woń perfum. Zmęczenie malowało się na jej ślicznej twarzy, widoczne było zwłaszcza w opadających powiekach. Zatrzepotała rzesami, ale tym razem nie po to, żeby ich oczarować, ale z zamiarem odpędzenia senności. Wyciągnęła palec przed siebie i wskazała na szare kulki, które Konarski właśnie zgarniał do torby. Nie zdążyła o nie zapytać, bo Kamil ją zagadnął:

— Masz coś nowego dla nas?

Skupiła na nim zmęczone oczy i nie zauważyła, że Nowak chowa pistolet za pasek spodni.

— Coś nowego? — Wdzięcznym gestem przyłożyła palce do skroni. — Aha, pół godziny temu nasz teleobiektyw zarejestrował ruch w mieszkaniu na dziesiątym piętrze, tam, gdzie niby mieszkają ci Ukraińcy. Na pewno ktoś tam przebywa i stara się, żeby go nie było widać. I jeszcze jedno, pięć minut temu zaczęła się konferencja prasowa naszej pani prokurator i Falenckiego, tutaj pod blokiem.

Kamil narzucił na siebie kurtkę.

— Gdy będziecie gotowi, dajcie znać — powiedział do kolegów i wyszedł z kuchni.

Prezydent Falencki i prokurator Łempicka stali w świetle policyjnych reflektorów. Oboje z odkrytymi głowami, co w tej temperaturze zakrawało na szaleństwo, ale tak wypadało, bo przecież składali kondolencje rodzinom dwóch ofiar. Półkolem otaczało ich kilkudziesięciu dziennikarzy. Na pierwszy rzut oka można było pomyśleć, że się tłoczą, przepychają, rywalizują ze sobą o możliwość zadania pytania. W rzeczywistości tworzyli dobrze zorganizowany, uzupełniający się organizm z mikrofonami i kamerami. Odpowiedzi udzielał głównie prezydent, starannie dobierając słowa. Przemawiał też gestami, a nawet postawą całego ciała, był taktowny i swobodny. Widać było, że czuje się dobrze przed kamerami. Radził sobie z każdym trudnym pytaniem, zdawał się nawet panować nad ruchem swojego szala, który płynnie falował

na wietrze. Z kolei szalik prokurator Łempickiej smętnie zwisał wzdłuż jej płaszcza, a ona sama stała lekko przygarbiona z bladą twarzą. Nie była w najlepszej formie. Kamil pamiętał z ich pierwszej wspólnej sprawy, że źle znosiła kontakty z przedstawicielami mediów. Prawdopodobnie uświadamiała sobie, że mógłby być wśród nich jej mąż, swego czasu niezły dziennikarz.

Przepchał się do przodu, stanął w pierwszym rzędzie. Chciał, żeby go zobaczyła, dałby jej wtedy znak, że nie jest sama, może na niego liczyć. Milena opuściła jednak głowę, oddając zupełnie konferencyjną przestrzeń prezydentowi, on z tego skwapliwie korzystał. Po raz kolejny padło pytanie o żądania terrorystów. Falencki uniósł ręce na wysokość piersi, przy czym obrócił dłonie wewnętrzną stroną do dziennikarzy. Tym gestem odgradzał się od nich i zarazem pokornie prosił o zakończenie konferencji. Podziałało. Narastający wśród dziennikarzy szmer nagle ucichł, a po chwili oni sami zaczęli się rozchodzić.

Falencki i Łempicka nałożyli nakrycia głowy. Milena dodatkowo nasunęła kaptur i ręką trzymała połę płaszcza pod brodą. Kamil prawie nie widział jej twarzy, ale miał wrażenie, że się odprężyła na jego widok.

— Mam sprawę — zwrócił się do prezydenta.

— Proszę mówić, w miarę możliwości mojego urzędu postaram się pomóc.

Falencki był zupełnie inny niż podczas porannego spotkania w przedszkolu. Wtedy zdenerwowany, wręcz wstrząśnięty całą tą sytuacją, teraz wydawał się zrelaksowany, nawet uradowany, jak gdyby przed chwilą otrzymał informację o wartościowej, ale niespodziewanej nagrodzie.

— Szukam pustego budynku mieszkalnego, w którym antyterrorysty mogliby przeszkolić naszych strażaków.

— Pusty budynek, zaraz, niech pomyślę. Może by się coś znalazło na Lotniczej w dawnych koszarach? Nie, tam są głównie hale. Może więc czynszówki, ostatnio kilka wysiedliliśmy, są gotowe do

rozbiórki. Ale tam są wąskie klatki i drewniane schody, czy to nie będzie przeszkadzać?

— Myślę, że nie. Gdzie są te budynki?

— Przy Grunwaldzkiej, na Warszawskiej i Traugutta. Zaraz skontaktuję się z ich zarządcą, żeby wam je udostępnił.

Kamil pomyślał, że to nie najlepszy pomysł robić ćwiczenia z granatami hukowymi w zamieszkałej części miasta, tak naprawdę lepszy byłby jakiś budynek na uboczu. Miał właśnie zapytać prezydenta o inną lokalizację, ale ten ścisnął mu już dłoń. Trudno, może mieszkańcy nie będą się skarżyć na hałas. Falencki uklonił się jeszcze Łempickiej i oddalił się krokiem pewnego siebie człowieka, który ma wszystko pod kontrolą.

Kamil odchylił kaptur z twarzy Mileny. Usta jej drżały, spojrzenie miała złężnione niczym zwierzątko zagonione przez myśliwych w pułapkę. Serce mu się ścisnęło na ten widok. Gdzie się podziała ta silna i opanowana kobieta. Przecież Łempicka była kimś na miarę inspektor Ady Kamińskiej, w przeciwieństwie do tamtej nie starała się za wszelką cenę demonstrować swego mocnego charakteru i profesjonalnego podejścia do każdej sprawy, z niej emanowała siła w sposób naturalny. Gdy zabierała głos, ludzie jej słuchali, gdy wydawała polecenie, nikomu nie przyszło do głowy, żeby się sprzeciwić. Poza tym miała przenikliwy umysł, patrzyła na ludzi, jak gdyby byli przezroczyści, co podczas prokuratorskich przesłuchań czy na sali rozpraw dawało jej ogromną przewagę. W tej chwili z tamtej silnej kobiety niewiele pozostało. Milena przechodziła załamanie, nic nowego w tym zawodzie. Domyślał się, że przyczyną jej stanu nie jest atak terrorystyczny na wieżowiec, tej sprawy nie musiała dźwigać sama, wspierała ją cała elbląska policja, poza tym odpowiedzialność za uwolnienie zakładników przeszła teraz na Adę Kamińską. Prokurator Łempicka tak naprawdę mogła odetchnąć na moment, ona jednak była roztrzęsiona, balansowała na granicy pozornego opanowania i wielkiego doła. Milena się załamała, bo już nie umiała sobie poradzić z zaginięciem syna i męża, a raczej

z niemożnością ich odnalezienia. Pierwszy raz od czasu jak się znali, poczuł tak głębokie współczucie dla niej. Miał wrażenie, że jej strach i rozpacz dotykają go bezpośrednio. Chciał jej pomóc, pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Milczał jednak, wiedząc, że każde słowo zabrzmiałoby banalnie. Ujął ją pod ramię. Drżała. Poczł dygot również we własnym ciele, jak gdyby przejmował go od niej.

— Masz chwilę? — zapytał.

Milena oparła głowę o jego ramię. Uznał to za twierdzącą odpowiedź. Poprowadził ją do jeepa i niemal bezwolną wepchnął do środka. Postanowił, że pojedą do niego. Im obojgu przyda się odpoczynek i gorący posiłek.

— Co sędzia ci powiedział? — zapytał, wjeżdżając w aleję Odrodzenia.

Domyślał się, że rozmowa z Lasockim była kluczowa dla jej obecnego stanu. Słyszał, jak Milena przełyka ślinę. W oczekiwaniu na jej słowa napięły mu się wszystkie mięśnie.

— Krzysiu i Paweł mogą być w Polsce, ale to nic pewnego — oznajmiła głosem, w którym pobrzmiwała rozpacz.

W pierwszej chwili poczuł ulgę, uznał, że to dobra informacja. Milena powinna się cieszyć, jej syn żyje i może być na terenie kraju. Jeśli tak jest, będzie go łatwiej znaleźć. Dopiero po chwili dotarła do niego cała efemeryczność tej wiadomości, ułuda podtrzymująca nadzieję w sercu zrozpaczonej matki, znowu wyłącznie przypuszczenia. Nic dziwnego, że Milena nie wytrzymała napięcia trwającego od sześciu lat.

— Powtórz mi dokładnie, co powiedział Lasocki, proszę.

Jeszcze nigdy nie mówił do niej z taką czułością.

— Krzysiu i Paweł byli w hotelu w Wiedniu, kamery ich zarejestrowały. Mój mąż się posługuje dokumentem na nazwisko Knud Jönsson. To była rutynowa kontrola przeprowadzana przez tamtejsze służby, ale zanim Austriacy się zorientowali, z kim mają do czynienia, Paweł zdążył się ulotnić.

— Kiedy to było?

— Nie wiem, ale chyba niedawno, może kilka dni temu.

Kamil skierował wzrok na świąteczną iluminację ozdabiającą aleję Odrodzenia. Girlandy białych światełek zwisające z lamp ulicznych przypomniały mu, że jest pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Prawie o tym zapomniał.

— Jest jakaś szansa na obejrzenie tego nagrania z hotelu?

— Nie pytałam o to, ale nie sądzę, żeby to było możliwe.

— Twój mąż udaje Szweda?

— Nie wiem, o to też nie zapytałam. Może Szweda, a może Duńczyka.

— Jakie mamy szanse na spotkanie się z tym informatorem ze służb?

— Chyba żadnych.

Milena na każde kolejne pytanie odpowiadała z coraz większą frustracją. Kamil zamilkł, bo nie chciał pogłębiać w niej stanu rozdrażnienia i poczucia bezsilności. Rzeczywiście znajdowała się w sytuacji beznadziejnej. Posiadała informacje przekazywane drogą nieoficjalną, bo ktoś coś po cichu wyjawiał, nawet nie wiadomo kto. Jak niby mieli teraz dotrzeć do szczegółów?

Samochodowe światła wyławiały z ciemności zaśnieżoną drogę. Na białej warstwie puchu nie było widać śladu kół, nikt tej trasy nie przemierzał od wielu godzin. Pogoda zatrzymała ludzi w domach. Jechał wolno, choć mu się spieszyło. Milena zaczęła przysypiać. Otworzyła oczy dopiero, gdy zaparkował przed domem. Wyglądała na zdezorientowaną, nie wiedziała, dokąd ją przywiózł.

— Jesteśmy u mnie.

Uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

Gdy tylko znaleźli się w salonie, przyłożył płomień zapalniczki do stosiku drewniek na palenisku kominka. Wyschnięte szczapy szybko zajęły się ogniem i zaczęły przyjemnie trzaskać. Do piekarnika włożył wołowinę z kurkami i ustawił temperaturę na dwieście stopni. Za dwadzieścia minut powinna być gorąca.

Milena siedziała na brzegu kanapy i kiwała się w przód i tył. Zajął

miejsce obok niej, pogłaskał ją po plecach.

— Kamil, już dłużej nie wytrzymam. Nie mogę nic zrobić. Informacje o moim dziecku i mężu są tajne. Lasocki powiedział, żebym zaufała naszym służbom, bo właściwie nic innego mi nie pozostaje, a tam też zdarzają się dobrzy funkcjonariusze.

Zaczęła płakać bezgłośnie, jak gdyby nie chciała przeszkadzać. Łzy ciurkiem spływały po jej policzkach, ale z ust nie wydobył się nawet cichy jęk. Kamil gorączkowo szukał w myślach jakiegoś sensownego rozwiązania.

— Mam pewien pomysł — zaczął niepewnie, bo nie był przekonany, czy to wypali.

— Jaki? — zapytała z nadzieją.

— Pomyślałem, żeby każdy policjant w Polsce dostał zdjęcie twojego syna, na prywatny telefon, taki alarmowy łańcuszek. Sam znam kilkudziesięciu funkcjonariuszy z innych miast, głównie ze wspólnych szkoleń. Rumun zna policjantów przede wszystkim z zawodów strzeleckich. Wyślemy im zdjęcie Krzysia z prośbą, żeby przekazywali je dalej, tylko musimy dołączyć jakiś przejmujący komunikat, żeby nikt nie zlekceważył ememesa. Jeśli dobrze pójdzie, to za dwadzieścia cztery godziny kilkanaście tysięcy naszych będzie znało twarz twojego syna.

— Wolałabym, żeby to zostało zrobione oficjalnie, wtedy byłoby szybciej.

— Ale niekoniecznie przyniosłoby rezultat. Pomyśl tylko, policjanci z Elbląga szukają prywatnie chłopca i proszą o pomoc kolegów z całej Polski. To może przynieść lepszy efekt, oficjalnie policja szuka kilkunastu tysięcy ludzi, drogówka nie jest w stanie zapamiętać wszystkich twarzy, a jeśli dostaną jedno zdjęcie na prywatny telefon...

Milena wytarła chusteczką oczy i policzki, potem zwinęła ją w kulkę i obracała w palcach.

— Zajmiesz się tym?

— Tak, tylko przyślij mi zdjęcie Krzysia, najlepiej dwa, te sprzed

sześciu lat i te sprzed dwóch, z Falun.

Ogień trzaskał w kominku, płomienie odbijały się w szybie ogromnego okna, za którym rozpościerał się zimowy las. To mogłyby być udane święta. Właśnie tak sobie je wyobrażał, że będą siedzieć obok siebie w milczeniu, on z kobietą, która nie będzie próbowała przemeblować mu życia i nie będzie narzekać, że zaciąga się dymkiem.

Milena odsunęła włosy z twarzy. Wciąż wyglądała na rozbitą.

— Nie rozumiem, dlaczego nikt ze służb nie skontaktował się ze mną, dlaczego nie postawiono policji na nogi, gdy się okazało, że oni mogą być w Polsce. A jeśli w tym wszystkim chodzi o to, żeby Pawła nie znaleźć? Może naszym służbom na tym nie zależy.

Kamilowi też to przyszło do głowy. Paweł Krol prawdopodobnie stał za kilkoma zamachami bombowymi na szwedzką policję. Miał zmysł do tego typu działalności i był nieuchwytny. Paradoksalnie ten talent zawdzięczał chorobie psychicznej. Czyniło go to cennym dla służb, nie tylko polskich. Mieć w swoich szeregach takiego człowieka i móc wykorzystać jego umiejętności, ktoś taki mógłby być znakomitym tajnym ekspertem od terroryzmu. No właśnie tajnym, czyli tak naprawdę Paweł Krol nie powinien zostać odnaleziony. Nie miał zamiaru tego głośno mówić.

Wyłączył piekarnik i nałożył na talerze wołowinę z grzybami. Jedli szybko i w milczeniu, zaspakajając głód. W salonie robiło się coraz cieplej. Milena ściągnęła przez głowę sweter i została w obcisłej popielatej koszulce z krótkim rękawem. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo schudła. Przez materiał przebijał łukowaty kształt żeber, poniżej rysował się zapadnięty brzuch. Podobała mu się taka, bo przypominała kościotrupa, ale miał świadomość, że spadek wagi nie służy jej zdrowiu. Przesunął dłonią po plecach ukochanej, pod palcami czuł każdą wypukłość kręgosłupa i urocze zagłębienie na styku karku i pleców.

— Powinnaś trochę przytyć.

— Powinnam.

Patrzyła teraz na niego z wyjątkowym ciepłem i wdzięcznością. To dobrze, że choć na moment udało mu się polepszyć jej samopoczucie.

— No to co, po kawałku sernika i kawa?

Przytaknęła. Gdy wchodzili do kuchni, odezwał się jego telefon. Miał wrażenie, że usłyszał sygnał alarmowy ponaglący go do działania. Minęło już półtorej godziny od czasu, gdy opuścił centrum dowodzenia, zostawiając Nowaka i Konarskiego ze szpiegowskimi kamerkami. Zerknął na wyświetlacz. Dzwonił Rumun.

— No mów! — polecił, odebrawszy połączenie.

Tamten, darując sobie zbędny wstęp, oznajmił:

— Jestem gotowy.

Kamil ruchem głowy wskazał Milenie ekspres do kawy, po czym skierował się do sypialni. Chciał zachować w tajemnicy sprawę dostarczenia kamerek do wieżowca i wciągnięcia dziennikarza w ich rozmieszczenie. Czuł, że próbowałyby temu zapobiec. Wprawdzie sama sięgała po niekonwencjonalne metody śledcze, ale tylko wtedy, gdy te zwyczajowe zawodziły. Była śmiałym prokuratorem, jednocześnie trzymała się przepisów, paragrafów, klauzul i przez to była wyjątkowo skuteczna. Prawdopodobnie nie pozwoliłaby mu teraz na samowolkę, uznając, że priorytetem stała się dla niego własna ambicja, a nie bezpieczeństwo zakładników.

Nie zapalił światła w sypialni. Niech będzie ciemno, niech mrok przysłoni to, co nieoficjalne i ryzykowne. Znalazł na parapecie fajki i zapalniczkę.

— Czekaj na mój telefon, dam ci znać, kiedy masz wystrzelić kamerki. Aha, powiedz mi, w które okno mieszkania Bukowskiego będziesz strzelał?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

— Halo, Rumun, słyszysz mnie?

— Tak, słyszę. Nie będę strzelał w okna Bukowskiego, bo wychodzą na drugą stronę, a tam ludzie Kamińskiej mają wyjątkowo dobre stanowiska obserwacyjne. Na pewno zauważyliby, że dziennikarz

otwiera okno i coś zdejmuje z szyby. Uznaliśmy z Konarskim, że najlepiej będzie posłać kamerki w okno na klatce schodowej. Bukowski musiałby wyjść z mieszkania i zejść pół piętra w dół.

— Dobra, pół piętra w dół, tak mu powiem.

— Kamil, tylko nie przesadzaj.

Te słowa Rumuna zabrzmiały jak ostrzeżenie i jak głos zdrowego rozsądku. Aspirant zdawał sobie sprawę, że dał się wciągnąć w swoistą grę komisarza, w swego rodzaju rosyjską ruletkę, gdzie jeden strzał mógł im przynieść celne trafienie wprost w tajemniczych sprawców, ale trafienie mogło też być pechowe i oznaczać śmierć zakładnika, dziennikarz podczas tej akcji mógł stracić życie. Rumun się tego bał. Kamil wiedział, że musi go uspokoić, bo inaczej tamten zaraz wycofa się z wystrzelenia kamerek.

— Spokojnie, wytłumaczę Bukowskiemu, co mu grozi i na co ma uważać, i przede wszystkim nie będę go przymuszał.

Kamil się rozłączył. Włożył do ust papierosa i pstryknął zapalniczką. Ogień na moment rozświetlił ciemność panującą w sypialni, wydobywając kontury nieruchomych mebli. Miał nadzieję, że ten błysk światła odbije się w jego umyśle, wzniecając pomysł, jak przekonać dziennikarza do rozmieszczenia kamerek. Nic mu nie przychodziło do głowy. Chyba będzie musiał wykorzystać tę nić porozumienia, która połączyła go z tym bezczelnym gówniarzem. Nic tak nie wiąże ludzi, jak wspólnie dokonane przestępstwo, to jak kajdany skuwające dwie osoby, które nie mogą na siebie patrzeć, bo widzą w twarzy tego drugiego własny występki, ale zarazem odczuwają niezdrową konieczność dalszej współpracy. Przed kilkunastoma miesiącami wciągnął Bukowskiego w przejęcie okupu, który zamożny przedsiębiorca miał zapłacić porywaczom za uwolnienie bratanka. To on, komisarz, zabezpieczał przekazanie pieniędzy, od razu zobaczył w tym okazję dla siebie, musiał jedynie mieć współnika, który odbierze paczki z kasą. Dziennikarz doskonale się do tego nadawał, bo był zachłanny, odważny i bystry.

Wybrał numer Bukowskiego, choć nie miał jeszcze w głowie

ułożonego przebiegu rozmowy, nie przygotował sobie błyskotliwych zdań, którymi mógłby omamić chłopaka. Tamten odebrał już po drugim sygnale.

— Komisarzu, nie uwierzysz, ale bardzo się cieszę, że słyszę twój głos.

— Rzeczywiście nie wierzę — mruknął Kamil. Zaciągnął się papierosem. — A jak święta? — zapytał bez cienia złośliwości w głosie.

— Jak co roku, przed telewizorem i komputerem, tylko na pastercie nie byliśmy i mikołaj do nas nie przyszedł, z tego ostatniego akurat się cieszymy. — W słuchawce zapadła cisza. Sekundy mijały. Gdy dziennikarz odezwał się ponownie, jego głos był poważny: — Komisarzu, kiedy to się skończy? Moja Kaśka umiera ze strachu.

— Nie wiem.

— Nie wiesz, to co wy tam robicie?

— W tej chwili jestem u siebie w domu i jaram szluga.

— Komisarzu, jeśli chcesz mnie zdenerwować, to ci się udało.

— Uwierz mi, że nie miałem takiego zamiaru.

— Nie wierzę.— W słuchawce na moment zapadła cisza. — Czego chcą ci terroryści? Powiesz mi? W internecie znalazłem same spekulacje na temat żądań. Pisz się nawet, że domagają się dymisji rządu. Jeśli tak jest, to się do nich chętnie przyłączę.

Kamil skoncentrował wzrok na żarzącej się końcówce papierosa.

— Żądania nie mają żadnego znaczenia, bo nikt nie zamierza ich spełniać.

Chciał, żeby jego głos zabrzmiał twardo, stanowczo, wręcz okrutnie. Udało się, Bukowski się wzburzył.

— To co, kurwa, planujecie zrobić? Pozwolicie nas wszystkich zabić?

— Chcemy was uratować, ale jest problem, nie wiemy, jak się do tego zabrać.

— Bym się nawet teraz zaśmiał, gdyby nie to, że patrzę na moją siostrę, która trzęsie się jak osika.

Kamil pomyślał, że siostra Bukowskiego może okazać się kluczowym problemem, bo nie pozwoli wyjść bratu z mieszkania. Kontynuował jednak, starając się, aby słowa nie wyprzedzały myśli.

— Nic nie wiemy o sprawcach, ilu ich jest i jaką mają broń. A to informacje kluczowe, jeżeli mamy was odbić.

— No to, komisarzu, teraz cię pocieszę. Parę godzin temu, chyba koło szesnastej, mieliśmy telefon od sąsiada z naszego piętra. Powiedział nam, że mamy obserwować przez wizjer klatkę. Gdy zobaczymy jakiegoś terrorystę, mamy zadzwonić do niejakiego Bociana, zostawili jego numer. I mieliśmy zwracać uwagę na broń terrorystów. Powiedział, że to lokatorska inicjatywa, żeby pomóc policji. Zgodziliśmy się z Kaśką na te obserwacje, ale szczerze mówiąc, po czterdziestu minutach patrzenia przez wizjer na ciemną klatkę schodową odpuściliśmy sobie. Jeśli jednak ta obserwacja jest ważna, to się przyłożymy.

— Wolałbym sam widzieć, co się tam u was dzieje.

— To wpadnij do nas, zapraszam.

— Gdyby tylko była taka możliwość, już bym u was był. Zastanawialiśmy się z aspirantem Nowakiem, jak dostać się do bloku, ale niestety... przyszło nam jedynie do głowy, żeby do was przetransportować kamerki szpiegowskie.

Kamil zamilkł, licząc na dziennikarskie zainteresowanie ze strony Bukowskiego, ten jednak się nie odzywał, dając tym znać, że czeka na ciąg dalszy.

— Kamerki wystrzelimy w okno na klatce, przykleją się do szyby, trzeba je odkleić, a potem rozlokować w całym bloku.

W słuchawce rozległo się pogardliwe parsknięcie. Dziennikarz już wiedział, czego się od niego oczekuje.

— Żartujesz, komisarzu.

— Nie śmiałbym.

— Nie jestem polskim Chuckiem Norrisem. Nie będę nadstawiał głowy, poza tym Kaśka mnie nie wypuści z mieszkania. Nie wierzę, że w bloku nie ma nikogo więcej, kto mógłby to zrobić.

Kamil wyciągnął dłoń w stronę popielniczki.

— Jesteś jedyną osobą w całym bloku, której mogę zaufać. Każdy z pozostałych mieszkańców może współpracować z terrorystami.

— Ja też mogę — przerwał mu dziennikarz. — Przecież wiesz, do czego jestem zdolny.

— Bukowski, ty jesteś pazerna na kasę szuja. Dupę własnej siostry byś sprzedał, gdyby ktoś dobrze zapłacił, ale nie pchałbyś się tam, gdzie się morduje ludzi. Bilans strat i zysków byłby dla ciebie niekorzystny.

— Komisarzu, a może ty mnie chcesz wystawić na ostrzał. Zbyt dużo wiem o twoich sprawkach, żeby się nie martwić o swój tyłek.

— Gdybym chciał się ciebie pozbyć, już dawno bym to zrobił.

— Jakoś nie mogę uwierzyć, że jestem jedynym godnym zaufania w całym bloku.

— Też nie mogę w to uwierzyć, ale właśnie tak jest. Poza tym wiem, że ty nie spanikujesz, poradzisz sobie z tym zadaniem.

Kamil zgasił papierosa. Wpatrywał się w prostokąt ogromnego okna, w panujący za nim mrok rozjaśniany bielą śniegu. Po drugiej stronie szyby panowała zimowa cisza, w słuchawce również zapadła niepokojąca martwota, którą nagle przerwało delikatne stuknięcie, a potem rozległ się przerywany sygnał telefoniczny. Dziennikarz się rozłączył. Kamil położył telefon obok siebie i zapalił kolejnego papierosa. Nie był zły, raczej rozczarowany. Nie będzie miał swojego oka i ucha w wieżowcu. Może nie ma czego żałować. Prawdopodobieństwo, że przy pomocy kamerek szpiegowskich dowiedziałby się, kim są sprawcy, nie było zbyt duże. Nie da się jednak ukryć, że on, komisarz Kamil Soroka, zawiódł, a górą będzie zarozumiały typek z Wrocławia. Wstał. Musi iść do Mileny, czeka na niego z kawą i sernikiem, ale wcześniej powinien poinformować Rumuna, że z ich planu nici. Trzymał już telefon w ręku, gdy rozległ się sygnał przychodzącej rozmowy. Przyłożył aparat do ucha.

— Komisarzu, co z tego będę miał? — zapytał Bukowski.

— Będziesz miał swój wkład w walce ze światowym terroryzmem.

— Zawsze o tym marzyłem. A coś jeszcze, bardziej konkretnego?

— Mogę ci jeszcze obiecać, że będę cię informował osobiście o każdej kryminalnej sprawie. Będziesz pierwszy wiedział o włamaniu do piwnicy i kradzieży trzech słoików z ogórkami.

— A dostanę nagranie z tych szpiegowskich kamerek do publikacji, jeśli coś ciekawego zarejestrują?

— Tak, tylko oczywiście nie podasz, skąd to masz.

— W takim razie czekam na instrukcje. Zaczynaj od tego, co mam zrobić, gdy terroryści mnie dorwą.

— Będziesz udawał nastolatka. Swoją piegowatą gębą ich zmylisz. Jeśli uwierzą, że masz szesnaście lat, to cię nie zabiją, po prostu pogonią cię do mieszkania.

Kamil zaśmiał się w duchu. Chłopięca uroda Bukowskiego zawsze działała mu na nerwy. Taki dzieciak, a miał odwagę zadzierać z komisarzem policji.

Przez kwadrans tłumaczył dziennikarzowi, gdzie ma rozlokować kamery, następnie zadzwonił do Rumuna i dał sygnał do rozpoczęcia akcji.

Milena spała na kanapie w salonie, a na stole stygły dwie kawy, obok nich stały talerzyki z sernikiem.

Chciał już wracać do miasta. Wprawdzie miał możliwość zainstalowania na swoim telefonie aplikacji, przy pomocy której mógłby z domu sterować kamerkami wi-fi i obserwować wnętrze wieżowca. Wolał jednak być na miejscu, żeby móc konsultować się od razu z Rumunem i w razie potrzeby podjąć najważniejsze kroki. Dotknął ramienia Mileny. Nie drgnęła. Niech sobie pośpi, sen dobrze jej zrobi. Gdy się obudzi, na pewno do niego zadzwoni, a wtedy da kluczyki od swojego jeepa sierżantowi Pocieszce z poleceniem pojechania po panią prokurator Łempicką-Krol.

Przykrył ją kocem, wypił chłodną już kawę i wyszedł na mroźne powietrze.

Rozdział XVI

NA KLATCE PANOWAŁA CISZA typowa dla budynku z wielkiej płyty, czyli różne dźwięki jednak tutaj docierały, płynęły kanałami wentylacyjnymi, przeciskały się przez szczeliny, przedostawały się poprzez cienkie ściany i przez framugi. Gdzieś coś stuknęło, potem zatrzeszczało, rozległ się ledwo słyszalny szmer, kroki, gwizd, to chyba czajnik i skowyt psa, który nagle ucichł. Mikołaj Bukowski nasłuchiwał uważnie tych dźwięków, stojąc na szóstym piętrze. Próbował wyłowić odgłos pochodzący z samej klatki schodowej, ale tu na szczęście panowała cisza. Ruszył w stronę schodów, był w samych skarpetkach, tak kazał mu komisarz. Powiedział: Żadnych butów, nawet na cienkiej gumie, bo będzie cię słyszać. Rzeczywiście w samych skarpetkach poruszał się bezszelestnie. Minał schody prowadzące w górę, złapał poręcz i zaczął schodzić. Był już na półpiętrze, widział jaśniejsze prostokąty okien, jedno nad drugim, w to powyżej aspirant Nowak ma wystrzelić kamerki.

Mikołaj oparł się o ścianę i zaczął nasłuchiwać. Soroka zapewnił, że będzie słyszać, jak kamerki się przyklejają. Tak w ogóle to fajna rzecz taki sprzęt szpiegowski, idealny dla dziennikarzy śledczych. Gdyby taki posiadał, pisałby ciekawsze artykuły, a tym samym więcej by zarobił. Prawdopodobnie nie wszystko, czego by się dowiedział, puściłby na szpalty, czasami na przemilczeniu jakiegoś tematu można więcej zyskać. Szybko zrozumiał, że dziennikarstwo to zawód dla niego. Zaraz po maturze załapał się na wakacyjny staż do „Dziennika Elbląskiego”, naczelny już pierwszego dnia kazał mu przynieść jakiś wywiad. Nie miał pomysłu, z kim go przeprowadzić. Włóczył się po mieście i szukał w myślach ciekawego człowieka. W końcu zgłodniał. Wszedł więc do pierwszej lepszej restauracji,

oznajmił, że jest dziennikarzem i chciałby przeprowadzić wywiad z właścicielem lokalu na temat przyciągania do miasta turystów lokalną gastronomią. Artykuł nie był porywający, ale za to najadł się do syta i nie zapłacił ani grosza. Od czterech lat pracował w podobny sposób, tylko profity bywały inne, większe niż jeden dobry posiłek. Najbardziej lubił chodzić koło lokalnych polityków, to mu się zwykle opłacało. Pisał o ich sprawkach, nie omijał nawet życia prywatnego. Czasami odpuszczał jakiś temat, bo ktoś sobie nie życzył jego poruszania, przy czym uiszczal rekompensatę za nienapisanie artykułu. Lubiał też tworzyć teksty na zamówienie. Niedawno otrzymał kolejne od anonimowego zleceniodawcy. Tym razem miał w ciągu miesiąca przygotować kompromitujący materiał o prezydencie Falenckim. Czekala go dobra zapłata, aż cztery tysiące złotych. Niestety, ciężko było coś znaleźć. W pewnym momencie Mikołaj pomyślał, że już trafił. Prezydent pojechał w październiku w podróż służbową do Zjednoczonych Emiratów Arabskich i zabrał ze sobą żonę. Mikołaj zapytał o koszty tej wycieczki. Okazało się, że pani Falencka zapłaciła za siebie i zachowała wszystkie faktury, włącznie z rachunkiem za kawę, którą wypila na lotnisku. Czas upływał, a on wciąż nie miał nic kompromitującego na prezydenta. Zaczął więc na tydzień przed świętami jeździć za jego żoną z nadzieją, że na czymś ją przyłapie, na przykład na kradzieży w markecie. Niestety, pani Falencka zachowywała się jak żona cesarza, uczciwa i niewinna. Gdyby miał kamerkę szpiegowską, podrzuciłby ją do ich domu, a może okazałoby się, że prezydent bije żonę. To byłby hit.

Mikołaj omal nie krzyknął, gdy coś walnęło w okno. Co za huk, jak gdyby ktoś rzucił w szybę niewielką piłką. Raczej spodziewał się cichego plasknięcia, a nie takiego grzmotu. Po chwili kolejne uderzenie, równie głośne. Zdawało mu się, że cały blok słyszy te walnięcia w szybę. W wyobraźni widział ludzi w mieszkaniach, którzy nagle zastygają pochyleni nad kuchenką czy umywalką i nasłuchują z niepokojem tych odgłosów, próbując odgadnąć, co

one oznaczają. Terrorysty na pewno zaczną zaraz szukać źródła hałasu. Miał ochotę uciec do mieszkania, wystarczy, że pokona pół piętra, potem jeszcze parę kroków i już znajdzie się za drzwiami. Stał jednak dalej jak sparaliżowany i wsłuchiwał się w kolejne uderzenia, odliczając je w myślach. Sześć, siedem, osiem, krótka pauza, która zawisała w klatce schodowej jak preludium do czegoś strasznego, potem kolejne uderzenie i jeszcze jedno. To powinien być już koniec, ale on trwał nadal oparty o ścianę i nasłuchiwał. Spodziewał się kroków nadbiegających z góry i z dołu, trzaśnięcia drzwi, przeładowania broni, krzyku tuż nad uchem. Żaden z tych dźwięków się nie pojawił, Mikołaj był w miarę bezpieczny, mógł działać. Oderwał się od ściany i podszedł do okna, widział niewielkie kulki przyklejone do szyby, układały się w kwadrat, popisowe dzieło aspiranta Nowaka, podobno żaden pies w Polsce tak nie strzelał jak on.

Przekręcił klamkę zdecydowanym ruchem i szarpnął w swoją stronę. Okno się otworzyło z dość głośnym trzaskiem, w tym samym momencie jego ciało pozbawione czapki, szalika i kurtki zostało zagarnięte przez mroźne powietrze. Zatrząsał się. Złapał pierwszą kamerkę i próbował ją odkleić, trzymała się jak przyspawana. Pociągnął mocniej, puściła. Chwycił kolejną, potem następną, odklejone kulki chował do kieszeni w bluzie, palce mu marzły, stawały się coraz bardziej sztywne, z większym trudem odrywał kolejne kamerki. W końcu całą dziesiątkę miał przy sobie. Zamknął okno najostrożniej jak potrafił, ale i tak stuknęło. Dygotał z zimna, zgrzytał zębami, dopiero teraz dotkliwie odczuł brak butów, stopy miał zmarznięte. Zastanowił się, czy nie wrócić do mieszkania i nie włożyć jeszcze jednej pary skarpetek. Nie miał jednak pewności, czy Kaśka drugi raz wypuści go na klatkę. Postanowił więc od razu zabrać się za rozmieszczanie kamerek. Komisarz poinformował go dość dokładnie, gdzie ma je ulokować. Pierwszą umieścił na półpiętrze, na którym właśnie stał, zaraz pod framugą okna, doskonałe miejsce, bo tutaj szara kulka nie będzie rzucała się

w oczy. Powoli zaczął schodzić po schodach, nasłuchując niepokojących odgłosów oraz wychylając się co chwilę przez poręcz i lustrując półmrok w poszukiwaniu cienia i ruchu. Wyglądało na to, że klatka jest pusta. Zatrzymał się na czwartym piętrze, tutaj kamerkę przykleił w takim miejscu, żeby obiektyw obejmował windę i część schodów. Znowu ruszył w dół, na sam parter. Lęk w nim narastał z każdym krokiem. Soroka uprzedził go, że terroryści mogą być w piwnicy, czyli im niżej, tym niebezpieczniej. Szedł coraz ostrożniej i wolniej, słyszał własny oddech i bicie serca. Zatrzymał się na pierwszym piętrze i nasłuchiwał. Cisza. Ruszył dalej, zmarzniętymi stopami dotykał kolejnych stopni. Robiło się coraz zimniej, znowu zaczął dygotać. Gdy wyjmował z kieszeni kolejną kamerkę, ręce mu latały jak w febrze. Z niemałym trudem przykleił ją na wprost drzwi do piwnicy. Odwrócił się i zaczął prędkim krokiem wracać do góry. Szybko znalazł się na szóstym piętrze, stanął przy drzwiach mieszkania Kaśki. Postanowił tu chwilę odpocząć. Czuł satysfakcję, że udało mu się rozmieścić trzy kamerki.

Teraz czekała go trudniejsza część zadania, powinien przedostać się do pierwszej klatki, w tym celu musi się udać na ostatnią kondygnację, a tam mogą być terroryści. Komisarz założył, że pilnują wyjścia na dach. Zaczął się wspinać po schodach. Teraz trudniej było mu sięgać wzrokiem w głąb mroku, każdy zakręt był wielką niewiadomą, na półpiętrze, na schodach, przy windzie albo w dawnym zsypie mógł się kryć człowiek z karabinem. Mikołaj minął ósme piętro i bezszelestnie wspinał się na dziewiąte. Miał nadzieję, że jest niewidzialny w szarej bluzie i grafitowych spodniach. W tym upatrywał swoją szansę, nikt go nie zdoła dojrzeć ani usłyszeć. Wchodził już na dziesiąte piętro, jeszcze parę stopni i będzie na ostatniej kondygnacji. Bał się, że zaraz zobaczy w ciemnościach czyjąś sylwetkę, nikogo jednak nie było. Przykleił kamerkę przy schodach i ruszył w głąb korytarza, który prowadził do pierwszej klatki. Wciąż szedł ostrożnie, blisko ściany, żeby w razie pojawienia się świętego mikołaja przywrzeć do niej ciałem. Zostało mu jakieś

dziesięć metrów, aby znaleźć się w pierwszej klatce, wtedy je usłyszał, kroki. Tego dźwięku nie dało się pomylić z żadnym innym, niezbyt głośne, ale wyraźne stąpanie po gładkiej posadzce. Poczował, że włosy na głowie dosłownie jeżą mu się ze strachu, a coś niematerialnego zatyka mu usta, tamując oddech. Z przerażeniem myślał, że zaraz nastąpi jego koniec, kulka w łeb albo upadek z dziesiątego piętra na zmrożony śnieg. Kroki nieubłaganie zbliżały się w jego stronę. Jeszcze parę sekund, a zostanie zauważony. Paniczny lęk nakazywał mu odwrócić się i biec, ale resztki zdrowego rozsądku podpowiadały, żeby tego nie robił. Nie zdoła uciec przed kulami karabinu, musi się gdzieś schować. Oparł się plecami o ścianę, najchętniej zlałby się z nią w jedną całość. Kroki się zbliżały, były prawie przy nim. Chciał się stać płaski i nieruchomy. Niestety, drżały mu nogi, a klatka piersiowa rytmicznie pracowała. Bał się jak nigdy dotąd.

Ktoś go minął i podążał dalej. Mikołajowi nagle przyszło do głowy, że to nie terrorysta, lecz jakiś lokator. Skąd ta myśl? No tak, kroki były ostrożne, ten ktoś się skradał, też się bał, też wypatrywał zagrożenia. Mikołaj poczuł chwilową ulgę, na ułamek sekundy to uczucie przewyższyło strach. Nasłuchując oddalającego się osobnika, zaczął się przesuwac do przodu, nadal trzymał się blisko ściany. Wyciągnął dwoma palcami kulkę z kieszeni i przykleił ją nad swoją głową. Dopiero teraz do niego dotarło, że kamerki są uruchomione, a zatem komisarz może w tej chwili obserwować, co się tu dzieje, i na pewno widzi więcej niż on, bo korzysta z opcji z noktowizorem. Ogarnęła go fala nienawiści do Soroki, to przez niego teraz musi umierać ze strachu. Jak mógł dać się wciągnąć w tak niebezpieczne zadanie. Naraził własne życie, żeby pies mógł zbierać laury, a potem szczekać na stanowisku naczelnika wydziału kryminalnego.

Mikołaj nadal sunął do przodu, zagarniał ciemną przestrzeń korytarza po kilka centymetrów. Nie słyszał kroków za sobą, ten ktoś musiał się oddalić na sporą odległość, ale przecież zaraz może

wracać. Wolał nie ryzykować kolejnego mijania się z tajemniczym osobnikiem, chciał przyspieszyć, jego nogi nie słuchały jednak poleceń wysyłanych z mózgu. Nagle jego oczy wyłowiły z ciemności zagrożenie. Zamarł, wstrzymując oddech. Jakieś pięć metrów przed nim unosił się w powietrzu czerwony punkt. W panice próbował rozszyfrować jego pochodzenie. Co to może być? Nie wiedział, a ta niewiedza potęgowała w nim lęk, który niemal odbierał mu świadomość. Wtem jego nozdrza wychwyciły woń dymu papierosowego, a w mózgu nastąpiła mimowolna operacja myślowa, w wyniku której zrozumiał, że patrzy na żarzącą się końcówkę papierosa. Ktoś tam stał i jarał fajkę. Wyglądało na to, że wpakował się pomiędzy dwóch terrorystów, bo niby kto inny by tu chodził? Za plecami Mikołaja znowu rozległy się kroki. Dreszcze przeszły mu po plecach na myśl, że znalazł się w potrzasku, obie drogi ucieczki zostały zamknięte, mógł tylko czekać i liczyć na to, że go nie zauważą. Znowu przycisnął się plecami do ściany i włożył kciuk do ust, żeby nie zdradziło go szczekanie zębami.

Terrorysta go minął i zbliżył się do kolegi, który zaciągał się dymkiem. Rozległ się szept, kilka słów wypowiedzianych szybko i nerwowo, ale tak cicho, że nawet nie można było domyślić się ich znaczenia. Mężczyźni zaczęli oddalać się od Mikołaja, zatrzymali się w przestrzeni pierwszej klatki schodowej, tam było widniej, dzięki wieczornemu światłu wlewającemu się przez okna. Widział teraz kontury ich sylwetek, nie mieli na sobie płaszczy ani czap charakterystycznych dla świętego mikołaja. Zastanawiał się gorączkowo, kim oni mogą być. Może to jednak lokatorzy. Jeden z mężczyzn nagle zniknął, jak gdyby zapadł się pod ziemię. Mikołaj wyteżał wzrok, żeby odnaleźć zarys jego sylwetki. Miał wrażenie, że oczy płatają mu figła, bo nagle zobaczył trzech ludzi, po chwili znowu dwóch, w końcu stało się coś dziwnego, bo jeden z osobników się wydłużył i prawie głową sięgał sufitu. Mikołaj w pierwszej chwili pomyślał, że jeden mężczyzna stanął na ramionach drugiego, absurdalna sytuacja. Po chwili już wiedział, o co tu chodzi. Jeden

z mężczyzn próbował otworzyć właz prowadzący na dach. Rozległ się trzask, jak gdyby coś twardego właśnie zostało zmiażdżone. Sylwetka, która wisiała pod sufitem, uniosła się jeszcze wyżej, znikając w szybie prowadzącym na dach. Mikołaj nie był pewien, czy kamerka, którą przyczepił do ściany jakieś dwa metry wcześniej, ma tak szeroki kąt nagrywania, aby zarejestrować poczynania tych ludzi. Dla pewności wyjął z kieszeni kolejną kulkę i przykleił ją sobie do czoła. Teraz obiektyw i jego oczy obserwowały to samo. Nie miał trudności, aby zrozumieć, co się tutaj dzieje. Ci mężczyźni wynosili coś na dach, trzy duże paczki powędrowały w górę i znikły we włazie. Potem znowu pod sufitem pojawiła się sylwetka, mężczyzna schodził po drabince. Trzasnęła kłapa i tamten zeskoczył na podłogę. Rozległo się syknięcie i zwrot wypowiedziany zdyszczanym szeptem, ale na tyle wyraźnie, że stał się zrozumiały dla Mikołaja: „Job twojo mać”. Po minucie klatka schodowa była pusta, mężczyźni znikli w mieszkaniu, którego drzwi znajdowały się po lewej stronie od windy. To właśnie stamtąd wynieśli pakunki, które ukryli na dachu.

Stał nieruchomo jeszcze przez kilka minut. Bał się, że tamci mogą ponownie wyjść na klatkę. Powoli odkleił kamerkę z czoła i zaczął iść w stronę windy, to tam Soroka polecił mu przykleić kolejną kulkę. Poruszał się jak zwierzę, jak pantera na polowaniu, jego ciało było giętkie i sprężyste, a przede wszystkim nie wydawało żadnego odgłosu. Potem ruszył schodami w dół, był czujny, ale zarazem działał jak w hipnozie, liczył stopnie i przyklejał kolejne kamerki, siódmą na ósmym piętrze. Mięśnie miał napięte, ale już się tak nie bał, moment kulminacyjny strachu nastąpił, gdy trafił na tych dziwnych ludzi na jedenastej kondygnacji. Kolejną kamerkę zostawił między szóstym a piątym piętrem, przedostatnia zawisła na trzecim na wprost windy, a ostatnią umieścił przed wejściem do piwnicy. Drogę powrotną z parteru na dziewiąte piętro pokonał szybko, potem zwolnił. Wyteżał wzrok i słuch, spodziewał się ponownie natknąć na mężczyzn, którzy wynosili paczki na dach. Ostatnia kondygnacja była jednak pusta. Szedł powoli środkiem korytarza, instynktownie

kontrolował przestrzeń. W końcu schody w dół, dziewiąte piętro, za chwilę ósme, potem siódme, gdy schodził na szóste, przyspieszył. Stał przed drzwiami mieszkania Kaśki, nacisnął klamkę, drzwi się uchyliły wyjątkowo płynnie. Zrozumiał, że to jego siostra je otworzyła. Cały czas stała za nimi i czekała. Poczuł, jak ogarnia go ciepło, wchodziło przez zmarznięte stopy i podchodziło wyżej. Kaśka go objęła, biła od niej wysoka temperatura, zwłaszcza z rozpalonych policzków.

— Już więcej cię nie wypuszczę — szepnęła łamiącym się głosem.

— Dobra, mała, lepiej daj mi czyste skarpetki.

Objęła go jeszcze mocniej. Gdy się wyswobodził z jej uścisku, odnalazł komórkę i wybrał numer Soroki. Tamten odebrał już po pierwszym sygnale. Mikołaj uśmiechnął się pod nosem. Pies zwykle kazał mu długo czekać na połączenie, a najczęściej odrzucał przychodzącą od niego rozmowę.

— No i co, komisarzu? Kamerki działają?

— Działają, bo to dobry policyjny sprzęt.

— Aha, tak myślałem, że to wasze, zakupione na wyprzedaży. Jakiś dzieciak się znudził zabawką i wam opylił.

Zdjął skarpetki, włożył jedną w drugą i umieścił na choince, czarna kula między dwiema złotymi bombkami, cudowna dysharmonia. Czuł, że opuszcza go napięcie. Chodził po miękkim dywanie, delektując się jego ciepłem, i czekał aż ten jebany pies wyrazi swoje uznanie albo chociaż podziękuje. Tu przecież nie chodziło o kradzież półmilionowego okupu, lecz o walkę z terroryzmem. Tamten jednak milczał.

— Komisarzu, głos ci odebrało z emocji? Zapewniam, że moje były większe. Myślałem, że tam na górze zaraz mnie zajebią. Jeden z nich przeklął po rusku. Usłyszeliście to?

— Bukowski, zamknij się i słuchaj. Mam dla ciebie propozycję.

— Jaką?

Kaśka podała mu skarpetki. Przysiadł w fotelu i zaczął je wkładać.

— Przewietrzysz się na dachu, a przy okazji sprawdzisz, co tam

wynieśli.

— Pierdol się, i tak dużo dla was zrobiłem, a przewietrzyć to się mogę na balkonie.

Rozłączył się. Czuł, że ponowne przejście do pierwszej klatki i otwieranie włazu pod nosem tych dziwnych gości, którzy zapewne są terrorystami, jest ponad jego siły. Skoncentrował wzrok na swoich stopach ubranych w czarne skarpetki przyozdobione srebrzystymi kokardkami. Zawołał do Kaśki, żeby mu dała inne, bo w tych się czuje jak pedał na balu sylwestrowym. Odkrzyknęła, żeby wyprał swoje. Poszedł do kuchni. Właśnie zalewała herbatę.

— Wiesz, kto mieszka na dziesiątym piętrze w tamtej klatce?

Spojrzała na niego jak na wariata.

— Nawet nie wiem, kto mieszka za ścianą. A co? Odkryłeś coś na dziesiątym piętrze? Powiedz mi.

— Widziałem, jak trzech facetów wynosi z mieszkania na ostatnim piętrze jakieś pakunki. Ukryli je na dachu. Jeden z nich przeklął po rosyjsku.

Mięśnie na twarzy Kaśki zaczęły się napinać, nieładnie wykrzywiając jej rysy.

— A jednak Ruscy, to chyba tak samo źle jak muzułmanie? Boże! Dobrze, że cię nie zobaczyli. Mam rację? Nie widzieli cię?

— Na szczęście nie.

Sięgnął kubek z herbatą i przysiadł na taborecie. Aż sam nie mógł uwierzyć, że wykonał zadanie wyznaczone przez komisarza. Był z siebie dumny, ale o kolejnej podobnej akcji nie ma mowy, nie będzie już więcej ryzykował.

Rozdział XVII

OGIEŃ NA KOMINKU PRZYGASŁ, w salonie zrobiło się chłodniej. Milena przeciągnęła się na kanapie. Wiedziała, że jest sama w domu Kamila. Nie musiała go szukać w pozostałych pomieszczeniach. Był tam, gdzie powinien, czyli w centrum dowodzenia na Okulickiego. Wolałaby go mieć teraz przy sobie, chciała oprzeć głowę na jego ramieniu i chłonąć z jego ciała siłę. To było głupie, ale miała żal, że ją tutaj zostawił i pojechał do pracy, ratować zakładników. Potrzebowała go, a on po prostu wyszedł. Też tak wychodziła parę lat temu z domu, zostawiając męża i syna. Szła wyzwalać świat od złych ludzi. Krzysiu chował jej buty, po dziecinnemu sądząc, że w ten sposób ją zatrzyma, a Paweł spojrzeniem pytał, czy musi iść. Musiała. Każda sprawa była ważna, czy to ustawka pseudokibiców, czy znęcanie się nad dzieckiem, czy też kradzież kilku butelek wódki z osiedlowego sklepu. Wiele rzeczy mogła zrobić policja, ale ona uważała, że powinna osobiście przesłuchać podejrzanych i świadków. Prokuratorski majestat sprawiał, że osiągała lepszy rezultat niż funkcjonariusze. Była dumna, czuła, że zmienia świat, a tak naprawdę zaniedbywała własną rodzinę. Nie zauważała symptomów choroby psychicznej u Pawła i myślała, że jeszcze zdąży wynagrodzić Krzysiu te wszystkie godziny, które musiał spędzać bez niej.

Podciągnęła koc pod brodę i wpatrywała się w resztki dREW ŻARzących się na palenisku. Zbliżała się dwudziesta pierwsza, godzina graniczna dla życia kolejnego zakładnika. Powinna wracać do miasta, bo jeżeli sprawcy wyrzucą następnego mieszkańca, będzie musiała zająć się oględzinami. To w końcu jej obowiązek, a nie Kamila, chociaż aż się rwał do rozbierania trupów. Wzdrygnęła

się na wspomnienie nekrofilskich skłonności człowieka, który był jej tak bliski. Będzie musiała znowu z nim porozmawiać, przekonać do terapii. Już w wyobraźni widziała tę rozmowę, najpierw Kamil zacznie żartować, a potem się wścieknie. Ona ustąpi pod siłą jego argumentów, bo przecież nie rozkopuje w nocy cmentarzy, nie wykrada zwłok z prosektorium. Potrafił ją przekonać, że jego inklinacje mają niewinny charakter, jedni w sypialni bawią się w pana doktora, a on lubi, jak jego partnerka udaje martwą. Patrząc w jego jasne tęczówki, wierzyła, że jest jedynie fantastą nekrofilskim, a nie nekrofilem. Ale gdy zostawała sama, ogarniał ją niepokój, a z zakamarków pamięci wyłaniała się jego twarz zmieniona nie do poznania, którą miała okazję zaobserwować podczas kilku wspólnie przeprowadzonych oględzin. Przed paroma godzinami zostawiła go ze zwłokami Agnieszki Hulewicz, wystarczy mu podniet na dzisiaj.

Poczuła ostry ból między oczami, jak gdyby ktoś wbijał jej w to miejsce grubą igłę. Rozmasowała palcami skronie, potem przymknęła powieki i leżała przez kwadrans pogrążona w półśnie, tym swoistym stanie, który nie pozwala rozmyślać, ale nie odbiera do końca świadomości. Otworzyła oczy na odgłos przychodzącego esemesa. Usiadła i podniosła telefon. Kamil napisał, że wyśle po nią sierżanta Pocięchę, jeśli chce wrócić do siebie, ale oczywiście nie ma nic przeciw, żeby została w jego domu. Napiła się zimnej kawy i odpisała, żeby przysłał po nią samochód. Potem zaczęła szukać w telefonie zdjęcia Krzysia, które można byłoby rozesłać policjantom w całym kraju. Właściwie znała na pamięć wszystkie fotki swojego dziecka, miała wrażenie, że ich odbitki znajdują się w jej głowie. Patrzyła na rozbawione spojrzenie synka, na lekko rozchylone usta. Trzymał w dłoni czapkę z daszkiem, a na czole widać było podłużną pręgę, ślad po zdjętym do zdjęcia nakryciu głowy. Wiedziała, że na kolejne fotce zobaczy go w granatowej koszulce z zagiętym kołnierzykiem. Nagle ogarnął ją dojmujący żal połączony ze świadomością, że to tylko zdjęcia. Miała w pamięci twarz Krzysia z fotografii, a nie z realnego życia. Zbyt często zaglądała do albumu,

to błąd. Sprowadziła obraz swojego dziecka do kilkudziesięciu cyfrowych zapisów. Przymknęła oczy i próbowała przywołać buzię Krzysia, ale pod powiekami pojawiały się jedynie zdjęcia z telefonu. Przestraszyło ją to, tak nie powinno być. Powróciła myślami do radosnych wydarzeń z przeszłości. Ona i Krzysiu na plaży w Barcelonie, leżą razem na kocu. Ona czyta książkę, a on próbuje nadmuchać wieloryba. Nie wychodzi mu, w końcu podsuwa jej zabawkę. Ona czuje na ustniku jego oddech, a na gumowym wielorybie zapach jego dłoni. Próbowała powrócić do tamtych doznań, przywołać zapach jego skóry i włosów, niestety pamięć olfaktoryczna też ją zawiodła. To było nie do zniesienia, ta otchłań, w jakiej się znalazła, zupełne nic, przerażająca pustka, nie miała niczego, o co mogłaby się zaczepić wyobraźnią. Pozostały tylko zdjęcia, ale one nie były częścią jej wspomnień. W jej głowie Krzysia już nie było, nie pamiętała, jak pachniał ani w jaki sposób się wysławiał. Chyba lubił wspierać brodę na rękę, gdy oglądał bajki, nie była jednak tego pewna. Przeraziła ją ta pamięciowa pustka, przecież Krzyś jest całym jej światem, najbliższą osobą, ma go w sercu. Jak to możliwe, że nie pamięta tylu rzeczy?

Podeszła do okna i przyłożyła czoło do zimnej szyby. Wpatrywała się w zimowy las. Musi zająć czymś umysł, żeby wyrwać się z tej męczącej nicości. Samochód przyjedzie po nią za jakieś pół godziny. Postanowiła wykorzystać ten czas na napisanie komunikatu, który trafi do kilkunastu tysięcy funkcjonariuszy w całym kraju wraz ze zdjęciami Krzysia. Włożyła sweter, znalazła w torebce długopis i notes, usiadła przy kominku i zaczęła układać zdania. Te kilkanaście słów zaprzętnęło ją całkowicie. Czuła, że od ich dobrania zależy los jej dziecka. „Elbląska policja zwraca się z prośbą”, nie, nie tak, zbyt oficjalnie. „Chłopaki, pomóżcie”, ta bezpośredniość już bardziej chwytiała za serce, ale przecież komunikat trafi również do funkcjonariuszek. Skreśliła słowo „chłopaki” i zastanawiała się, czym je zastąpić, w końcu pozostawiła samo „Pomóżcie”. Pisała dalej: „Pomóżcie znaleźć czternastoletniego Krzysztofa Krola”, po

chwili namysłu zamieniła „Krzysztofa” na „Krzysia”. „Chłopiec został uprowadzony przez swojego ojca Pawła Krola, który prawdopodobnie posługuje się dokumentem na nazwisko Knud Jönsson”. Milena przeczytała zanotowane zdanie, po czym je wykreśliła. W komunikacie nie może być ani jednego słowa o tym, że to ojciec porwał syna, bo policjanci uznają to za kolejne uprowadzenie rodzicielskie i je zwyczajnie zbagatelizują. Długopis zawisł nad kartką papieru, a w jej głowie kotłowały się słowa. Wreszcie ułożyły się w zdanie, które prędko zapisała: „Chłopiec przetrzymywany jest przez mężczyznę, który podaje się za Pawła Krola lub Knuda Jönssona. Na Krzysia czeka policjant z Elbląga”. Milena przeczytała całość, po chwili namysłu dopisała jedno słowo: „z utęsknieniem”. Ostatnie zdanie: „Na Krzysia czeka z utęsknieniem policjant z Elbląga” miało wywołać skojarzenie, że jest kimś bardzo bliskim dla elbląskiego funkcjonariusza. Powinno to pozytywnie wpłynąć na zaangażowanie policjantów w poszukiwanie jej synka. Solidarność zawodowa wśród gliniarzy była bardzo duża, nieporównywalnie większa niż u prokuratorów.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Wrzuciła notes i długopis do torebki, włożyła płaszcz i wyszła na zewnątrz. Pośpiesznie wkładała rękawiczki. Przed domem stał jeep komisarza. Ucieszyła się, pomyślała, że to on po nią przyjechał. Sekundę później ogarnęło ją rozczarowanie. Ciemna sylwetka stojąca przy samochodzie nie należała do Kamila. Sierżant Pociecha otworzył przed nią drzwiczki. Wsiadła.

— Coś nowego? — zapytała.

— Nic. Na Okulickiego znowu zgromadziły się ze dwie setki gapiów, czekają na widowisko. Mróz im niestraszny, bo mają koksownik i termosy. Jak komendant zobaczył ten koksownik, to aż się wzruszył, stare czasy mu się przypomniały.

Milena trzymała w ręku telefon.

— Wyślę panu dwa zdjęcia mojego syna z komentarzem i bardzo proszę, aby pan je przesłał wszystkim funkcjonariuszom, do których

ma pan kontakt, głównie do tych spoza Elbląga.

Pociecha kiwnął na znak, że nie ma nic przeciw. Milena zaczęła przepisywać treść komunikatu, w końcu nacisnęła przycisk „Wyślij”. Kolejne ememesy wysłała do Kamila, Rumuna i sierżant Gryś.

— Powie mi pani, o co chodzi z tymi zdjęciami?

Spojrzała przez okno, zaśnieżone pole i zachmurzone niebo zdawały się tworzyć jedną otchłań, jakby patrzyła na wnętrze swej duszy.

— Prawdopodobnie mój syn i mąż są w Polsce, ale to nieoficjalna informacja i policja nie będzie ich jakoś specjalnie szukała. Kamil wymyślił, żeby przygotować prywatny list gończy i rozesłać go do jak największej liczby funkcjonariuszy.

— Komisarz dla pani to by wszystko zrobił.

Miała wrażenie, że słyszy niezdarne zapewnienia nastolatka, który chce się przysłużyć najlepszemu koledze.

Zatrzymali się na parkingu przy „Biedronce”. Rzeczywiście wokół wieżowca znowu zgromadził się tłum, wyglądało to prawie jak festyn, jak oczekiwanie na pokaz sylwestrowych fajerwerków. Ludzie byli poruszeni, przekrzykiwali się, nawoływali, patrzyli w jednym kierunku, na górne piętra bloku z wielkiej płyty. Wyglądali jak publiczność próbująca wywołać artystów na scenę. Milena pomyślała, że ta bliskość cywilów jest zbyt niebezpieczna, przecież w każdej chwili terroryści mogą zacząć strzelać z okien.

Sierżantowi przysłała do głowy ta sama myśl, bo oznajmił:

— Trzeba poszerzyć kordon, to odsunie gapiów od wieżowca. Zaraz powiem komisarzowi.

Milena przesiadła się do swojego samochodu. Postanowiła pojechać do domu, nie ma sensu, żeby tu czuwała. Jeśli wyrzucą kolejnego zakładnika, natychmiast wróci. Uruchomiła silnik i czekała chwilę, aż na szybach roztopi się szron, potem ruszyła zaśnieżonymi ulicami. Patrzyła z niedowierzaniem na przestrzeń skrzącą się od mrozu, miasto wyglądało jak z bajki. Pięknie byłoby spacerować w świetle lamp ulicznych potęgujących lśnienie śniegu.

Ona, Kamil i Krzysiu szliby wzdłuż starych budynków. Krzysiu zapewne by się ślizgał, a może nie, ma przecież czternaście lat, uznaliby, że takie zabawy już mu nie przystoją. Ale ona chętnie by się poślizgała, a może Kamil i Krzysiu by się do niej przyłączyli. Niemal usłyszała swój śmiech i komisarza, Krzysiu też się śmiał, ale jego śmiech nie docierał do jej uszu. Widziała rozpromienioną twarz Kamila. Jej syn też miałby radość w oczach, ale nie mogła sobie tego wyobrazić, jego buzia pozostawała w mroku. Ogarnął ją tak wielki smutek, że nie mogła powstrzymać łez. To tylko marzenia, a w dodatku nie była w stanie odtworzyć postaci własnego dziecka, ona i Kamil byli realni, a Krzysiu przypominał fantasmagoryczną zjawę. Poczuła bardzo silną potrzebę, aby zobaczyć własnego syna. Chciała nasycić się rysami jego twarzy, wdychać jego zapach, słyszeć barwę głosu, zapamiętać go wszystkimi zmysłami.

Wysiadła z samochodu. Łzy marzły jej na policzkach. Dopiero w klatce wygrzebała z torebki chusteczkę higieniczną i wytarła nos. Szła powoli po schodach. Ktoś podążał za nią, równie niespiesznie. Uderzyła kluczem o poręcz, kroki za jej plecami nagle ucichły. Przyszło jej do głowy, że to żaden z mieszkańców, bo nie wołał do niej „wesołych świąt”, nawet „dobry wieczór” nie usłyszała. Może widział, że płakała, i nie chciał zawracać jej głowy. To właściwie ona powinna się przywitać. Obróciła się na półpiętrze, jednocześnie starając się przywołać na twarz uśmiech.

Kilka schodków niżej stał Patryk Lasocki, patrzył na nią przepaszająco. Wolałaby stanąć twarzą w twarz z najgorszym z bandytów, którego posłała za kratki, byle nie z tym chłopakiem.

— Co tu robisz?

Starła się nie okazywać niechęci.

— Chciałem z panią porozmawiać.

— Mówiłam ci wczoraj, że nie mam czasu. Przecież wiesz, co się dzieje.

— Wiem, to musi być trudny czas dla pani, ale myślę, że sobie pani poradzi. Oglądałem dzisiaj konferencję prasową. Dumny

jestem, że panią znam.

Jego tembr głosu był przyjemny, spojrzenie w świetle korytarzowych żarówek wydawało się hipnotyczne. Znakomity manipulant, znowu próbował ją zwieść pochlebstwami. Raz ta sztuczka mu się już udała. Dała się złapać na lep komplementów, mimo że nigdy nie była na nie zachłanna. Wszystko przez te jego duże oczy, tak podobne do oczu jej syna.

— Wracaj do domu.

— Pani mnie już nie lubi?

Przywołał na twarz smutek, nawet łzy zaszklily się w jego ciemnych oczach. Dawał do zrozumienia, że cierpi i to z jej powodu. Miała ochotę powiedzieć, że czuje do niego odrazę, że nie może na niego patrzeć. Wiedziała jednak, że to nie jest dobry pomysł. Na atak, także słowny, psychopaci zwykle reagują agresją. Ustaliła z sędzią, że będą traktować Patryka normalnie, aby nie wzbudzać w nim złych emocji. Takie było też zalecenie zaprzyjaźnionego psychologa, ostrzegał ich przed sytuacjami konfliktowymi, w których Patryk zapewne nastawiałby się na walkę i na odniesienie zwycięstwa. Próbowaliby im udowodnić, że jest od nich lepszy, sprytniejszy i silniejszy.

— To, czy cię lubię, nie ma nic do rzeczy. Muszę się przebrać i zaraz wracam na Okulickiego. Porozmawiamy innym razem.

Odwróciła się i ruszyła do góry. Słyszała, że idzie za nią. Miała nadzieję, że nie będzie próbował wejść siłą do mieszkania. Do tej pory w relacjach z nią odgrywał dżentelmena. Przekręciła klucz w zamku i nacisnęła klamkę. Weszła do środka i obróciła się w stronę Patryka. Jedną rękę trzymała na futrynie, drugą na drzwiach.

— Dobrej nocy.

W jej głosie był spokój i chłodna uprzejmość. Zdobyła się również na lekki uśmiech.

— Pani prokurator, wydaje mi się, że pani zaniedbuje naszą przyjaźń. Nie mogę na to pozwolić.

Lufa pistoletu dotknęła jej płaszcz na wysokości brzucha. Zamarła. Była pewna, że za sekundę zginie. Nie zdążyła się nawet przestraszyć, poczuła jedynie dojmujący żal, że to już koniec, że tak niewiele zdołała osiągnąć w kwestii odnalezienia synka.

— Czy mogę wejść?

To pytanie natychmiast ją otrzeźwiło. Od jej zachowania zależało, czy Patryk pociągnie za cyngiel.

— Wejdz.

Cofnęła się, robiąc mu miejsce.

— Dziękuję. Obiecuję, że nie będę śmiertelnie nudnym gościem.

W jego głosie pojawiło się rozbawienie. Czy powinna się teraz uśmiechnąć? Nie była pewna. Może to tylko on ma się dobrze bawić, a ona powinna się bać. Powiesiła płaszcz do szafy, zsunęła kozaki. Patryk nadal celował w nią z pistoletu.

— Kolację zjemy w kuchni — oznajmiła.

— Dobry pomysł, będzie jak za dawnych czasów. Do dziś pamiętam pani naleśniki z twaróżkiem waniliowym i borówkami. Rozpieszczała mnie pani.

Otworzyła lodówkę. Wodziła wzrokiem po produktach, zastanawiając się, który z nich mógłby jej posłużyć za broń. Niestety, nie było nic dość ostrego czy ciężkiego.

— Mogę odsmażyć pierogi z kapustą. Chcesz?

Patryk się skrzywił.

— Już dzisiaj jadłem pierogi, wczoraj też. I ostrzegam, proszę mi nie proponować kaczki ze śliwkami, bo też dzisiaj jadłem.

— Kaczka ze śliwkami. — Milena wzniosła oczy w górę i przywołała na twarz wyraz błogości. — Dawno nie jadłam.

— Gdybym wiedział, zaprosiłbym panią na obiad. Ojciec na pewno nie miałby nic przeciwko. Pamięta pani pierwszy obiad u nas?

— Pamiętam, też była kaczka.

— Sporo pani wtedy zjadła, dwa razy pani sobie dokładała.

Patryk powiesił kurtkę na krześle, a pistolet położył przed sobą na stole. Milena dopiero teraz miała okazję przyjrzeć się broni. Znała

ten model, kilkanaście miesięcy temu zatrzymali stomatologa, który nielegalnie posiadał taki właśnie egzemplarz. W sądzie tłumaczył, że dostał go od kolegi ze Stanów z zapewnieniem, że to tylko atrapa. Był to Sig Sauer.

— A mogłaby pani zrobić naleśniki?

— Mogę, ale będą z dżemem albo z miodem.

— Dobra.

Zatarł ręce z satysfakcją, policzki zaczerwieniły mu się od ciepła, uśmiechał się.

— Co pijemy, herbatę czy kawę? — zapytała, wsypując mąkę do miski.

— Herbatę.

— To ja też herbatę, zieloną. Zrobisz?

— Jasne.

Nalał wody do czajnika i podpalił gaz. Wyjął dwa kubki z szafy i słoiczek z herbatą. Jego ruchy były swobodne i pewne. Nie oglądał się na pistolet, nie zerkał też na nią. Włączyła mikser. Udało jej się opanować lekkie drżenie rąk, stłumiła też w sobie paniczny lęk. Na razie szło jej dobrze. Nadal musi zachowywać się w miarę naturalnie, no i przede wszystkim okazywać zainteresowanie Patrykowi, przecież po to tu przyszedł, po to pojawił się również wczoraj. W wigilię go spławiła, nie przyjęła prezentu gwiazdkowego i prawdopodobnie sprowokowała tym obecną sytuację.

— Wiecie, kim są terroryści? — zapytał, gdy odłożyła mikser.

— Nie wiemy i to stanowi największy problem. Komisarz Soroka powtarza, że każdego wroga można pokonać pod warunkiem, że się wie, kim on jest.

Uznała, że najlepiej będzie mówić Patrykowi prawdę. Jeżeli zorientuje się, że ona kłamie albo unika odpowiedzi, może poczuć się zlekceważony i zechce pistoletem udowodnić swoją wartość.

— Przeczytałem w internecie, że w wieżowcu są muzułmanie. Nie udało się wam ustalić, kim oni są? Skąd przyjechali?

— Udało się. Wiemy o nich wszystko. To Irakijczycy mieszkający od

trzynastu lat w Londynie, brytyjskie służby nie mają ich na swojej liście. Jeden z nich związał się z Polką i ona przywiozła go tu na święta i jeszcze jego rodzeństwo, brata i siostrę.

Patryk zalał herbatę i zrobił jej miejsce przy kuchence. Postawiła patelnię na gazie i wypełniła ją ciastem naleśnikowym. Za chwilę w kuchni rozeszła się przyjemna słodka woń.

— Szkoda, że mnie tam nie ma — odezwał się Patryk.

— W wieżowcu?

— Tak. Myśli pani, że poradziłbym sobie w takiej sytuacji?

Wolała nie pytać, czy widzi tam siebie w charakterze sprawcy, czy zakładnika. Gorączkowo zastanawiała się nad trafną odpowiedzią.

— Jeśli miałbyś broń — wskazała głową w stronę pistoletu. — A sprawców nie byłoby wielu, czterech, pięciu, to myślę, że dałbyś radę ich unieszkodliwić. Przecież strzelasz znakomicie. Właściwie to szkoda, że cię nie ma w wieżowcu. Może byłoby już po tym całym zamachu.

Widziała, jak Patryk promienieje, dosłownie pęka z dumy. Nadal szło jej dobrze, ale musi być ostrożna, gości przecież psychopatę i to uzbrojonego. To on tu był lepszym aktorem, na pewno bardziej wyrafinowanym i przede wszystkim pozbawionym skrupułów. Zdjęła kolejny naleśnik z patelni.

— W szafce są słoiczki z miodem i dżemem. Sięgniesz? Dżem niestety kupny, nie mam czasu sama robić.

Na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny grymas. Właśnie takiej reakcji się spodziewała. Rozzłościł się, bo zmieniła temat. Szybko zadała kolejne pytanie:

— Bierzesz jeszcze udział w zawodach strzeleckich?

— Nie, za mało trenuję, nie mam czasu, studia.

— Szkoda. W strzelaniu jesteś rewelacyjny, aspirant Nowak uważa, że w swojej kategorii wiekowej jesteś najlepszy w naszym województwie.

Młody Lasocki wyprężył pierś i uniósł głowę, jak gdyby za moment ktoś ważny miał przyczepić mu medal.

Postawiła talerz z naleśnikami na stole. Patryk dostawił dwa kubki z herbatą oraz słoiki z dżemem i miodem. Pistolet włożył sobie za pasek. Zaczęli jeść. Podtrzymywała rozmowę, starając się, aby mówili głównie o nim. Wypytywała o studia, o plany na najbliższe wakacje i na dalszą przyszłość. Omówili też kilka kazusów prawniczych. Dwa razy zerknęła na zegarek. Poskutkowało, Patryk wstał od stołu.

— Dziękuję za kolację, pani jest wspaniała, dba o mnie jak matka.

W takiej sytuacji zwykle mówiła, że może do niej wpadać częściej, teraz jedynie się uśmiechnęła. Nie mogła się doczekać, kiedy wyjdzie. On jednak zwlekał, jak gdyby wiedział, czego się od niego oczekuje, i po dziecinnemu nie zamierzał się dostosować.

— Chętnie bym jeszcze został — oznajmił, stojąc już w przedpokoju.

Bała się, że Patryk zaraz wróci do kuchni.

— Późno jest — powiedziała i ziewnęła.

W świetle żarówki przysłoniętej żółtawym kloszem widziała, że rysy mu się wyostrzyły, a źrenice zataczają koła. Przyszło jej do głowy, że Patryk zastanawia się, czy jej nie zastrzelić. Czuła, że nadchodzi kolejna fala lęku.

— Dobranoc — powiedział i wyszedł.

Odetchnęła z ulgą i szybko przekręciła klucz. Na trzęsących się nogach wróciła do kuchni. Tak nie może dalej być, muszą coś zrobić w sprawie Patryka. Wybrała numer komisarza, ale po chwili się rozłączyła. Najpierw musi powiadomić sędziego, przecież syn już raz chciał go zabić, a teraz, gdy ma broń, może podjąć kolejną próbę.

— Dobry wieczór, pani prokurator.

Sędzia przywitał się z typową dla siebie uprzejmością i chłodem.

— Panie Edwardzie, Patryk przed chwilą ode mnie wyszedł.

Zapewne usłyszał w jej głosie zdenerwowanie, bo zapytał:

— Zrobił pani coś złego?

— Nie, ale miał przy sobie pistolet, sig sauera.

W słuchawce zapadła cisza. Czekwała, aż Lasocki pozbiera myśli

i jakoś skomentuje jej rewelacje.

— Mówi pani, że miał przy sobie sig sauera.

— Tak.

Nie była w stanie stwierdzić, czy Lasockiego poruszyła ta informacja, jego struny głosowe nie poddawały się zbyt emocjom, tak samo jak twarz.

— Czy to mogła być replika? Jak pani myśli?

Nie przyszło jej to do głowy. Patryk zachowywał się tak, jak gdyby trzymał w dłoni prawdziwą broń.

— Celował do mnie. Nie sądzę, żeby to była replika.

— Chyba ma pani rację, mój syn nie zadowoliliby się zabawką. Mam rozumieć, że wystawi pani nakaz przeszukania? Jeżeli znajdziecie ten pistolet, to może uda się nam wyeliminować Patryka ze społeczeństwa na parę lat.

Sędzia pomyślał o tym samym co ona. Za nielegalne posiadanie broni palnej można było dostać od sześciu miesięcy do ośmiu lat. A jeśli zezna, że młody Lasocki groził jej pistoletem, będą mogli liczyć na górną granicę kary. Taka okazja na spacyfikowanie psychopaty drugi raz prędko im się nie trafi.

— Panie Edwardzie, gdy tylko Patryk pojawi się w domu, proszę wysłać mi esemesa. Postaram się natychmiast przyjechać z policją. Musimy działać szybko, żeby nie zdążył przewidzieć naszych kroków, bo inaczej pozbędzie się broni. Sądzę, że dzisiaj nas się nie spodziewa, bo przecież jesteśmy zajęci na Okulickiego. I proszę na siebie uważać.

Rozłączyła się i wybrała numer komisarza. Miała nadzieję, że do przeszukania przydzielili jej najlepszego w tej czynności aspiranta Nowaka.

Rozdział XVIII

NA CHOINCE WISIAŁY OZDOBY sprzed piętnastu lat, kupione jeszcze przez mamę. Po jej śmierci nikt nie pomyślał o tym, żeby sprawić małemu Patrykowi przyjemność, kupując nowe bombki. Jego ojciec w ogóle nie pojmował, że dzieci mają potrzeby hedonistyczne, dlatego dawał mu zabawki wpływające na rozwój umysłowy lub fizyczny, ale niekoniecznie zapewniające przyjemność. Patryk dostawał więc całe stosy książek, których nie czytał. Na początku udawał, że się z nich cieszy, że pasjami pogrąża się w lekturze, w tym celu często zostawiał książkę w widocznym miejscu grzbietem do góry albo wkładał zakładkę w taki sposób, aby wystawała. Nie udawało mu się jednak zmylić ojca. Tamten brał książkę do ręki, przerzucał parę kartek i już wiedział, że jest to pozycja, której Patryk nie tknął. Zwykle wtedy mówił: „Człowiek, który nie czyta dobrych książek, w niczym nie jest lepszy od tego, który w ogóle nie umie czytać”. Patryk, chcąc się zrehabilitować w oczach ojca, zamykał się w pokoju i zaczynał czytać. Po trzech stronach miał dosyć. Nie pojmował, co fajnego jest w zadrukowanych kartkach, wyglądały tak zwyczajnie, żeby chociaż czcionka zmieniała swój kształt i kolor w trakcie czytania, to byłoby nawet ciekawe. Zaginał rogi w książkach i je ugniatał, żeby wyglądały na przeczytane. Jeszcze gorzej było, gdy dostawał od sędziego sprzęt sportowy. Próbował swoich sił w jeździe na łyżwach i w grze w tenisa, parę razy założył nawet rolki, ale gdy dostał narty biegowe, wyniósł je od razu do piwnicy. Miał wtedy czternaście lat i nie zależało mu już tak bardzo na zaspokajaniu oczekiwań ojca. W pewnym momencie pojawiły się też prezenty w postaci ubrań. Zwykle były to koszule, od sędziego dostawał eleganckie, klasyczne, od Izabeli młodzieżowe, dobrze

dopasowane do jego urody. Za ubrania był nawet wdzięczny, nie lubił chodzić po sklepach, poza tym nigdy nie wiedział, co ma sobie kupić. Dopiero w tym roku ojciec postarał się o prezent, którym rzeczywiście sprawił mu przyjemność. Pistolet Sig Sauer P226 wynagrodził mu dotychczasowe rozczarowania gwiazdkowe. Świadomość, że go ma i może go użyć, wprawiała go w stan odurzenia, takiej euforii chyba doznają jedynie ludzie zakochani. Był zakochany w pistolecie, w swojej mocy i możliwościach, a te miał w tej chwili ogromne. Mógł zabić dowolną osobę, na przykład dziecko. Zastrzelenie kilkulatek byłoby niezwykle, na taki czyn niewielu by się zdobyło, do tego trzeba mieć silny charakter i czuć swoją wartość.

Kręcił się dzisiaj trochę po zaśnieżonym Starym Rynku z pistoletem wsadzonym za pasek spodni. Było cicho, sennie i nawet ładnie. Śnieg upiększył starówkę, wydobywając ze starych murów katedry Świętego Mikołaja majestat, a klinkierowej elewacji ratusza nadając pocztówkową lekkość. Wodził wzrokiem za ludźmi, wypatrując kogoś godnego uwagi. W końcu zobaczył rodzinę robiącą zdjęcia przy szopce bożonarodzeniowej, rodzice i dwoje dzieci. Wtedy przyszedł mu do głowy pomysł, żeby zastrzelić jedno z dzieci. Wybrał mniejsze, chłopczyka w jasnej kurteczce i fioletowym szaliczku, bo był bardziej aktywny, wszedł między figury i obejmował postać Świętego Józefa. Rodzice zachwyceni robili mu zdjęcia. Widać było, że chłopczyk to ich przysłowiowe oczko w głowie. Patryk rozkoszował się myślą, że jednym ruchem palca na cynglu jest w stanie zmienić życie tej rodziny. Rodzice już nigdy nie będą tymi samymi ludźmi, ojciec stanie się zobojętniały na wszystko, a matka pogrąży się w rozpacz, której nic nie będzie w stanie złagodzić. Rodzina podeszła do choinki, przy niej także zrobili sesję fotograficzną dzieciom. Nagle kobieta dojrzała na gałęzi papierową torebkę, którą Patryk powiesił tam ostatniej nocy. Wskazała ją mężowi, ten kiwnął twierdząco głową. Sięgnęła po prezent i obejrzała się wokół w poszukiwaniu świadków bądź właściciela. Patryk udawał, że zajęty

jest ekranem własnego telefonu. Kobieta wyjęła ze środka błękitną apaszkę, obejrzała ją dokładnie, jak gdyby szukała śladów noszenia. Po chwili kawałek materiału zniknął w kieszeni jej płaszcza, a torebka znowu zawisała na gałęzi. Podarunek, którego nie przyjęła prokuratorka, znalazł nową właścicielkę. Dla Patryka było to jak znak, od teraz był związany symbolicznie z tą rodziną kawałkiem tkaniny. Byli sobie przeznaczeni, ich los był w jego rękach. Ruszył za nimi w stronę placu Słowiańskiego. Nie miał zamiaru teraz zastrzelić chłopczyka, nie był przecież wariatem. Wszystko musi dopracować, zadbać o każdy szczegół, jak przy poprzednich morderstwach. Był przecież jednostką wybitną, dzięki takim jak on świat się przeobrażał, ludzkość osiągała kolejny etap rozwoju. Tacy jak on nie mogą dać się złapać i wsadzić za kratki.

Koło hotelu Arbiter rodzina wsiadła do samochodu. Przeszył go lekki niepokój, że może ich stracić, odjadą i znikną na zawsze. Szybko odzyskał spokój, przed przeznaczeniem nie da się uciec, a oni byli na siebie skazani. Wyjął telefon i zrobił zdjęcie tablicy rejestracyjnej. Któregoś dnia odnajdzie rodziców z dwójką dzieci i zmieni ich życie.

Patryk odwrócił się od choinki i spojrzał na ojca siedzącego w fotelu z grubą książką w ręku. Wyglądał jak pomnik tradycyjnego czytelnictwa. Gdy dawniej patrzył na sędziego, zawsze czuł niepokój. Dobrze pamiętał siebie jako nastolatka skulonego w rogu salonu i z zapartym tchem czekającego, aż ojciec na niego spojrzy i coś powie. W tym oczekiwaniu była nadzieja, że zostanie zauważony i nagrodzony miłym słowem, ale nękał go też strach, że przygniecie go protekcyjne spojrzenie i lekceważąca uwaga rzucona pod jego adresem, w rodzaju: „Znowu się lenisz”. Czasami nie wytrzymywał czekania na moment, aż sędzia podniesie głowę znad książki, i wymykał się na palcach z salonu. Dzisiaj patrzył na rodziciela ze spokojem, bez cienia strachu. Wiedział, że tamten zwróci się do niego z szacunkiem jak do równego sobie partnera.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Miał wrażenie, że świat po

drugiej stronie szyby jest częścią innej rzeczywistości. Śnieg skrzył się srebrzyście w aureoli zabytkowych lamp, a tam gdzie dominowała noc, nabierał niebieskawego zabarwienia. Po przeciwnej stronie ulicy ciągnęły się ciemne elewacje kamienic, inne niż zwykle, bo przyozdobione białymi czapami śniegu na każdym wystającym elemencie, a także ostrymi soplami podwieszonymi pod balustradami balkonów. Patryk miał wrażenie, że zaraz na ulicy pojawią się sanie ciągnione przez dwa konie, zatrzymają się przed jego oknami i zobaczy wysiadającego z nich człowieka w długim kożuchu. Nie zobaczył jednak sań, lecz radiowóz, który zatrzymał się na wprost jego okna, ze środka wysiadły trzy osoby. Od razu rozpoznał sylwetkę prokuratorki. Miała na sobie ten sam płaszcz, w którym ją już dzisiaj widział. Towarzyszyło jej dwóch policjantów. Patryk odwrócił się w stronę ojca.

— Zaraz będziemy mieli gości.

Sędzia spojrzął na zegar wiszący nad komodą.

— Późno jest, to nie pora na wizyty, ale cóż... gościom zwykle inaczej chodzą zegarki. — Odłożył książkę i się przeciągnął. — Synu, otwórz im drzwi, a ja wstawię wodę na kawę. Nie wiem jak oni, ale ja chętnie się napiję. Ty też?

Patryk przytaknął. Razem wyszli z salonu, sędzia skręcił do kuchni, a on do drzwi wyjściowych. Słyszał kroki na klatce, tętno mu nagle przyspieszyło, a w zakamarkach umysłu zakiełkował niepokój. A co, jeżeli prokuratorka znajdzie pistolet? Dobrze znał kodeks karny, wiedział, ile grozi za nielegalne posiadanie broni. Z trudem przełknął ślinę, pomyślał nawet, żeby ich nie wpuszczać. Rozległo się natarczywe pukanie, a potem dzwonek. W korytarzu pojawił się sędzia.

— Otwórz — polecił spokojnym tonem.

Jeżeli ojciec zauważy, że się boi, to znowu będzie na niego patrzył z politowaniem i wzgardą. Nie może na to pozwolić. Otworzył drzwi.

— Pani prokurator, to pani? Coś się stało?

Patryk zwrócił się do Mileny, choć stała trochę z boku, ustępując

pierwszeństwa aspirantowi Nowakowi. Znał tego gliniarza, widywał go na strzelnicy, przez wiele lat podziwiał go, chciał tak strzelać jak on. Teraz go jednak niezbyt lubił i chyba wzajemnie.

— Wzywam pana do dobrowolnego wydania pistoletu Sig Sauer — odezwał się aspirant, machając mu przed oczami legitymacją służbową.

Patryk cofnął się o krok i uniósł teatralnie brwi.

— Żartuje pan? Ja nie mam żadnej broni, nie mam też pozwolenia. Usłyszał za plecami kroki ojca, a potem jego głos:

— Synu, wpuść państwa do środka, dajmy sąsiadom się wyspać.

Policjanci i prokurator przekroczyli próg, po czym aspirant Nowak poinformował, że mieszkanie oraz rzeczy osobiste zostaną przeszukane w celu znalezienia pistoletu Sig Sauer bądź innej broni palnej. Sędzia się nie zdziwił ani nie oburzył, w ogóle nie okazał żadnych emocji.

— W moim mieszkaniu nie ma żadnej broni — zapewnił spokojnie.

— Miałem kiedyś berettę, ale teraz znajduje się w policyjnym magazynie jako dowód w sprawie. — Sędzia skierował wzrok na Patryka. — Synu, jeśli coś wiesz o broni, której poszukuje policja...

— Nic nie wiem.

— Byłeś dzisiaj u mnie i miałeś przy sobie pistolet Sig Sauer. Tej broni szukamy — odezwała się prokurator.

Patryk roześmiał się głośno i szczerze. Zauważył, że prokuratorka i jego ojciec wymieniają pytające spojrzenia.

— Przecież to była zabawka, znalazłem ten pistolet na przystanku na Gwiazdnej, widocznie jakiś dzieciak go dostał na gwiazdkę i zostawił. Nie sądziłem, że pani pomyśli, iż to prawdziwa broń. Mam nadzieję, że pani nie wystraszyłem tym pistoletem. Zostawiłem go na przystanku, z którego go zabrałem, możecie jechać i sprawdzić, może jeszcze tam leży.

Nie przekonał ich. Funkcjonariusze zdjęli kurtki i włożyli lateksowe rękawiczki, po czym aspirant Nowak kazał mu ustawić się do rewizji osobistej.

— No, ręce do góry! — rozkazał policjant.

Patryk się nie ruszył.

— Synu, jeżeli pani prokurator Łempicka jest przekonana, że to była prawdziwa broń... ma prawo się upewnić, to jej praca.

Słowa sędziego podsunęły mu myśl, że powinien ułatwić przeszukanie, powinien zachować się inaczej niż każdy inny podejrzany, nie jest przecież pospolitym przestępcą, lecz kimś wyjątkowym. Stał bokiem do funkcjonariusza i podniósł ręce. Aspirantowi wystarczyło kilka sekund, aby upewnić się, że Patryk nie ma przy sobie pistoletu.

Prokurator zdjęła płaszcz, sędzia natychmiast go od niej odebrał i powiesił na wieszaku.

— Pani Mileno, może napije się pani kawy albo herbaty? Panom nie proponuję, bo będziecie zajęci.

— Dziękuję, też będę zajęta.

W korytarzu zrobiło się tłoczno, wiszące na wieszaku płaszcze i kurtki spotęgowały wrażenie ciasnoty. Patryk cofnął się pod drzwi swojego pokoju.

— Zapraszam do mnie. Tu rozpoczniecie przeszukanie, prawda?

Nikt go nie poinformował, że może być obecny przy przeszukaniu, ale wiedział, że ma takie prawo, i miał zamiar z niego skorzystać. Stał przy oknie, żeby nie przeszkadzać, i obserwował funkcjonariuszy wykonujących swoje czynności. Byli bardzo skrupulatni, odsunęli szafę od ściany, dokładnie obejrzel deskę podłogową, opukali mury, sprawdzili materac, zajrzeli też do wnętrza komputera i drukarki, otwierali książki, przetrząsali ubrania. Starali się robić jak najmniejszy bałagan. Złożyli z powrotem sprzęt elektroniczny, podręczniki i ubrania odkładali na miejsce. Uprzejmie ich poinformował, żeby się nie przejmowali nieporządkiem, on potem posprząta. Nie zareagowali na jego słowa, jedynie Nowak zatrzymał przez chwilę na nim taksujące spojrzenie. Prokuratorka unikała kontaktu wzrokowego, prawie cały czas pochylona nad protokołem. Funkcjonariusze sporo czasu poświęcili parapetowi, zarówno po

wewnętrznej stronie pokoju, jak i na zewnątrz. Uznali, że musi być w nim skrytka, skoro stanął przy oknie.

— To co teraz? Łazienka czy kuchnia? — zapytał Patryk, gdy funkcjonariusze skończyli przeszukiwać jego pokój.

— Teraz gabinet twojego ojca — oznajmił Nowak.

Patryk posłusznie zaprowadził ich we wskazane miejsce i ponownie przyglądał się przeszukaniu. Znajdowało się tutaj mnóstwo książek i teczek z historycznymi papierami wartościowymi. Ich przejrzanie zajęło ponad pół godziny. W szafie policjanci trafili na sejf. Sędzia, poproszony o jego otwarcie, zrobił to bez słowa protestu. Potem spokojnie czekał, aż aspirant sprawdzi jego zawartość. Gdy ojciec wyszedł z gabinetu, Patryk poszedł za nim. Postanowił zrobić sobie półgodzinną przerwę w przyglądaniu się pracy policjantów.

Weszli do salonu i usiedli przy stole, tym razem nie naprzeciw siebie, lecz obok, ramię w ramię. Milczeli. Słowa były zbędne. Nigdy nie czuł się tak związany z ojcem jak teraz. Oni we dwóch przeciwko całemu światu, od lat marzył o takiej jedności i w końcu ją miał. Rodziciel go szanował, cenił i przede wszystkim rozumiał. Sędzia zawsze chciał go widzieć wielkim, dlatego tyle od niego wymagał, od Izabeli również. Musieli umieć pływać, jeździć konno, znać języki, cytować filozofów, wygrywać olimpiady szkolne. Mieli być wyjątkowi, przewyższać w każdej dziedzinie swoich rówieśników. Patryk się starał, ale nie zawsze mu wychodziło, jak wtedy, gdy był z ojcem i siostrą w teatrze na bardzo nudnej sztuce, choć zapewne niezwykle mądrej. Niestety, zasnął. Podczas antraktu chciał się zrehabilitować. Gdy więc znajoma ojca zapytała, jak mu idzie w szkole, gładko wydeklamował, że „głównym celem edukacji jest nie nauka, lecz rozbudzenie ducha”. Kobieta zapytała, co to znaczy, nie umiał wyjaśnić, zmieszał się. Ojciec wymierzył wtedy palec w jego pierś i oznajmił: „Nauka jest sprawą wielkich. Maluczki dostają się nauczki”. Rozpłakał się. Sędzia za karę nie pozwolił mu obejrzeć drugiego i trzeciego aktu. Gdy Patryk siedział w holu i czekał na koniec spektaklu, myślał, że ojciec go nienawidzi. Mylił się. Rodziciel

chciał, aby on był wielki. Teraz mógł się przekonać, że miał syna wyjątkowego, niezłomnego, dla którego dobre oceny na studiach to za mało. Nie każdy jest zdolny do zabicia człowieka, a on zrobił to już trzykrotnie.

Na stole stała filiżanka z kawą, którą ojciec zrobił mu prawie dwie godziny temu. Choć była zimna, wypił ją ze smakiem. Przez następne dwie godziny wychodził z salonu tylko na kilka minut, żeby sprawdzić, jak idzie przeszukanie. Za każdym razem widział coraz bardziej zmęczoną i zniechęconą prokuratorkę, pod koniec w jej oczach pojawił się strach. Wiedziała, że go nie pokona, i już się bała konsekwencji swojej porażki. Nie wsadzi go do zakładu karnego, każdego dnia będzie oglądała się za siebie z obawą, czy nie zobaczy go z pistoletem w dłoni.

Na końcu policjanci przeszukali salon. W barku znaleźli metalową kasetkę zamykaną na kluczyk, w której Patryk dostał sig sauera. Aspirant Nowak ją otworzył i wyjął pudełko z nabojami dziewięć milimetrów. To już było coś. Za nielegalne posiadanie amunicji też można było dostać osiem lat, choć sądy zwykle orzekały w takiej sytuacji wyroki w zawieszeniu. Spojrzał na Patryka.

— To twoje?

— Nie, to ojca.

Sędzia potwierdził, że to jego naboje, i przypomniał, że ma bezterminowe pozwolenie na broń.

Była czwarta rano, Nowak poprosił o klucze do piwnicy i do samochodu sędziego. Trzydzieści minut później je odniósł i poinformował, że przeszukanie zostało zakończone, a poszukiwanego przedmiotu nie znaleziono. Choć funkcjonariusze nie robili zbyt dużego hałasu, to cisza, która zapadła po ich wyjściu, wydała się Patrykowi kojąca. Założył ręce za głowę i zaczął się przeciągać, jego mięśnie stały się wyjątkowo elastyczne. Dotarło do niego, że podczas przeszukania był spięty. Z policjantami nigdy nic nie wiadomo, zawsze mogli błysnąć przenikliwością. Na szczęście wszystko się udało. Sędzia wstał z fotela, uniósł czarny luźny sweter

i wyjął zza paska pistolet. Trzymając go lufą w dół, podał Patrykowi.

— Dzięki, tato.

— Ode mnie dostałeś sig sauera. Nie mogłem pozwolić, żebyś z jego powodu miał problemy.

Patryk od razu położył palec na spuście, broń doskonale leżała w jego dłoni. Lubił czuć ciężar pełnego magazynka, piętnaście nabojów wraz z pistoletem dawało wagę tysiąca gramów.

— Skąd wiedziałeś, że aspirant cię nie przeszuka? On wydaje mi się służbistą.

— Nie wiedziałem tego, a nawet zakładałem, że będzie chciał mnie przeszukać, ale wtedy zapytałbym Łempicką, czy to konieczne, a ona powiedziała, że nie.

— Sporo ryzykowaliśmy.

— Nie, w ogóle. Dobrze wiedziałem, jak się potoczy przeszukanie. Dla pewności zadzwoniłem jeszcze do Łempickiej i dopytałem, z kim do nas przyjedzie, bo jeśli z komisarzem Soroką... Gdyby ten chciał mnie przeszukać, nie zdołałaby go powstrzymać.

— Dlaczego w ogóle do ciebie zadzwoniła i cię uprzedziła o przeszukaniu? Nie sądziłem, że jest aż taka głupia.

— Nie jest głupia. Nie zakładaj nigdy, że ludzie są głupi, bo z nimi przegrasz. Lepiej uznać, że przeciwnik jest mądrzejszy, niż na to wygląda. Łempicka mnie uprzedziła, bo sądzi, że ma mnie po swojej stronie, że moim celem jest posłać cię za kratki.

Twarz sędziego pozostała niewzruszona, jak gdyby rozmawiali o mało istotnych sprawach. Nikt nie byłby w stanie w tej chwili odgadnąć, o czym ten człowiek myśli, co czuje. Patryk miał ochotę zapytać: Co jest twoim celem, tato? Co planujesz? Dlaczego dałeś mi sig sauera? Gdy otwierał drzwi prokuratorce i policjantom, przestraszył się, bo przyszło mu do głowy, że ojciec zastawił na niego pułapkę. Sprezentował mu broń, aby Łempicka mogła go zamknąć za jej nielegalne posiadanie.

— Dlaczego nie zarejestrowałeś sig sauera na siebie? Przecież mógłbyś, masz pozwolenie. Wtedy nie musielibyśmy się martwić

niespodziewanymi przeszukaniami.

— Gdybym zarejestrował sig sauera na siebie, to bym musiał ponosić konsekwencje jego użycia. Chyba to rozumiesz?

Patryk zadrżał. Ojciec wiedział, że on będzie zabijał dalej, po to mu dał broń. Miał więc jego przyzwolenie na kolejne wielkie czyny, na zmienianie świata. A może chodzi o to, żeby razem to robili? Sędzia uważał, że wina zawsze musi zostać ukarana, a prawo nie zawsze na to pozwala. W głowie Patryka eksplodowało pytanie: Tato, kogo mam dla ciebie zabić? Kogo skazałeś na śmierć? Zwlekał z wypowiedzeniem tych słów. Czuł, że jeszcze na nie nie pora.

Na ekranie telewizora pojawiła się sylwetka prokuratoroki, retransmitowali wczorajszą konferencję prasową. Ta kobieta może pokrzyżować im plany, ona nie rozumie, że on jest wielki, a jego ojciec dalekowzroczny.

— Myślę, że Łempicka tu jeszcze wróci. Ona wie, że mam ten pistolet.

— Nie wróci, zapewniam cię. Proponuję, żebyśmy poszli już spać.

Patryk zabrał do swojego pokoju metalową kasetkę z amunicją. Włożył do niej pistolet i całość schował do szafy. Gdy wrócił w nocy od Łempickiej i ojciec powiedział mu, że będą mieć przeszukanie, chciał wynieść sig sauera na zewnątrz, ukryć kasetkę tuż przy kamienicy w zaspie. Sędzia oznajmił, że nie ma takiej potrzeby, bo podczas przeszukania będzie miał pistolet przy sobie. Zanim przekazał kasetkę ojcu, wyczyścił dokładnie swoje odciski palców. W sądzie by się wypierał, że to nie jego broń, nigdy nie trzymał jej w ręku. Parę godzin temu wątpił w lojalność sędziego, dzisiaj ufał mu bezgranicznie. Ojciec nigdy nie stanie przeciwko niemu, mają wspólne interesy, jeden cel, będą zmieniać świat.

Rozdział XIX

SZYMEK LEŻAŁ NA KANAPIE w pokoju Krysi. Córka spała, posapując cicho, jak to mają w zwyczaju dzieci w jej wieku. Pozostali członkowie rodziny też zapadli w sen. Ciszę mieszkania zakłócało chrapanie teścia. Monika znowu udała się na noc do Ewy Różańskiej. On sam jeszcze nie zasnął mimo zmęczenia.

Od pierwszej do drugiej w nocy stał przed wizjerem. Kilka minut temu skończył swoją obserwację. Teraz bolały go kolana, a przede wszystkim kark, efekt niewygodnej pozycji, w jakiej musiał utrzymywać swoje ciało przed wizjerem. Był trochę za wysoki, stał więc pochylony albo na ugiętych nogach. Wcześniej klatkę obserwował Rafał, a przed nim Zenek. Żaden z nich niczego nie zauważył. Z kolei ojciec Moniki koło dziewiętnastej dojrzał w ciemnościach jakiś ruch, jak gdyby cień sunący w powietrzu. Szymek podejrzewał, że staremu się zdawało, zadzwonił jednak do Bociana i poinformował o spostrzeżeniu teścia. Łukasz potwierdził, że przed chwilą dwóch innych sąsiadów też kogoś widziało. Wyglądało na to, że ktoś schodził w dół, zapewne terrorysta. Kilka minut później znowu na klatce pojawił się ruch, tym razem ktoś szedł do góry.

Szymek miał wrażenie, że jest innym człowiekiem niż dwie doby temu. Zniknął gdzieś zahukany i poczciwy nauczyciel, który ustępował każdemu. Kiedyś usłyszał, jak koleżanki w szkole mówiły, że on boi się nawet konfrontacji z własnym cieniem. Wtedy uznał, że przesadziły, dzisiaj wiedział, że miały rację. Czuł, że w tej chwili stać go na więcej, miał odwagę zaprotestować, postawić się, choćby teściowi.

Szymek uśmiechnął się na wspomnienie dzisiejszego sporu z ojcem

Moniki. Poszło im o władzę nad pilotem. Telewizor był włączony przez cały dzień, trwała transmisja spod ich bloku, przez wiele godzin nie mogli od niej oderwać oczu. Obraz na ekranie był ciekawszy i pełniejszy niż ten za oknem, bo dzięki kamerom mogli zobaczyć, co się dzieje w miejscach, do których ich wzrok z balkonu nie sięgał. Widzieli funkcjonariuszy wchodzących do wieżowca naprzeciw i stamtąd wychodzących, z dużym poruszeniem przyjęli widok ludzi w kominiarkach, ubranych od stóp do głowy na czarno. Z uwagą wsłuchiwali się też w wypowiedzi rozmaitych ekspertów, którzy próbowali przewidzieć kroki zarówno terrorystów, jak i policji. Co godzinę pojawiała się nowa informacja o żądaniach wysuwanych przez sprawców, potem następowało dementi. Do tej pory nie wiadomo było, czego chcą terroryści. Najbardziej elektryzujące były ich groźby, zakładnik wyrzucany co osiem godzin, w rogu ekranu pojawił się nawet zegar odliczający czas wstecz do momentu uśmiercenia kolejnego zakładnika. Gdy wybiła godzina zero, pokazany został wieżowiec, jego front i tył jednocześnie, a głosy dziennikarzy i ekspertów ucichły. Szymek czekał w napięciu na spadające z górnego piętra ciało. Zdziwił się, że nic takiego nie następuje. Nagle do niego dotarło, że telewizja wywiera presję na sprawców, ten zegar, ta cisza, te zapowiedzi, że terroryści zawsze realizują swoje groźby. Co za brak odpowiedzialności, co za lekkomyślność, owszem, telewizja emitowała też wezwania policji do odstąpienia od przetrzymywania zakładników, ale oczekiwanie na kolejną śmierć wysuwało się na plan pierwszy. Szymek miał ochotę wyciągnąć dziennikarza ze studia i posadzić obok siebie, niech też się boi, niech sam poczuje sugestie płynące z telewizora. Miał dosyć transmisji spod ich bloku, dosyć pazernych na sensację mediów, podniósł pilota i przełączył na kanał z filmami. Wywołało to oburzenie obecnych w pokoju osób. Najgwałtowniej zareagował teść.

— Co ty, kurwa, robisz? Odbiło ci?

— Jeszcze nie, ale odbije mi, a nawet nam wszystkim, jeśli będziemy dalej to oglądać.

Ojciec Moniki się poderwał i ruszył w jego stronę, groźnie wysuwając przed siebie zaciśnięte dłonie.

— Siadaj! — warknął Szymek.

Teść się cofnął, przez chwilę stał zaskoczony, potem mruczając coś pod nosem, zajął miejsce obok żony. Zaczęli oglądać jakiś niezbyt ciekawy amerykański film. Szymek kątem oka obserwował ojca Moniki, tamten się kręcił, pochrząkiwał, masował sobie tył głowy. Żona coś do niego powiedziała, na co on wydał z siebie ciche stęknienie. Szymek pomyślał, że teść się niecierpliwi, bo nie może oglądać transmisji z Okulickiego, ale nagle go olśniło, staremu chciało się do toalety, nie mógł się jednak zdecydować na dłuższe posiedzenie na kiblu. Zapewne myślał, że zaraz przejdzie mu ta chęć. Szymek nie zastanawiał się długo, wziął pilota i swój telefon, po czym udał się do toalety. Przysiadł na zamkniętej desce klozetowej i wszedł na stronę forum, na którym udzielali się mieszkańcy jego wieżowca. Jak się spodziewał, znalazł trochę wpisów krytykujących media. Niektórzy dziękowali prezydentowi Falenckiemu za słowa wsparcia, inni błagali go o pomoc, żeby w sprawie zakładników interweniował u wyższych władz. Ktoś zwracał się do niego z pytaniem, dlaczego miasto nie zapłaciło jeszcze okupu. Na co inny forumowicz zauważył, że wersja o okupie nie została potwierdzona, że tu raczej chodzi o sprawy polityczne.

Za drzwiami dobiegł dźwięk telewizora, komuś udało się za pomocą przycisków na obudowie znaleźć kanał transmitujący przetrzymywanie zakładników. Po chwili teść zaczął walić w drzwi toalety.

— Kurwa, wyłaź stamtąd!

— Zaraz.

Pod drzwiami zrobiło się zamieszanie, a potem rozległ się głos Moniki:

— Szymon, natychmiast wychodź, tacie chce się do toalety.

Podniósł się niespiesznie, stuknął klapą i spuścił wodę, po czym otworzył drzwi. Zobaczył zboląłą minę teścia i jego nienawistne

spojrzenie. Poczł satysfakcję, bo tę potyczkę wygrał.

Szymek nie mógł zasnąć, coś mu przeszkadzało, na pewno nie głośne chrapanie ojca Moniki. Czuł niepokój, a raczej rozdrażnienie, podświadomość dawała mu znać, że czegoś nie dopatrzył, nie dopilnował. Podniósł się z kanapy i poczłapał do kuchni. Otworzył lodówkę, przez chwilę zastanawiał się, czym się poczęstować. W końcu wyjął talerz wędlin i wrócił z nim do pokoju Krysi. Włączył lampkę nocną dającą minimum światła i zaczął konsumować szynkę. Przeżuwał ją powoli i analizował dzisiejszy dzień, szukając źródła swojego rozdrażnienia. Prawdopodobnie nie było żadnej konkretnej przyczyny, to mógł być rezultat ponad trzydziestu godzin spędzonych w zamknięciu z rodziną żony. Chciał postawić talerz na stoliku przy łóżku, ale leżało na nim mnóstwo drobiazgów. Zaczł je odkładać na półkę: smoczek, grzechotka, chusteczki, wziął do ręki paczkę papierosów Black Devil i zawahał się. W jego wyobraźni odtworzył się obraz zakodowany kilkanaście godzin wcześniej. Silna dłoń Leonarda Jaszczura z końcówką czarnego papierosa między palcami zbliżająca się do popielniczki. Szymek popatrzył na pudełko Black Devilów, te fajki Monika dostała dzisiaj od przystojnego sąsiada. Dobrze pamiętał, jak tamten je rzucił, a ona zręcznie złapała w powietrzu. Identyczne papierosy przyniosła rano od Ewy Różańskiej. Czarne fajki z dwóch różnych źródeł, trochę zaskakujące, przecież te papierosy nie były zbyt popularne w Polsce.

Kolejny obraz boleśnie wdarł się w jego umysł. Różowy kawałek materiału leży na podłodze w pokoju Leonarda Jaszczura, a on próbuje wepchnąć go bosą stopą pod łóżko. Szymek znał ten róż, był to róż delikatny, dziewczęcy, kojarzący się z nastolatkami, a nie dojrzałymi kobietami, a jednak był to ulubiony kolor jego żony. Monika miała kilka par majtek o takiej barwie. Zobaczył w wyobraźni jej okrągłe pośladki, na których napinał się różowy materiał.

Odstawił talerz na stół i opadł na kanapę. Leżał, oddychając ciężko. W głowie mu wirowało, ale myśli wciąż były klarowne.

Pamiętał, że Monika już była u Leonarda, gdy tam przyszedł z Łukaszem. Rzekomo poszła zobaczyć, jak się czuje Marian Jaszczur. Gdy zajrzała do nich do pokoju, żeby powiedzieć, że wraca do siebie, miała rumieńce na policzkach, była podniecona. Wtedy nie wzbudziło to jego podejrzeń. Czy to możliwe, żeby był aż tak głupi i ślepy?

Chciał wyłączyć swój umysł, jak się to robi ze sprzętem elektronicznym, aby nie szukać w zakamarkach pamięci kolejnych dowodów na zdradę Moniki. Niestety, miał już przed oczami wspomnienie z dzisiejszego śniadania. Przyszła do nich Ewa Różańska. Sąsiadka i jego żona rzuciły się sobie w ramiona, jak gdyby nie widziały się całe wieki. Zaskoczyło go to, bo przecież Monika spędziła u Różańskiej noc. Już wiedział, że nie u niej, lecz u Jaszczura. Teraz też była u kochanka, dawała dupy pod nosem męża.

Szymek miał wrażenie, że cały blok zaczyna się trząść, wprawiając jego ciało w koszarne drżenie. Zgrzytał zębami, głowa podskakiwała mu jak na sprężynie, czuł, że się zapada, jeszcze chwila, a jego wnętrze przestanie istnieć. Za parę sekund zostanie z niego jedynie ciało, czysta fizjologia. Niekontrolowany żołądek zaczął szaleć, skurczył się i wyrzucił ze swego wnętrza całą zawartość. Szymek zdążył jeszcze wystawić głowę za poręcz kanapy. Słyszał, jak wymiociny uderzają o podłogę.

W obliczu zdrady wszystko straciło na znaczeniu. Terrorysty wydali mu się nierealni, problemy w szkole nieważne, sprzeczki z teściem śmieszne, nawet przyszłość dzieci nic go teraz nie obchodziła. Jego myśli krążyły wokół Moniki i młodego sąsiada. Wyobrażenia podsuwała mu wyuzdane obrazy, widział swoją rozpasaną żonę, spoconą i dyszącą, z ustami rozwartymi jak u ryby wyciągniętej z wody, z podrygującymi pośladkami, jak gdyby ktoś podłączył je do prądu. W tej chwili nienawidził jej z całego serca. Upokorzyła go, zniszczyła mu życie, odebrała spokój na długie lata. Przez nią dzieci będą nieszczęśliwe, ich rodzina się rozpadnie.

Leżał otępiełały i wpatrywał się w sufit, na którym odbijało się blade światło lampki nocnej. Nie dostrzegał pęknięć i plam, ale miał świadomość, że tam są. Od dawna planował remont pokoju córki, nie znalazł jednak czasu, a teraz nic nie miało sensu. Ogarnęło go dojmujące uczucie pustki. Wściekłość na Monikę była lepsza niż ta dziwna próżnia rozpychająca się w jego wnętrzu. Nie spał, lecz znajdował się w jakimś osobliwym letargu. Nagle sufit zaczął falować nad jego głową, wcale go to nie zdumiało, za to płacz Krysi wydał mu się dźwiękiem pochodzącym z innej rzeczywistości. Ocknął się i raptownie usiadł na łóżku. Córka zanosila się od krzyku. Złapał ją na ręce i tulił, szepcząc uspokajające słowa. Bał się, że zaraz wszyscy się obudzą. Najbardziej nie chciał, żeby teściowa przychodziła mu pomóc uśpić małą. Córka zaczynała się uspokajać, w końcu zasnęła. Położył ją do łóżeczka i ostrożnie uchylił drzwi na przedpokój. Wszędzie było ciemno, nie było też słycać chrapania teścia, może nie spał obudzony płaczem Krysi. Szymek na palcach udał się do kuchni, odstawił do lodówki talerz z wędliną, po omacku znalazł papierowy ręcznik i wrócił z nim do pokoju. Starannie wytarł podłogę, potem ze stertą zgniecionego i brudnego papieru znowu ruszył do kuchni. Niestety, kosz był już pełen, a przecież dzisiaj rano wystawił jeden worek ze śmieciami na balkon. No tak, wszystko z powodu pampersów Krysi. Położył zużyte ręczniki obok wiadra i oparł się o zlew. Zaczął płakać. Chciał, żeby zdrada Moniki okazała się nieprawdą. A może rzeczywiście ta cała niewierność to tylko efekt jego rozgorączkowanej wyobraźni, bo jakie właściwie miał dowody? Kawalek różowego materiału na podłodze w pokoju Leonarda Jaszczura? Przecież to mogło być wszystko. Rumieńce na policzkach żony? Może się zaczerwieniła, bo Marian coś jej powiedział, jakiś pikantny komplement, stary Jaszczur potrafił z czymś takim wyskoczyć.

Pomyślał, żeby napisać esemes do Moniki, poprosić ją, aby wróciła, bo Krysia źle się czuje. Wszedłby na korytarz i sprawdził, które mieszkanie opuszcza jego żona. Wrócił do pokoju córki, usiadł na

kanapie i napisał wiadomość, ale zwlekał z dotknięciem przycisku „wyślij”, jak gdyby chciał odwlec w czasie poznanie przykrej prawdy. Zegarek w telefonie pokazywał trzecią czterdzieści osiem, Monika przyjdzie za niespełna pięć godzin. Zakładał, że wróci o tej samej porze, co wczoraj, parę minut po ósmej. Wtedy od razu zamknęła się w łazience i wzięła długi prysznic, potem się ubrała i wymalowała, a następnie poszła do kuchni przygotować świąteczne śniadanie. Dobrze pamiętał jej nabrzmiałe usta. Naiwnie pomyślał, że to przykład sztuki makijażu. Anulował esemesa. Nie będzie jej wzywał, poczeka do siódmej, wtedy stanie przy wizjerze i przypilnuje powrotu swojej żony. Nie, to głupi pomysł, o tej godzinie będzie jeszcze ciemno, nie zdoła dojrzeć, z którego mieszkania wychodzi. Musiałby czekać na nią na korytarzu.

Nagle go olśniło. Wpadł na pomysł, jak sprawdzić, gdzie Monika spędza noc. Znowu udał się do kuchni i po omacku odszukał papierową torebkę z mąką. Wziął ją i ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Otwierał je ostrożnie. Obok był pokój Rafała, nie chciał go obudzić. Nie miał zamiaru tłumaczyć synowi, dlaczego wychodzi na korytarz z mąką. Co miałby mu niby powiedzieć? Twoja matka mnie zdradza, właśnie się puszcza z naszym sąsiadem. Idę rozsypać mąkę na wycieraczkę Jaszczurów, żeby mieć dowód w postaci śladów. Rafał by się bardzo zdziwił, bardziej tą mąką niż zdradą matki. Po co te podchody? Prawdziwy mężczyzna dopada kochanka swojej żony i obija mu mordę. Szymek pokonał długość korytarza, idąc przy samej ścianie. Nie chciał zostać zauważony, przecież to był czas obserwacji Jaszczurów, być może Marian stoi właśnie przy wizjerze. Przykucnął przed wycieraczką sąsiadów i wysypał trochę mąki. Gdy wracał do mieszkania, nastąpiło coś, przez co omal nie stracił życia. Zostały mu jeszcze trzy, cztery kroki, żeby znaleźć się za progiem, i wtedy cisza klatki schodowej pękła z hukiem. Zawładnął nim prosty, bezmyślny strach, każdą komórką swojego ciała odczuł zagrożenie w postaci ujadającego psa, który stał na schodach jakieś dwa metry od niego. Szymek rzucił się w stronę

mieszkania, już go nie obchodziło, że obudzi członków swojej rodziny. Zatrzasnął za sobą drzwi i się o nie oparł. Ciężko dyszał, ze strachu, nie z wysiłku. W pokoju Rafała zapaliło się światło, syn wystawił głowę do przedpokoju.

— Tato, co się stało?

— Nic.

— Jak to nic?

Szymek schował torebkę z mąką za plecami.

— Coś usłyszałem, jak gdyby ktoś szurał po naszych drzwiach. Otworzyłem je, żeby sprawdzić, i rzucił się na mnie pies. To chyba był ten żółty, wielki, kojarzysz?

— Tak, kojarzę, dog niemiecki.

— Co się stało? — zawołała przestraszonym głosem Marysia zza pleców Rafała.

Chłopak schował się do pokoju, słychać było, że uspokaja kuzynkę. W ciemnościach przedpokoju pojawił się Zenek.

— Kurwa, co się dzieje? Aśka i matka zaraz zejdą na serce.

Szymek powtórzył to samo, co powiedział synowi. Dodał jeszcze, że na pewno wypuścili psa, żeby się załatwił na klatce. Zenek mruknął parę niecenzuralnych słów pod adresem sąsiadów i wrócił do pokoju. Szymek odniósł mąkę do kuchni. Miał dosyć całej tej sytuacji. Żona go zdradzała, terroryści w każdej chwili mogli ich pozabijać, omal nie zagryzł go dog niemiecki, a w dodatku musi udawać przed rodziną, że nie jest tak źle.

Położył się na kanapie i wyciągnął rękę, żeby zgasić lampkę. Trafił na paczkę Black Devilów, zgniótł ją ze wściekłością, zamieniając zawartość w proszek.

Spał niespokojnie, budząc się co kilkanaście minut. Zdawało mu się, że Monika wróciła i pochyła się nad nim. Czuł ciepło bijące z jej nagiego ciała. Jego receptory węchu drażniła woń szamponu unosząca się z jej włosów. Podniecił się, gdy zaczęła szeptać sprośności i muskać palcem jego małżowinę uszną. Będą się zaraz kochać bez opamiętania, nieważne, że obok śpi Krysia, a w dużym

pokoju teściowie i Zenek z Aśką. W ustach Moniki pojawił się nagle czarny papieros. Chciał jej go wyrwać, wyciągnął rękę, trafił jednak na próżnię.

Usiadł na kanapie. Była piąta osiemnaście. Z głębi mieszkania dochodziło chrapanie. Pomyślał, że już nie uśnie, ale gdy tylko opadł na poduszkę, ponownie zapadł w męczący sen. Otworzył nagle oczy i ze zdumieniem zobaczył, że jest już widno. Był wyczerpany, pulsowało mu w skroniach, w ustach czuł suchość. Zegarek w komórce pokazywał dziewiątą. Monika na pewno już wróciła od kochanka. Podniósł się z trudem. Krysi nie było w łóżeczku. Wyszedł z pokoju. Z kuchni dochodził brzęk talerzy, tam więc zajrzał. Monika kroїła łososa. Miała świeżo umyte włosy, jeszcze wilgotne. Była boso, jej kształtne stopy z pomalowanymi na różowo paznokciami mogłyby posłużyć jako reklama kosmetyków pielęgnujących tę część ciała. Rękawy w bluzce podwinęła, odsłaniając przedramiona pokryte jasnym meszkiem. Nie zauważyła go, za to siedząca na taborecie Aśka wbiła w niego przestraszone spojrzenie.

— Chryste, jak ty wyglądasz?

Mógłby odgryźć się stwierdzeniem, że ona nie prezentuje się lepiej ze spuchniętą i zaczerwienioną twarzą, z niemytymi od trzech dni włosami. Nie chciało mu się jednak otwierać ust. Monika dalej kroїła łososa, nawet na sekundę nie odwróciła się w jego stronę, to było dziwne. Czyżby poczucie winy nie pozwalało jej spojrzeć mu w oczy? Poszedł do łazienki. Zobaczył się w lustrze i jęknął. Rzeczywiście wyglądał okropnie i przede wszystkim staro. Przypominał zniszczonego życiem sześćdziesięciolatka. Poczul wściekłość na wspomnienie atrakcyjnego sąsiada. Wycisnął na palec pastę do zębów, a następnie wymazał nią całe lustro. Przyniosło mu to chwilową ulgę. Nie wziął prysznic, nie ogolił się, bo mu się nie chciało, miał teraz coś ważniejszego do zrobienia.

Przy drzwiach wyjściowych znalazł klapki Moniki, to w nich wczoraj wieczorem wyszła z mieszkania. Podniósł jednego i obrócił podeszwą do góry. To było jak skok do lodowatej wody. Miał

wrażenie, że serce mu stanęło. Podejrzenia zamieniły się w pewność, a resztką nadziei ulotniła się w ułamku sekundy. Na podeszwie znajdował się biały pył, przesunął po nim palcem, to była mąka, na pewno nie kurz. Oparł się o szafę, brakowało mu powietrza, przedpokój wydał mu się klaustrofobiczny, ściany na niego napierały.

Wrócił do pokoju Krysi, zdjął piżamę i zaczął się ubierać. W myślach pytał samego siebie: Co teraz? Na początku nie znajdował odpowiedzi, ale potem spłynęła na niego niczym objawienie. Wybacz Monice. Tak, właśnie to zrobi, przełamie się, pogrzebie własny honor, odpuści jej te dwie noce. Nie zdoła zapomnieć tej zdrady, ale nigdy nie będzie wypominał żonie tego, co mu zrobiła. Poza Moniką i dziećmi nie miał nikogo, byli sensem jego istnienia, swoistym fundamentem, na którym się wspierał. Jeśli rodzina mu się rozpadnie, jego życie się zakończy, zabiją go depresja albo alkohol. Poza tym kochał żonę, żadna inna kobieta jej nie zastąpi.

Docierały do niego odgłosy z salonu, rodzina siadała do stołu, grał telewizor, dźwięczały sztucce, Krysia piszczała z radości. Wszedł do łazienki i z apteczki wyjął paracetamol, włożył do ust dwie tabletki i popił wodą z kranu. Ktoś zapukał do drzwi łazienki.

— Wujku, wpuść mnie, muszę rzęsy pociągnąć.

Minął się z Marysią w drzwiach. Zauważył, że miała na sobie szary sweter Moniki. Wisiał na jej szczupłych ramionach niczym worek pokutny. Pomyślał, że to raczej jego żonie pasowałby teraz taki ubiór.

Miał już przekroczyć próg salonu, ale usłyszał pukanie do drzwi wejściowych. Domyślił się, że to Ewa Różańska idzie do nich na świąteczne śniadanie. Zanim otworzył, spojrzął przez wizjer. Sąsiadka nerwowo oglądała się na schody. Bała się, że zaraz się pojawią terroryści. Przekręcił zamek.

— Panie Szymonku kochany, co tak wolno? Chce pan, żeby mnie zabili? Jest Moniczka? Boże, o co ja pytam. Gdzie ona niby ma być,

przecież nie poszła na spacer. Przyniosłam szynkę w galarecie. Pyszna, musi pan spróbować. Jezu, co panu jest? Wygląda pan, jak gdyby matkę panu zabili. Właściwie to ma pan prawo tak wyglądać, my wszyscy mamy prawo nie być w formie. Kochany panie Szymonku, kiedy to wszystko się skończy? Jak pan myśli?

Słuchał Różańskiej, wpatrując się w klapki Moniki. Były jak zadra dla jego umysłu, a jednak nie mógł oderwać od nich oczu.

— Myślę, że dzisiaj będzie po wszystkim.

— Naprawdę? Daj Boże, żeby miał pan rację.

Wszyscy chętnie częstowali się szynką w galarecie, co sąsiadka przyjmowała z wielkim zadowoleniem. Rozmowa przy stole nie kleiła się jednak, każdy z nich był zmęczony i rozdrażniony. Szymek miał wrażenie, że znajdują się na wulkanie, wystarczy jedno niefortunne zdanie, żeby z pozoru spokojna atmosfera eksplodowała.

— Słyszeliście tego psa w nocy? — zapytała Różańska z pełnymi ustami.

— Tak, wszystkich nas obudził — mruknął Zenek.

— Mnie też — kontynuowała sąsiadka. — Boże, jak się wystraszyłam. Nie wiedziałam, co się dzieje. Zamknęłam się w łazience, wydawało mi się, że tam będzie bezpieczniej. Gdy człowiek jest sam, to głupieje ze strachu.

— Ale przecież wczoraj pani nie była sama — zauważyła Aśka. — Monika nocowała u pani.

Ewa klasnęła w ręce.

— No tak, przecież was jest tutaj tak dużo. Moniczko, wybacz, że ci nie zaproponowałam noclegu u siebie.

Aśka patrzyła zdeorientowana na szwagierkę.

— To gdzie ty spałaś przez dwie ostatnie noce?

Twarz Moniki pozostała niewzruszona, jak gdyby nie miała świadomości, że właśnie wychodzi na jaw jej zdrada.

— Tutaj, przy boku męża — oznajmiła spokojnie.

Aśka zwróciła wzrok w stronę Szymka. Przeżuwał akurat szynkę, chciał ją szybko przełknąć, aby potwierdzić słowa żony, ale kawałek

mięsa zaczął rosnać mu w ustach.

— Jaja sobie ze mnie robicie? Przecież wyszłaś z mieszkania ostatniej nocy i przedostatniej też.

Aśka była wyraźnie zirytowana. Spojrzała na teściów i męża, jak gdyby oczekiwała, że potwierdzą prawdziwość jej słów. Ci wyglądali jak winowajcy, Zenek wbił wzrok w talerz, matka Moniki nerwowo szarpała krzyżyk na łańcuszku, a jej ojciec pochrząkiwał.

Szymek w końcu przełknął szynkę.

— Moja żona nocowała w domu — oznajmił z niemałym trudem.

Ewa Różańska odsunęła się z krzesłem od stołu i splotła dłonie na brzuchu. Przeczynała, że zaraz zacznie się przedstawienie i chciała całość objąć wzrokiem.

— Co? Kretynkę ze mnie robicie! Za głupią mnie macie! — Głos Aśki sięgnął wysokich tonów. — Zawsze mnie olewaliście! Przeszkadzało wam, że mam swoje ambicje, że się uczę języków.

— I żadnego się nie nauczyłaś, a tyle kasy na tę naukę poszło — zauważył Zenek.

— Zamknij się, chuju!

Aśka waliła pięściami w stół i wydawała z siebie dźwięk będący na granicy krzyku i pisku.

— Mamusiu, proszę, przestań.

Marysia się rozplakała, czarny tusz spływał ze łzami po jej bladych policzkach.

— Uspokój się! — wrzasnął Zenek do żony.

Kryśka, siedząca dotąd grzecznie na kolanach babci, wykrzywiła buzię, po czym zaczęła kwilić.

Aśka wstała i wzięła się pod boki.

— Nigdy mnie nie zaakceptowaliście, bo jestem za dobra, bo przyjechałam z Warszawy, bo moi rodzice są kimś. Przeszkadzało wam to.

— Twoi rodzice są kimś? — Na twarzy Zenka pojawił się drwiący uśmiech. — Twój ojciec jest księdzem i nie chce cię znać, ani naszej córki.

— Tak, jest księdzem, ale nie zapominaj, że jest też profesorem, wykłada na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, a spotyka się ze mną, kiedy tylko może. — W oczach Aśki pojawiły się łzy, próbowała jej powstrzymać, bezskutecznie. — Nie jego wina, że jest taki zajęty, kocha mnie i to jest ważne.

— Ale kasy na wykończenie domu nie dał, choć prosiłaś. W ogóle nic ci nigdy nie dał — wymamrotał pod nosem Zenek.

Aśka natychmiast się odgryzła:

— Twój rodzice też ci gówno dali, wszystko dostała twoja siostra.

Odsunęła krzesło, rzuciła przez ramię: „Pierdolcie się” i głośno płacząc, pobiegła do łazienki.

Z ekranu telewizora popłynęły słowa eksperta, który przekonywał, że jako gatunek ludzie zostali naturalnie wyposażeni w mechanizmy radzenia sobie z wydarzeniami traumatycznymi.

— Walenie kotka za pomocą młotka — podsumował słowa psychologa Zenek.

— Ma pan rację, kochany panie Zenku — odezwała się Różańska. — Gdy wczoraj słuchałam tych psychologów, to miałam ochotę rzucić kapciem w telewizor. Wymądrzają się, a gdyby tu byli, to ze strachu z dupy gówno by im leciało jak z kranu. No co, dobrze powiedziałam?

— Bardzo dobrze — przyznał ojciec Moniki.

Ekspert na prośbę redaktora zaczął udzielać rad zakładnikom. Wierzącym polecił modlitwę, pozwoli im ona uporać się ze stresem i zniwelować lęk. Szczera rozmowa z bliskimi też może spełnić tę rolę, rutynowe czynności także pomagają, można więc wytrzeć kurze lub zrobić szalik na szydełku. Ci, którzy mają jakieś nałogi, słodyczne, papierosy, niech się nie powstrzymują, nic tak nie uspokaja jak dymek lub czekolada, z lekami i alkoholem należy uważać. Szymek wiedział, że jego żona pali jednego papierosa za drugim, żeby uciszyć nerwy. Teraz pomyślał, że seks z sąsiadem zdarzył się z podobnych pobudek. Gdy zostaną już uwolnieni, będzie jej wstyd.

Monika wyszła do kuchni. Poszedł za nią. Myślał, że zobaczy na jej twarzy skruchę i usłyszy niezdarne tłumaczenia. Nic z tego. Oparła się biodrami o kredens i uniosła brodę. Była gotowa na jego atak, na wyrzuty i oskarżenia.

— Wiem, że byłaś u Jaszczura — wyszeptał.

— Ale ty jesteś, kurwa, bystry, jak harcerzyk na biwaku, trochę mąki i zagadka rozwiązana, brawo.

Szydziła z niego, to było tak samo okropne jak zdrada. Dlaczego mu to robi? Nawet ta cała sytuacja z terrorystami jej nie usprawiedliwia.

— Czy ty wiesz, co zrobiłaś?

— Wiem, zmarnowałam sobie życie, wychodząc za taką sierotę jak ty.

Jego mózg bronił się przed tym, co mówiła, to nie mogła być prawda, przecież byli szczęśliwym małżeństwem.

— Jesteś zdenerwowana — wyszeptał.

— A ty jesteś żałosny. — Te słowa wypluła z siebie wraz ze śliną, która spadła na kafle. — Jesteś żałosny, słyszysz? Twoja żona robi laskę innemu facetowi, a ty rozsypujesz mąkę na wycieraczkę jak jakiś głupek.

Zobaczył w oczach żony pogardę i coś jeszcze, co go zmroziło, obrzydzenie. Patrzyła na niego jak na gówno, które po spacerze przykleiło się do podeszwy jej buta. Niedowierzenie i bezsilność rozrywały go od środka.

— To koniec naszego małżeństwa, rozwiodę się z tobą.

Chciał, aby ta deklaracja zabrzmiała jak groźba, jak kara wymierzona niewiernej żonie. Niestety, w jego głosie pojawił się płaczliwy ton.

Z gardła Moniki wyrwał się szyderczy śmiech.

— W końcu się ciebie pozbędę, wreszcie nie będę musiała wycierać ci smarków spod nosa. Z Leonardem zacznę żyć normalnie jak kobieta.

— Nie zaczniesz — oznajmił łamiącym się głosem.

— Zrobię, co będę chciała. Od roku chodzę się z nim pieprzyć, teraz on będzie przychodził do mnie, a ty stąd wypierdalasz, mieszkanie jest moje.

W jego mózgu rozlała się gorąca fala nienawiści. Gniew był jak lekarstwo, jak zastrzyk z adrenaliny, dał mu siłę do buntu. Nie pozwoli, aby traktowała go jak śmiecia.

— Nie zwiążesz się z Jaszczurem, bo ja go zabiję — oznajmił z przekonaniem płynącym z głębi serca.

Monika tym razem nie zaśmiała się szyderczo, nie wykpiła go. Jej wzrok przesunął się w bok. Szymon domyślił się, że mają widzów. Obejrzał się. W drzwiach stał teść, a za nim Ewa Różańska.

— Czy wy też musicie się kłócić? — zapytał ojciec Moniki pojednawczym tonem.

— Twoja córka mnie zdradza od roku z Leonardem Jaszczurem, z nim się zabawiała przez ostatnie dwie noce — wypalił Szymek.

Różańska nie miała zamiaru wychodzić, chociaż wypadało zostawić sąsiadów samych i pozwolić im rozwiązać swoje problemy. Wysunęła głowę do przodu, jak gdyby chciała lepiej widzieć i słyszeć. To, co się tu działo, było ciekawsze niż paradokumentalne programy telewizyjne pokazujące jakąś konfliktową sytuację.

Starszy mężczyzna podszedł do córki, a ta spuściła głowę. Wyglądało na to, że dopiero teraz się zawstydziała.

— To prawda? — zapytał, choć jego potępiające spojrzenie dowodziło, że uwierzył zięciowi.

— Chciałam być tylko szczęśliwa, przecież mi wolno.

— Myślisz, że ci wolno ranić drugiego człowieka?

Słowa teścia wypowiedziane z wielkim smutkiem zaskoczyły ich wszystkich, również Różańską, która pokiwała głową, jak gdyby zgadzała się z pytaniem sąsiada. W kuchni zapadło ciężkie milczenie, przerwała je Monika, krzycząc:

— Wolno mi! Mam prawie czterdzieści lat, nie będziesz mi mówił, czego mi nie wolno! Rozstanę się z Szymonem i będę z Leonardem.

Stojącą w drzwiach Różańską minął Zenek z czarnym papierosem

w dłoni.

— Co się tu dzieje? Dlaczego się wydzierasz? Chcesz nam ściągnąć na głowę terrorystów?

Do kuchni wpadła teściowa z Krysią na ręku, wyglądała na przerażoną. Starszy mężczyzna wymierzył kościsty palec w pierś córki.

— Jesteś gorsza niż twoja matka. Ona, gdy ją przyłapałem z Marianem Jaszczurem, chociaż błagała o wybaczenie i obiecała poprawę.

Zenek chciał włożyć papierosa w usta, ale nie mógł trafić.

— No, kto by pomyślał, mama taka zawsze święta — skomentowała Aśka, stając w drzwiach obok Ewy.

Szymek pomyślał, że to już nie jego sprawa. Kuchnia wydała mu się zbyt ciasna, musi stąd wyjść, bo zwariuje. Przecisnął się między Aśką a Różańską, w przedpokoju minął bladego Rafała i pochlipującą Marysię. Gniew wypchał go na korytarz, pod drzwi Leonarda Jaszczura.

Rozdział XX

CHOINKA MIAŁA KSZTAŁT IDEALNEGO STOŻKA, jej średnica u podstawy wynosiła sto osiem centymetrów, żadna z gałęzi nie wystawała, Dariusz sam je wyrównał sekatorem. Drzewko ubrała jego żona Wiktoria, stosując się do jego wskazówek. Nie miała wyrobionego zmysłu symetryczności, choć od pięciu lat bardzo nad tym pracowali. Nadal spod jej palców wychodził chaos, z geometryczną zgodnością mieszkania już sobie radziła, ale gdy pojawiał się w przestrzeni jakiś nowy element, zaczynała się gubić. Dokładnie jej wytłumaczył, jak należy ubrać choinkę, naszkicował to jej nawet na kartce. Kiwała głową, że rozumie, ale i tak musiał po niej poprawiać bombki, niektóre przewiesił nawet na inne gałęzie. Teraz choinka wyglądała jak szachownica, białe i grafitowe bombki wisiały na przemian.

Przy drzewku na podłodze siedziała Wiktoria z ich trzyletnim synkiem, Arnoldem, układali domino. Ona chciała kupić chłopcu na gwiazdkę pacynkę nakładaną na rękę, nie sprzeciwił się, zapytał jedynie, w czym taka zabawka pomoże ich dziecku. Wiktoria spuściła głowę i wymamrotała coś o rozwijaniu wyobraźni. Mógł to skomentować tylko w jeden sposób: głównie w kiblu też może rozwijać wyobraźnię, ale czy to znaczy, że trzeba je podarować dziecku? Wiktoria zrezygnowała z pacynki i znalazła w sklepie internetowym kolejkę. Przeczytała, że ta zabawka rozwija logiczne myślenie, bo trzylatek musi dojść do tego jak ułożyć tory, tunel, gdzie postawić dworzec. Pozwolił ją kupić, choć wiedział, że na myślenie kolejka wpłynie pozytywnie tylko przy pierwszym rozstawianiu, a potem będzie jedynie źródłem bezużytecznej rozrywki. Postanowił dokupić coś, co uczy koncentracji i precyzji, a przede wszystkim rozwija

poczucie przestrzennego ładu. Kupił więc domino, nie miało kolorowych obrazków, lecz tradycyjnie kropki. Wczoraj osobiście układał je z synem, kostka obok kostki, równo jak pod linijkę. Udało im się ułożyć kwadrat, po dziesięć kostek na każdy bok, ilość kropek na ostatniej kostce pasowała do pierwszego elementu. Dzisiaj z Arnoldem domino układała Wiktoria. Dariusz wyznaczył im trudniejsze zadanie, mieli ustawić kostki pionowo w trzech rzędach, ponadto z przodu dwie kostki, a przed nimi jeszcze jedna. Potem tę pierwszą pchnie się palcem i trzy rzędy złożą się precyzyjnie w tym samym czasie. Zauważył, że Wiktoria zbyt pomaga synowi, to głównie ona układała domino. Zwrócił jej uwagę, żeby tego nie robiła. Uniosła głowę i odgarnęła włosy z czoła. Na jej pospolitej twarzy malowało się zmęczenie. Zabawa z dzieckiem zawsze ją wyczerpywała, nie rozumiał tego, przecież to jedno z lepszych zajęć. Gdyby przyszło jej wziąć udział w rozminowywaniu twardej jak beton afgańskiej ziemi, dopiero by zobaczyła, czym jest wysiłek i to zarówno psychiczny, jak i fizyczny. W Bagram była taka jedna plutonowa ze Szczecina, z piątego pułku inżynieryjnego, nie pękała, nożem nakłuwała ziemię, bo saperki nie dało się wbić, odkrywała minę, potem trotyl, lont i detonacja. Był pod wrażeniem, gdy zobaczył ją pierwszy raz przy pracy, mieli wtedy za zadanie ochraniać saperów. Pomyślał wówczas, że właśnie z taką kobietą powinien się ożenić. Plutonowa była perfekcyjna, nie popełniała błędów, w jej profesji były one niewybaczalne. Zdawał sobie jednak sprawę, że żona żołnierza nie siedziałaby w domu, poświęcając swój czas na wychowanie dziecka, a tego właśnie wymagał od kobiety.

Dopił kawę. Pół litra kofeiny powinno go mocno pobudzić, a było mu to potrzebne do wykonania akcji, którą zaplanował na dzisiaj. Umył kubek, osuszył go papierowym ręcznikiem i odstawił do szafki. Poszedł do sypialni, przesunął drzwi w zabudowie i spojrzął na trzy mundury, dwa polowe oraz pustynny z Afganistanu. Zastanawiał się, który włożyć. Wyznawał zasadę, że żołnierz powinien nosić umundurowanie adekwatne do zadania, klimatu i kamuflażu. Tylko

jak ma się kamuflować w przestrzeni klatki schodowej? Niezależnie od tego, czy włoży mundur zielony, czy pustynny, i tak będzie widoczny na tle jasnozielonych ścian. Czekał go zwiad po wieżowcu i likwidacja terrorystów, zadanie trudne, ale wykonalne, o ile podejdziesz do niego z pełnym profesjonalizmem. Wyjął z szafy mundur polowy, do tego czarne buty wojskowe i pas z kaburą. Z beretu zrezygnował, lepsza będzie zwyczajna czapka włóczkowa, którą można naciągnąć na uszy. Potrzebna mu będzie jedynie na czas przejścia z jednego balkonu na drugi. Nie mógł zwyczajnie wyjść z mieszkania przez drzwi, bo nie dało się ich otworzyć, oba zamki zostały zablokowane od zewnątrz. Terrorysty wiedzą, kim jest, i się go boją. Zanim zajęli blok, zrobili rozpoznanie, to im się chwali, ale z drugiej strony są głupcami, skoro założyli, że zdołają zatrzymać go w mieszkaniu.

Do kabury włożył wista-94 z pełnym magazynkiem, szesnaście nabojów. Z tym pistoletem był na misji w Afganistanie. Koledzy narzekali, że broń się zacina i magazynek wypada, on jednak ją lubił. Podobał mu się kształt chwytu, można było strzelać nawet w rękawiczkach. Ponadto wist posiadał wskaźnik laserowy, a ten może mu się przydać w pogrążonym w zimowym półmroku wieżowcu. Cieszył się na tę akcję, w końcu pokaże swoim przełożonym, że jest prawdziwym żołnierzem. W Afganistanie zwątpili w niego, oskarżyli o niesubordynację. Zarzut wzięty z kosmosu, bo przecież nigdy nie uchybił regulaminowi, nigdy nie odmówił wykonania rozkazu. A inni to robili, mówili majorowi, że nie pojedą na zwiad, a ten nie miał argumentów, żeby ich zmusić, chodził więc po bazie i szukał chętnych na wyjazd z patrolem. Dariuszowi nie mieściło się w głowie, jak polski żołnierz może odmówić wykonania rozkazu. Wyzywał kolegów od tchórzy i złamanych kutasów. Któregoś dnia nie wytrzymał i uderzył jednego kaprała, który wymigał się od wyjazdu na zwiad. Po tym wydarzeniu major zaproponował mu, żeby wrócił do kraju i trochę odpoczął. Dariusz obiecał, że podobna sytuacja się nie powtórzy. Pozwolili mu

zostać. Kilka dni później zatrzymał na terenie bazy dwóch szeregowych i kazał im zdjąć z głów amerykańskie czapki bejsbolowe i założyć wojskowe berety. Wyśmiali go. Powalił więc obu na ziemię. Drugiej rozmowy dowództwo z nim nie przeprowadziło, dostał rozkaz wyjazdu do Polski. Po powrocie wcale nie było lepiej, najpierw wysłali go na badania psychiatryczne, potem zmusili do miesięcznego pobytu w klinice psychiatrii i stresu bojowego. Osiemnaście miesięcy trzymali go na zwolnieniu lekarskim, następnie pozwolili wrócić do służby. Dostał biurko, ale bez komputera, nie miał żadnych obowiązków. Marzył, żeby udowodnić, jak bardzo może być przydatny, pokazać, że jest dobrym żołnierzem. Dzisiaj miał do tego okazję. Terrorysty spadli mu z nieba, od czterdziestu godzin śledził wpisy lokatorów w sieci, oglądał też telewizyjne i internetowe transmisje z zamachu na wieżowiec. Zobaczył antyterrorystów, to był znak, że powinien się spieszyć. Musi uwolnić zakładników, zanim tamci przystąpią do szturmu.

Wszedł do salonu w momencie, gdy jego syn pchnął palcem pierwszy element domina. Trzy rzędy kostek składały się, wydając dźwięk przypominający cichy terkot. Arnold patrzył na to jak zahipnotyzowany, na koniec klasnął w dłonie.

— Tatuś, teraz kolejka, pociąg.

Chłopiec trzymał go za spodnie.

— Z mamą pobawisz się kolejką, ja muszę iść.

— Ja z tobą.

Wziął syna na ręce i uściskał mocno. Podeszła do niego Wiktoria. Objął ją i pocałował w czubek głowy. Podała mu puchową kurtkę oraz wojskowe rękawiczki. Nie prosiła go, aby zrezygnował z tej akcji. Wiedziała, że dla niego to ważne.

— Idę — oznajmił.

Westchnęła. Zabrzmiało to trochę jak wypuszczenie powietrza z ulgą. Kobiety rzeczywiście są dziwne, raz rozpaczają, że mąż idzie na wojnę, innym razem przyjmują to prawie z zadowoleniem.

Wyszedł na balkon, a Wiktoria zamknęła za nim drzwi,

przyciskając końcówkę kabla, przy pomocy którego miał się zsunąć na czwarte piętro. Na niebie unosiły się ciężkie chmury, zaraz zacznie sypać, musi się spieszyć. Oczyszczył balustradę ze śniegu, potem przechylił się przez nią i obejrzał barierkę piętro niżej, też była wysprzątana. Sąsiad się spisał. Dariusz obwiązał się kablem i usiadł na balustradzie z nogami na zewnątrz. Policjanci tworzący kordon unieśli głowy i wpatrywali się w niego.

Naciągnął kabel i trzymając go w dłoni, złapał się mocniej barierki po jednej stronie swojego ciała, potem zsunął biodra i jednocześnie przekręcił się brzuchem w kierunku balustrady. Wisiał na dłoniach. Miał wrażenie, że grawitacja spletała mu figła, ziemia ciągnęła go do dołu z niewyobrażalną siłą. Zaczął szukać stopami balustrady piętro niżej, ale jej nie było. W panice pomyślał, że źle wyliczył odległość między balkonami. Chciał już podciągnąć się z powrotem do góry, póki ma jeszcze siłę, ale nagle podeszwa otarła się o coś twardego. Oparł czubki butów o balustradę i zwolnił uścisk dłoni na barierce, teraz trzymał się kabla. Zsuwał się w dół, uginając nogi w kolanach, wreszcie mógł zeskoczyć na posadzkę balkonu. Oddychał ciężko. Wyjął nóż z kieszeni spodni i przeciął kabel.

Zapukał w drzwi balkonowe. Najpierw uniosła się roleta, za szybą stał około pięćdziesięcioletni mężczyzna, który patrzył na przybysza jak na największe dziwo na świecie.

— Człowieku, a jednak to zrobiłeś, ty to masz odwagę. Wchodź szybko, na pewno zmarzłeś. Zaraz moja żona robi kawę. Była pewna, że dasz radę zejść po balkonach, to tylko ja wątpiłem.

Dariusz znalazł się w pokoju, w którym panował chaos.

— Kawa to innym razem, teraz się spieszę.

— A co ty właściwie chcesz zrobić?

— Zabić terrorystów — odpowiedział tak spokojnie, jak gdyby mówił o wyprowadzeniu psa na spacer. Zdjął czapkę i puchową kurtkę. — Mogę to u was zostawić?

Mężczyzna wziął od niego wierzchnie nakrycie i powiódł wzrokiem po mundurze.

— No pięknie, wojsko bierze się do roboty, nie damy się tym Arabom.

Do pokoju zajrzała tęga kobieta.

— Słodzi pan?

— Na kawę wpadnę po wszystkim, teraz muszę iść.

Sąsiad ostrożnie otworzył drzwi na klatkę, a potem równie cicho je zamknął.

Dariusz wyjął wista z kabury. Przyjął obniżoną sylwetkę i zaczął schodzić z czwartego piętra. W wojskowych butach nie dało się iść cicho, każdy krok rozbrzmiewał w klatce dobrze słyszalnym stuknięciem. Nie zdoła zaskoczyć terrorystów swoją obecnością, ale bronią tak. Pistolet trzymał przed sobą, palec na spuście. Między pierwszym piętrzem a parterem zobaczył ładunek wybuchowy przyklejony do górnej krawędzi okna. Znajdował się zbyt wysoko, żeby mógł się mu przyjrzeć, ale przecież były jeszcze bomby w mieszkaniach. Postanowił teraz rzucić na nie okiem. Zapukał pod jedynekę. Nikt nie otworzył. Zapukał do dwóch pozostałych mieszkań. Także nie został wpuszczony. Lokatorzy się bali człowieka w mundurze, prawdopodobnie nie rozpoznawali w nim swojego sąsiada. Miał się już cofnąć na pierwsze piętro i tam zapukać do mieszkań, uznał jednak, że najpierw sprawdzi piwnicę, a następnie przejdzie do pierwszej klatki i tam spróbuje dostać się do mieszkania z zamontowanymi ładunkami wybuchowymi.

Nacisnął ostrożnie klamkę do piwnicy i nasłuchiwał przez chwilę. W środku panowała cisza, zaczął więc schodzić po betonowych stopniach.

Rozdział XXI

SZYMEK STAŁ PRZED DRZWIAMI JASZCZURÓW i zastanawiał się, co zrobić. Adrenalina w nim buzowała, był wściekły, z wielką ochotą rozbiłby głowę Leonardowi, żeby chociaż miał kij bejsbolowy, a tak z gołymi rękami... niczego nie osiągnie. Młody Jaszczur był od niego silniejszy, wyrzuci męża swojej kochanki z mieszkania jak szmacianą lalkę. W konfrontacji z nim Szymek doświadczy jedynie upokorzenia. Nie mógł się pogodzić z tym, że nie jest w stanie nic zrobić. Dotykał już palcami dzwonka, chociaż go wyzwie, opluje, nie, to dziecinada. Chciał się zemścić, ale w sposób wyszukany, perfidny. W wyobraźni widział siebie wyniosłego i dumnego, jak z pogardą patrzy na wystraszonego Leonarda, który na kolanach bełkocze nieskładne przeprosiny. Jak doprowadzić do takiej sytuacji? Gdyby miał rewolwer, z palcem na spuście mógłby przerazić Jaszczura.

Nacisnął dzwonek i czekał, drzwi się nie otworzyły, ogarnęła go furia, zaczął w nie kopać, nic go nie obchodziło, że ściągnie terrorystów tym hałasem. Nagle zza drzwi dobiegł go głos starego Jaszczura:

— Wracaj do siebie żonki pilnować. — Głośny śmiech przechodzący w kaszel, a potem kolejne słowa: — Bo znowu ci się puści z jakimś sąsiadem.

Domyślił się, że Marian Jaszczur obserwuje go przez wizjer, zaczął więc robić groźne miny, szczyrzył zęby, wytrzeszczał oczy.

— Debil. — Padło zza drzwi.

Nie pomylił się, był widziany. Odsunął się na trzy kroki, rozpiął rozporek, wyciągnął członek i zaczął sikać na drzwi Jaszczurów.

— Ty debilu! Bo zadzwonię po policję!

Szymek zaniósł się śmiechem. Otrzymał właśnie minimalną dawkę

satysfakcji, która go pobudziła do działania. Starał się nasikać na wizjer, udało się. Marian zaklął, a potem wrzasnął:

— Wsadź sobie fiuta w dupę, bo własnej żonie nie potrafisz, mój syn musiał cię wyręczyć jak ja twojego teścia trzydzieści lat temu.

Szymek patrzył na mokrą wycieraczkę i układał plan zemsty. Kopanie w drzwi i sikanie na nie to dopiero preludium. Zaraz wyreżyseruje pierwszy akt, w którym udział wezmą święci mikołajowie. Już raz się z nimi spotkał, kazali mu wtedy wytypować lokatora, który wyleci przez okno. Dlaczego to nie miałyby się powtórzyć? Zejdzie do piwnicy i powie im, kogo powinni wyrzucić tym razem. Przyprowdzi ich pod drzwi Jaszczurów, terroryści wyłamią je bez większych problemów, a potem wyciągną Leonarda i Mariana, zawloką na ostatnie piętro, obaj Jaszczurowie będą trząść się ze strachu i błagać o życie jak on w wigilię. Cicha noc, święta noc i dzień zemsty, to im zafunduje.

Wsiadł do windy i zjechał na parter. Nie bał się, furia okazała się silniejsza od strachu. Musiał być jednak ostrożny, nie chciał nieprzemyślanym zachowaniem sprowokować terrorystów. To byłby wielki pech, gdyby teraz wpakowali mu kulkę w głowę. Zszedł po piwnicznych stopniach.

— Halo, halo! Czy ktoś tu jest?

Nikt mu nie odpowiedział. Posuwał się do przodu, szurając butami po betonowej posadzce. Był już w połowie korytarza i nic, żadnej sylwetki ani dźwięku poza szumem w rurach. Dotarł do schodów prowadzących do drugiej klatki. Tutaj też nikogo nie było. Zaczął wracać. Po obu stronach ciągnęły się drzwi, jedne metalowe z masywnymi sztabami, inne zbudowane z wąskich deseczek. Tym razem przyglądał się kłódkom. Szukał otwartego pomieszczenia, prawdopodobnie wewnątrz będą sprawcy. Bardzo się zdziwił, bo wszystkie drzwi były dobrze zamknięte. Czuł się rozczarowany, miał plan i z powodu nieobecności terrorystów nie mógł go zrealizować. Myślał, żeby udać się do mieszkania Romana Karolaka, tam może ich znajdzie. Tak w ogóle, jak mogli zostawić piwnicę bez straży,

przecież teraz można uciec przez okienko piwniczne, wystarczy jedynie przepiłować kłódkę. Zatrzymał się zaskoczony tym spostrzeżeniem. Dlaczego właściwie nie miałby opuścić wieżowca, skoro jest taka możliwość? Zabierze ze sobą Krysię i Rafała, a reszta niech się tu męczy.

Na czwarte piętro wjechał windą. Gdy wszedł do mieszkania, okazało się, że tylko Rafał go wyczekiwał. Siedział w przedpokoju na podłodze z posępną miną, miał na nogach sportowe buty.

— Chciałem iść cię szukać, ale mama mi nie pozwoliła.

Szymek uścisnął syna za ramię. Chciał go tym gestem pocieszyć, chłopakowi musiało być ciężko ze świadomością, że jego matka chodzi na noc do sąsiada się pieprzyć.

— Zaraz się stąd wyniesiemy. Piwnica jest pusta, wezmę brzeszczot i przepiłuję kłódkę, potem przyjdę po ciebie i Krysię.

Rafał pociągnął nosem, starał się powstrzymać łzy.

— A mamy nie weźmiemy?

Na to pytanie Szymek nie odpowiedział. Poszedł do kuchni, z dolnej szuflady kredensu wyjął brzeszczot. Zza ściany dobiegł go głos teściowej:

— Córeczko, Szymek ci wybaczy, musisz tylko okazać skruchę i przysiąc, że już nigdy więcej. Pamiętaj, że ten kto żałuje za grzechy, jest prawie niewinny. Tak mi powiedział ksiądz Tomasz dwadzieścia pięć lat temu. Jestem mu wdzięczna za te słowa, do dziś sobie je powtarzam.

— Mamo, ale jak mogłaś? Nie rozumiem. Ty? Już bym tatę szybciej o coś takiego podejrzewała.

— A ty, córeczko, mogłaś?

Szymek miał ochotę wtargnąć do pokoju obok i wrzasnąć, że żadnego wybaczenia nie będzie. Może by nawet to zrobił, ale wiedział, że bardziej dopiecze żonie, zmywając się stąd wraz z dziećmi. Ponownie zjechał windą na parter i wszedł do piwnicy. Powoli pokonywał kolejne metry korytarza. Nadal musiał być ostrożny, przecież terroryści mogli tu w każdej chwili wrócić.

W końcu dotarł do swojego pomieszczenia piwnicznego. Miał już przystąpić do piłowania kłódki, ale przypomniał sobie, że okienko w połowie jest zastawione szafą, którą kilka miesięcy temu wynieśli z pokoju Rafała. Przeszedł do drzwi obok, stał teraz przed piwnicą Ewy Różańskiej. Sąsiadka rzadko tu zaglądała. Parę razy dała Szymonowi klucze i poprosiła, żeby coś jej przyniósł. Pamiętał, że jej pomieszczenie nie było zagracone i na pewno stało w nim krzesło, przyda im się, gdy będą się przeciskać przez okienko. Zaczął piłować kłódkę. Od ścian odbijał się nieprzyjemny dźwięk, zgrzyt metalu o metal. Szymkowi aż ciarki przeszły po plecach. Gdy skończył, odetchnął z ulgą. Zanim wszedł do środka, rozejrzał się jeszcze. Wyglądało na to, że jest sam, odgłos piłowania nikogo nie zwabił do piwnicy. Otworzył drzwi, w tej samej sekundzie cofnął się zaskoczony i przerażony. Wisiały tutaj dwa czerwone płaszcze, ponadto na półce leżały dwie czerwone czapki, rękawiczki, białe brody, dwie pary przeciwsłonecznych okularów i zabawkowe tuby, przez które dwa dni temu terroryści do niego mówili. Były wszystkie rekwizyty, nie brakowało nawet dużych czarnych butów. Karabiny dostrzegł dopiero po chwili, bo stały w kącie pomieszczenia, przysłonięte stosem kartonów.

Szymek nie wiedział, co ma robić. W panice myślał, że powinien jak najszybciej uciekać. Będzie źle, jeśli terroryści go tu przyłapią. Nie darują mu, że odkrył ich magazyn. Trzymali tutaj zapasowe przebrania i dodatkową broń. Nagle w jego głowie zrodziła się myśl wyjątkowo jasna, to nie jest magazyn terrorystów, oni tutaj porzucili swoje przebranie i broń, bo zrezygnowali z przetrzymywania zakładników. Włożyli cywilne ubranie i udają gości w którymś z mieszkań. Zapewne sterroryzowali jakąś rodzinę, żeby ta potwierdziła, że są znajomymi zaproszonymi na wigilię. Szymek poczuł, że ogarnia go euforia. Byli wolni, musi zadzwonić na policję i o tym powiedzieć. Włożył rękę do kieszeni. Niestety, nie wziął telefonu. Znowu powiódł wzrokiem po czerwonych płaszcach. Planował, że zaprowadzi terrorystów do mieszkania Jaszczurów,

teraz ma okazję iść tam sam w przebraniu świętego mikołaja. Wizja przerażonych Jaszczurów zmotywowała go do działania.

Włożył czerwony płaszcz. Był obszerny i długi, aż do samej ziemi. Po chwili jego twarz zasłoniła biała broda i także wąsy. Wyciągnął rękę po mikołajową czapkę i umieścił ją na głowie. Włożył też przeciwsłoneczne okulary i rękawiczki. Przez chwilę zastanawiał się, czy zmienić buty, ale postanowił zostać w swoich, bo i tak nie było ich widać spod płaszcza. Obejrzał tubę, na szczęście było to proste urządzenie, trzy guziki, po których przyciśnięciu głos ulegał przetworzeniu. Ostrożnie podniósł jeden z dwóch karabinów i trzymając go przed sobą lufą do przodu, wyszedł z pomieszczenia. Ruszył korytarzem w stronę schodów. Czuł się silny. Zaraz będzie miał swoje pięć minut, krótki moment górowania nad kochankiem żony.

Rozdział XXII

DARIUSZ ZNALAZŁ SIĘ W PIWNICY. W ostatnich dniach często tutaj schodził, głównie po sanki, w wigilię wpadł po stojak do choinki. Dobrze pamiętał panującą w korytarzu pozorną symetrię, drzwi do komórek rozmieszczone po obu stronach korytarza, ale bez zachowania precyzji w odległościach. Poza tym te dziwne wystające elementy, rury, progi, załamania ścian, a także dysharmonia tworzona przez mieszkańców w postaci rozmaitych przedmiotów pozostawianych przed drzwiami własnych pomieszczeń piwnicznych, jak choćby szafka czy karton.

Znienawidzona przez niego asymetryczność teraz mogła stać się czynnikiem wspomagającym. Jeśli pojawią się terroryści, on schowa się za załom ściany albo przykucnie za niewielką szafką. Zawsze jakaś ochrona na wypadek strzelaniny. Nie bał się spotkania z terrorystami, przecież to nie talibowie, tamci to dopiero byli niebezpieczni. Z przerażeniem i podziwem obserwował ich kamuflaż, szare skały, szara ziemia i szarzy ludzie. Z rosomaka lustrował przez lornetkę okolice, pustka, nigdzie żywej duszy, tylko wszechobecna szarość i nagle wyłaniał się z niej człowiek, też szary, bo pokryty od stóp do głowy warstwą pyłu. Aż ciarki przechodziły po plecach na ten widok. Dariusz nie raz czuł się w Afganistanie jak marionetka przyczepiona do tarczy strzelniczej. Tam można było dostać kulkę w każdej chwili, od kobiety i dziecka również, bo tam wszyscy umieli strzelać. Gdy jechał na misję, usłyszał, że będzie szkolił policjantów afgańskich. Na miejscu okazało się, że oni strzelają lepiej od niego, bo zaczęli w wieku kilku lat. Tamtejszych policjantów też się obawiał, podobno wielu sprzyjało talibom. W porównaniu z Afganistanem piwnica wieżowca wydała mu się przytulna

i wyjątkowo bezpieczna.

Zauważył, że drzwi do jednego z pomieszczeń są uchylone. Zaczął nasłuchiwać. Ktoś był w środku. Przesunął się do przodu o półtora metra i położył na betonowej posadzce, wsparł się na łokciu. Znakomita pozycja do oddania strzału, ponadto bezpieczna. Zanim terroryści go spostrzegą, położy ich trupem. Czekał, nasłuchując. Jakieś szmery, potem stuknięcie i dwa ciche kroki, które pozwoliły mu ustalić, że ten ktoś nosi obuwie na gumowej podeszwie i porusza się po linoleum. W końcu drzwi odchyliły się szerzej i wyszedł zza nich święty mikołaj. Trzymał przed sobą karabin. Dziwne, ale nie zlustrował korytarza, lecz od razu skręcił w przeciwną stronę niż pozycja Dariusza i zaczął się oddalać. Teraz nadszedł najważniejszy moment, likwidacja wroga. Zadanie wydawało się wyjątkowo proste. Wystarczyło wycelować w głowę, najlepiej tuż nad karkiem. Kciukiem uruchomił wskaźnik lasera. Na plecach terrorysty pojawił się świetlny punkt. Przesunął go na tył głowy obiektu. Czuł przyjemne napięcie. Potrzebował takich emocji, a od dawna nie miał okazji ich doświadczyć. Delektował się tą chwilą, był teraz żołnierzem, służył Polsce, ratował życie rodaków, cel chwalebniejszy niż walka z talibami. Policzył do trzech i wstrzymując oddech, nacisnął spust. Mikołaj zwałił się na ziemię. Zadanie wykonane, jeden z niebezpiecznych elementów usunięty, ale to jeszcze nie koniec.

Nie zdjął palca ze spustu, nie podniósł się. Czekał. Liczył się z tym, że w komórce mogło być dwóch terrorystów. Ponadto odgłos wystrzału powinien ściągnąć do piwnicy kolejnych. Nikt jednak nie nadchodził. Dariusz podniósł się bezszelestnie i zaczął przybliżać się do pomieszczenia, w którym przebywał mikołaj. Przykucnął i ostrożnie zajrzał do środka. Palec drgnął mu na spuście, gdy zobaczył dwie pary czarnych butów. W tej samej sekundzie wypuścił powietrze z ulgą, to były tylko buty. W pomieszczeniu wisiał też czerwony płaszcz, a na półce leżały pozostałe akcesoria łącznie z kolorową tubą. Wszedł do środka i podniósł stojącą w kącie broń.

Był to rosyjski karabinek AK-12, następca kałacha, ale dużo celniejszy, z magazynkiem na sześćdziesiąt nabojów. Gdyby terroryści zaczęli strzelać, byłaby masakra. Wypiął magazynek i usunął amunicję z komory naboju. Bezużyteczny karabin z powrotem postawił w rogu. Rozejrzał się za zapasowymi magazynkami, ale nigdzie ich nie dostrzegł. Wyszedł z pomieszczenia i ruszył w stronę martwego terrorysty. Wyciągnął spod jego ciała karabin i również go rozładował, zabierając amunicję.

Skierował się teraz do pierwszej klatki, musi kontynuować swój plan, czyli przyjrzeć się ładunkom wybuchowym. Schody piwniczne pokonywał bokiem, przyklejony do ściany, to na wypadek, gdyby na klatce stali terroryści i mieli zaraz zacząć strzelać. Z impetem otworzył drzwi, nikogo za nimi nie było. Ponownie odetchnął z ulgą. Dowództwo będzie z niego dumne.

Na parterze zapukał pod trójkę. Drzwi się uchylły i wysunęła się zza nich głowa starszego mężczyzny. Dariusz pamiętał tę twarz ze złamanym nosem, musieli nieraz mijać się na chodniku.

— Kim pan jest? — Wzrok lokatora przesunął się po mundurze i zatrzymał na pistolecie, który Dariusz trzymał przy udzie lufą w dół. — Wojskowy? Tak?

— Tak, sierżant Dariusz Wawryn. Mógłby mnie pan wpuścić?

Schował wista do kabury na znak, że nie ma złych zamiarów. Mężczyzna otworzył szerzej drzwi.

— Jestem Stefan Bonar, pięściarz Startu Elbląg.

Do przedpokoju weszła starsza pani w szlafroku, na jej pomarszczonej i chudej szyi połyskiwały białe perły, a z porwanych kapci wystawał duży palec z pomalowanym na czerwono paznokciem.

To pan strzelał? — zapytał Bonar. — Byłem akurat w łazience, tunelem poszedł huk, aż mi mydło z ręki wyleciało.

Dariusz nie zdążył odpowiedzieć. Pani Bonar wycelowwała w niego palec.

— Pan mieszka w drugiej klatce? Wiele razy widziałam pana

w mundurze.

— Tak, mieszkam tutaj z żoną i synkiem.

— Dlaczego nie siedzi pan w mieszkaniu? — wypytywała dalej kobieta. — Nie dotarło do pana polecenie policji? Pan jest wojskowym, chyba umie pan wykonywać rozkazy.

— Moja żona ma rację, takie łożenie po bloku z bronią jest niebezpieczne.

Dariusz miał ochotę powiedzieć, że niebezpiecznie to było w Afganistanie.

— Do kogo strzelałeś? — zapytał Bonar.

Kobieta przycisnęła ręce do piersi.

— O Boże, czy pan kogoś zabił?

Powinien uspokoić tych ludzi, cywilów nie można narażać, nawet na stres.

— Drodzy państwo, jesteście teraz bezpieczniejsi niż jeszcze kwadrans temu. Zapewniam was, że w tej chwili zagrożenie jest mniejsze.

— Co to znaczy, że jest mniejsze? — zapytał Bonar.

Dariusz dotknął pistoletu. Mężczyzna zrozumiał ten gest, bo aż wstrzymał oddech, a potem w geście niedowierzania podrapał się po głowie.

— A po co pan do nas przyszedł? — zapytała zaczepnie kobieta. — Żeby nas narażać? Stefciu, powiedz temu panu, żeby sobie poszedł.

— Chciałem się tylko przyjrzeć ładunkom wybuchowym, które terroryści założyli w każdym mieszkaniu na parterze i na pierwszym piętrze, czyli u was też.

Z ust pani Bonar wyrwał się okrzyk:

— Nie!

Była przerażona. Zaciskając dłoń na perłach zwisających z szyi, patrzyła na Dariusza wzrokiem błagającym, aby tego nie robił.

— Żabciu, nie bój się — odezwał się Bonar. — Pan jest wojskowym, zna się na tych rzeczach. Na pewno nie wylecimy w powietrze.

Mężczyzna mrugnął do Dariusza, a ten natychmiast zapewnił, że

nawet nie będzie dotykał bomby, jedynie rzuci na nią okiem. Kobieta powoli przytaknęła, a jej mąż wskazał na pokój, przy którym stali. Dariusz wszedł do środka.

Ponure wrażenie robiła czarna folia oklejająca szybę okienną. Pod parapetem stało krzesło, a na nim pudło, z którego wystawały dwa kable przyklejone przezroczystą taśmą do futryny. Wyglądało na to, że ładunek wybuchowy miał zapalnik uruchamiany kontaktowo. Próba otworzenia okna lub nawet odklejenia kabla może doprowadzić do detonacji. Dariusz zaczął się zastanawiać jak rozbroić bombę. Mógłby ostrym nożem rozciąć karton i wyjąć zapalnik. Trochę ryzykowne, bo piorunian rtęci czy azydek ołowiu reagowały już na lekkie dotknięcie.

Usłyszał jakiś ruch za plecami, odwrócił się. Zadziałał instynkt wyczulony na zagrożenia, od razu sięgnął do kabury. W tym samym momencie zobaczył tłuczek do mięsa lecący w stronę jego głowy. Odruchowo uniósł obie ręce, rezygnując z wyciągnięcia pistoletu. Odparował pierwsze uderzenie. Bonar znowu się zamachnął, Dariusz się uchylił i wyciągnął rękę, aby złapać tłuczek. Niestety, jego dłoń minęła się z narzędziem, które świsnęło mu tuż przy uchu. Były bokser był szybki, trzecie uderzenie sięgnęło celu. Dariusz nie poczuł bólu, usłyszał jedynie trzask własnej żuchwy i pęknięcie zębów. Sięgnął po wista. Głupio zrobił, próbując bronić się gołymi rękami. Trzymał już palec na spuście. Broń mu wypadła, gdy kolejny cios trafił go między oczy. W ostatnim przeblysku świadomości zdążył jeszcze pomyśleć, że nie może przewrócić się do tyłu, bo za nim stoi krzesło z bombą.

Były pięściarz walił tłuczkiem do mięsa w twarz leżącego żołnierza. Oczu, nosa i ust nie było już widać, zastąpiła je krwawa miazga. Rozbryzgi krwi o najróżniejszych kształtach pojawiły się na ścianach i podłodze, jak gdyby wyszły spod pędzla szalonego artysty. Mnóstwo jej było na przewróconym pudle z ładunkiem wybuchowym i na ubraniu Bonara.

— Stefciu, proszę, przestań.

Po policzkach Bonarowej spływały łzy i wsiąkały w szlafrok. Mężczyzna zatrzymał się. Stał teraz z ręką uniesioną w górę i nogą zgiętą w kolanie niczym baletmistrz z makabreski zastygły w tańcu.

— Zabiłem go?

Niedowierzenie i strach zadźwięczały w jego głosie.

— Nie miałeś wyjścia.

Żona starała się podtrzymać go na duchu, ale sama była przerażona. Szczękała sztucznymi zębami i przyciskała dłonie do walącego serca.

— Co z nim teraz zrobimy? — zapytał Bonar.

— Nie wiem — wyrzuciła z siebie między jednym a drugim zgrzytnięciem zębami. — On miał żonę i synka, Chryste, wybacz nam.

Rozpłakała się na dobre.

— Cicho, babo! — Jej łzy zmobilizowały go. — Trzeba do niego zadzwonić, niech kogoś przyśle i niech tu posprzątają.

— On będzie zły — wychlipała.

— A co mnie to obchodzi, że on będzie zły. Powinien się liczyć z takimi rzeczami. — Bonar wskazał na zwłoki. — Poza tym ten żołnierz był naprawdę niebezpieczny. Prawdopodobnie kogoś zastrzelił w piwnicy.

— Chryste! Kogo?

— To się dopiero okaże. — Bonar zerwał kable zwisające z okna. — Trzeba będzie zamontować nową atrapę — skonstatował ze złością.

Rozdział XXIII

NIEWIELKIE POMIESZCZENIE wypełnione było dymem tytoniowym. Kamil palił jednego papierosa za drugim, aż go piekło w gardle. Siedział przed laptopem i śledził obraz przekazywany przez kamery zamontowane w wieżowcu przez dziennikarza. Kontrolował obraz z kamer od szóstej do dziesiątej, resztę monitorował Konarski. Do tej pory zaobserwowali tylko jedno ciekawe wydarzenie. Mieszkańcy lokalu trzydzieści jeden, czyli domniemani Ukraińcy, wynieśli trzy pakunki na dach. Być może to właśnie oni byli terrorystami.

Funkcjonariusze mieli na uszach słuchawki i próbowali z szumu wyodrębnić jakieś interesujące dźwięki. Po trzeciej nad ranem Konarski usłyszał ujadanie psa i trzaśnięcie drzwiami. Potem panowała już względna cisza.

Zbliżała się dwunasta w południe. Komisarz czuł, że znowu opadają mu powieki. Monotonny szum płynący ze słuchawek usypiał go. Pomyślał, żeby wyjść na zewnątrz i w orzeźwiający mrozie spalić kolejną fajkę, a potem zrobić kawę sobie i kolegom. Miał już wstać, ale nagle ze słuchawek popłynął zaskakujący dźwięk, jak gdyby dudnienie gdzieś z głębi korytarza.

— Coś słyszę — zakomunikował kolegom.

— Co takiego? — zapytał Rumun, odwracając się od teleobiektywu.

Konarski przełączył się na podsłuch kamer kontrolowanych przez komisarza, po chwili stwierdził:

— Ktoś wali pięściami w drzwi.

Kamil przytaknął.

— Też tak uznałem. Ktoś do kogoś się dobija, niestety nie w zasięgu naszych kamer.

— To dziwne, ludzie raczej siedzą cicho, żeby nie zwracać na siebie

uwagi sprawców — zauważył Rumun.

Wszystkim udzieliło się napięcie. Czuli, że za tym waleniem w drzwi coś musi się kryć.

— Słyszę windę — oznajmił Konarski.

Komisarz też ją usłyszał, a za moment mignęła mu na obrazie z dziewiątej kamery. Zaczynało robić się ciekawie. Żaden z mieszkańców nie odważyłby się jeździć windą w bloku zajęтым przez terrorystów, to musieli być sprawcy. Usłyszał, jak zamykają się drzwi windy, a potem rozległy się ciche kroki, zbliżały się do mikrofonu. Szła tylko jedna osoba, zaraz ją zobaczą na obrazie z kamery numer dziesięć. Kamil spodziewał się kogoś w długim czerwonym płaszczu, tymczasem w słabo oświetlonym korytarzu pojawił się po domowemu ubrany mężczyzna. Wszedł do piwnicy i zamknął za sobą drzwi.

— Poszedł do terrorystów? — zdziwił się Konarski.

Rumun zerkał na laptopa komisarza, teraz we trzech śledzili przekaz. Po upływie pięciu minut mężczyzna wyszedł z piwnicy. Niczego nie niósł, żadnej butelczyny ani słoika. Teraz poruszał się zwawiej, z pewną lekkością, jak gdyby coś go uskrzydliło. Znowu usłyszeli stuknięcie drzwi windy, a za moment kamera dziewięć zarejestrowała jej kurs w górę. Nie udało im się ustalić, gdzie się zatrzymała.

Czekali dalej. Konarski poprawił słuchawki.

— Znowu słyszę windę, chyba ruszyła, kamera dziewięć ją widzi.

Kamil już był pewien, że winda zaczynała swój kurs z czwartego lub piątego piętra. Na parterze ponownie pojawił się ten sam mężczyzna. Wszedł do piwnicy, ale zanim otworzył drzwi, coś przełożył z prawej dłoni do lewej. Cofnął obraz, żeby zobaczyć to jeszcze raz. Niestety, identyfikacja przedmiotu była niemożliwa.

— O co tam chodzi? — zapytał Rumun.

Konarski wzruszył ramionami. Kamil też nie wiedział, jak interpretować zachowanie jednego z mieszkańców. Może ten lokator współpracował ze sprawcami, na ich polecenie zniósł coś do piwnicy.

Rumun podszedł do okna i przyłożył oko do lunety.

— Kurwa, mamy samobójcę — syknął. — Zobaczcie.

Obrócił w ich stronę laptop, do którego podłączony był teleobiektyw. Zobaczyli mężczyznę siedzącego na balustradzie z nogami przełożonymi na zewnątrz.

— Które piętro? — zapytał Kamil.

— Piąte, druga klatka.

Gdy potencjalny samobójca zawisł na rękach na balustradzie balkonu, zamarli w oczekiwaniu na to, co się stanie.

— On ma zabezpieczenie! Opasany jest linką — zauważył Rumun.
— Próbuje zejść na balkon niżej.

Kamil wiedział, że w bloku jest tylko jeden człowiek, który mógłby się zdobyć na coś takiego.

— To żołnierz po misji w Afganistanie w stopniu sierżanta. Wyleciało mi z głowy jego nazwisko.

Aspirant Nowak sprawdzał już w tablecie spis lokatorów.

— Dariusz Wawryn, mieszka z żoną Wiktoria i synem Arnoldem — czytał pospiesznie. — Sprawcy zablokowali zamek w drzwiach do jego mieszkania.

— Co jeszcze o nim wiemy? — zainteresował się Kamil.

— Beata ustaliła, że jego drugi wyjazd do Afganistanu został skrócony, ale nie wiemy z jakiego powodu. Wojsko niechętnie udziela informacji.

Patrzyli, jak żołnierz zręcznie przechodzi na balkon na czwartym piętrze, następnie przez chwilę stoi przy szklanych drzwiach, po czym zostaje wpuszczony do mieszkania.

— Musieli się sąsiedzi zdziwić — mruknął aspirant Konarski.

— Trzeba go zatrzymać, zanim narozrabia — oznajmił stanowczo Rumun, patrząc na komisarza.

Ten spokojnie oznajmił:

— To zadanie Ady Kamińskiej, przecież też widzi, co się dzieje.

Kamil przełączył się na obraz przekazywany z kamerki numer dwa. Jeśli Dariusz Wawryn wyjdzie z mieszkania, do którego przed chwilą

wszedł przez balkon, to zaraz go zobaczą. Czekali w ciszy wpatrzeni w monitory, sekundy mijały, a w przestrzeni klatki schodowej nikt się nie pojawiał. Kamil poprawił słuchawki i wtedy usłyszał dźwięk otwieranych drzwi.

— Wychodzi — oznajmił.

Rumun przysunął się, żeby lepiej widzieć monitor. Rzeczywiście po sekundzie w zasięgu kamery znalazł się człowiek w mundurze z pistoletem w ręku.

— Kurwa, co on chce zrobić? — mruknął Konarski. — Chyba nie ma zamiaru w pojedynkę rozprawić się z terrorystami? Niemożliwe, żeby takich kretynów trzymali w wojsku?

Żołnierz zaczął schodzić w dół. Kamil przełączył się na obraz z kamerki numer jeden umieszczonej na samym dole klatki schodowej. Wkrótce zobaczył pochyloną lekko do przodu sylwetkę. Dariusz Wawryn otworzył drzwi do piwnicy i zszedł po schodkach. Widzieli jego oddalające się plecy.

Znowu czekali w ciszy i napięciu. Zdawali sobie sprawę ze złożoności sytuacji, w piwnicy znajdowali się teraz żołnierz z bronią krótką, lokator z pierwszej klatki, i prawdopodobnie terroryści. Nagle rozległ się huk, Konarski aż wyrwał słuchawki z uszu, a Kamil zacisnął zęby na papierosie.

— Co się stało? — zapytał Rumun, który nie śledził transmisji dźwiękowej z wieżowca.

— Strzał, tylko jeden, z broni krótkiej — wyjaśnił komisarz.

Czekali dalej na rozwój sytuacji, bo nic więcej nie mogli zrobić, byli widzami skazanymi na fragmentaryczny film. Czas ciągnął się niemiłosiernie. Od momentu strzału minęło jedenaście minut i wtedy z piwnicy wyszedł żołnierz, a raczej wyskoczył z pistoletem gotowym do strzału. Zarejestrowała go kamera dziesiąta umieszczona w klatce pierwszej. Zaczął wchodzić po schodach, słyszeli jego oddalające się kroki. Kamil spojrział na obraz z kamery dziewiątej pokazującej windę i część schodów na piętrze trzecim. Spodziewał się, że zaraz zobaczy Dariusza Wawryna. Nikt się jednak

nie pojawił.

Dalej obserwowali transmisję z wieżowca, koncentrując się na kamerach numer jeden oraz dziesięć, lustrujących oba wejścia do piwnicy. Czekali, aż wyjdzie stamtąd tajemniczy lokator. Nie wyszedł. Prawdopodobnie został zastrzelony przez żołnierza, a ten z kolei zniknął gdzieś na dolnych piętrach pierwszej klatki.

Komisarz sięgnął radiotelefon i wybrał numer inspektor Kamińskiej. Ada była wściekła.

— Lokatorzy donieśli nam, że słyszeli wystrzał — syknęła przez zaciśnięte zęby. — Mamy, kurwa, kolejną ofiarę.

— Może to żołnierz zabił któregoś ze sprawców? — zasugerował komisarz.

— Kamil, co ty pieprzysz? Przecież ten wieżowiec to nie Afganistan, tutaj przeciwnik jest naprawdę niebezpieczny. Żołnierzyc wozili się parę miesięcy w rosomaku i myślał, że umie walczyć z terrorystami. Idiota, chciał się pokazać, a ja mam teraz trupa, z którego będę musiała się tłumaczyć w raporcie.

Z radiotelefonem przy uchu podszedł do okna. Padał gęsty śnieg. Zima jak za dawnych czasów, jak za jego dzieciństwa.

Nagle Ada szepnęła:

— O siódmej rano zaczynamy szturm.

Poczuł dreszcz niepokoju. Bał się, że antyterrorystom się uda i cała sława spłynie na Kamińską i Semeniuka. Równie mocno obawiał się nieudanej akcji ofensywnej i ofiar wśród zakładników. O ile sukces spadnie tylko na tamtych, to porażka rykoszetem może trafić w elbląską komendę.

— Gdybym był na twoim miejscu, to bym jeszcze czekał. Przecież pod ścianą nie stoisz.

— Stoję, i to z podniesionymi rękami. Dali mi dwanaście godzin, jeśli po tym czasie nie będzie efektów, zdejmą mnie. Rozumiesz?

Rozumiał. Sprawa wieżowca była wyjątkowa, bardzo medialna, można było na niej wypłynąć albo zaprzepaścić polityczną karierę. Ludzie ze świecznika o tym wiedzieli i domagali się szybkich

rezultatów. Kamińska musiała znajdować się pod dużą presją swoich bezpośrednich przełożonych, ci z kolei ulegali naciskom polityków, a tamci czuli ciśnienie opinii publicznej.

Komisarz podszedł do drzemiącego przed laptopem aspiranta Konarskiego i położył mu dłoń na ramieniu. Tamten otworzył oczy.

— Jedź do domu przespać się. O siódmej rano będzie szturm. Po wszystkim ty będziesz miał najwięcej roboty.

Technik zamachał głową, odpędzając sen.

— Ale sypie, widzieliście? — zagadnął Rumun.

Komisarz znowu podszedł do okna. Rzeczywiście sypało niemiłosiernie, jak gdyby ktoś rzucał śnieg łopatami. Elewacja wieżowca naprzeciwko stała się niemal niewidoczna. Spojrzał przez teleobiektyw. Dużo więcej nie zobaczył, przede wszystkim wielkie płatki śniegu, za którymi rysowały się niewyraźne prostokąty balkonów i okien.

Stanął obok niego Konarski.

— Jeśli chcecie wejść do wieżowca, to radzę ruszać za pół godziny. Tylko żeby nie zelżał nagle ten armagedon, bo na razie jest super. Przy tej pogodzie ani ludzie Kamińskiej, ani terroryści was nie zauważą.

Kamil uświadomił sobie, że dzięki śnieżnej kurtynie mogą wcielić w życie to, co jeszcze kwadrans temu wydawało się niewykonalne. Mają okazję uprzedzić Semeniuka, to oni uwolnią zakładników. Wprawdzie dowodziła tutaj inspektor Kamińska, ale jeśli uda im się bez jednego wystrzału, bez narażania mieszkańców zakończyć sprawę wieżowca, nikt nie będzie pociągał go do odpowiedzialności za niepodporządkowanie się rozkazom. Tak naprawdę po cichu wszyscy będą mu wdzięczni za zaangażowanie i wkrótce na biurko komendanta głównego trafi wniosek z jego nominacją na wyższy stopień policyjny. Niewiele ryzykował, a sporo mógł zyskać. Poza tym miał już dosyć siedzenia w tym pokoiku metrażem przypominającego trochę większą windę. Czas wejść do akcji, może zrobić coś konkretnego. Poczuł mrowienie na plecach, był coraz bardziej

podniecony. A czekają go jeszcze większe emocje, wystarczy, że znajdą się w środku. Spojrzał na Rumuna, ten kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Zaczęli się spieszyć, bo opady śniegu w każdej chwili mogły stracić na intensywności. Sierżant Pocięcha przywiózł im z komendy potrzebne wyposażenie. Włożyli kaski i kamizelki kuloodporne, do plecaków schowali okulary noktowizyjne, nożyce do cięcia prętów, młotki, liny, haki, paralizatory, latarki, kilka par kajdanek i podstawowy zestaw opatrunkowy. Każdy z nich miał swoją broń służbową, Kamil Glocka, a Rumun Walthera. Byli gotowi. Swobodnym krokiem podeszli do kordonu policyjnego od strony „Biedronki”, żaden z funkcjonariuszy nie obrócił głowy w ich stronę. Wcześniej zostali uprzedzeni o akcji i poproszeni o niereagowanie. Przy wieżowcu stała już aluminiowa drabinka, sięgała balkonu na drugim piętrze. Kamil poprawił słuchawkę w uchu i wszedł na pierwszy szczebel. Szybko pokonał cztery metry, po czym złapał się za krawędź balustrady i podciągnął w górę. Był już na balkonie Łukasza Bociana, przykucnął, żeby się nie rzucać w oczy. W słuchawce usłyszał pytanie sierżanta Pocięchy:

— Szefie, czy już weszliście? Nawet przez lornetkę was nie widać.

— Jestem na balkonie, a Rumun właśnie wchodzi.

— Okej, daj znać, kiedy mogę zabrać drabinę.

— Już po nią przychodź.

Parę sekund później aspirant Nowak przełożył nogi przez balustradę. Zaraz uchyliły się drzwi balkonowe i męski głos zaprosił ich do środka. Weszli do ciepłego pokoju. Łukasz Bocian starannie zaciągnął zasłony, potem włączył światło.

— Panowie, dlaczego was jest tylko dwóch?

— To jeszcze nie szturm, przyszliśmy na zwiad — oznajmił Kamil.

Do pokoju weszła kobieta w zaawansowanej ciąży. Pokazała palcem na swój brzuch.

— Gdyby nie dzidzius, nie pozwoliłabym wam zabrać tej drabiny. Wszyscy byśmy po niej zeszli.

Po chwili pojawiła się jeszcze jedna zakładniczka, również w ciąży. Ta była bardziej zdesperowana.

— Ja zejść, dam radę.

Zaczęła się przepychać w stronę balkonu, jak gdyby rzeczywiście chciała od razu zrealizować swoją deklarację.

Bocian złapał ją za ramię, odepchnęła go. Do pokoju wpadł mężczyzna, był zdenerwowany.

— Kochanie, to zbyt niebezpieczne, proszę, zostań.

— Mam tego dosyć! — wrzasnęła i zanosła się głośnym płaczem.

— Zapewniam, że to się niedługo skończy.

Komisarz miał nadzieję, że jego słowa uspokoją kobietę, ta jednak dalej płakała. Rozumiał ją. Był tu dopiero kilka minut, a zdążył poczuć tę ciężką atmosferę, w której funkcjonowali zakładnicy. Strach i irytacja, ponadto uczucie klaustrofobii, zamknięcia, zbyt wiele osób, za dużo emocji w jednym miejscu, każdy normalny człowiek chciałby się stąd wydostać, nawet z narażeniem własnego życia.

Policjanci zdjęli kurtki, z plecaków wyjęli okulary noktowizyjne, a z kabur broń. Bocian relacjonował im spostrzeżenia lokatorów, wspierał się przy tym notatkami sporządzonymi na luźnych kartkach. Słuchali go jednym uchem, bo to wszystko już raz słyszeli przez telefon. Z dużym dystansem odnosili się do ustaleń zakładników, gdyż nie zgadzały się z ich obserwacjami. Któryś z mieszkańców doniósł, że zobaczył świętego mikołaja idącego po schodach na ósmym piętrze, a oni przecież przez teleobiektyw nikogo nie widzieli.

Kamil i Rumun ostrożnie wyszli na klatkę. Trzymali pistolety gotowe do strzału. Obaj machinalnie poprawili słuchawki w uchu, żeby lepiej słyszeć Konarskiego, który właśnie oznajmił:

— Możecie schodzić, teren czysty.

Aspirant siedział przed laptopem w centrum dowodzenia i miał ostrzegać ich przed zbliżającym się zagrożeniem.

Zaczęli iść schodami w dół, Kamil szedł pierwszy, w okularach

noktowizyjnych przestrzeni jawiła mu się jako zielono-biały film. Rozglądał się za przyczoną sylwetką, przecież gdzieś tutaj zniknął żołnierz. Jego należało obawiać się nawet bardziej niż terrorystów. Prawdopodobnie na widok dwóch skradających się osób znowu pociągnie za spust.

Byli już na parterze. Komisarz otworzył drzwi do piwnicy, przesunął okulary na czoło. Nieliczne żarówki żarzyły się pod sufitem, a duże fragmenty korytarza zagarniał cień. Zobaczył ciało leżące około piętnastu metrów od schodów. Spodziewał się trupa, słyszeli przecież strzał i wiedzieli, że lokator wchodzący do piwnicy już stąd nie wyszedł. Zaskoczyło go jednak, że zwłoki były ubrane w płaszcz świętego mikołaja. Zbliżyli się do ciała. Rumun wskazał pistoletem uchylone drzwi do komórki, po czym wszedł do środka, a komisarz zaczął przyglądać się zwłokom. Szukał dziury po kuli. Posadzka wokół głowy zabarwiona była na ciemno, a charakterystyczna czapka świętego mikołaja zdawała się zniekształcać czaszkę tuż nad karkiem. To tam trafił pocisk.

Rumun stanął obok.

— W środku jest przebranie świętego mikołaja i ruski karabin AK-12 bez magazynka, jak ten tutaj — wskazał głową na broń leżącą obok trupa.

Kamil także zajrzał do komórki. Jeden mikołajowy płaszcz i dwie pary butów, zaskoczyły go te dwie pary. Odwrócił się i spojrzał na nogi trupa. Tamten miał na sobie sportowe obuwie. Nie zdążył się do końca przebrać, żołnierz mu przeszkodził.

Nowak zaczął oglądać kłódkę.

— Jest przepiłowana — mruknął. — To na pewno jego robota — wskazał na trupa. — Ta rzecz, którą trzymał w ręku, schodząc do piwnicy, to musiał być brzeszczot.

— Mamy więc pewność, że to zakładnik, sprawca nie włamywałby się po swoje rzeczy — oznajmił Kamil.

Gdy weszli do drugiej klatki, zsunęli na oczy okulary noktowizyjne.

— Widzę was — zakomunikował Konarski.

Rumun pomachał do kamerki. W słuchawce usłyszeli cichy śmiech.

Zaczęli wspinać się po schodach. Szybko pokonywali kolejne piętra, aż stanęli na ostatnim. Interesowało ich wyjście na dach, przez które w nocy zostały wyniesione tajemnicze pakunki. Kamil wyjął z plecaka nożyce do cięcia prętów i latarkę. Złapał się drabinki prowadzącej do wjazdu i podciągnął się do góry. Umówili się, że tylko on wyjdzie na dach. Rumun miał stać na klatce i go ubezpieczać.

Komisarz poświecił w miejsce, gdzie powinna być kłódka. Zamknięcia nie było. Pchnął pokrywę, zapierając się stopą o szczebel. Otworzyła się, a on poczuł na twarzy podmuch lodowatego powietrza i ostre płatki śniegu. Wydostał się na zewnątrz i rozejrzał. Widoczność miał ograniczoną, bo wciąż sypało niemiłosiernie, ale i tak sięgał wzrokiem krawędzi dachu. Dziwne wrażenie, jakby nie było horyzontu, biała płaszczyzna załamywała się w pewnym momencie, a dalej ciemność, żadnych świateł, nawet refleksów. A jedyne kształty to kikuty anten wystające z śnieżnej pokrywy. Czuł się jak w scenerii fantastycznego filmu o Arktyce.

Przesuwał snop światła po białej płaszczyźnie. Nigdzie nie było pakunków ani śladów wskazujących, że ktoś wychodził na dach. Obfite opady śniegu zdążyły zasypać ewentualną trasę. Obawiał się, że same paczki też zostały już przykryte białym puchem. Zaczął rozglądać się za wypukłością w śniegu. Dopiero teraz zrozumiał, jak nierozsądne było pozostawienie zimowych kurtek w mieszkaniu Bociana. W tej chwili wiele by oddał za czapkę i rękawiczki. Oddech zamarzał mu na ustach. Lodowate podmuchy przeszywały go do kości, sprawiając, że każdy kolejny krok był coraz trudniejszy. Dach miał kilkaset metrów kwadratowych. Może tu krążyć nawet godzinę i na nic nie trafić. Klął pod nosem. Nagle usłyszał w słuchawce głos Konarskiego. Aspirant coś mówił, ale Kamil nie mógł go zrozumieć, przeszkadzał mu wiatr. Skręcił w lewo, kierując się w stronę krawędzi dachu, i niemal wszedł na pakunki przysypane śniegiem. Przykucnął, odruchowo kuląc się i próbując zachować resztki ciepła.

Gołymi dłońmi zgarniał biały puch. To były torby podróżne o sporych rozmiarach. Rozsunął zamek pierwszej i podniósł wieko. Poświecił latarką. Karabiny, słynne kałachy, trzy sztuki i magazynki. W dwóch kolejnych torbach również znajdowały się karabiny i amunicja, w sumie dziewięć sztuk broni maszynowej. Zabrał magazynki, na szczęście zmieściły się do jego plecaka. Skulony, zgrzytając zębami wrócił do wjazdu. Nawet się nie zastanawiał, czy Rumun go dalej ubezpiecza. Miał tylko jeden cel, znaleźć się w ciepłej przestrzeni klatki schodowej. Wszedł na drabinkę i zamknął za sobą pokrywę. Stuknęła, trochę zbyt głośno. Zeskoczył na podłogę i znowu narobił hałasu. Odruchowo odsunął się pod ścianę i czekał na atak, na strzał. Usłyszał uspokajający szept Rumuna:

— Jest dobrze.

Ponownie włożył okulary noktowizyjne. W słuchawce zatrzeszczało i rozległ się głos Konarskiego.

— Teren czysty, możecie iść.

Zaczęli schodzić pierwszą klatką. Zatrzymali się na ósmym piętrze przed mieszkaniem Romana Karolaka. Kamil wstrzymał oddech i nacisnął klamkę. Trzymał palec na spuście. Być może zaraz dojdzie do konfrontacji z terrorystami. Gdy drzwi się otworzyły, uderzył go zaduch niewietrzonego lokalu. Zmysły mu podpowiadały, że nikogo tu nie ma. Mimo to zachowali dużą ostrożność. Rumun został przy drzwiach, a on powoli obszedł cały lokal. Musiał bardzo się koncentrować, aby w okularach noktowizyjnych rozpoznać kształty mebli i nie przeoczyć ludzkiej sylwetki.

— Pusto — oznajmił.

Teraz jego ruchy stały się swobodniejsze, kroki pewniejsze. Zsunął okulary i włączył latarkę. Przesuwał snop światła po stole, kanapie i podłodze, w kuchni zajrzał do zlewu i zlustrował blaty. Szukał szklanek, kubków, talerzy, resztek jedzenia, śladów funkcjonowania kilku osób przez ostatnie dwie doby. Nic takiego nie znalazł.

Opuścili mieszkanie Karolaka i zeszli dwa piętra niżej do lokalu

Agnieszki Hulewicz. Znowu z wielką ostrożnością weszli do środka. Kamil zajrzał do pokoju na lewo i zamarł z dłońią na glocku. Coś leżało na podłodze, coś dużego, człowiek? Potrzebował chwili, aby rozpoznać przewróconą choinkę. Znowu szukał śladów przebywania w tym mieszkaniu kilku osób i także nic nie znalazł. Nawet popielniczka stojąca na stole w dużym pokoju była pusta, a w kuchni w zmywarce tylko jedna szklanka i jeden talerz.

— Co było na dachu? — zapytał Rumun. — Powiesz w końcu?

— Dziewięć kałachów i amunicja. Magazynki mam w plecaku.

W słuchawkach rozległ się głos aspiranta Konarskiego:

— No, niezły arsenał.

— Tak, sporo tego — potwierdził Rumun. — Dziewięć karabinów na dachu, ponadto dwa w piwnicy. To by znaczyło, że jest ich co najmniej dziesięciu. Wygląda na to, że odstąpili od zamachu. Pozbyli się sprzętu i gdzieś się pochowali.

Kamil skierował snop światła na podłogę między lodówką a szafką. Zobaczył miskę i koc. Wyposażenie dla psa, ale samego zwierzaka nie było. Może zdechł przed świętami albo rodzice Agnieszki go zabrali.

— Arsenалу na dachu nie mieliśmy znaleźć, przynajmniej nie od razu — skonstatował. — Dwa karabiny i dwa przebrania zostawili w piwnicy, żebyśmy pomyśleli, że jest ich tylko dwóch.

Rumun ruchem głowy przyznał mu rację.

— No to gdzie oni teraz są? W mieszkaniu na dziesiątym piętrze?

— Tam są na pewno — potwierdził Konarski. — Przecież do lokalu trzydzieści jeden wrócili po tym, jak wynieśli pakunki na dach, a potem już stamtąd nie wychodzili, bo kamera nic takiego nie zarejestrowała.

— To co teraz robimy? Idziemy do nich zapukać? — zapytał Rumun.

— A myślisz, że nas tak po prostu wpuszczą?

— Nie sądzę. Gdyby chcieli się poddać, to już by z nami negocjowali warunki. Prawdopodobnie planują się ulotnić podczas

szturmu. Wcale bym się nie zdziwił, jeśli mają przy sobie broń krótką. Ja bym sobie taką zostawił, gdybym planował ucieczkę.

Komisarz wyłączył latarkę i naciągnął okulary noktowizyjne na oczy.

— W takim razie musimy ich zgarnąć z zaskoczenia, przynajmniej tych z dziesiątego piętra.

— Sądzisz, że pozostali się pochowali wśród zakładników? — zapytał Rumun.

— To bardzo prawdopodobne, ale gdy dorwiemy tych z mieszkania trzydzieści jeden, to oni nam powiedzą, gdzie są ich wspólnicy. Na razie idziemy do Bukowskiego, tam pomyślimy jak wyciągnąć sprawców z mieszkania.

Opuścili lokal Agnieszki Hulewicz, do drugiej klatki wrócili przez piwnicę, ponownie przechodząc obok pechowo zastrzelonego lokatora. Broń trzymali w pogotowiu, głównie z uwagi na zagrożenie, jakie stanowił uzbrojony i pobudzony żołnierz. Dziennikarz nie od razu otworzył im drzwi, Kamil musiał ponaglić go esemesem. Bukowski patrzył na nich ze zdumieniem równym temu, które towarzyszy ludziom widzącym ducha. Kręcił przy tym przecząco głową, jak gdyby chciał zaprzeczyć ich obecności.

— Nie wierzę — wyszeptał.

— Szkoda, że nie wierzysz, bo wiara czyni cuda — oznajmił komisarz.

Do przedpokoju zajrzała dziewczyna. Obiema dłońmi trzymała się futryny, wargi jej drżały.

— Kaśka, nie bój się, to komisarz Soroka i aspirant Nowak.

— Niech pani nam zrobi herbaty — poprosił Rumun.

Zdjęli kaski i wyłączyli słuchawki, następnie weszli do największego pokoju. Stół był przybrany świątecznie i zastawiony talerzami, ciastem i sałatkami.

— Jak się dostaliście do wieżowca? — zapytał dziennikarz.

Żaden z funkcjonariuszy mu nie odpowiedział. Komisarz wyciągnął z plecaka papierosy i zapalniczkę.

— Przynieś coś na popiół!

Bukowski wskazał palcem na plastikową podstawkę, w której stała doniczka z kwiatkiem.

— Po balkonach? — pytał dalej. — Myślę, że weszliście po balkonach. Tak w ogóle, to się dziwię, że tak długo musieliśmy na was czekać. A dlaczego jest was tylko dwóch? — Dziennikarz wskazał na pistolet wystający z kabury komisarza. — Terroryci podobno mają karabiny, tak któryś z mieszkańców napisał w necie. A wy tylko pistolety, to nie za mało?

W drzwiach do pokoju stanęła Katarzyna Bukowska. Jej źrenice przesuwają się z jednego policjanta na drugiego.

— Kiedy nas uratujecie?

Palce dziewczyny zacisnęły się na wisiorku przedstawiającym srebrną łyżkę ozdobioną trzema zielonymi szkiełkami. Kamil rozpoznał ten wisiorek i nie dowierzał, że go widzi. Przecież zniszczył go wraz z pozostałymi elementami kobiecej garderoby, które kilkanaście miesięcy temu posłużyły Mikołajowi Bukowskiemu jako przebranie, gdy na jego polecenie przejmował okup.

Rumun niestety też rozpoznał srebrną łyżkę.

— Ładny naszyjnik — pochwalił. — Skąd pani go ma?

— Kupiłam w internetowym sklepie.

Udzieliła odpowiedzi niecierpliwym tonem, zdumiona, że policjant pyta o taki drobiazg w momencie, gdy ich życie jest zagrożone.

Kamil zaciągnął się papierosem. To dobrze, że siostra Bukowskiego nie zorientowała się, że ma na sobie wisiorek, w którym jej brat dokonał przestępstwa.

— Pani Katarzyno, pamięta pani porwanie tego małego chłopca w ubiegłym roku latem, za którego rodzina zapłaciła półmilionowy okup? — zapytał Nowak.

Komisarz zaklął w duchu. Każdy normalny funkcjonariusz doszedłby do wniosku, że takich wisiorków jest wiele i siostra Bukowskiego ma prawo jeden z nich mieć, ale nie Rumun. On drażył dalej.

— Chciałem pani powiedzieć, że kobieta, która odebrała okup, miała identyczny łańcuszek z łańcuszkiem. Mamy ją na nagraniu.

Każde kolejne słowo wypowiedziane przez Rumuna było jak uderzenie kilofem w mur, za którym kryje się prawda. Katarzyna rozsypywała się na ich oczach. Jej ściągnięta przerażeniem twarz mówiła, że wie, o co chodzi. Nie tylko mimika ją zdradzała, również gesty były jak przyznanie się do winy. Uniosła rękę i wytarła pot z czoła. Cofała się powoli, schodząc im z pola widzenia.

— Pani Katarzyno, proszę nie uciekać. Wiemy, że to nie pani. Nasi eksperci ustalili, że to był przebrany mężczyzna.

Rumun przesunął wzrok na dziennikarza. Ten w przeciwieństwie do siostry zdołał zachować spokój.

Komisarz wydmuchnął dym.

— Bukowski, idź do siostry, pomóż jej przygotować herbatę.

Dziennikarz wstał i wyszedł. Kamil był mu wręcz wdzięczny, że nie próbował wysyłać mu żadnych sygnałów, żadnych znaczących spojrzeń.

— Kamil, kurwa, to oni, to Bukowski był przebrany za tę rudą kobietę. Mamy ich.

Komisarz nie miał zamiaru zaprzeczać, bo tylko ściągnąłby na siebie podejrzenia. Musi z tego jakoś zręcznie wybrnąć, ale nie miał żadnego pomysłu. Jeśli Bukowski wpadnie, to on też. Nie może do tego dopuścić.

— Chyba masz rację — mruknął.

— Chyba? Przecież ona była zestrachana, jak gdybyśmy ją złapali z tym pół milionem pod poduszką.

Kamil znowu zaciągnął się fajką. Przez chwilę przypatrywał się wydmuchanym obłoczkom dymu.

— Ciekaw jestem, gdzie mają tę kasę? Przecież nie w banku. Może trafiłeś w dziesiątkę i rzeczywiście trzymają ją gdzieś tu. — Kamil powiódł wzrokiem po pokoju, jak gdyby spodziewał się zobaczyć pieniądze z okupu. — Tak nawiasem, jeśli zwinęli pół miliona, to co tu jeszcze robią, w wynajętym mieszkaniu na Zawadzie?

Ostatnią uwagę rzucił od niechcienia, z nadzieją, że wzbudzi ona wątpliwość w umyśle kolegi.

Rumun nagle wypalił:

— Mnie bardziej interesuje to, z kim współpracowali z naszej firmy.

— Mnie też to męczy — oznajmił spokojnie Kamil. — Od miesiący zastanawiam się, kto to mógł być. Jak chcesz, możemy ich teraz przycisnąć.

Skierował wzrok na drzwi, dając do zrozumienia, o kogo mu chodzi.

Do pokoju wszedł dziennikarz. Niósł tacę, na której stały dwie filiżanki z herbatą, talerzyki, łyżeczki i widelce. Kiwnął głową w stronę zastawionego stołu.

— Częstujcie się, w końcu są święta.

Zostawił tacę i wyszedł.

— On jest wyjątkowo spokojny — zauważył Rumun. — Teraz nam nic nie powie, siostrze też na pewno już zabronił się odzywać. Poczekamy, aż eksperci potwierdzą, że to on jest na nagraniach, wtedy się za nich weźmiemy.

Komisarz odetchnął w duchu z ulgą. Zyskał kilkanaście dni, przez ten czas musi wymyślić, jak uniemożliwić koledze śledztwo w tej sprawie, w przeciwnym razie on sam skończy w pierdlu. Energicznym ruchem zgasił papierosa w plastikowej podstawce.

— Słuchaj, mam pomysł, jak wejść do mieszkania trzydzieści jeden i w dodatku zaskoczyć sprawców.

Napił się herbaty i wyłożył swój plan, który Rumun zaakceptował.

Aspirant włożył kask, włączył słuchawkę i umieścił ją w uchu. Poinformował Konarskiego, gdzie idzie, po czym wyszedł na klatkę.

Komisarz pomyślał, że powinien trochę zjeść, czeka go przecież zaraz spory wysiłek. Nałożył sobie sałatki.

Do pokoju wszedł dziennikarz, trzymał dłonie w kieszeniach spodni i się uśmiechał. Niby był rozluźniony, ale w jego oczach tlił się strach.

— Skąd ona wzięła ten jebany wisiołek? Przecież go zniszczyłem.

Chłopak przełknął głośno ślinę.

— Kupiła sobie jeszcze jeden, nie mogła odżalować tamtego. Kobiety są głupie, moja siostra też. Komisarzu, co teraz zrobimy?

— Ty, Bukowski, już się nie wywiniesz, eksperci potwierdzą, że jesteś na tych nagraniach.

— To niedobrze, jak ja się nie wywinę, to ty, komisarzu, też nie.

Kamil głośno odstawił talerz i wstał. Dziennikarz przezornie cofnął się o dwa kroki.

— Znowu straszysz psa? To niezbyt mądre. Niczego się nie nauczyłeś. Wiesz, co mogę teraz zrobić? Otworzę balkon i cię wyrzucę na zewnątrz. Twoja siostra potwierdzi, że nie wytrzymałeś napięcia i wyskoczyłeś. Dla mnie to najlepsze rozwiązanie, ciebie nie będzie, nikt mnie nie pogrąży.

Dziennikarz odsunął się pod samą ścianę.

— Komisarzu, po co te nerwy. Nie lepiej podjąć jakąś rozsądną decyzję?

— Niby, kurwa, jaką?

— Może byś się dogadał z aspirantem Nowakiem?

Bukowski mógł równie dobrze zaproponować mu lot na Marsa w pralce automatycznej. Kamil opadł na krzesło i założył ręce za głowę.

— Chyba, kurwa, wiesz, że Rumun jest najuczciwszym psem w województwie.

— Nie chodziło mi o to, żebyś go przekupywał.

— A o co?

— Przecież to twój kumpel, odwołaj się do waszej przyjaźni.

Kamil brał to rozwiązanie pod uwagę, szczerą rozmowę z Nowakiem, wątpił jednak w jej sukces. W ostateczności Rumun mógłby się zgodzić na milczenie pod warunkiem, że on zrezygnuje z pracy w policji, a to nie wchodziło w grę. Co robić? Przecież to niemożliwe, żeby jedynym skutecznym rozwiązaniem było zabicie Nowaka.

Rozdział XXIV

KOMISARZ ZAPUKAŁ DO MIESZKANIA dwadzieścia osiem w pierwszej klatce. Gdy drzwi się uchyliły, wszedł do ciemnego przedpokoju. Po omacku odnalazł włącznik światła i nacisnął go. Żarówka nie rozbłysła.

— Przepraszam, komisarzy, żarówki są przepalone, a ja nie jestem w stanie ich wymienić. Proszę dalej, w pokojach jest widniej.

Rozległ się cichy dźwięk wózka inwalidzkiego przesuwającego się po panelach. Kamil ruszył za Sławomirem Mareckim. Znaleźli się w dużym pokoju, tutaj jedyne źródło światła stanowił włączony telewizor. Nie było ani choinki, ani żadnej innej świątecznej dekoracji.

— Mogę wyjść na balkon?

— Tak, proszę.

Na ścianie pojawił się cień, przesuwając się powoli, zakreślając pałakowaty kształt. Zdawał się wyprzedzać nienaturalnie wolny ruch ręki Sławomira wskazującego kierunek. Kamil wyszedł na balkon, przymykając za sobą starannie drzwi. Nie chciał, aby inwalidę przewiało. Lina już zwisała. Złapał ją i szarpnął dwa razy, sprawdzając, czy Rumun dobrze ją umocował na dachu. Następnie naciągnął linę z całej siły i cofnął się do mieszkania. Zamknął drzwi balkonowe, przytrzymując linę. Powinno być dobrze.

— Chciałbym wyjść na drugi balkon.

Mężczyzna położył dłonie na kołach.

— Niech pan zostanie. Sam pójdę.

— Dobrze, proszę iść, tam jest mój syn.

Kamil przeszedł przez ciemny przedpokój i odnalazł klamkę. W pokoju paliły się dwie świece. W ich nikłym świetle zobaczył chłopca siedzącego w fotelu z książką trzymaną blisko twarzy.

— Nie za ciemno, żeby czytać? — zagadnął.

— Nie, kiedyś ludzie czytali tylko przy świecach i nie narzekali.

Chłopiec zerknął na niego ukradkiem w momencie przekręcania kartki, jak gdyby założył, że nie wolno mu patrzeć na policjanta.

— Wyjdę na balkon.

— Proszę iść.

Kamil odsunął firankę i wyszedł na zewnątrz. Tutaj liny jeszcze nie było, przykucnął więc i czekał. Przez szybę zerkał na chłopca czytającego książkę. Wyglądał dość upiornie w świetle świec rzucających ruchome refleksy na ścianę, jak dziecko z horroru. Nastolatek ani razu nie zwrócił twarzy w jego stronę, nie był zainteresowany, co policjant robi na balkonie. To komisarzowi wydało się dziwne.

Całe mieszkanie oraz jego lokatorzy robili ponure wrażenie, to może przez ten wszechobecny mrok i panującą ciszę. Nie było tu nawet namiastki świątecznego nastroju. Problem tkwił zapewne w samej rodzinie, w której brakowało matki, a ojciec był tak schorowany, że nie miał do niczego chęci. Przecież o wymianę żarówek mógł poprosić sąsiada, a jednak siedzieli po ciemku.

Usłyszał ciche stuknięcie za plecami. To lina spadając, uderzyła o balustradę. Złapał ją i naciągnął, a następnie przytrzasnął drzwiami balkonowymi.

Podmuch lodowatego wiatru zgasił jedną świeczkę. Chłopiec zdecydowanym ruchem uniósł głowę znad książki, jak gdyby zamierzał zarzucić policjantowi brak ostrożności. Milczał jednak. Jego twarz zagarniał cień, ale i tak widać było obojętne rysy i smutek w oczach. Kamil pomyślał, że to prawdopodobnie jego pierwsze święta bez matki.

— Masz na imię Emil? Tak?

— Tak.

— No to słuchaj, Emil, teraz nie możesz otwierać balkonu.

Spodziewał się, że nastolatek zasypie go pytaniami. Ten jednak powiedział: „Okej”, po czym powrócił do czytania książki. Dziwny

dzieciak.

Kamil wyszedł z pokoju. Rozległ się cichy dźwięk wózka sunącego po panelach, za chwilę na tle drzwi prowadzących do pomieszczenia rozświetlonego przez telewizor pojawił się ciemny kształt.

— Powodzenia, komisarzu.

— Nie dziękuję.

Sławomir Marecki nie stawiał pytań, nie domagał się wyjaśnień, a przecież miał niepowtarzalną okazję dowiedzieć się, na jakim etapie jest policja i przede wszystkim czy jemu i synowi coś grozi.

— Dziękuję, że pan mnie wpuścił do mieszkania. Ułatwił nam pan zadanie.

— To mój obywatelski obowiązek i sędzę, że gdybym go nie spełnił, miałbym problemy. Prawda?

— Niekoniecznie, troska o swoich bliskich jest na pierwszym miejscu, a potem współpraca z policją.

Kamil skierował się do drzwi wejściowych. Czuł, że nie może tak po prostu wyjść. Człowiekowi na wózku coś się jeszcze należało, choćby słowa otuchy.

— Panie Marecki, to się niedługo skończy, jutro będziecie już wolni.

— Mówi pan, że będziemy wolni, a mi się wydaje, że wolność to rzecz względna.

Nie miał zamiaru wdawać się w filozoficzne rozważania, poza tym czas go gonił. Wyszedł na klatkę. Teraz szybko na dach. Właz był podniesiony, z otworu ciągnęło lodowatym powietrzem. Kamil złapał się drabinki i podciągnął do góry. Po chwili znalazł się na arktycznej przestrzeni pokrytej półmetrową warstwą śniegu. Nadal sypało. Na szczęście miał na sobie zimową kurtkę, którą Rumun przyniósł z mieszkania Łukasza Bociana. W ciemnościach błysnęła latarka aspiranta Nowaka.

— Zaczynamy, bo zaraz zamarznę — oświadczył Rumun.

Omówili szczegóły, zsynchronizowali zegarki, po czym rozeszli się w przeciwne kierunki.

Kamil miał schodzić od strony „Biedronki”. Podszedł do krawędzi dachu i spojrzał w dół, sklepu nie było widać, stojącego tam drzewka świątecznego także nie. Skierował jeszcze wzrok w dal, w stronę alei Odrodzenia, dojrzał poblask lamp ulicznych, które zdawały się przegrywać walkę z sypiącym śniegiem. Miał do dyspozycji dwie linki, jedną się obwiązał, a przy pomocy tej mocno naprężonej miał się zsunąć na balkon. Zaczął schodzić. To nie było proste przetrząść ciało poza dach i zawisnąć nad ziemią. Wyobraźnia podsuwała mu obraz przepaści niemal bez dna. W dodatku zadania nie ułatwiał mróz usztywniający mięśnie. Oparł stopy o balustradę balkonu mieszkania trzydzieści jeden, następnie puścił krawędź dachu i złapał się naprężonej liny. Zachwiał się. Miał wrażenie, że na ułamek sekundy jego serce przestało bić. Po chwili płynnie zsunął się na zaśnieżoną posadzkę balkonu. Odetchnął z ulgą. Przeciął zabezpieczającą go linkę i przykucnął. Miał nadzieję, że nie został zauważony, że akurat żaden ze sprawców nie patrzył w okno.

Rozpiął kurtkę, aby mieć lepszy dostęp do glocka. Z plecaka wyciągnął paralizator, kajdanki i młotek. Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Dostał już wiadomość od aspiranta Nowaka, że jest gotowy. Odesłał mu pustego esemesa, sygnał do rozpoczęcia akcji. Wysunął głowę zza ściany i przez szybę drzwi balkonowych zajrzał do środka. Niewiele widział, a właściwie nic, bo w małym pokoju było ciemno, ponadto firanka ograniczała widoczność. Przyłożył młotek do szyby. Teraz tylko mocno uderzyć, a następnie włożyć rękę przez otwór, przekręcić klamkę i już jest w środku. On z tej strony, a Rumun z drugiej. Czekał. Nie miał zamiaru dotrzymać tego, na co się umówił z aspirantem. Mieli wejść niemal jednocześnie, ale on chciał, aby Rumun znalazł się w mieszkaniu pierwszy i wziął na siebie cały impet defensywy terrorystów.

Kamil liczył w myślach upływające sekundy i zastanawiał się, czy już wkroczyć. Jeszcze chwila, jeden głęboki oddech. Ścisnął mocniej młotek i uderzył, rozległ się huk tłuczonego szkła. Rękaw kurtki zaczepił mu się o ostrą krawędź szyby, przekręcił klamkę i pchnął

drzwi, otworzyły się na całą szerokość, zsuwając firankę na bok. Był w środku. Jednym rzutem oka ogarnął przestrzeń, kanapa, biurko, a przed nim krzesło, żadnej ludzkiej sylwetki.

Trzy kroki i już był przy drzwiach do przedpokoju. Usłyszał hałas z głębi mieszkania, jak gdyby coś dużego upadło na dywan, może ludzkie ciało, może załatwili Rumuna. Adrenalina niemal rozrywała mu żyły, czuł napięcie w każdym mięśniu, najbardziej w palcu trzymanym na spuście paralizatora. Chyba lepiej by zrobił, biorąc do ręki glocka. Zdecydowali się z aspirantem na paralizatory, żeby się nawzajem nie pozabijać w ciemnym mieszkaniu, teraz jednak wolałyby mierzyć z broni palnej. Instynktownie wyczuł ruch za sobą. Nawet się nie odwrócił, wykręcił jedynie rękę i nacisnął spust. Poczł szarpnięcie, gdy dwa przewody z elektrodami wyskoczyły z urządzenia. Ułamek sekundy później wczepiły się w ubranie napastnika, posyłając prąd o niskim natężeniu i wysokim napięciu stu pięćdziesięciu tysięcy woltów. Człowiek stojący półtora metra za nim jęknął, a potem osunął się na podłogę. Kamil wciągnął przewody z elektrodami do paralizatora i schował go za pasek, w tej chwili był bezużyteczny, na wymianę pojemnika z gazem nie miał czasu. Wyjął glocka i trzymając się blisko ściany, wyszedł do przedpokoju.

— Kamil, ilu masz? — zapytał Rumun z ciemności.

Komisarz był zaskoczony spokojnym tonem aspiranta, a jeszcze bardziej tym, że tamten żyje. Musiał sam przed sobą przyznać, że liczył na to, iż Rumunowi coś się stanie podczas akcji, oznaczałoby to koniec jego własnych problemów.

— Obezwładniłem jednego.

— A ja dwóch. Sprawdziłem dwa pokoje, zrób resztę!

Kamil otworzył gwałtownie drzwi do toalety, odsuwając się jednocześnie na bok i włączając światło. W środku zobaczył kibel z podniesioną klapą. W ten sam sposób sprawdził łazienkę, tam również było pusto.

— Czysto — rzucił do Rumuna.

Wrócił do pokoju, w którym zostawił porażonego prądem sprawcę. Włączył światło. Między kanapą a biurkiem leżał na brzuchu wielki mężczyzna, ubrany w spodnie dresowe i podkoszulek. Nie miał przy sobie broni. Kamil sprawdził mu tętno, a następnie skuł ręce na plecach.

W słuchawce usłyszał głos Konarskiego:

— Szefie, gratuluję udanej akcji, ale zasłoń okna, bo widzę przez teleobiektyw światło.

Kamil zabrał z balkonu plecak, zamknął drzwi, a następnie zaciągnął zasłony. Sprawca zaczynał się już ruszać, mamrotał coś przy tym po rosyjsku, może po ukraińsku. W końcu z niemałym trudem usiadł, opierając się plecami o kanapę. Nie wyglądał na terrorystę, raczej na niestroniącego od kieliszka pracownika fizycznego, któremu obce są starania, aby stać się atrakcyjnym. Uwagę przyciągały zaniedbane wąsy nad grubymi popękkanymi ustami, zakola i krzaczaste brwi.

— Jak się nazywasz?

— Maksym Tarasiuk.

— Ukrainiec?

— Tak.

— Mówisz po polsku?

— Tak, jestem ze Lwowa.

— Ilu was jest?

— Trzech?

— A gdzie reszta?

— Co?

— Gdzie pozostali?

— My tylko trzej, Jurij pajechał doma, on katolik, święta ma.

Kamil wycelował w nogi Ukraińca, ten od razu podciągnął je do klatki piersiowej.

— Nie ruszaj się stąd, zaraz wracam. Gdy zobaczę, że się przesunąłeś chociaż o kilka centymetrów, to strzelę ci w kolano.

Przeszedł do dużego pokoju. Tutaj aspirant Nowak przepytował

kolejnych zatrzymanych. Ci byli młodszy, krótko ostrzyżeni, jeden z nich miał na szyi tatuaż w postaci wijącego się węża.

— Twierdzą, że przyjechali do Elbląga do pracy, podobno remontują bloki na Zawadzie — poinformował Rumun.

— My tutaj zakonno — odezwał się mężczyzna siedzący na brzegu fotela.

Miał ręce skute na plecach. Ubrany był jedynie w slipy, skarpetki i podkoszulek.

— Skoro jesteście legalnie, dlaczego się ukrywacie?

— My nie chowajemosia.

— Od dwóch dni nie włączacie światła, dlaczego?

Żaden z mężczyzn nie udzielił odpowiedzi. Kamil rozejrzał się po pokoju. Ubrania porozrzucone gdzie popadnie, na stole papierosy, butelki po piwie, talerze, a w nich pety i resztki jedzenia, na podłodze jeden laptop, drugi na kanapie, oba włączone. Podniósł ten z podłogi, na monitorze zobaczył witrynę portalu społecznościowego. Sięgnął drugi laptop, na tym otwarta była ukraińska strona, prawdopodobnie poświęcona hodowli świń.

— Gdzie wasz szef?

Niekompletnie ubrany Ukrainiec uniósł głowę.

— Naczalnyk budiszcznitssza? Win wdoma, win pols'kyj.

— Nie o tego szefa pytam.

Ukrainiec wzruszył ramionami i kiwnął głową w stronę drzwi.

— Maksym howorit' po-pols'ky, pohowory z nym.

Kamil poprawił słuchawkę w uchu. Rumun zrobił to samo. Obaj usłyszeli zaniepokojony głos Konarskiego.

— Szefie, coś się dzieje.

— Co takiego?

— Nie wiem, ale to mi się nie podoba.

Kamil czuł, że ogarnia go niepokój.

— Mów, o co chodzi!

Aspirant milczał, po chwili w słuchawkach rozległy się przekleństwa. Wyglądało na to, że naprawdę jest źle. Rumun też to

zrozumiał, odruchowo sięgnął po walthera. Sekundy mijały, a oni czekali na słowa Konarskiego. Spodziewali się najgorszego.

— Szefie, zakładnicy uciekają.

Kamil był zaskoczony.

— Z wieżowca?

Wyobraźnia podsunęła mu obraz ludzi skaczących z drugiego piętra.

— Nie, oni biegną do góry, coś ich musiało przerazić.

Kamil gorączkowo analizował słowa Konarskiego, próbując ustalić, co się za nimi kryje.

Aspirant relacjonował podniesionym głosem:

— Biegną z parteru i pierwszego piętra, kilkanaście osób, razem z dziećmi, w obu klatkach to samo.

Rumun poruszył ustami, zadając sobie bezgłośnie pytanie:

— O co tu, kurwa, chodzi?

Komisarz pomyślał, że powinien wyjść na klatkę i ustalić przyczynę tej paniki, a przede wszystkim uspokoić zakładników. Nagle gdzieś w niższych piętrach wieżowca rozległ się huk, który na ostatnią kondygnację dotarł w postaci drgań wprawiających w stan wibracji grzejniki i framugi okien. Zadźwięczały też naczynia znajdujące się na stole. Stało się to, czego się obawiali, eksplodował ładunek wybuchowy. Jakiś lokator nie wytrzymał napięcia i postanowił opuścić blok, nie zważając na bombę. Albo któryś z mieszkańców nie zachował ostrożności i potracił karton z ładunkiem wybuchowym. Niestety, będą kolejne ofiary. Po chwili zaczęła się cała seria grzmotów i wystrzałów, kanonada jak na wojnie. Rozpoznali granaty hukowe. Już nie mieli wątpliwości, inspektor Semeniuk rozpoczął szturm, dwanaście godzin wcześniej, niż zapowiadała to Ada Kamińska. Ale skąd to przyspieszenie? I dlaczego nie dała im znać? Nie ufa elbląskim glinom? Właściwie ma rację, przecież właśnie działają za jej plecami.

Rozdział XXV

KOMISARZ WSZEDŁ NA TEREN PRZEDSZKOLA. Ludzie Ady Kamińskiej pakowali do ciężarówek skrzynie ze sprzętem, za kilkanaście minut już ich tu nie będzie. Swoje zrobili, uwolnili zakładników, cała reszta, czyli oględziny miejsca zdarzenia, zabezpieczanie dowodów, przesłuchania i znalezienie terrorystów, to wszystko należało do miejscowej policji, czyli do niego. Czuł zadowolenie, bo odzyskał władzę nad sprawą. Zakładnicy byli bezpieczni, jeszcze tylko musiał złapać terrorystów. Wyglądało na to, że Ukraińcy ukrywający się na ostatnim piętrze nimi nie byli.

Przycisnął palcami uszy, wciąż zdawało mu się, że słyszy przeciągły gwizd. W lokalu trzydzieści jeden antyterrorystów użyli dwóch granatów hukowo-błyskowych, jeden rzucili w jego stronę, bo za szybko się poruszył. Został porządnie ogłuszony, przez trzy minuty nic nie słyszał, a przed oczami latały mu czarne plamki. Gdy oko było już w stanie przesłać do mózgu prawidłowy obraz, zobaczył człowieka w kominiarce, który celował do niego z pistoletu maszynowego MP5. Zamaskowany funkcjonariusz zsunął okulary ochronne i wtedy Kamil rozpoznał Semeniuka. Inspektor miał oczy wytrzeszczone ze zdumienia. Nie zastanawiał się długo, jak ma potraktować komisarza elbląskiej policji, który znalazł się w wieżowcu przed nim, umniejszając tym samym znaczenie szturm. Powalił go na podłogę i skuł kajdankami. Kamil przez kilka minut leżał między przestraszonymi Ukraińcami. Rumun nie interweniował w obawie, że jemu też Semeniuk pokaże, kto tu rządzi.

Komisarz niezatrzymywany przez nikogo wszedł do przedszkola. Kamińską znalazł w sali, w której odbyło się ich pierwsze spotkanie.

Wyraźnie odprężona przysiadła na stole i jedząc kanapkę, rozmawiała z Kowalikiem. Towarzyszył im Semeniuk rozparty na przedszkolnym krzeselku. Nogi miał wyciągnięte przed siebie, w dłoni trzymał kubek z wizerunkiem uśmiechniętej krowy. Butelka z wódką stała na podłodze w zasięgu jego ręki.

— O! Nasz bohater! Brawa! — zawołał na widok komisarza i wykonał gest, jak gdyby chciał zaklaskać. Zaklął, gdy przezroczysty płyn wylał się z kubka na podłogę. — Kamil, ty fiucie, ale mnie dzisiaj zrobiłeś. Nikt mi takiego numeru jeszcze nie wykręcił. Gdy cię zobaczyłem w mieszkaniu na ostatnim piętrze, myślałem, że mam halucynacje.

Mimo tych słów nie było słyhać w głosie inspektora jakiegś wielkiej urazy. Semeniuk wyglądał na zrelaksowanego. Najgorsze miał już za sobą, nie nawalił. Nie stracił żadnego ze swoich ludzi, nikt nie został ranny. Sięgnął po omacku butelkę, za chwilę szyjka stuknęła o krawędź kubka.

Kamińska przełknęła ostatni kęs kanapki i wytarła ręce w papierową serwetkę.

— Mogłeś wszystko spieprzyć, powinnam na ciebie donieść do komendanta głównego.

— Ada, daj spokój — wtrącił się Semeniuk bełkotliwym tonem. — Komisarz sam powalił trzech terrorystów, sorry, nie sam, tylko z tym Arabem.

— Z Rumunem — poprawił go komisarz.

— Nieważne, czy Arab, czy Rumun, ważne, że po polsku mówi. Kamil, powiedz sam, czy nam ktoś wypomina, że my jesteśmy Ukraińcami? Aj, słyszałem, że ci terroryści to nasi ziomale. Co za pech. A może oni są Ruscy, musisz to ustalić, lepiej, żeby byli Ruscy.

Semeniuk pociągnął spory łyk i czknął. Był już pijany. Sporo wysiłku kosztowało go utrzymanie głowy w pionie, jak gdyby kręgi szyjne nie mogły dać sobie rady z ciężarem czaszki.

— To ci Ukraińcy są sprawcami? — zapytał Kowalik.

Komisarz ujrzał w wyobraźni pocziwą i wystraszoną twarz Maksyma Tarasiuka.

— To nie oni. Przyznali się jedynie do handlu bronią, te kałachy na dachu należą do nich, dziewięć sztuk. Teraz sprawdzamy ich telefony i laptopy. Dopiero rano poprosimy stronę ukraińską o informacje na ich temat.

— Dziewięć kałachów to niemało — zauważył Kowalik. — Tyle niełatwo przewieźć przez granicę. Poza tym, kto miałby być odbiorcą tu, w Elblągu?

— Te same pytania im zadałem. Podobno opłacali celników, a chętnego na kałachy znaleźli w internecie. Z tego, co mówi Tarasiuk, to taka ich prywatna inicjatywa, żadna mafia, po prostu sobie dorabiają. Kiedyś się przewoziło fajki, a teraz karabiny.

Ada pstryknęła palcami, przywołując ich spojrzenia w swoją stronę.

— Ostatnio byłam w Kopenhadze na konferencji poświęconej jednostkom specjalnym. Tam taki jeden z duńskiego wywiadu powiedział mi, że u nich pojawiło się sporo egzemplarzy broni długiej i twierdził, że to wcale nie jest robota handlarzy bronią. Podobno te karabiny pochodzą z Donbasu, separatyści sprzedają je ukraińskim żołnierzom za grosze, a ci przekazują dalej, zwykle kolegom, którzy jeżdżą do pracy na zachód Europy, do Polski też. Duńczycy uważają, że mamy bardzo przekupną służbę celną, ale mi się wydaje, że większość tej broni może przechodzić przez zieloną granicę w Bieszczadach. Trzeba to będzie nagłośnić w Warszawie, niech się tym zajmą.

— A ten trup w piwnicy w przebraniu świętego mikołaja, co o nim wiecie? — wypytywał dalej Kowalik.

— To lokator, jeszcze nie znamy jego tożsamości. Prawdopodobnie chciał się wydostać na zewnątrz, brzeszczotem przepiłował kłódkę i trafił na broń oraz stroje świętych mikołajów. Niezrozumiałe jest dla nas, dlaczego przebrał się za terrorystę, ale jednak to zrobił. Wtedy do piwnicy wszedł żołnierz i go zastrzelił, fatalny zbieg

okoliczności.

— Nie doszłoby do tego, gdyby zakładnicy nas słuchali — zauważyła Kamińska. — Mam wrażenie, że elblążanie to sami wariaci. Ty, Kamil, jesteś wariatem i Nowak także. Dobrze, że już zabieram stąd swoich ludzi.

Kamil uścisnął jej dłoń, podał rękę Kowalikowi i spojrzał na Semeniuka. Ten drzemał z głową opadniętą na pierś.

— Pożegnamy go od ciebie — zapewniła Ada.

Komisarz opuścił przedszkole i skierował się na Okulickiego. Zbliżała się północ. Czekало go mnóstwo pracy, nawet nie próbował pisać planu śledztwa, nie miał na to czasu. Beata przezornie notowała wydawane przez niego polecenia, żeby ktoś się potem nie przyczepił, że czegoś zaniedbał, o czymś zapomniał. Najważniejsze teraz, to znaleźć terrorystów.

Po ewakuacji mieszkańców przystąpili do przeszukania. Z czterema psami wprawionymi w odnajdywaniu ludzi pod gruzami obeszli wszystkie kondygnacje i zaśnieżony dach. Sprawdzali kanały wentylacyjne, zagląдали do szaf i łóżek, szukali podwójnych ścian, interesowały ich nawet podwieszane sufity. Poza kilkoma chomikami i królikami w klatkach oraz rybkami w akwariach, a także trzema kotami nie znaleźli żadnej żywej istoty. Skoro terrorystów nie było w bloku i prawdopodobnie nie byli nimi Ukraińcy, wniosek nasuwał się sam. Sprawcy musieli ukryć się wśród zakładników. Muszą ich teraz znaleźć.

Poprosił o techników z Gdańska, przyjechało ośmiu. Od dwóch godzin pobierali odciski palców od zakładników, robili im także zdjęcia. Poleciał też odebrać lokatorom telefony i wszelki sprzęt elektroniczny, który mieli przy sobie. Najważniejsze były oględziny miejsca zdarzenia, tym się zajął aspirant Konarski ze swoimi ludźmi. Robota na kilka dni, bo trzeba sprawdzić cały wieżowiec, zebrać odciski palców, butów, włosy, ślady prochu. Na polecenie komisarza technik zaczął od oględzin piwnicy, bo tam znajdowały się zwłoki mężczyzny w przebraniu świętego mikołaja, drugie w kolejce miało

być mieszkanie Bonarów, w którym znaleźli ciało Dariusza Wawryna.

Kamil doszedł do wieżowca wciąż otoczonego kordonem policyjnym, teraz pojedynczym, bo część funkcjonariuszy musiał odesłać do pilnowania zakładników aż w czterech hotelach i szpitalu.

Przybudówka klatki schodowej ostrymi krawędziami metalu i szkła celowała we wszystkie strony świata, przez wyrwane dwie pary drzwi do środka zdążyło napadać sporo śniegu. Okazało się, że ładunki wybuchowe znajdowały się tylko przy drzwiach wejściowych do bloku, a te w mieszkaniach na parterze to jedynie atrapy. Dwa karabiny znalezione w piwnicy były prawdziwe, rosyjskie AK-12. Należały zapewne do terrorystów, bo Ukraińcy się do nich nie przyznali. Na inną broń oraz na kolejne przebrania świętych mikołajów nie trafili, chociaż to jeszcze mogło się zmienić po ponownym przeszukaniu wieżowca.

Zbiegł do piwnicy i przymrużył oczy oślepiiony policyjnymi reflektorami. Zobaczył trzy sylwetki, rozpoznał Konarskiego kucającego przy dużym czarnym worku, do którego zapakowano ciało. Aspirant właśnie przyczepiał metryczkę z opisem.

— Tutaj już finito. Łempicka z Piekarską zaczęły oględziny w mieszkaniu na parterze.

— Coś ciekawego masz? — zapytał Kamil.

— Tak, czarny włos wewnątrz tej czapki, którą miał na sobie ten tutaj. — Konarski wskazał głową na worek. — Ale włos nie należał do niego, bo długi, prawie jedenaście centymetrów, sporo jak na faceta, chyba że należał do kobiety, ale tego dowiemy się po badaniu laboratoryjnym.

— Jakies odciski paluchów?

— Tak, zabezpieczyliśmy parę na karabinach, prawdopodobnie należą do Dariusza Wawryna. To on rozładował tę broń, znaleźliśmy przy nim magazynki od AK-12. Z kolei na tubach nie było żadnych odcisków. Na okularach, które miał na sobie trup, tylko fragmenty

linii papilarnych.

W korytarzu piwnicznym rozległy się kroki, charakterystyczny chrzęst o betonową posadzkę, na której znajdowały się drobinki piasku. Wkrótce zobaczyli ludzki kontur wyłaniający się z cienia. Stanął przed nimi Rumun.

— Co tu robisz? — Kamil był zaskoczony, przecież odesłał Nowaka do nadzorowania zakładników.

Aspirant wskazał na czarny worek.

— To jest Szymon Wagner. Mieszkał na czwartym piętrze pod trzynastką z żoną i dwójką dzieci. Jego rodzina jest teraz w hotelu Pod Lwem. Syn o niego rozpytuje. Rozmawiałem z nim. Powiedział, że parę godzin przed szturmem rodzice się pokłócili, wtedy ojciec wyszedł z mieszkania, potem na moment wrócił, prawdopodobnie po brzeszczot, bo powiedział chłopcu, że ich stąd zabierze. Syn chciał iść go szukać, ale matka mu nie pozwoliła. Pokazał mi zdjęcie ojca na portalu społecznościowym. To nasz trup. Aha, jeszcze jedna ważna rzecz, to Szymon Wagner w wigilię natknął się na sprawców w piwnicy.

— Terrorysty go nie zabili, a żołnierz tak, miał facet pecha — podsumował Konarski.

Do piwnicy zeszło dwóch funkcjonariuszy z noszami.

— Idziemy — rzucił komisarz do Rumuna.

Pokonali schody i zatrzymali się przy rozwalonej przybudówce klatki schodowej. Od środka wyglądało to jak jakaś artystyczna instalacja z metalu i szkła.

— Co teraz? — zapytał aspirant.

— Przywieziesz na komendę Bonarów, przesłuchamy ich. Muszę wiedzieć, dlaczego zabili Wawryna. Poza tym poszukasz wśród zakładników mężczyzny z czarnymi włosami, dość długimi.

Rumun w niemym pytaniu uniósł brwi.

— W czapce świętego mikołaja, którą miał na sobie Wagner, był czarny włos o długości jedenastu centymetrów — wyjaśnił Kamil.

— Tego z czarnymi włosami też przywieźć na komendę?

— Tak, niezależnie ilu ich będzie. Aha, na razie daruj sobie Arabów, to raczej nie oni.

— Coś jeszcze?

— Nie. Jedź już.

Aspirant Nowak wyszedł w ciemność zimowej nocy, szkło zachręściło pod jego butami, a po chwili zaskrzypiał śnieg. Kroki się oddalały.

Komisarz wyjął papierosy. Zapalił. Mała dawka komfortu, smak tytoniu na języku i dym w płucach. Teraz miał chwilę dla siebie, aby poukładać w głowie ten cały bałagan. Zdawał sobie sprawę, że w ciągu kilku najbliższych godzin musi dopaść terrorystów. Tego oczekiwali od niego przełożeni. Komendant główny już dzwonił i pytał o sprawców, podobno minister się niecierpliwi. W dodatku media zaczęły spekulować, wysuwając coraz to dziwniejsze teorie. Jeden z ekspertów chlapnął, że żadnych terrorystów mogło nie być, że to taka inicjatywa kilku lokatorów i ich znajomych. Trochę zabawa, bardziej żart, który wymknął się spod kontroli. Kamil słuchał tego ze zdumieniem. Kto dla dowcipu instaluje dwa ładunki wybuchowe przy drzwiach wejściowych do klatek? Kto dla zabawy zabija dwoje lokatorów? Ci, którzy zaczęli tę akcję, działali na serio, z mocnym postanowieniem, że wyłudzą dziesięć milionów euro. W pewnym momencie zrozumieli, że pieniędzy nie dostaną, i się wycofali.

Usłyszał kroki. Odsunął się, żeby zrobić miejsce funkcjonariuszom niosącym na noszach zwłoki Szymona Wagnera. Upiorny widok, czarny worek z trupem, ciemna noc i okrutny mróz, jak gdyby całość wyreżyserował miłośnik filmów grozy. Strzepnął popiół na brudną posadzkę.

— Nie powinienes tu palić, to miejsce zdarzenia — odezwał się Konarski.

Technik wyszedł z piwnicy. Niósł worki z dowodami.

— Wiem. Zapewniam, że peta wam nie zostawię, nie będziecie musieli go zabezpieczać.

— Dzięki, zawsze to trochę mniej roboty, gdy do sprawdzenia jest kilka tysięcy metrów.

Konarski go wyminął i również zniknął w ciemności mroźnej nocy.

Kamilowi wciąż krążyła po głowie myśl o wyreżyserowanej scenerii. Nagle papieros wypadł mu z ust. Stał i wpatrywał się w rozerwaną wybuchem przybudówkę. Miał wrażenie, że neurony pod czaszką zaczęły mu się stykać, umożliwiając przepływ myśli, a co za tym idzie sensowną konkluzję. Jak to możliwe, że wcześniej o tym nie pomyślał, przecież ten finał został zaplanowany, tak właśnie miało się to skończyć. Autobus, którego zażądali, to tylko zmyłka. Nikt by do niego nie wsiadł. Od samego początku sprawcy mieli opuścić wieżowiec podczas szturmu wraz z zakładnikami. Taki pomysł wymaga jednak perfekcyjnego przygotowania. Skoro na niego się zdecydowali, muszą być pewni swojego kamuflażu. Zapewne są dobrze zintegrowani z lokatorami, może nawet są mieszkańcami tego bloku, kupili tutaj mieszkanie kilka miesięcy temu albo mieszkają od lat. Może nawet Szymon Wagner był terrorystą, to prawdopodobne, bo niby po co przebrał się za świętego mikołaja. Poza tym jako jedyny twierdził, że miał bezpośredni kontakt ze sprawcami. Proste i genialne, terrorysta informuje ich, że widział terrorystów, tym samym potwierdza swój status zakładnika.

Dym unosił się z papierosa leżącego na posadzce. Przycisnął go podeszwą i podniósł, następnie zawinął w chusteczkę higieniczną i schował do kieszeni.

Jedno się sprawcom nie udało, nie dostali okupu. Zapewne przypuszczali, że wyrzucenie przez okno dwójki lokatorów wystarczy, żeby dostać kasę. Nie wystarczyło, a więcej nie chcieli mordować, czyli cała akcja musiała się zakończyć. Już na samym początku zaplanowali, że zginą Roman Karolak i Agnieszka Hulewicz, dlatego zabili ich w tym samym czasie. Ale dlaczego wytypowali tę dziewczynę? Roman Karolak nie budził większych wątpliwości, to po prostu bandyta. Być może Agnieszka za dużo wiedziała? Kogoś podsłuchiwała? Chyba od niej należałoby zacząć śledztwo. Trzeba

ustalić, z kim się kontaktowała przed zamachem, jej telefon powinien być dobrym źródłem informacji.

Miał ochotę biec na szóste piętro, do mieszkania dziewczyny i je przeszukać. Spokojnie, nie wszystko naraz, chaotyczne działanie zawsze było wrogiem policyjnych śledztw. Najpierw do tego lokalu muszą wejść technicy i dokonać oględzin, przecież to prawdopodobnie tam została zamordowana Agnieszka. Gdy ślady zostaną zabezpieczone, pójdzie poszukać komórki i zajrzy do komputera ofiary.

Gdy dojechał na Tysiąclecia, zbliżała się druga w nocy. W dyżurce grał telewizor, który za dnia zwykle stał ukryty pod blatem kontuaru. Na ekranie zobaczył znajomy widok, ulicą Wiejską sunęły powoli samochody antyterrorystów.

Oficer dyżurny odwrócił się w jego stronę.

— Naczelniku, ale pan ich załatwił.

Od kilku dni funkcjonariusze tytułowali go naczelnikiem. Na początku ich poprawiał, ale w końcu się poddał. Poprzedni szef wydziału był na urlopie od dwóch tygodni, teraz on był tu najważniejszy, a niebawem będzie miał na to papier.

— Kogo niby załatwiłem?

— Tych z Wrocławia, ale musieli mieć miny, gdy was zobaczyli w wieżowcu. I dobrze, niech wiedzą, że my tu, w Elblągu, też coś potrafimy.

Satysfakcja emanowała z twarzy funkcjonariusza, jak gdyby to on osobiście wkradł się pod osłoną śnieżycy do bloku zajętego przez terrorystów. Kamil lekceważąco machnął ręką.

— Powiedz mi lepiej, czy Nowak przywiózł kogoś na przesłuchanie.

— Tak, jednego starszego gościa, czekają w pokoju przesłuchań. Naczelniku, o waszej akcji w wieżowcu będą mówić w tych murach jeszcze za dwadzieścia lat.

— Myślę, że za dwa miesiące wszyscy zapomną — mruknął komisarz.

Duma go rozpierała. Nawet nie przypuszczał, że tyle zyska,

wchodząc do bloku. Właściwie niewiele z Rumunem zrobili, zatrzymali jedynie ukraińskich robotników handlujących bronią palną, trzy płotki, a nie bossów mafijnych. Terrorysty wciąż pozostawali nieuchwytni i jeśli ich nie dopadnie, to spektakularne wejście do wieżowca szybko zacznie się kojarzyć z porażką.

Wbiegł na piętro. Rumun czekał na korytarzu.

— Przywiozłem Stefana Bonara.

— A jego żona?

— Nie zgodziła się jechać. Powiedziała, że się źle czuje. Męża też nie chciała puścić, ale on postawił na swoim, chce złożyć wyjaśnienia.

— Zakładnika z czarnymi włosami znalazłeś?

— Pocięcha go szuka.

— Idź, załóż słuchawki, będziesz się przysłuchiwał.

Kamil wszedł do pokoju. Na krześle tyłem do drzwi siedział starszy mężczyzna. Był nienaturalnie wyprostowany. Miał na sobie puchową kurtkę.

— Może się pan rozbierze? To trochę potrwa.

— Nie sądzę, muszę wracać do żony.

— W takim razie zaczynamy.

Uruchomił urządzenie do nagrywania i służbowym tonem pouczył Bonara, że ma prawo złożyć wyjaśnienia, odmówić udzielania odpowiedzi na pytania, może też zażądać obrońcy z urzędu.

Mężczyzna kiwał głową na znak, że rozumie, co się do niego mówi. Kamil podsunął mu pisemne pouczenie i poprosił o zapoznanie się z treścią oraz podpis. Tamten bez czytania złożył zamaszysty autograf. Miał zmarszczone brwi, zaciśnięte zęby i nos zawodowego pięściarza, noszący ślady wielokrotnego złamania. Wyglądał na nieprzystępnego, aż dziwne, że zgodził się rozmawiać z policją.

— Proszę teraz opowiedzieć, co się stało w pana mieszkaniu. Jak doszło do tego, że Dariusz Wawryn zginął.

Bonar zaczął chrząkać i wodzić wzrokiem po suficie i ścianach. Początek zawsze był trudny, przesłuchiwanie nie wiedzieli, od czego zacząć. Kamil postanowił pomóc.

— Proszę opowiadać od momentu, gdy otworzył pan drzwi Wawrynowi.

— No to otworzyłem drzwi, a on wszedł. Miał pistolet i był w mundurze. Moja żonka poznała, że to sąsiad z drugiej klatki. Powiedział, że chce zobaczyć bombę, którą terroryści nam do okna przymocowali. Moja Luśka zaczęła lamentować, że ta bomba wybuchnie. Też się wystraszyłem. Pobiegłem do kuchni i złapałem za tłuczek do mięsa. Chciałem go powstrzymać, żeby nie dotykał kartonu z ładunkiem wybuchowym. Planowałem go tylko raz zdzielić, ale jakoś tak wyszło. No, wie pan...

Mężczyzna umilkł. Kamil spodziewał się dłuższej przemowy, podczas której mógłby poobserwować Bonara. Chciał rozpoznać jego emocje, ale nie te obecne, lecz tamte sprzed kilkunastu godzin. W czasie swobodnej wypowiedzi świadek często przeżywa jeszcze raz zdarzenie i wtedy powracają uczucia, które się z nim wiązały. U przesłuchiwanego nie zauważył strachu, a przecież ten wyznał, że się przestraszył, iż bomba ulegnie detonacji. W fizjonomii Bonara było widoczne jedynie zdenerwowanie.

— Chce pan coś jeszcze dodać?

Mężczyzna odchrząknął i z trudem oznajmił:

— Nie, nic więcej nie mam do powiedzenia.

Kamil zaczął przerzucać kartki w notesie. Nie patrzył na Bonara, bo chciał dać mu chwilę oddechu. Miał nadzieję, że tamten zyska odrobinę pewności siebie i zechce jeszcze odpowiedzieć na kilka pytań.

— To był wypadek, poniosło mnie, byliśmy przerażeni, Luśka dostała bólów w klatce piersiowej, te bomby, ci terroryści, to wszystko było straszne i jeszcze ten wariat z pistoletem, przyszedł zobaczyć bombę. A jeszcze wcześniej usłyszeliśmy huk, strzał, to też nas wystraszyło.

Kamil machinalnie zerknął na kamerę, sprawdzając, czy świeci się zielone światelko.

— Dlaczego nie powalił pan Wawryna lewym sierpowym? Jest pan

przecież pięściarzem.

— Panie komisarzu, ja mam sześćdziesiąt lat, siła już nie ta, refleks też nie ten.

Bonar rozłożył ręce dla podkreślenia swoich słów. Ten gest wyglądał bardzo naturalnie, ale Kamila nie przekonał.

— Ma pan siłę w rękach i to ogromną, widziałem twarz Wawryna, zmasakrował go pan.

— Mówiłem, że mnie poniosło, to ze strachu. Myślałem, że ta bomba zaraz rypnie i my z Luśką wylecimy w powietrze.

— Myślał pan, że zaraz ładunek eksploduje, a jednak miał pan czas, aby pójść do kuchni, znaleźć tłuczek i z nim wrócić.

Ostatnie zdanie nie było pytaniem, lecz stwierdzeniem, Kamil zadbał jednak o odpowiednią intonację, dając do zrozumienia przesłuchiwanemu, że jego zachowanie było nieracjonalne.

Bonar zaczął bawić się zamkiem od kurtki, rozpinał go i zapinał. W końcu szarpnął za mocno i suwak się zaciął w połowie swej długości. Z ust mężczyzny wypadło siarczyste przekleństwo.

— Gdzie była pana żona, gdy poszedł pan do kuchni po tłuczek?

— W przedpokoju.

— Mógł pan chociaż wepchnąć żonę do łazienki.

— Nie pomyślałem.

— A może pan wiedział, że nic wam nie grozi? Że ta cała bomba to tylko atrapa?

Bonar zrobił groźną minę, jak gdyby stał na ringu i chciał wystraszyć przeciwnika. Trwało to jednak tylko ułamek sekundy, bo zaraz na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie.

— No to co? Wiedział pan, że to atrapa?

— Nie wiedziałem, nie miałem pojęcia. Przyszli we dwóch, byli przebrani za świętych mikołajów. Właśnie dlatego ich wpuściłem, bo byli przebrani. Kurde, myślałem, że mi prezent przynieśli, a oni zakleili folią okna, przyczepili kable, postawili kartony i powiedzieli, że jak tylko ich dotkniemy, to bomby wybuchną. Uwierzyłem. Do jasnej cholery, pan na moim miejscu też by uwierzył.

— Skoro pan uwierzył, że to prawdziwy ładunek wybuchowy, dlaczego pan nie zachował należytej ostrożności?

— Że co?

Bonar nie zrozumiał, czego dotyczy pytanie.

— Uderzył pan Wawryna, gdy ten stał przy pudle z bombą. To było mało rozsądne, chyba że wiedział pan, iż nic nie wybuchnie.

Mężczyzna zaczął się pocić. Czoło mu błyszczało. Puchowa kurtka z zepsutym zamkiem okazała się pułapką.

— Mam tego dosyć, nic więcej nie powiem.

Komisarz wiedział, że dalszy ciąg przesłuchania zostanie zakwestionowany w sądzie przez obrońcę, ale nie mógł się powstrzymać przed sformułowaniem kolejnego pytania:

— Dlaczego pan nie zadzwonił na policję i nie poinformował nas, że w tym pudle nie było bomby? Wie pan, jaką wagę miałyby taka informacja?

— I miałem przy okazji wyznać, że zabiłem sąsiada? Człowieku, ja byłem w szoku.

— A do kogo pan zadzwonił po zabiciu Wawryna? Proszę powiedzieć. I tak się tego dowiemy, mamy pana komórkę.

Bonar opuścił ręce i głowę. Wyglądał jak człowiek, któremu odebrano resztki nadziei. Już wiedział, że się nie wywinie.

— Kim oni są? Proszę podać nazwiska albo chociaż powiedzieć, w których mieszkaniach się ukrywali. Panie Stefanie, proszę mówić, ma pan okazję, żeby ratować siebie i swoją żonę. Ona też zostanie oskarżona o terroryzm.

Mężczyzna pochylił się do przodu, zasłaniając twarz dłońmi.

— Co pan mówi? Jaki terroryzm? Przecież my nie jesteśmy terrorystami.

— Dlaczego pan zabił Dariusza Wawryna? Przecież nie dlatego, że bał się pan eksplozji ładunku wybuchowego. Przestraszył się pan, że żołnierz odkryje atrapę bomby i poinformuje o tym policję?

— Gorąco mi, niech pan otworzy okno.

Kamil czuł, że teraz powinien wykazać troskę, to przyniesie

większy rezultat niż dalsze naciskanie pytaniami. Uchylił okno i do pokoju przesłuchań wpłynęło mroźne powietrze. Z szafki wyciągnął butelkę wody mineralnej i szklankę.

— Nie wiem, kim on jest.

Szept wydobywający się z ust Bonara był tak cichy, że Kamil nie miał pewności, czy dobrze usłyszał. Mikrofony też mogły nie zarejestrować tych słów, bo pomieszczenie wypełniło się miejskim szumem zimowej nocy. Zamknął okno i podał przesłuchiwanemu szklankę z wodą.

— Proszę powtórzyć, co pan powiedział.

— Nie wiem, kim on jest.

— Widział go pan?

— Tak.

Komisarz opadł na krzesło i posłał tryumfalne spojrzenie w stronę lustra weneckiego, za którym siedział Rumun ze słuchawkami na uszach.

— Panie Stefanie, czy pan się zgadza na kontynuowanie przesłuchania?

To pytanie musiało paść, bo przesłuchiwany już raz oznajmił, że nie chce więcej mówić.

— Tak, zgadzam się. Powiem wszystko, co wiem, ale za współpracę chcę wyrok w zawieszeniu.

— To już nie ode mnie zależy, lecz od sądu, ale rzeczywiście sąd uwzględnia współpracę podejrzanego z wymiarem sprawiedliwości i wydaje łagodniejsze wyroki.

— Będę mówił prawdę i tylko prawdę, obiecuję, przysięgam, moja żonka też powie wszystko. Nie mogę iść do więzienia na stare lata. Niech pan pyta.

— Kiedy widział pan ostatni raz tego mężczyznę?

— W wigilię, przyszedł do nas wieczorem złożyć życzenia i powiedzieć, że wszystko idzie dobrze, żebyśmy się nie martwili.

— Przedstawił się wam?

— Nie podał nazwiska. Poprosił, żeby go nazywać Opiekunem.

— Opiekunem?

— Tak.

Kamil czuł narastające podniecenie. Lubił ten moment, gdy wiadomo było, że przestępca już się im nie wywinie.

— Jak wyglądał Opiekun? Proszę go opisać.

— Normalnie wyglądał. — Bonar wzruszył ramionami i zaczął nerwowo się rozglądać na boki. — Nie umiem opisywać ludzi. Lepiej moją Luśkę zapytajcie, ona wam powie.

— Z pana żoną też porozmawiamy, ale najpierw interesuje mnie, co pan pamięta. Czy Opiekun jest wysoki? Szczupły? Ile pan dałby mu lat?

— Cholera go tam wie, ile miał lat, może ze czterdzieści. Nie był wyższy ode mnie, a ja mam sto siedemdziesiąt osiem centymetrów. I szczupły był.

— Kolor włosów?

Przesłuchiwany wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia.

— Może czarne? Lekko przydługie? — dopytywał komisarz.

— Przydługie? Nie, on był ostrzyżony, ale czy miał czarne włosy... nie wiem.

— Jak był ubrany?

Bonar przymrużył oczy, jak gdyby próbował odtworzyć pod powiekami obraz postaci widzianej dwa dni temu. W końcu stwierdził, że Opiekun był ubrany elegancko, nie potrafił jednak wymienić żadnej części garderoby, stawiał na marynarkę i koszulę, ale bez przekonania. Jeszcze gorzej mu poszło z przypomnieniem sobie twarzy, raczej nie miał brody i wąsów, ale czy na pewno...

Przesłuchiwany znowu zaczął się pocić. Komisarz uchylił okno i zaproponował pięć minut przerwy. Zostawił Bonara samego i wszedł do pomieszczenia obok.

Rumun ściągnął słuchawki. Jego czarne oczy wyrażały zadowolenie. Też wiedział, że złapali trop.

— Ten facet odwiedził Bonarów bez przebrania, to nienormalne, że

tak się wystawił.

— W kominiarce nie zyskałby ich zaufania — zauważył komisarz.
— A wygląda na to, że udało mu się ich zmanipulować. Ciekawe, czy pozostali lokatorzy z parteru wiedzieli, że mają w mieszkaniach atrapy bomb.

Nowak pokręcił przecząco głową.

— Z rozmów telefonicznych to nie wynikało, naprawdę byli przerażeni.

— Daj mi zdjęcia zakładników — polecił Kamil.

Nowak wyciągnął z kieszeni pendrive'a. Spojrzeli na szybę, za którą siedział były pięściarz. Mocował się właśnie z własną kurtką, próbując ściągnąć ją przez głowę. Udało mu się w momencie, gdy Kamil wrócił do pokoju przesłuchań.

— Ile razy ten mężczyzna was odwiedził?

— Dwa razy.

— A ten pierwszy raz, to kiedy było?

Bonar potarł czoło.

— Moja żonka będzie wiedziała, ale jakieś trzy, cztery dni przed wigilią, tak myślę.

— Co właściwie wam wtedy powiedział?

— Powiedział, że weźmiemy zakładników, wszystkich mieszkańców i zażądamy pieniędzy za ich uwolnienie.

Kamil był zaskoczony, i to bardzo. Jak to możliwe, że sprawca tak otwarcie mówił o swoich planach?

— Zaszantażował was?

Przesłuchiwany zamrugął oczami, nie rozumiejąc pytania.

— Co?

— Panie Stefanie, jak to możliwe, że jakiś człowiek mówi panu, że planuje zamach terrorystyczny, a pan nie dzwoni z tym na policję?

Mężczyzna zasłonił się puchową kurtką aż po samą brodę, jak gdyby zrobiło mu się zimno.

— Myślałem o tym, ale moja Luśka mnie przekonała, że te pieniądze nam się należą. Ona pierwsza mu uwierzyła.

— Obiecał wam kasę? Ile?

— Trzysta tysięcy złotych.

— I pan mu uwierzył? Dał jakąś zaliczkę?

Kamil nie ukrywał ironicznego tonu.

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie biurka wyglądał na coraz bardziej zakłopotanego. Podciągnął kurtkę wyżej, jak gdyby chciał się pod nią schować wraz z głową.

— Wiem, jak to teraz wygląda, ale wtedy było inaczej. Powiedział, że ten zamach, to on nie dla siebie, tylko dla nas, żeby nam pomóc. Przekonał nas, że musimy walczyć, że nie możemy dalej dawać się okradać. Powiedział, że musimy odzyskać to, co nam już ukradli.

Komisarz słuchał z rosnącym zdumieniem.

— Kto was okradł?

— No oni, ci, co rządzą. Ten człowiek zapytał, ile mam emerytury. Powiedziałem mu, że tysiąc siedemset, wtedy wyliczył mi, ile powinienem mieć, że niby należy mi się prawie pięć tysięcy. Ale nie dostaję tyle, bo ci z góry biorą większą część, żeby własnym dzieciom kupować apartamenty na Majorce, a moja córka musi myć kible w Niemczech.

Kamil miał ochotę zapalić papierosa, sięgał już do kieszeni, cofnął jednak rękę. Teraz rozumiał, dlaczego sprawca nazwał się Opiekunem.

— Ten człowiek bardzo mądrze mówił — kontynuował Bonar. — Cytował znanych ludzi, różnych profesorów. Mówił, że w innym kraju to moglibyśmy iść do sądu i zażądać zwrotu naszych pieniędzy, ale nie w Polsce, tutaj trzeba wszystko siłą wydzierać albo podstępem. My z Luską planowaliśmy odzyskać to, co nasze, i ani złotówki więcej. Niech pan nie myśli, że jesteśmy przestępcami. Opiekun powiedział, że ten atak na wieżowiec odegra rolę wychowawczą. Władza zrozumie, że Polaków nie da się tak bezkarnie okradać, i może nawet zaprzestaną tych haniebnych działań.

Mężczyzna mówił z pełnym przekonaniem, zaczął gwałtownie gestykulować, kurtka zsunęła mu się na podłogę.

— Nadal pan wierzy w to wszystko? — zapytał Kamil. — Warto było zabić Dariusza Wawryna dla tych przekonań? — Po chwili wahania dodał: — Dla tych bredni?

Bonar spuścił głowę. Komisarz nie doczekał się odpowiedzi. Obrócił monitor w stronę przesłuchiwanego. Sam ustawił się z krzesłem w taki sposób, żeby też widzieć zdjęcia.

— Pokażę panu wszystkie osoby, które znajdowały się w wieżowcu. Gdy zobaczy pan Opiekuna, proszę go wskazać.

Zdjęć było trzysta dziewięćdziesiąt dwa. Każdy zakładnik miał dwie fotki, z profilu i *en face*. Wiele osób nosiło ślady szturmu, głównie pył na włosach, niektórzy mieli pęknięte okulary albo zadrapania na twarzy. Panie prezentowały się upiorniej niż panowie, a to przez rozmazany makijaż i wciąż widoczny strach w oczach. Na fotografii dzieci i kobiet poświęcali sekundę, ale mężczyznom Bonar przyglądał się długo. Dopiero gdy kręcił przecząco głową, Kamil pokazywał kolejną fotkę. Gdy zostało im do przejrzania tylko kilkanaście zdjęć, napięcie związane z oczekiwaniem na poznanie sprawcy zaczęło zamieniać się w irytację, a w końcu przerodziło się w pewność, że przeglądanie fotek nic nie da. Na ostatnim zdjęciu zobaczyli kilkuletniego chłopca.

Bonar przetarł palcami przymknięte powieki.

— Gdyby może moja żonka zerknęła na te zdjęcia, ona ma lepsze oko do twarzy...

Komisarz przeczuwał, że pani Bonar także nie rozpozna sprawcy. Opiekun nie włożył kominiarki, nie zasłonił też twarzy białą brodą, a włosów czerwoną czapką, ale zapewne zastosował inne sposoby zakamuflowania swojej urody. Może zafundował sobie wąsy bądź grzywkę, a do tego okulary i sztuczne zęby nakładane na własne, które mogły zmienić rysy twarzy.

— Panie Stefanie, mój kolega odwiezie teraz pana do hotelu, a jutro rano przyjrzy się pan wraz z żoną zakładnikom z bliska, może wtedy go pan rozpozna. Proszę mi jeszcze powiedzieć, z kim Opiekun kazał wam się skontaktować na wypadek kłopotów. Chcę wiedzieć, do

kogo pan zadzwonił po zabiciu Wawryna.

— Zadzwoniłem do Leonarda Jaszczura, on mieszka z ojcem i bratem pod piętnastką.

Kamil zerknął na spis zdjęć, poszukując zakładnika o tym nazwisku. Znalazł go. Kliknął w zdjęcie, na ekranie pojawiła się przystojna twarz młodego mężczyzny. Miał bardzo ciemne włosy, prawie czarne i dość długie.

— Co powiedział Jaszczur? Co zrobił?

— Głównie bluzgi usłyszałem. Taki gówniarz, a wyzywał mnie jak burą sukę. Nie tak miało być, nie tak. Myślałem, że Opiekun mi pomoże ze zwłokami Wawryna. Byłem pewien, że tak będzie, przecież to opiekun. Nikt jednak nie przyszedł i zostaliśmy sami z trupem.

Do pokoju przesłuchań wszedł aspirant Nowak. Bonar podniósł kurtkę z podłogi i zaczął ją wkładać przez głowę, mamrotał przy tym nieskładne zdania na temat własnej głupoty i niesprawiedliwości na świecie.

Rozdział XXVI

TERMOMETR W RADIOWOZIE WSKAZYWAŁ zaledwie jedenaście stopni poniżej zera na dworze. Wyglądało na to, że mróz jest w odwrocie. Nowak wysiadł, a za nim Bonar. Stali przed hotelem Pod Lwem. Była czwarta rano. W niektórych oknach paliło się światło, nie wszyscy zakładnicy spali. Wbrew pozorom dla nich nie był to łatwy czas. Niby wolni, a jednak wciąż więźniowie. Wcześniej przynajmniej znajdowali się w swoich mieszkaniach, mieli dostęp do rzeczy osobistych, a teraz zostali tego pozbawieni, nawet telefony im odebrano, co dla większości wiązało się z wielką niedogodnością. Nikomu nic nie groziło i z tego wszyscy czerpali siłę, ale jutro poczucie bezpieczeństwa się upowszedni, stanie się tak naturalne jak oddychanie. Wówczas irytacja i niezadowolenie wezmą górę, choćby z tego powodu powinni się spieszyć z zatrzymaniem sprawcy.

— Idziemy, żona na pana czeka — oznajmił Rumun.

Były pięściarz wyglądał żałośnie, skulony przestępował z nogi na nogę i wciskał pobladłą twarz w kołnierz kurtki.

— Zdechnę w więzieniu — wymamrotał zmęczonym głosem.

Jeszcze pół godziny temu walczył o siebie, negocjował z komisarzem, próbując zapewnić sobie niższy wyrok w zamian za informacje o sprawcy. Teraz się poddał. Zrozumiał, że przegrał.

— Panie Stefanie, zimno jest, wchodzimy do środka.

Bonar wyjął dłonie z kieszeni, nie miał rękawiczek. Niezdarnie zamachał rękami, parodiując walkę bokserską.

— Kiedyś na ringu byłem dobry. Opiekun gadał, że muszą być ofiary, że każda zmiana na lepsze to po trupach. Przyznałem mu rację, o tak, poparłem go, ale nie przyszło mi do durnego łba, że to ja będę miał krew na rękach. — Bonar pochylił się do przodu i oparł

dłonie na udach. — Może coś to całe nieszczęście dobrego przyniesie, może ludzie się ockną, otworzą gały i zobaczą, że są robieni w balona. Ja jestem stary, ale pan, aspirancie, jest młody, niech pan nie da się okradać. Życie pan naraża w robocie, a ile panu płacą? Grosze. Jest pan ich niewolnikiem i ochroniarzem, skurwysyny, niszczą nas każdego dnia.

— Idziemy!

Głos Rumuna zabrzmiał wyjątkowo ostro. Bonar potulnie ruszył za nim, chwilę później się poślizgnął na grudkach lodu pokrywających schody i uderzył kolanem o krawędź stopnia. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie bóleści.

— Potrzebny będzie lekarz? — zapytał aspirant.

— Nie, to tylko stłuczenie.

Weszli do ciepłej recepcji. Dwóch funkcjonariuszy sięgnęło do kabur, po sekundzie opuścili ręce. Ten stojący przy schodach kiwnął głową na znak, że wszystko w porządku. W holu panowała cisza, lampy były przygaszone, jedynie nad kontuarem było jaśniej. W rogu na kanapie siedział rozparty Mikołaj Bukowski, trzymał na kolanach laptop. Rumuna zaskoczył jego widok.

— Skąd on ma laptopa? — zapytał funkcjonariusza stojącego przy windzie. — Przecież mieliście zabrać zakładnikom sprzęt elektroniczny.

Policjant się wyprężył jak do apelu.

— Zabraliśmy. On pożyczył laptopa od recepcjonisty. Był rozkaz, żeby odebrać im sprzęt osobisty, ale o tym, że nie wolno im pożyczać... nic na ten temat nie wiem. Mam mu zabrać tego laptopa?

— Nie, sam to zrobię.

Rumun i Bonar wsiedli do windy. Wjechali na drugie piętro. Tutaj zakładników pilnowało dwóch funkcjonariuszy, spacerowali bezszelestnie po miękkiej wykładzinie.

Bonar kulał, ale nie zwolnił kroku, chyba bardzo spieszyło mu się do żony. Otworzył drzwi. W pokoju paliło się światło, kobieta nie

spała. Poderwała się z fotela na widok męża. Pomogła mu rozpiąć zamek w kurtce, szeptała przy tym uspokajające słowa, jak gdyby miała przed sobą dziecko.

Nowak wszedł do środka, wtedy poprawiła szlafrok i włosy.

— To jest skandal, nie możecie nas tak traktować, jak bandytów. Ci w kominiarkach nie pozwolili mi się nawet ubrać. Dobrze, że chociaż zdążyłam włożyć buty. — Wysunęła do przodu jedną nogę, pokazując biały kozak. — I telefony nam zabraliście, do córki nie mogę zadzwonić, ona na pewno umiera ze strachu.

— Babo, czego tak lamentujesz? Przecież w niemieckiej telewizji też na pewno podają, że nikt nie zginął.

— Obiecuję pani, że jutro rano funkcjonariuszka pojedzie z panią do mieszkania, żeby mogła się pani ubrać i wziąć najpotrzebniejsze rzeczy.

Chciał udobruchać kobietę, ale osiągnął przeciwny efekt. Bonarowa podniosła głos:

— Co? To my jutro nie wracamy do siebie? Pan chyba żartuje!

Pięściarz opadł ciężko na łóżko.

— Luśka, pan aspirant ma do ciebie prośbę. Chce, żebyś wskazała mu na zdjęciu Opiekuna. Ja go nie rozpoznałem.

— To ja też go nie rozpoznam.

— Głupia babo, jeśli go nie rozpoznasz, to mnie zamkną za zabicie człowieka. Zrozumiałaś?

Kobieta przysiadła obok męża, w jej oczach pojawiły się łzy. Nerwowo szarpała sznur pereł zwisający z szyi.

— Stefcu, nie pozwolę, żeby cię zamknęli, albo niech nas oboje wsadzą do jednej celi.

Nowak wyjął z kieszeni służbowy tablet, uruchomił go i podał Bonarowej.

— Muszę panią rozczarować, ale nie ma w zakładach karnych małżeńskich cel. Jeśli nam teraz pomożecie, sąd to zapewne uwzględni. Zdjęć jest sporo, oglądajcie je bez pośpiechu. Wrócę za dwadzieścia minut.

— A nie mógłby pan za pół godziny? — zapytał mężczyzna.

— OK, niech będzie.

Rumun wyszedł na korytarz i ruchem głowy przywołał stojącego bliżej funkcjonariusza. Ten zbliżył się bezszelestnie. Był młody, w stopniu posterunkowego. Patrzył na aspiranta z szacunkiem i swego rodzaju uniżonością. Nowak często spotykał się z takimi spojrzeniami w firmie. Zastanawiał się, czym są spowodowane. Czy tym, że wygrywa niemal wszystkie policyjne zawody strzeleckie, czy raczej widzą w nim zaufanego człowieka komisarza Soroki?

— Nie wpuszczajcie nikogo do Bonarów, zwłaszcza żadnego z zakładników, to dotyczy również kobiet i dzieci.

— Tak jest. Będę ich pilnował jak własnych rodziców.

Rumun zjechał windą do recepcji. Mikołaj Bukowski wciąż siedział na kanapie z nogami na stojącym naprzeciwko fotelu. Patrzył na ekran laptopa, ale gdy drzwi windy się rozsunęły, ukradkiem zerknął na wysiadającego z niej policjanta. Nie umknęło to uwadze Nowaka. Zbliżył się do dziennikarza i przysiadł na fotelu tuż obok. Powoli rozpiął kurtkę. Obaj milczeli, jak gdyby się nie znali, dwóch przypadkowych ludzi w hotelowej recepcji. Dziennikarz nawet nie oderwał wzroku od monitora. Rumun wiedział, że Bukowski nie zdoła długo udawać obojętności. Rzeczywiście, tamten nagle na niego spojrzał.

— O! Aspirancie, dobrze, że cię widzę. Czy mógłbyś mi załatwić przepustkę? Dla mojej siostry też. Znasz mnie, wiesz, że nie jestem terrorystą. Nie ma sensu, żebyśmy tu siedzieli.

— Terrorystą nie jesteś, jesteś złodziejem.

— Aspirancie, jak możesz? Gdybym cię teraz nagrywał, mógłbyś mieć kłopoty.

— Kłopoty to mają zbyt pewni siebie głupcy. Skąd masz laptopa?

Dziennikarz skierował wzrok na kontuar recepcyjny, za którym siedział młody mężczyzna oparty łokciami o blat. Nie patrzył na nich, zapewne drzemał.

— Od niego.

— Nie powinieneś pożyczać sprzętu. Muszę teraz zabezpieczyć ten laptop.

— Jak mus, to mus, ale nic ciekawego nie znajdziecie. Napisałem tylko artykuł do gazety, relacja ze szturmu i z tego, co teraz się z nami dzieje. Wie pan, jaką to będzie miało klikalność? Zaraz tekst powinien się ukazać na stronie. Osobny artykuł będzie o tym, jak to dwóch policjantów z Elbląga wystrychnęło na dudka antyterrorystów, wchodząc do wieżowca przed nimi.

— Miałeś wielką okazję zdawać relację na żywo w trakcie trwania zamachu, a ty siedziałeś cicho, ani jednego słowa. Dopiero teraz ci się przypomniało, że jesteś pismakiem?

— Wcale się nie przypomniało. Tam, w wieżowcu, wolałem się nie wychylać. Jeszcze terroryści by się dowiedzieli, że nadaję do mediów, przyszliby i wyrzucili mnie z balkonu.

— Rzeczywiście, szkoda by cię było, a przede wszystkim minęłaby cię kara. Sprawdzałeś, ile ci grozi za kradzież okupu?

Rumun oczekiwał nerwowej reakcji, nieopatrznie sformułowanego zdania albo chociaż słów oburzenia. Bukowski zdobył się jedynie na filmową formułkę:

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Słuchaj, dzieciaku, są nagrania, jak w babskim przebraniu odbierasz paczki z pieniędzmi. Jeśli ekspertyza potwierdzi, że to ty, to pójdziesz siedzieć. Najlepsze lata życia spędzisz w pierdłu, a że wyglądasz jak nastolatek, to nie będziesz miał lekko.

— Nie pójde do pierdła, na pewno nie.

W oczach dziennikarza pojawił się strach, ale w głosie pobrzmiwała pewność siebie.

— Myślisz, że komisarz Soroka będzie cię bronił? Że mnie powstrzyma?

Bukowski nie był w stanie dłużej panować nad mimiką. Dolna warga zaczęła mu drgać, na nosie pojawiły się krople potu. Wytarł je nerwowym ruchem.

Nowak rozejrzał się po holu, sprawdzając, gdzie znajdują się

funkcjonariusze, czy czasem im się nie przysłuchują. Ten stojący przy drzwiach wyjściowych jako jedyny nie patrzył w ich stronę, ale był najbliżej, miał szansę na mimowolne podsłuchiwanie. Rumun pochylił się do przodu i ścisząc głos, oznajmił:

— Chcę tylko poznać prawdę.

Dziennikarz uśmiechnął się nerwowo.

— O! To szlachetne, wielu chciało poznać prawdę, ale niewielu to się udało, podobno nawet do końca nie wiadomo, czym jest prawda.

Nowak ponownie się rozejrzał, zerkając na policjantów i próbując ocenić, czy są w stanie go usłyszeć. Przyciszył głos jeszcze bardziej.

— Kto od nas ci pomagał?

— A pan znowu swoje.

Kanapa zaskrzypiała pod dziennikarzem, nie był w stanie usiedzieć w miejscu.

— Czy to komisarz Soroka wciągnął cię w kradzież okupu?

Rumun miał wrażenie, że jego szept rozbrzmiał w hotelowej ciszy niczym krzyk. Funkcjonariusz stojący przy windzie odchrząknął, jak gdyby chciał mu przeszkodzić w dalszym skalowaniu dobrego imienia naczelnika. Drugi policjant przesunął się o dwa kroki w ich stronę. To niemożliwe, żeby go usłyszeli. Przyglądał się im, szukając w sylwetkach i ruchach potwierdzenia, że nie wiedzą, o czym mówi się w rogu recepcji.

Bukowski zamknął głośno laptopa i podał go Nowakowi.

— Mam na dzisiaj dosyć, kolejny artykuł zrobię jutro.

Zaczął się podnosić z kanapy.

— Siadaj!

Polecenie padło szeptem, ale zabrzmiało jak rozkaz, którego niewykonanie może mieć fatalne konsekwencje. Dziennikarz opadł na kanapę, skrzypnęła pod nim głośno.

Rumun poruszył ustami, wydobywając z siebie ledwo słyszalne dźwięki, jak gdyby jakiś niezrozumiały paraliż opanował jego struny głosowe.

— Chcę tylko wiedzieć, czy to komisarz.

Dziennikarz oddychał ciężko. Klatka piersiowa unosiła się i opadała jak po dużym wysiłku. Cała jego fizjonomia wyrażała niepokój człowieka osaczonego, który jednak gotowy jest do walki. Też się rozejrzył po holu, a potem wysyczał:

— Pies oskarża drugiego psa. Kundel jesteś, tyle ci powiem.

— Ciekawe, czy będziesz taki wygadany w sądzie, gdy ci będą siostrę skazywać za współudział.

Twarz dziennikarza się wykrzywiła w grymasie, który można byłoby uznać za złośliwy uśmiech.

— Aspirancie, czemu mówisz szeptem? Boisz się, że koledzy usłyszą? Dobrze wiesz, że nie będą ci kibicować. Nie wybaczą ci, że zakablowałeś na kumpla, na jednego z nich. Zamiast mnie maglować, przystąp do procedur, zgłoś gdzie trzeba, że podejrzewasz przyszłego naczelnika. Macie przecież w policji komórkę, która przygląda się wykolejonym psom.

Niecierpliwym ruchem naciągnął na ramiona bluzę i wstał. Szybkim krokiem pokonywał recepcję. Zwolnił przy windzie, jak gdyby planował do niej wsiąść, ale zrezygnował. Zrozumiał, że na piechotkę szybciej umknie aspirantowi. Wbiegł na schody.

Rumun nie miał zamiaru go gonić, i tak niczego więcej się nie dowie. Ten chłopak będzie milczał, bo wierzy, że zdoła się wymigać ze sprawy kradzieży okupu. Ktoś mu obiecał pomoc w razie problemów. Kto? Nie miał wcale pewności, że to Kamil. Wcześniej go nie podejrzewał, dopiero dzisiaj przemknęło mu to przez głowę pod wpływem impulsu, gdy wchodził przez balkon do mieszkania Ukraińców. Komisarz miał wkroczyć z drugiego balkonu w tym samym momencie, ale tego nie zrobił. Pojawił się kilkanaście sekund później, może nawet pół minuty. Różnica zbyt duża jak na takiego fachowca jak Kamil. Nie spieszył się, bo się bał? Nie, na pewno nie, on nie z tych, co się łamią w obliczu takiej akcji. Skoro nie lęk, skoro nie obawa o własne życie, to co? Konkluzja była szokująca. Komisarz specjalnie wystawił go na niebezpieczeństwo. Chciał się go w ten sposób pozbyć. Wniosek sensowny i absurdalny jednocześnie.

W czasie akcji życie partnera jest równie ważne jak własne, to była podstawa ich pracy zapisana nie w przepisach, lecz w każdej komórce ciała, policyjne DNA. Poza tym, czy Kamil byłby zdolny do poświęcenia kumpla w imię własnej pozycji i wygody? Przez głowę przetaczały mu się krańcowe spostrzeżenia, niczym walec wałkując szare komórki. W jednej chwili komisarz jawił się jako wyrachowany skurwysyn, a za moment był lojalnym i oddanym funkcjonariuszem. Nie wiedział, jak ma rozegrać tę sprawę. Może po prostu powinien porozmawiać z Kamilem.

Podszedł do kontuaru i postawił na nim laptopa. Recepcjonista oparty łokciami o blat drgnął i uniósł gwałtownie głowę. Miał zaspane oczy.

— Przepraszam, że przeszkadzam w drzemce.

— Nie szkodzi, w pracy jestem.

— To pana laptop?

— Tak, mój, pożyczyłem go dziennikarzowi.

— Właśnie on poprosił mnie o oddanie.

Recepcjonista schował laptop pod kontuar, po czym oparł łokcie o blat i opuścił głowę. Po chwili rozległo się ciche pochrapywanie.

Rumun wszedł do windy. Minęło już trzydzieści minut, na które umówił się z Bonarem. Prawdopodobnie starsi państwo jeszcze nie skończyli oglądać zdjęć. Nie będzie ich popędział, przysiądzie w fotelu i poczeka, może nawet się chwile zdrzemnie. Trzecia nieprzespana noc, adrenalina go trzymała na nogach, ale niebawem jej działanie zostanie pokonane przez nieubłagane zmęczenie.

Posterunkowy stał oparty o ścianę z założonymi rękami na piersiach, głowa mu lekko opadła. Też przysnął. Drugi funkcjonariusz chodził po korytarzu. Dobrze, że chociaż jeden czuwa. Obaj musieli być w półżywi, to przecież oni tworzyli kordon, cztery godziny na mrozie, potem cztery godziny odpoczynku i tak przez dwie doby.

Nie chciał zaskakiwać Bonarów, zapukał więc najpierw, a potem nacisnął klamkę. A jednak wszedł w nieodpowiednim momencie.

Chciał nawet się cofnąć, zamknąć drzwi i poczekać na pozwolenie, tak niestosowny wydał mu się widok pani Bonar leżącej na łóżku w rozsuniętym na piersiach szlafroku. Przeszył go nagle silny niepokój. Kobieta wciąż miała na stopach białe kozaki, jedna noga zwisała poza materac, obcas dotykał podłogi. Niezależnie od tego, jak bardzo byłaby zmęczona, nie położyłaby się do łóżka w butach. Wiedział, że jest źle. Bonarowa nie żyła, był tego pewien, choć jeszcze nie widział jej twarzy. Przekroczył próg. Miał wrażenie, że pokój zrobił się bardzo mały, skurczył się, to chyba przez panującą tu duchotę. Jeden krok, drugi krok i już stał nad kobietą. Miała otwarte usta, wystawał z nich język, oczy były na wpół przymknięte. To był ten moment, kiedy mięśnie zastygały, zamieniając twarz w trupa maskę, pozostawiając jeszcze ślady emocji zapisane w mimice ostatnich chwil. Pani Bonar martwym obliczem zdawała się błagać o litość. Rozerwany sznur pereł lśnił w elektrycznym świetle wokół jej głowy. Teraz jej szyję ozdabiały ciemne plamy, ślad po silnych palcach. Bonar zapewne miał mocne dłonie, w końcu był kiedyś pieściarzem.

Nie mógł oderwać oczu od martwej kobiety, choć ten widok przyprawiał go o dreszcze. Stało się coś, co nie miało prawa się wydarzyć. Powinien to przewidzieć, powinien zapobiec. Nawalił, zabrakło mu czujności, to chyba przez te nieprzespane noce. Słyszał, jak jego własna krew tętni mu w uszach.

Wiedział, gdzie szukać Bonara. W łazience. Spodziewał się ujrzeć go powieszzonego na grzejniku. Rzeczywiście wisiał, ale na baterii pod prysznicem. Jego szyję oplatał pasek od szlafroka żony. Z ust Rumuna wypadły przekleństwa. Właśnie stracili ludzi, którzy widzieli Opiekuna, oni mogli go wskazać. Jeszcze jedna myśl przeszła go boleśnie: trzeba zrobić oględziny tego pokoju i zwłok, a nie mieli techników. Konarskiemu i jego ludziom należało się kilka godzin snu, a gdy wstaną, to czeka na nich pięć tysięcy metrów kwadratowych w wieżowcu. Trzeba będzie kogoś ściągać, może z Olsztyna, ale decyzja i tak należy do komisarza.

Przypomniał sobie o tablecie, zaczął się za nim rozglądać. Dojrzał go w pokoju na podłodze. Ogarnęła go niemal dziecinna nadzieja, że nie wszystko stracone. Może Bonarowie znaleźli Opiekuna i zostawili otwartą jego fotografię. Niestety, zobaczył zdjęcie, które sam wyświetlił.

Do pokoju zajrzał posterunkowy.

— Kur..., co tu się stało? Przecież ona jest sztywna. A ten stary, gdzie jest?

— Też nie żyje. Słyszałeś jakieś odgłosy?

— Nie, nic, przysięgam nic.

Posterunkowy uderzył się w pierś, a za moment spuścił głowę jak uczeń.

— Trochę mi się przysnęło. Przyznaję się. Kur..., miałem ich pilnować jak własnych rodziców. Sorry, aspirancie, skrewiłem. A stary to w łazience?

Posterunkowy nie czekał na odpowiedź, już tam zaglądał.

— O kur..., co to jest? Na lustrze, widział pan to?

Nowak trzymał w ręku telefon, zamierzał zadzwonić do komisarza. Lustro w łazience, tak, widział je, całe pomazane pastą do zębów. Pomazane pastą? Przecież tutaj nie było dzieci. Uderzyła go ta myśl z wielką siłą. Odsunął posterunkowego i stanął w drzwiach. Półka, a na niej dwie szczoteczki, tubka z pastą i mydło w płynie, taki zestaw na pewno otrzymał każdy zakładnik. Całe lustro było pokryte pastą do zębów. Na pierwszy rzut oka wydawało się nią wymazane, ale po chwili biała mozaika zaczęła przybierać kształt liter. Rumun musiał się mocno skoncentrować, żeby wypatrzyć wszystkie i ułożyć je w słowa. Przeczytał w końcu: „Opiekun ma rację, niech mu się powiedzie, naród go potrzebuje”.

Rozdział XXVII

PATRYK LASOCKI OD OSIEMNASTEJ siedział przed komputerem i śledził relację ze szturmu. Akcję ofensywną antyterrorystów pokazywały wszystkie media. Niestety, przekaz był utrudniony z powodu śnieżycy, ponadto dziennikarzy odsunięto na odległość dwustu metrów. Obiektywy kilkudziesięciu kamer zostały więc szybko przesunięte z samego wieżowca na otoczenie wokół niego. Największą sensację wzbudziło dziewiętnaście karetek pogotowia stojących z włączoną sygnalizacją świetlną na alei Odrodzenia. Przedstawiciele mediów biegali od jednego ambulansu do drugiego, zaglądali przez szyby, próbując ustalić, jaki sprzęt do ratowania życia znajduje się w środku.

O osiemnastej czterdzieści dwie jedna z karetek zaczęła wolno sunąć w stronę wieżowca. W pościg za nią rzucili się operatorzy z kamerami. Biegając, wzbijali tuman białego puchu. Zatrzymali ich policjanci z tarczami ustawieni w podwójny kordon. Niebieskie światło na dachu ambulansu przebijało się przez gęsto padający śnieg. Niestety, ratowników z noszami nie dało się dostrzec. Komentatorzy telewizyjni próbowali zgadywać, co się dzieje teraz pod blokiem. Za chwilę niebieskie światło zgasło, a ambulans ruszył. Dziennikarz radiowy krzychał do mikrofonu, że są ofiary śmiertelne, bo ambulans wyłączył sygnalizację, po chwili się zreflektował i dodał, że być może przewożeni są zakładnicy, których życie nie znajduje się w niebezpieczeństwie.

Dziennikarze nie wiedzieli czy jechać za karetką, czy zostać na miejscu. W końcu kilku pojechało na Królewiecką pod szpital. Tam zarejestrowali, jak z ambulansu o własnych siłach wysiadają dwie kobiety w towarzystwie funkcjonariusza.

Kwadrans później do szpitala przywieziono mężczyznę na wózku, kilkunastoletniego chłopca oraz staruszkę, która wprawdzie czuła się dobrze, ale ze względu na wiek należało ją hospitalizować. Po dwóch godzinach od rozpoczęcia szturmów puste ambulanse odjechały spod bloku i to był finał medialnego przekazu. Teraz skoncentrowano się na zbieraniu komentarzy pośród ekspertów, a zwłaszcza polityków.

W internecie pojawiło się kilkanaście filmików nagranych przez zakładników. Największą popularność zyskał ten, na którym wystraszony kundel próbuje wpełznąć pod kanapę. Większość nagrań pokazywała wejście antyterrorystów do konkretnych mieszkań, huk, błysk, krzyki, dym i lecące w powietrzu rozmaite domowe przedmioty, a nawet fragmenty mebli.

Patryk był coraz bardziej rozczarowany. Spodziewał się walki, strzelaniny, wyrzucania zakładników całymi rodzinami z okien, a tu nic z tych rzeczy. Wstał i poszedł do salonu. Sędzia również śledził telewizyjną relację ze szturmów. W tej chwili wypowiadali się eksperci. Można było odnieść wrażenie, że nie wiedzą, jakie stanowisko zająć. W oszczędnych słowach chwalili sprawnie przeprowadzoną akcję, ale zaraz dodawali, że brakuje informacji o zatrzymaniu sprawców. Nagle redaktor w studiu przerwał wypowiedź eksperta i zapowiedział konferencję prasową prezydenta Elbląga Damiana Falenckiego i prokurator Mileny Łempickiej-Król. Na ekranie pojawiło się tych dwoje, stali w głębokim śniegu na tle wieżowca.

Prezydent pierwszy zabrał głos, podziękował antyterrorystom za uwolnienie zakładników. Podkreślił parę razy, że nikt nie zginął i żadna z osób nie została ranna. Poinformował, że lokatorzy nie mogą wrócić do swoich mieszkań, gdyż w bloku trwają czynności policyjne. Zapewnił, że wszyscy otrzymali pomoc w postaci zakwaterowania w elbląskich hotelach, zostały im też dostarczone rzeczy pierwszej potrzeby. Gdy prezydent umilkł, posypały się pytania o sprawców, kim są oraz ilu terrorystów zatrzymała policja. Prezydent przekazał mikrofon prokurator Łempickiej, a ta

przedstawiła dane z zamachu na wieżowiec. Gdy poinformowała o czterech ofiarach śmiertelnych, wśród dziennikarzy przebiegł szmer. Patryk zamarł. Skąd cztery ofiary? Przecież tylko dwoje zakładników zostało wyrzuconych z balkonów, a prezydent przed chwilą oznajmił, że podczas szturmowania nikt nie zginął. Łempicka podniosła głos, żeby przebić się przez narastający gwar. Wymieniła nazwiska pierwszych ofiar. Dziennikarze znowu usłyszeli o Romanie Karolaku i Agnieszce Hulewicz. Następnie poinformowała, że dwie kolejne osoby zginęły kilka godzin przed szturmowaniem, a okoliczności ich śmierci są wyjaśniane. Tożsamość pierwszej z tych ofiar nie została jeszcze ustalona, a drugą jest Dariusz Wawryn, żołnierz po misji w Afganistanie. Nadmieniła, że to właśnie on przechodził z balkonu na balkon, co pokazały stacje telewizyjne. Gdy Łempicka umilkła, jeden z dziennikarzy zapytał, czy to prawda, że żołnierz podjął samotną walkę z terrorystami. Prokurator oświadczyła, że nie ma wiedzy na ten temat. Gdy ponownie posypały się pytania o sprawców, oznajmiła, że to koniec konferencji. Nie czekając na prezydenta, odwróciła się i odeszła. Falencki uniósł ręce w teatralnym geście i poprosił o zrozumienie.

Pięć minut później na antenie pojawiła się telefoniczna wypowiedź Wiktorii Wawryn, która łamiącym się głosem wyznała, że została sama z trzyletnim synem, bo jej mąż zginął, próbując uwolnić zakładników.

— No to mamy nowego bohatera — skonstatował sędzia.

— Jakiego bohatera?

Patryk był zdezorientowany. Nie wiedział, do czego jego ojciec nawiązuje.

— Żołnierz po misji w Afganistanie będzie naszym narodowym bohaterem. Za kilka godzin zajrzyj do sieci, to się przekonasz, że mam rację.

Rzeczywiście, stało się tak, jak zapowiedział sędzia. Internet oszalał na punkcie Dariusza Wawryna. Okrzyknięto go samotnym bojownikiem i wielkim polskim rycerzem. „Dziękujemy”, „Jesteśmy

z Ciebie dumni”, „Polska zapamięta”, takie zdania pojawiały się w co drugim wpisie. Wyrażenie „Bóg — Honor — Ojczyzna” szybko zamieniono na „Bóg — Wawryn — Ojczyzna”. Internauci zaczęli zbierać pieniądze dla młodej wdowy i osieroczonego dziecka. O dziesiątej rano na rachunku bankowym znajdowało się już prawie trzysta tysięcy złotych. Pojawiła się też w sieci petycja z apelem do prezydenta RP, aby pośmiertnie odznaczyć sierżanta orderem Virtuti Militari za dzielność żołnierską oraz za wkład w wojnę z terroryzmem. Oczywiście awans na wyższy stopień wojskowy wszystkim wydawał się oczywisty. Pod petycją podpisało się ponad trzydzieści tysięcy internautów. Od czasu do czasu pojawiały się wypowiedzi, że sierżant niepotrzebnie się wmieszał w uwalnianie zakładników. Gdyby poczekał na szturm, żyłby teraz. Sam sobie jest winien, a tak w ogóle żadnego zakładnika nie uwolnił. Autorzy tych wpisów byli natychmiast zakrzykiwani dużymi literami, oskarżano ich o głupotę, zdradę i sprzyjanie terrorystom. Koło dwunastej wszystkie ważniejsze serwisy informacyjne obiegrała wieść, że Dariusz Wawryn nie został zastrzelony, jak wcześniej podawano, lecz zatłuczony tłuczkiem do mięsa. Policja podobno znalazła narzędzie zbrodni i je zabezpieczyła. Internet na parę minut zamarł, przecież tłuczek do mięsa nie kojarzył się z bohaterską śmiercią. Potem zaczęły pojawiać się głosy, że nieważne, jak zginął, ważne, że walczył. Kolejny news był jak grom z jasnego nieba. To Wawryn zastrzelił czwartą ofiarę, lokatora Szymona Wagnera, męża i ojca dwójki dzieci. Podobno doszło do tego w wyniku tragicznej pomyłki. Patryk już nie czytał kolejnej fali komentarzy, w których przeważały krytyczne oceny na temat wyszkolenia polskiej armii.

Poczuł nagle na ramieniu rękę ojca, aż znieruchomiał zaskoczony. Sędzia nigdy go nie dotykał. Gdy składali sobie życzenia na wigilię, podali sobie tylko dłonie, żadnego przytulania, ojcowskiego poklepywania po plecach. Jego siostra Izabela była równie chłodna w okazywaniu uczuć. Jeszcze parę lat temu zdarzało się, że cmoknęła go w policzek, ale zawsze robiła to pospiesznie, ledwo

muskając go ustami. Dzisiaj nawet nie zatrzymywała na nim wzroku. Pamiętał, że mama często go przytulała, a w kościele mógł nawet siedzieć na jej kolanach, co zwykle się nie podobało dwom paniom w kapeluszach zajmującym najbliższą ławkę.

Sędzia stał obok i wciąż trzymał dłoń na jego ramieniu. Patryk czuł rozlewające się po jego ciele przyjemne ciepło. Oderwał wzrok od smartfona i spojrzał na ojca.

— Pójdziemy się przejść.

Patryk nie wiedział, czy ojciec go pyta, czy jedynie zapowiada swoją decyzję. Milczał więc, czekając na jego dalsze słowa. Aż dech mu zaparło, gdy sędzia znowu się odezwał.

— Weź ze sobą sig sauera, naładowanego.

Nie mógł uwierzyć, że to już dzisiaj. Myślał, że ten wielki dzień nastąpi za parę tygodni. Był wzruszony, łzy napłynęły mu do oczu.

— Tato, dziękuję, zobaczysz, nie rozczaruję cię.

Sędzia zabrał rękę z jego ramienia.

— Bądź gotowy za pół godziny.

Był wniebowzięty. Miał wrażenie, że właśnie wszedł na wyższy poziom człowieczeństwa. Wcześniej zabijał, żeby udowodnić, że potrafi, aby potwierdzić swoją wyjątkowość. Zastrzelenie człowieka bez konkretnego powodu wydawało mu się niezwykle, zabić z nienawiści czy zazdrości każdy może, ale bez powodu... do takiego czynu zdolne były tylko jednostki wybitne. Dzisiaj będzie inaczej, dzisiaj zastrzeli na polecenie, a raczej na życzenie ojca. Sędzia wyda wyrok, a on go wykona. Przysłużą się społeczeństwu, całemu światu.

Poszedł do swojego pokoju, włożył czarne dżinsy i sweter w tym samym kolorze. Markerem napisał na blacie biurka: dzisiaj narodzę się na nowo. Z pudełka wyciągnął sig sauera, przesunął palcem po gładkiej lufie, dreszcz rozkoszy wstrząsnął nim. Takie nieduże narzędzie, a tyle można przy jego pomocy zdziałać. Włożył broń do futerału, całość schował do kieszeni kurtki. W najbliższej przyszłości będzie musiał się postarać o pas z kaburą. Wtedy będzie mógł nosić pistolet bliżej ciała. Wyszedł do przedpokoju. Sędzia stał już przy

drzwiach wyjściowych. Miał na sobie czarny płaszcz do kolan i czapkę z nausznikami, którą dostał od Izabeli z przeznaczeniem, że ma mu służyć w Bazantarni podczas joggingu zimą.

Wyszli z mieszkania na pięknie rozświetlone i zasypane śniegiem stare miasto. Ulica i chodniki lśniły bielą, oślepiając ich. Patryk przymrużył oczy. A co, jeśli przyjdzie mu strzelać w takim blasku? Koszmar.

— Tato, muszę wrócić po okulary przeciwsłoneczne.

— Nie musisz, jest prawie czternasta, słońce zaraz zajdzie.

Sędzia miał rację, za niecałą godzinę zrobi się szaro. Ruszyli w stronę placu Słowiańskiego.

Patryk nie pytał, dokąd idą, ale był tego ciekaw. Chciał wiedzieć, czy będzie musiał strzelać na dworze, czy w mieszkaniu, a może przyjdzie mu przyczać się w klatce schodowej. Miał dobre oko i pewną rękę, ale wolałby nie strzelać do ruchomego celu. Interesowało go też, kim będzie sam obiekt. Na pewno ktoś, kto złamał prawo, ale z różnych powodów, choćby powiązań biznesowych czy rodzinnych, nie można było go skazać. Sędzia nikomu nie przepuści, *iustitia omnibus*. Patryk pomyślał, że to byłoby niezwykle ekscytujące strzelić dzisiaj do kobiety. Żeby tylko była ładna i młoda i żeby wiedziała, że zaraz zginie. Chciałby zobaczyć na jej twarzy strach na ułamek sekundy przed naciśnięciem spustu.

Skręcili w ulicę Pocztową. Budynki stały między głębokimi zaspami śniegu. Biały puch zdawał się wciskać wszędzie, zalegał na parapetach, balustradach, progach, przyklejał się do pochyłych dachów i układał w czapy na kominach. Nie był to wcale sielankowy krajobraz, było w nim coś groźnego, jakby zapowiedź katastrofy, jakby zaraz miała nadjechać królowa śniegu i swoim oddechem zamrozić ulicę i wszystkie znajdujące się tutaj osoby. Patryk zadrżał. Nie, nic złego nie może się wydarzyć, a na pewno nie jemu. Zastrzeli człowieka i zniknie, policja go nie złapie, sędzia na to nie pozwoli, przecież ich współpraca nie może się zakończyć na tej jednej

sprawie. Włożył dłoń do kieszeni i dotknął futerału, w którym leżał pistolet. Od razu poczuł się lepiej, drżenie ustało. Sędzia szedł obok niego w milczeniu, równym pewnym krokiem. Spokój ojca bardzo mu pomagał. Będzie dobrze.

Weszli do parku Kajki, śnieg niemal sięgał im do połowy łydek, przedzierali się aleją w stronę ulicy Pionierskiej. Nagle ojciec się zatrzymał i rozejrzał, w zasięgu wzroku nie było ani jednej osoby. Widzieli za to światła samochodów wolno sunących po ulicy Piłsudskiego. Zapadał zmrok. Sędzia podszedł do ławki i zaczął zgarniać z niej biały puch. Patryk stał zaskoczony.

— Tato, to się stanie tutaj?

— Tak, synu, musimy tu poczekać.

Patryk miał ochotę zapytać na kogo. Kim będzie ta osoba, na której wykona wyrok? Nie chciał jednak okazywać zniecierpliwienia. Sędzia sam mu wszystko powie.

Ojciec usiadł na ławce i wskazał odśnieżone miejsce obok siebie. Patryk posłusznie przycupnął. Miał dość krótką kurtkę. Czuł, że mróz wciska mu się w pośladki. Żeby tylko nie musieli długo czekać, bo zmarznie, mięśnie mu ścierpną, dłonie zgrabieją i będzie miał problem z oddaniem strzału.

Wypatrywał zbliżającej się sylwetki. Nikt się jednak nie pojawiał.

— Wyciągnij się sauera — polecił sędzia.

Patryk wyjął futerał z kieszeni, a z niego pistolet. Odbezpieczył go i od razu położył palec na spuście. Postanowił, że będzie strzelał w rękawiczkach, w tych, które dostał w tym roku na gwiazdkę od ojca. Były miękkie, z cienkiej skóry, wyścielane od środka materiałem. Sędzia miał identyczne.

Czekali dalej. Patryk patrzył w dal, zatrzymując wzrok na formie przestrzennej. Metalowe szpony czerwonej barwy wystawały ze śniegu, jak gdyby spod zasy py próbował się wygrzebać jakiś mechaniczny stwór o gigantycznych rozmiarach.

Pionierską przejechał samochód. Nikt nie nadchodził.

— Długo będziemy czekać? — zapytał Patryk.

— Nie. Daj mi na chwilę sig sauera.

Kierując lufę w dół, podał ojcu pistolet.

— Chciałbyś dzisiaj strzelić do człowieka? — spytał sędzia.

— Tak.

— Chciałbyś zabić?

— Tak.

Poczuł, że serce zaczyna bić mu szybciej, jak gdyby już celował, jak gdyby miał za chwilę nacisnąć spust i odebrać komuś życie. Ekscytowała go własna moc.

— Zrobisz to? — pytał dalej sędzia.

— Tak, zrobię.

Patryk nagle poczuł pustkę w dłoniach. Nie miał pistoletu. Wyciągnął rękę do ojca w geście domagającym się zwrotu sig sauera. Ten nie zareagował.

— Kiedy przyjdzie ofiara?

Patryk usłyszał w swoim głosie drzenie. Skąd się ono wzięło? Przecież przed chwilą z taką pewnością zapewniał, że chce strzelić, że zabije. To może od tego przejmującego mrozu, który przeszywał go aż do kości.

— Tato, nie możemy dłużej czekać, jest zbyt zimno. Zaraz zacznę dzwonić zębami. Jak mam niby trafić w obiekt?

— Masz rację, nie możemy dłużej czekać.

Sędzia mówił spokojnym, nawet chłodnym tonem, ale Patryk usłyszał coś jeszcze, głęboki oddech, jak gdyby westchnięcie. Zabrzmiało to jak zapowiedź czegoś tragicznego, nieodwracalnego. Nagle zawładnął nim prosty bezmyślny strach. Jeszcze nie wiedział, czego się boi.

— Tato, nie!

Te słowa wypadły z jego ust niemal samoistnie, nie zdążył ich pomyśleć. Struny głosowe wyprzedziły mózg, w którym właśnie kształtowało się jasne i konkretne spostrzeżenie. Sędzia nie przepuścił żadnemu sprawcy, nawet własnemu synowi.

Gdzieś daleko odezwał się klakson samochodu, złał się on

z szeptem sędziego:

— Wybacz mi, synu.

Śnieg zaczął zmieniać barwę, ciemniał, szarzał, nabierał grafitowego odcienia, aż w końcu stał się czarny jak smoła. Patryk pomyślał jeszcze, że nie chce umierać, że jest gotów się zmienić, być uczciwym, zwyczajnym chłopakiem.

Gdy rozległ się huk, trzy wrony zerwały się z pobliskiego drzewa i z krzykiem odleciały w stronę ulicy Pionierskiej.

Rozdział XXVIII

SOROKA WSPINAŁ SIĘ PO SCHODACH, za nim szedł Leonard Jaszczur, pochod zamykał Rumun. W milczeniu mijali kolejne kondygnacje. Wiatr hulał po klatce, szarpiąc skrzydłami okien i drzwiami do mieszkań. Pod ich butami chrzęścił piasek i kawałki szkła. Co chwilę rozlegał się huk, bo któreś okno bądź drzwi pchnięte przez mocniejszy podmuch uderzały w futrynę. Nigdzie żywej duszy, ale ludzkie głosy było słychać, dobiegały z telewizorów i odbiorników radiowych. Mieszkańcy nie zdążyli ich powyłączać przed ewakuacją. Znowu rozległ się przeciągły gwizd wiatru pędzącego w dół klatki schodowej. Podmuchy niosły ze sobą lodowate zimno. Ponure miejsce, blok widmo.

Wdrapali się na szóste piętro. Drzwi do mieszkania Agnieszki Hulewicz były wyłamane jak w wypadku każdego innego lokalu. Weszli do środka i skierowali się na lewo, do największego pokoju. Wyglądał jak po przejściu kosmicznej burzy, która pozostawiła srebrzysty piasek na meblach, parapecie, futrynach i drobnych przedmiotach. Był to argentorat, posłużył technikom do zabezpieczenia śladów daktyloskopijnych.

Drzewko świąteczne nadal leżało na dywanie, zostało jednak przesunięte przynajmniej o pół metra. Jego poprzedni kontur lokalizacyjny wyznaczał ślad obsypanych igieł. Jaszczur stanął nad choinką lekko pochylony, jak gdyby przymierzał się do jej podniesienia.

— Gdy tu weszliśmy z bratem, na choince świeciły się lampki. Wyłączyłem je. Miałem rękawiczki, moich odcisków palców nie znajdziecie na wtyczce. Agnieszka miała chłopaka, to może on. Przeszedł do niej, pokłócili się i walnął ją czymś ciężkim.

Aspirant Nowak wyciągnął z kieszeni notes i długopis.

— Jak się nazywa ten chłopak, imię i nazwisko.

— Nie mam pojęcia, zapytajcie rodziców Agnieszki, na pewno go znają.

— To może chociaż rysopis?

— Rysopis? Zwyczajny chłopak, krótko ostrzyżony.

— Trochę mało, mógłby pan coś dodać?

— Człowieku, czy musisz być gliną z kawałów? Przecież rodzice Agnieszki wszystko wam o nim powiedzą.

Nowak spokojnie zamknął notes.

— Wczoraj przesłuchaliśmy chłopaka ofiary i wykluczyliśmy go z kręgu podejrzanych.

— To dlaczego pan mnie pyta o jego nazwisko, adres i jeszcze mam podawać rysopis? To ma być śledztwo? Jesteście pieprzonymi amatorami. — Jaszczur podniósł głos. Na jego wargach pojawiły się kropelki śliny. — Dlaczego tak postępujecie? Tak bezsensownie? Jesteście psami, powinno wam zależeć na znalezieniu mordercy.

— Zależy nam — mruknął komisarz. — Dlatego tu jesteśmy, dlatego te wszystkie pytania.

— Aha, rozumiem, próbujecie mnie złapać na jakimś małym kłamstewku, żeby potem udowodnić przed sądem, że nie mówię prawdy. Ten numer wam się nie uda, ja nie kłamię. To nie ja zabiłem Agnieszkę Hulewicz ani mój brat. Przysięgam, to nie my.

Komisarz włożył wtyczkę do kontaktu. Choinka rozbłysła czerwonymi światełkami.

— Wraz z bratem wyrzuciłeś z ósmego piętra Romana Karolaka. Skoro jego zabiliście, co wam szkodziło zabić też dziewczynę?

Jaszczur zacisnął dłonie na swoich przydługich włosach, jak gdyby chciał je rwać z bezsilności.

— Agnieszka była zwyczajną dziewczyną, a Karolak to recydywa, pedofil, powinien siedzieć. Był niebezpieczny, zagrażał mieszkańcom. Jedną z kobiet wciągnął do mieszkania. Ludzie bali się o swoje dzieciaki. Dzwoniliśmy do was, a wy co? Nic nie zrobiliście. Opiekun

miał rację, gdy mówił, że policja nie jest dla społeczeństwa, lecz dla tamtych, żeby się im wysługiwać.

— Karolak to recydywa i pedofil, a ty jesteś mordercą — oznajmił Kamil.

— Nie jestem, oczyściłem jedynie teren z chwastu i zrobiłem to dla nas wszystkich, dla lokatorów.

— Ile za to miałeś dostać z tych dziesięciu milionów euro?

— Nie tak wcale dużo, nie dla kasy to zrobiłem.

— No to ile?

— Sto tysięcy euro.

— A teraz ile zarabiasz?

— Przecież wiecie, że aktualnie nie pracuję.

— To na razie pracy nie szukaj — wtrącił się aspirant Nowak. — Za zabójstwo jest osiem lat minimum, za przetrzymywanie ludzi drugie tyle.

Jaszczur kopnął krzesło. Te przesunęło się i przewróciło przeciążone masywnym oparciem.

— Podnieś! — polecił komisarz.

Mężczyzna już się pochylał, ale nagle się wyprostował i jeszcze raz ze złością kopnął w krzesło. Uderzyło w kaloryfer z głośnym hukiem. Kamil złapał zaskoczony Leonarda za szalik i przyciągnął do siebie, zaciskając supeł na jego szyi. Widział niepewność w jego czarnych oczach. Z satysfakcją warknął mu wprost w twarz:

— Pamiętaj, że nie jesteśmy na komendzie, tu nie ma kamer. Jeśli złamiesz sobie rękę w łokciu, to z powodu krzesła, w które zbyt mocno uderzyłeś.

W lustrze pochwycił potępiające spojrzenie Rumuna i stanowczy gest, nakazujący mu zaprzestać straszenia podejrzanego. Puścił Jaszczura, odpychając go jednocześnie. Ten poleciał na stół, przesuwając go o kilka centymetrów.

— Będę z wami rozmawiał tylko w obecności adwokata. Nie wrobicie mnie w morderstwo Agnieszki Hulewicz. — Nerwowym ruchem luzował szalik pod szyją. — Gdy weszliśmy do tego

mieszkania z bratem, ona już nie żyła.

— Po co do niej przyszliście? — zapytał Nowak.

Jaszczur postawił krzesło, które wcześniej kopnął, i ciężko na nie opadł.

— To było zaraz po rozpoczęciu całej tej akcji. Najpierw Gryzoń, to znaczy Mateusz Wilczewski z drugiej klatki, zamontował prawdziwe ładunki wybuchowe. On się na tym zna, robi własne bomby i odpala je na Modrzewinie, zawsze ma widownię. Gryzonia to wy chyba znacie, bo raz patrol przyjechał na tę pokazówkę. Od razu zakleiliśmy drzwi wyjściowe, żeby już nikt nie mógł opuścić bloku i nie zdetonował tych ładunków. Potem zakleiliśmy folią okna w mieszkaniach na parterze i pierwszym piętrze, i ustawiliśmy tam atrapy bomb. O oknach na klatce zapomnieliśmy, dopiero po pewnym czasie zamalowaliśmy je farbą w sprayu, na szczęście miałem w domu cztery puszki. No i przykleiliśmy do górnej krawędzi okna karton z atrapą ładunku wybuchowego. Specjalnie tak wysoko, bo liczyliśmy się z tym, że komuś z mieszkania pies ucieknie. Gdyby się dostał do kartonu, toby się sypnęło, że to żadna bomba. Jeśli chodzi o listy na wycieraczkach, to nie jest nasza robota, my też dostaliśmy wiadomość. Nie wiem, kto je zostawił. Wychodzi na to, że więcej lokatorów pracowało dla Opiekuna. Nie wiedzieliśmy nawzajem o sobie, przynajmniej nie o wszystkich. Ja nie miałem pojęcia o Bonarze, że on też. Gdy do mnie zadzwonił, byłem w szoku. Wtedy w wigilię, gdy już zakleiliśmy wszystko, co mieliśmy zakleić, przebraliśmy się w piwnicy w cywilne łachy i wróciliśmy do mieszkania. Teraz musieliśmy udawać, że jesteśmy zakładnikami. To wtedy zadzwoniłem do straży miejskiej i powiedziałem, że ktoś dla żartu zakleił drzwi do bloku taśmą budowlaną. Ludzie też już zaczęli dzwonić na policję i do lokalnych mediów. Gdy na Portelu ukazał się artykuł, sam umieściłem pod nim komentarz. Brat zaproponował, żebyśmy jeszcze wdepnęli do dwóch, trzech sąsiadów i pogadali z nimi. Chcieliśmy, żeby brano nas za zakładników, żeby nikt nas nie podejrzewał. No i wtedy przyszliśmy tutaj. W pierwszej

chwili pomyślałem, że coś jej się stało, że zemdląca, a przewracając się, złapała za choinkę. Nie zauważyłem, że ma z boku rozwaloną głowę, zaraz za lewą skronią. Brat mi dopiero to pokazał. Obaj sprawdzaliśmy, czy oddycha. Przykładałem palce do jej ust. Brat znalazł małe lustro w łazience, nawet odrobina pary się na nim nie pojawiła. Umowa z Opiekunem była taka, że kontaktujemy się tylko przy pomocy internetu. Rozmawialiśmy przez szyfrowany komunikator Wire. Zostawiłem mu wiadomość o trupie. Odpowiedź przyszła po kilkunastu minutach, mieliśmy włożyć Agnieszce do kieszeni list z żądaniami i za parę godzin wyrzucić ją przez balkon. Gdy to wszystko się zaczęło, jechaliśmy na adrenalinie. Emocje były tak wielkie, że nas nosiło, Karolaka wyrzuciliśmy bez wahania, z pełnym przekonaniem, że tak trzeba, że muszą być ofiary, a przy okazji oczyszczamy społeczeństwo z chwastów. Opiekun nas przekonał, że robimy jedynie to, co powinna zrobić policja i sąd. Organy państwa się lenią, są skorumpowane, wtedy ludzie muszą wziąć sprawy w swoje ręce, tak było zawsze i tak jest teraz. Nie możemy być bierni, świat trzeba zmieniać, uwierzyliśmy w to.

— Głupcy, dzieci są od was mądrzejsze — odezwał się komisarz. — Stare chłopcy i tak źeście dali się zmanipulować. Weź jeszcze mi powiedz, co dobrego przyniósł ten wasz zamach.

Jaszczur milczał. Przytłoczyła go obecna sytuacja. Wzięcie zakładników zakończyło się klęską, Opiekun znikł, a on i brat zostali z dwoma trupami na koncie.

— W jakiej wysokości dostaliście zaliczkę? No bo chyba nie byliście tak naiwni, żeby uwierzyć, że po wszystkim dostaniecie zapłatę.

— Żadnej zaliczki nie było.

Kamil roześmiał się, jak gdyby usłyszał dowcip.

— Czyli nawet na adwokata nie masz, chyba że Opiekun za niego zapłaci. Jak myślisz, pomoże tobie i twojemu bratu? Bo mi się wydaje, że nie.

Mężczyzna z bezradnym zdumieniem spojrzał na swoje dłonie.

— Myślę, że Opiekuna nie było w wieżowcu podczas zamachu.

Sterował nami z zewnątrz.

— Jak to go nie było? Bonar go widział w wigilię, już po zaklejeniu drzwi.

— Staremu musiało się pomieszać w głowie. Może do nich zaszedł przed rozpoczęciem akcji.

Komisarz czuł, że puszczają mu nerwy. Nie potrafili złamać Jaszczura, ten od pięciu godzin ich zwodził. Mówił o Opiekunie dużo, głównie o jego światopoglądzie, o głoszonych przez niego teoriach spiskowych, ale jednocześnie nie był w stanie przypomnieć sobie fizjonomii tego człowieka, nie rozpoznawał go w żadnym z zakładników. Nie pamiętał szczegółów ich pierwszego spotkania, a teraz próbował im wmówić, że Opiekuna nie było w więzowcu. Przywieźli Leonarda tutaj z nadzieją, że miejsce zbrodni go poruszy. Nic z tego, w kółko serwował im ten sam tekst. Nowak też miał już dosyć, może dlatego przejął inicjatywę.

— To tobie powinno zależeć, aby Opiekun wpadł w nasze ręce, nie nam. My już mamy sprawców, ciebie i twojego brata. Wy zostaniecie oskarżeni o zorganizowanie zamachu, o przetrzymywanie zakładników i narażenie ich na niebezpieczeństwo, ponadto o zabicie dwóch osób, Romana Karolaka i Agnieszki Hulewicz.

— Jej nie zabiliśmy.

Nowak zdawał się nie słyszeć tego protestu.

— Możesz być głównym sprawcą albo udowodnić, że ktoś inny tym kierował. Albo dożywocie, albo piętnaście lat, wybieraj, póki masz taką szansę.

Muskularne ramiona Jaszczura opadły, napięcie z twarzy zeszło. Teraz wyglądał na kilkanaście lat starszego.

— Szukajcie Opiekuna na zewnątrz. Myślę, że wyszedł przez piwniczne okienko, może w wigilię, zanim zdążyliście ustawić kordon, albo podczas szturm wyczołgał się na zewnątrz i wyczekał okazję, żeby niezauważonym przejść obok policjantów.

Nowak kręcił przecząco głową.

— Nie, tę drogę ucieczki sprawdziliśmy. Żadne z okienek

piwnicznych nie było otwierane od tygodni, wszystkie framugi były pokryte kurzem.

Leonard przymknął oczy, jak gdyby chciał się odciąć od policjantów i przesłuchania. Jego twarz stała się szara ze zmęczenia. Zbliżała się piętnasta, za oknem zapadał zmierzch.

Kamil wyciągnął z kieszeni pognieciony protokół z oględzin mieszkania Agnieszki Hulewicz i zaczął go przeglądać. Czytał go już kilka razy, ale miał nadzieję, że coś nowego w nim znajdzie, no i znalazł, sierść psa. Konarski odkrył jej obecność w całym lokalu.

— Gdzie jest pies Agnieszki?

Jaszczur natychmiast otworzył oczy.

— Pies? No właśnie, gdzie jest Dropsik? — Poderwał się, jak gdyby chciał biec i szukać czworonoga. — Gdy weszliśmy z bratem do mieszkania, psa nie było, nie wałęsał się też po wieżowcu. Morderca musiał go wypuścić na zewnątrz, bo inaczej by ujadał. To znaczy, że Agnieszka zginęła, zanim Gryzoń zamontował ładunki i zanim zakleiliśmy drzwi do bloku. Morderca też zdążył się ulotnić, na pewno wyszedł razem z psem.

Komisarz nadal przeglądał protokół, a Nowak zaczął spacerować po pokoju. Jaszczur zrozumiał, że jego odkrycie nie zrobiło większego wrażenia na funkcjonariuszach, z powrotem opadł na krzesło.

— Prawdopodobnie masz rację, że Agnieszka zginęła przed rozpoczęciem akcji — zauważył aspirant. — Ale to cię nie uwalnia od podejrzenia o to morderstwo. Mogłeś ją zabić, wypuścić psa i zacząć zaklejać drzwi wyjściowe na ulicę.

Jaszczur otworzył usta, jak gdyby dalej chciał przekonywać funkcjonariuszy o swojej niewinności. Machnął jednak ręką z rezygnacją.

Lista przedmiotów znalezionych w mieszkaniu Agnieszki Hulewicz była długa. Dopiero teraz Kamil zaczął koncentrować się na tym, czego na niej brakuje. Był kabel do laptopa, ale samego laptopa nie było. Uderzająca była także nieobecność telefonu. Mogło więc chodzić o zwykły napad rabunkowy, do którego doszło jeszcze przed

zamknięciem wieżowca. A jeśli to Jaszczurowie zabili Agnieszkę, to gdzie ukryli jej sprzęt? I czy w ogóle mieli czas na to, aby się go pozbyć? No i co takiego znajdowało się na nośnikach, skoro musiały zniknąć?

— Ile czasu zajęło wam zamontowanie ładunków przy drzwiach wyjściowych i ich zaklejenie?

— Nie tak mało, piętnaście minut na każdą klatkę, ale żeśmy się naprawdę spieszyli.

— Nikt wam w tym nie przeszkodził? Nikt akurat nie chciał opuścić bloku ani wejść?

— W tamtej klatce nagle na schodach pojawiła się dziewczyna, bardzo młoda, nastolatka. Chyba była gościem u kogoś, bo nigdy jej nie widziałem. Gryzoń akurat montował ładunek wybuchowy. Miał na sobie kominiarkę, a my w przebraniach świętych mikołajów. Patrzyła na nas przez chwilę, a potem pobiegła na górę. Bałem się, że zaraz wróci z kimś dorosłym. Szybko zakleiliśmy drzwi taśmami budowlanymi i schowaliśmy się do piwnicy. A tutaj, w tej klatce jakiś mężczyzna wychodził, gdy zaczynaliśmy robotę.

— Kto to był?

— Na pewno nie lokator, ale bywał u nas w bloku, bo jak rzuciłem okiem na niego, to zdawało mi się, że już go widziałem.

— Mógł to być chłopak Agnieszki Hulewicz?

— Nie, tamten to ziomal z dzielnicy, a ten taki elegancki gościu.

— Niósł coś?

— Nie zauważyłem.

— Gdzie jest laptop i telefon Agnieszki Hulewicz?

— Nie wiem. My niczego nie zabraliśmy z tego mieszkania.

Kamil wyjrzał przez okno na zaśnieżony balkon, na ciemniejący horyzont. Lampy uliczne wzdłuż alei Odrodzenia właśnie rozbłyły, zalewając białą ulicę blaskiem.

— Wracamy na komendę — zakomunikował stanowczym tonem.

Leonard Jaszczur posłusznie włożył kurtkę i poprawił szalik. Gdy schodzili klatką schodową, zza drzwi któregoś mieszkania dobiegł do

nich głos dziennikarza nadającego spod hotelu Galeon. Ubolewał nad trudnym położeniem zakładników, którzy wciąż przebywali w zamknięciu, podkreślił też, że nadal nie schwytano sprawców. Dwa piętra niżej usłyszeli głos opozycyjnego polityka, rozwodził się na temat porażki poniesionej przez policję, która pozwoliła uciec zamachowcom, i domagał się dymisji komendanta głównego oraz ministra spraw wewnętrznych. Komisarz pomyślał, że jeśli nagonka medialna przybierze na sile, sam będzie musiał pożegnać się ze stanowiskiem naczelnika wydziału kryminalnego elbląskiej policji.

Na komendzie wpadł na prokurator Łempicką. Szła korytarzem na pierwszym piętrze, mocno stukając obcasami o drewnianą podłogę. Co ona tu robi? Miała przecież przesłuchiwać zakładników w prokuraturze.

— Kamil, szukałam cię.

— Trafiłaś na trop Opiekuna? Z tym tu przyjechałaś?

— Mam jedną osobę, która miała z nim kontakt. Dominika Kubiak, pamiętasz ją?

Pamiętał, rok temu od tej trzydziestoparoletniej kobiety wyłudzone trzydzieści sześć tysięcy złotych. Przekazała je mężczyźnie, który podał się za pracownika Centralnego Biura Śledczego. Niestety, pieniędzy nie udało im się odzyskać.

— Na liście zakładników nie ma Dominiki Kubiak — zauważył Kamil.

— Wyszła za męża i zmieniła nazwisko, to teraz Dominika Jabłowska. Opiekun przekonał ją, że te pieniądze rzeczywiście ukradł jej funkcjonariusz CBS, a zrobił to na polecenie rządu, bo władza okrada swoich obywateli, a my chronimy złodziei. Pani Jabłowska wykrzyczała mi w twarz, co myśli o takich jak ja. Gdy jej uświadomiłam, że pomagając Opiekunowi, przyczyniła się pośrednio do śmierci czterech osób, załamała się. Musiałam dzwonić po lekarza. Zabrali ją do szpitala, na oddział psychiatryczny. Pilnuje jej dwóch policjantów. Mam nadzieję, że pani Dominika nie postanowi pójść w ślady Bonarów. W tej sprawie nie trzeba nam

więcej trupów.

— Rozpoznała Opiekuna wśród zakładników? Powiedziała coś więcej o nim? Podała rysopis?

Milena kręciła przecząco głową.

— Niestety, nie zdążyłam o wszystko jej wypytać. Słuchaj, Kamil, właściwie przyszłam tu w innej sprawie. Potrzebuję ekipę do samobójstwa. Medyk sądową już zawiadomiłam, daj mi dwóch techników.

Kamil zaklął w duchu, jeszcze tego im trzeba było, i tak dziwne, że w tym roku samobójstwo trafiło im się dopiero po świętach, a nie tradycyjnie w wigilię.

— Wszyscy technicy są w wieżowcu na Okulickiego. Zaraz zadzwonię do Konarskiego, żeby dwóch odesłał. A w ogóle, dlaczego ty się tym zajmujesz? Gdzie są inni prokuratorzy? Znowu leczą kaca po świętach? Niech ktoś cię zastąpi, a ty wracaj do przesłuchań, to teraz najważniejsze.

— Nikt mnie nie zastąpi, muszę tam pojechać i przeprowadzić oględziny. — Ciężko przełknęła ślinę, dolna warga jej zadrżała. — To Patryk Lasocki się zastrzelił.

Zaskoczyła go tą informacją. Miał ochotę powiedzieć, że to dobrze, jednego psychopaty mniej. Milczał jednak.

Otworzył drzwi do swojego pokoju i wciągnął prokurator do środka. Usiadła za jego biurkiem, a on stanął naprzeciw niej.

— Co właściwie wiesz na ten temat?

— Sędzia zadzwonił do mnie i powiedział, że Patryk się zastrzelił w parku Kajki w jego obecności. Strzelił sobie w głowę. Na miejscu jest już dwóch policjantów z prewencji.

— Myślisz, że sędzia mógł zabić własnego syna?

— Nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Pod tym kątem przeprowadzę oględziny. To byłoby straszne, gdyby sędzia go zastrzelił.

— Poradzisz sobie? Może lepiej byłoby, żeby inny prokurator się tym zajął. W końcu byłaś związana emocjonalnie z ofiarą.

— Poradzę sobie.

Westchnęła. Pochylił się przez biurko i uścisnął ją za ramię. Znowu go zdumiało, że jest taka szczupła. Drobne kości wygięte w delikatny łuk, opięte cienką warstwą elastycznych mięśni, nie było ich widać przez żakiet, ale czuł je doskonale pod palcami i miał wrażenie, że niechcący mógłby je zgruchotać. Kosmyk włosów opadł Milenie na policzek. Niemal odruchowo założył go za jej ucho.

— Zmieniasz się — zauważyła.

— Nieprawda — zaprotestował.

Gdy się związał z Mileną, obawiał się, że w pracy będzie robiła do niego słodkie minki i posyłała znaczące spojrzenia, nie mówiąc o ukradkowych uściskach. Na szczęście zachowywała się normalnie, za co był jej wdzięczny. A teraz sam pozwalał sobie na gesty, których obawiał się z jej strony.

— Chciałem ci tylko dodać otuchy — wyjaśnił, prostując się. — Lubiłaś kiedyś tego chłopaka, teraz zapewne nie jest ci łatwo.

Znowu westchnęła.

— Gdy sędzia mi powiedział, że Patryk się zastrzelił, poczułam ulgę. Teraz z tego powodu mam wyrzuty sumienia.

— Nie da się ukryć, że młody Lasocki poszedł nam na rękę — mruknął Kamil. — Już z jego powodu więcej kłopotów nie będziemy mieli.

Przytaknęła i wstała zza biurka.

— Jadę.

Wyminęła go i wyszła na korytarz.

Rozdział XXIX

PATRYK LASOCKI LEŻAŁ NA PARKOWEJ ŁAWCE, na prawym boku. Przypadkowy przechodzień mógłby stwierdzić, że ten chłopak nieopatrznie zasnął i w ten sposób stracił życie, uśmiercony przez bezlitosny mróz. W świetle policyjnych reflektorów jego twarz była nienaturalnie biała, wargi straciły swoją różowawą barwę i stały się niewidoczne, na rzęsach, pod nosem i w kącikach ust pojawił się szron.

Milena wpatrywała się w martwą twarz chłopaka, który kiedyś tak bardzo przypominał jej syna, i czuła przejmujący smutek. Ogromny ciężar narastał w jej piersiach i szukał ujścia w łzach i głośnym płaczu. Gdyby była sama, emocje wzięłyby górę, ale na szczęście miała obowiązki. Opisywała w protokole ułożenie ciała ofiary. Źle się notowało na mrozie, bo palce drętwiały, a długopis nie chciał sunąć po papierze. Bolały ją oczy. Nie wiedziała, czy to ze zmęczenia, czy może od łez, które starała się trzymać pod powiekami. Nie było jej szkoda Patryka, nie jego tragiczny los ją zasmucał. Śmierć chłopaka była jak zerwana zawlecзка, tylko uwolniła tkwiące w niej od dawna uczucia.

Stojący obok niej funkcjonariusz przestał robić zdjęcia.

— To będą trudne oględziny — zauważył. — Nie widzę broni, a łuskę to nie wiem, jak znajdziemy w tym śniegu. Może przyjdzie nam czekać do odwilży.

Milena już wcześniej rozglądała się za sig sauerem, koncentrując się na zagłębieniach w śniegu. Ławka stała w co najmniej trzydziestocentymetrowej zaspie, widoczne były ślady butów Patryka i sędziego. Przy samej ławce śnieg nie był zdeptany. Po tym jak chłopak się zastrzelił, jego ojciec wstał i odszedł, nie krążył wokół

syna, nie stał nad nim, nie próbował go ratować. Gdy przyjechali na miejsce zdarzenia, sędzia stał przy formie przestrzennej przypominającej dwa węże w tańcu i palcem w brązowej rękawiczce zsuwał śnieg z metalowej konstrukcji. Dopiero teraz do niej dotarło, że ojciec i syn mają identyczne rękawiczki, ciemnobrązowe, lekko wpadające w rudą barwę. Genialne rozwiązanie, gdyby to sędzia miał zabić syna. Po zastrzeleniu Patryka mógł zamienić się z nim rękawiczkami, czyli te z prochem powystrzałowym znalazłyby się na dłoniach syna. A jeśli w ich wnętrzu odkryliby ślady DNA sędziego, zawsze mógł powiedzieć, że któregoś dnia włożył je przez pomyłkę, bo mieli identyczne pary.

— Widzi pan zagłębienie w śniegu zaraz przy lewej nodze ofiary? — zapytała.

— Tak. Myśli pani, że tam spadła broń?

— Tak, prawdopodobnie wbiła się pionowo w śnieg. Trzeba będzie dobrze udokumentować jej położenie, to może być ważne przy ustaleniu, czy wypadła z ręki ofiary, czy nie.

Zbliżyła się do nich medyk sądowa Magda Piekarska.

— Dokumentacja skończona?

— Tak, ale musisz jeszcze chwilę poczekać. Najpierw zabezpieczymy ślady GSR na ubraniu Edwarda Lasockiego.

Ruszyła w stronę radiowozu, w którym siedział sędzia. Widząc ją, wysiadł.

— Niech pan się chowa, nie mam zamiaru pana przesłuchiwać na tym mrozie. Zaraz przyjdzie technik i poszuka na pana ubraniu pozostałości po wystrzale.

Wsiedli oboje do samochodu. Milena zdjęła rękawiczki i roztarła ręce. Z torby wyjęła kolejny protokół, wpisała godzinę i opisała okoliczności, w których miało nastąpić przesłuchanie. Spojrzała na sędziego. Patrzył na nią spokojnymi oczami, jego twarz jak zwykle nie wyrażała żadnych emocji.

— Czuje się pan na siłach, żeby odpowiedzieć na kilka pytań?

— Tak, proszę pytać.

— Zastrzelił go pan?

— To mój syn. Dla dzieci robi się tylko dobre rzeczy.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Nie zastrzeliłem go.

— Wie pan, gdzie Patryk trzymał sig sauera?

— Myślę, że poza mieszkaniem, bo przecież w przeciwnym razie aspirant Nowak by go znalazł.

— Proszę opowiedzieć, co się dzisiaj stało.

— Przez święta próbowałem poprawić moje stosunki z synem, a raczej starałem się nawiązać je na nowo. Pomógł mi ten cały zamach na wieżowiec, mieliśmy temat do dyskusji. Dzisiaj zaproponowałem synowi wspólny spacer, był posępny, chciałem go rozruszać. Mam wrażenie, że nie miał ochoty iść. Dość długo na niego czekałem na chodniku. Gdyby zwlekał minutę dłużej, poszedłbym sam. Pojawił się w końcu i ruszyliśmy w stronę parku Kajki. Nie chciał rozmawiać, dopiero gdy usiedliśmy na ławce, powiedział parę słów, że nie pasuje do tego świata, że nie może realizować swoich wielkich planów. Zacząłem wypytywać o te plany, wtedy wyciągnął broń. Nie zastrzelił się od razu, zdążyłem nawet pomyśleć, że to mnie zabije, przecież już kiedyś tego próbował. Przyłożył sobie broń z tyłu głowy, do potylicy i strzelił. Nie próbowałem go powstrzymać, a wydaje mi się, że dał mi na to czas.

Milena notowała słowa sędziego i machinalnie analizowała je w głowie. Lasocki dobrze przemyślał każde zdanie, nawet to, że czekał na syna na chodniku. Można było z niego wywnioskować, że Patryk schował pistolet gdzieś na klatce schodowej, dlatego tak długo nie wychodził z kamienicy.

— Czyj to był pomysł, żeby usiąść na ławce?

— Patryka.

— I zgodził się pan? To chyba nie jest pogoda na przesiadywanie na ławce.

— A co by to zmieniło, gdybym się nie zgodził? Myśli pani, że wtedy Patryk by się nie zabił?

Do samochodu zbliżył się technik. Ustąpiła mu miejsce obok Edwarda Lasockiego, sama usiadła z przodu i protokołowała czynność zabezpieczania śladów prochu powystrzałowego. Policjant najpierw przyłożył materiał przylepny do rękawiczek, które sędzia wciąż miał na dłoniach, następnie do płaszcza i do czapki. Na końcu pobrał ślady GSR z twarzy i dłoni.

Milena zadawała rutynowe pytania, które zawsze stawiało się człowiekowi podejrzanemu o użycie broni palnej.

— Strzelał pan w ciągu ostatnich dwóch tygodni? Jeśli tak, to z jakiej broni?

— Nie, nie strzelałem.

— W jakiej odległości znajdował się pan od syna, gdy padł strzał?

— Jakies trzydzieści centymetrów.

— Po której jego stronie pan siedział?

— Siedziałem na lewo od syna.

— Dotykał go pan po wystrzale?

— Nie.

— A broni pan dotykał?

— Nie.

— W której dłoni Patryk trzymał pistolet, gdy strzelił?

— W prawej.

— Czy brał pan śnieg do rąk? Czyścił pan nim rękawiczki?

— Nie.

Milena przestała notować i spojrzała na sędziego.

— Gdy przyjechałam, to strącał pan śnieg z formy przestrzennej.

— Tak, przepraszam, zapomniałem o tym. Ale rękawiczek śniegiem nie czyściłem.

Sędzia odpowiadał spokojnie i zwięźle. Każde zdanie zdawało się świadczyć o jego niewinności. Milena złapała się na tym, że mu kibicuje, że czuje coś na miarę ulgi, gdy słyszy jego kolejną nienaganną wypowiedź. Przestała pisać i się zamyśliła. Czyżby chciała, żeby sędzia uniknął kary? A może po prostu wolałaby, aby śmierć Patryka okazała się samobójstwem. Wypierała z umysłu

obraz rodziciela zabijającego własnego syna, bo napawał ją lękiem. Przecież jej ukochany Krzysiu też był ze swoim ojcem. Skoro sędzia, człowiek przy zdrowych zmysłach, byłby w stanie zabić własne dziecko, to jej mąż opętany urojeniami tym bardziej byłby do tego zdolny.

Technik wysiadł z samochodu. Zostali sami. Zastanawiała się, co ma powiedzieć. Właściwie wypadałoby złożyć kondolencje, przecież znali się też prywatnie.

— Powiadomił pan córkę o śmierci Patryka?

— Jeszcze nie.

Przełknęła ciężko ślinę.

— Komisarz Soroka zauważył, że już nie będziemy więcej mieli kłopotów z powodu Patryka.

Nie chciała przyznać, że sama tak myśli, dlatego przywołała opinię Kamila.

— No cóż, komisarz ma rację, mój syn już nigdy nikogo nie zabije.

Z ust sędziego unosił się biały obłok pary. Wnętrze samochodu szybko się wychładzało. Włożyła rękawiczki.

— Nie dało mu się inaczej pomóc? — zapytała szeptem.

Lasocki nie dał się zwieść temu pytaniu. Milczał.

— Panie Edwardzie, może pan wracać do domu. Niestety, nie odwieziemy pana. Nie ma kto tego zrobić, dostałam bardzo ograniczoną ekipę.

Wysiedli jednocześnie z radiowozu. Sędzia uścisnął jej dłoń, po czym się odwrócił i ruszył zaśnieżonym chodnikiem. Patrzyła za nim przez chwilę z dojmującym smutkiem w sercu. Ten człowiek już nigdy nie uściska swojego syna. A ona jakie ma na to szanse?

Pobiegła w stronę policyjnych reflektorów. Wokół miejsca zdarzenia zaczynali zbierać się gapie, na razie tylko cztery osoby, pośród nich dwa ujadające psy. Funkcjonariusze z prewencji właśnie rozstawiali parawan.

— Zaraz zamarznię! — zawołała Piekarska na jej widok.

Medyk sądowa stała przy zwłokach wciąż leżących na ławce.

— Zdjęłam mu już czapkę i obejrzałam rany po postrzale. Rana wlotowa jest na potylicy. Samobójcy rzadko wybierają to miejsce, bo trzeba rękę dość mocno wygiąć. Raczej przykładają sobie lufę do skroni albo wkładają do ust. Kula wyszła nad czołem, a więc tor lotu pocisku biegnie pod sporym skosem.

Milena wiedziała, co to znaczy. W wypadku zabójstw kierunek lotu pocisku jest najczęściej poziomy, a tutaj wyraźnie wznoszący, a zatem biegli będą wskazywać na samobójstwo. Pochyliła się nad Patrykiem. Jego głowa spoczywała na śnieżnej poduszce, tylko trochę zabarwionej krwią sączącą się z rany wlotowej po kuli. Mróz nie pozwolił posoce swobodnie płynąć, zamienił ją w nieładny brunatny sopel, który sklejał włosy na głowie ofiary. Poruszyła ustami, ale żaden dźwięk z nich nie wypadł. Nie chciała, żeby ktokolwiek usłyszał, że życzy Patrykowi spokoju po tej drugiej stronie, o ile jakaś druga strona istnieje.

Rozdział XXX

KAMIL ZAKRĘCIŁ KUREK Z ZIMNĄ WODĄ, pozwalając, aby po jego ciele przez kilka sekund spływał wrzątek. Brał prysznic w mieszkaniu Mileny. Parę tygodni temu wręczyła mu zapasową parę kluczy. Poczł się wtedy nieswojo. Miał wrażenie, że ona oczekuje wzajemnego gestu, a on nie miał ochoty dawać jej kluczy do swojego domu w Łęczu. Dzisiaj skwapliwie skorzystał z możliwości przenocowania w mieście. Otworzył kabinę i sięgnął ręcznik. Jego wzrok zatrzymał się na słoiczkach z kremem stojących przed lustrem, jeden z nich był otwarty. Milena musiała się rano spieszyć, skoro go nie zakręciła.

Zbliżała się dwudziesta, a ona jeszcze pracowała. Po zakończeniu oględzin wróciła do prokuratury i wznowiła przesłuchania osób, które podejrzewali o kontakty z Opiekunem. Okazało się, że wcale nie było ich mało. Szybko znaleźli klucz, według którego należało ich wynajdywać. Szukali ludzi pokrzywdzonych przez policję, urzędy, różne instytucje, takich jak Dominika Kubiak, od której pieniądze wyłudził rzekomy funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego.

Policyjna kartoteka podpowiedziała im, że powinni przyjrzeć się Hannie Nowakowskiej. To ją usiłował zgwałcić Karolak i nie poniósł za to żadnej kary, prokuratura umorzyła śledztwo w tej sprawie. Ta pulchna blondynka w zbyt dużych okularach zapowiadała się na idealną kandydatkę na współnika sprawcy i rzeczywiście nim była, jej mąż również. Oboje przyznali, że wiedzieli, iż ma dojść do wzięcia zakładników w ich bloku, nie znali jedynie dokładnej daty. Wiedzieli też, że Roman Karolak zostanie zabity, i to ich przekonało do słuszności całego zamachu. Mieli przecież dziewięcioletnią córkę i powinni ją chronić przed takimi zbroczeniami. Skoro policja siedziała z założonymi rękami, pozostawała im likwidacja

potencjalnego zagrożenia i to właśnie zapowiedział Opiekun. Nowakowscy podczas zamachu mieli nakłaniać władze do zapłacenia okupu. Rzeczywiście to robili, umieszczali na forach wpisy z błagalnymi prośbami, aby ich uwolniono. Hanna kontaktowała się z mediami i przez telefon udzielała wywiadów, w których łamiącym się głosem prosiła o spełnienie żądań terrorystów. Nowakowscy twierdzili, że tylko raz spotkali się z Opiekunem i był to zupełny przypadek. Jechali razem z nim windą, która nagle stanęła między piętrami, żadne przyciski nie działały, telefony też nie. Wywiązała się między nimi dyskusja, która trwała niecałe dziesięć minut, do czasu aż winda ruszyła. To on zaproponował, żeby wymienili się numerami telefonów. Zgodzili się chętnie, bo przecież był taki miły, na poziomie. Dalsze kontakty odbywały się wyłącznie telefonicznie. O samym Opiekunie niewiele mogli powiedzieć, bo w windzie zgasło światło. Chyba miał okulary, oboje zapamiętali jego ciepły głos i to, że ładnie się wysławiał, cytował znanych ludzi. Nie rozpoznali go na zdjęciach. Na jutro Kamil zaplanował konfrontację Nowakowskich z pozostałymi zakładnikami. Miał nadzieję, że zidentyfikują Opiekuna po głosie.

Otworzył piwo i pił wprost z butelki. W piekarniku podpiekały się skrzydełka i warzywa. Milena powinna wkrótce wrócić. Włączył telewizor i przeskakiwał z jednego kanału informacyjnego na kolejny. Wszędzie pohukiwała opozycja, żądając dymisji ministra i komendanta głównego. Dziennikarze w podekscytowaniu pytali: Gdzie są terroryści? Najczęściej powtarzano słowo: farsa. Kamil nie czuł już presji mediów i przełożonych. Przed dwoma godzinami przyszedł do niego zaniepokojony komendant i zapytał o postępy. Komisarz zapewnił go, że będzie dobrze. Sprawca na pewno jest wśród zakładników, nie ucieknie im. Odkrycie jego tożsamości to tylko kwestia czasu. Intuicyjnie czuł, że się nie myli. O ile parę godzin temu zdawało mu się, że Opiekun jest postacią nierzeczywistą i nieuchwytną, to teraz stawał się coraz bardziej realny i zapewne niebawem sam wyjdzie z ukrycia.

Wyłączył piekarnik i otworzył kolejne piwo. Rozparł się na kanapie i delektował się zimnym browarem, rekompensując sobie cztery dni abstynencji. Postanowił, że dzisiejszego wieczora poprzestanie na trzech brankach. Musi zachować trzeźwość, przecież w każdej chwili może coś się wydarzyć i będzie musiał wracać do firmy. Teraz na miejscu nad wszystkim czuwał Rumun. Tylko jemu mógł powierzyć to zadanie bez obawy, że coś spieprzy. Co za paradoks, że ufał człowiekowi, który mu tak bardzo zagrażał. Spędził z aspirantem cały dzień, wspólnie przesłuchiwali zakładników, razem w pośpiechu pili kawę. Widząc spokojne i czujne spojrzenie jego czarnych oczu, nabierał przekonania, że nie zdoła powstrzymać kolegi przed rozwiązaniem sprawy kradzieży okupu. Rumun będzie dążył do poznania prawdy, a gdy dowie się, że to komisarz za wszystkim stoi, nie zawaha się przed tym, aby go pogrążyć. Sprawiedliwość na pierwszym miejscu, potem zawodowa lojalność i kumpelskie relacje. Musiał podjąć radykalne kroki, jeśli chciał powstrzymać aspiranta.

Podniósł się z kanapy i wyszedł do przedpokoju. Z kieszeni kurtki wyjął niewielkie pudełko. Otworzył je. Na granatowym pluszu leżał złoty pierścionek. Kupił go dzisiaj jako część swojego planu. Skoro nie miał żadnego wpływu na Rumuna, musiał uniemożliwić mu działanie od strony formalnej. Postanowił, że doprowadzi do zniknięcia nagrania, na którym dziennikarz Mikołaj Bukowski przebrany za kobietę odbiera okup. Nie będzie dowodu, to i sprawy nie będzie. Istniały dwa filmy, jeden znajdował się na komendzie i tego mógł pozbyć się sam. Drugi w sejfie prokuratury, a tam dostęp miała Milena. Postanowił, że się z nią ożeni, potem skruszony przyzna się do kradzieży okupu i poprosi o pomoc. Pomoże mu, bo będzie się bała, że mąż przestępca rzuci cień na nią samą.

Plan był naiwny i miał wiele wad, przede wszystkim pogrążał go w oczach Mileny, no i w końcu Rumun uzyska pewność, że to komisarz stał za kradzieżą okupu, w konsekwencji czekają go napięte relacje z najlepszym podwładnym. Poza tym nadszarpnięta zostanie jego opinia naczelnika wydziału. Co z niego za szef, skoro

nie potrafi upilnować dowodów. To jednak mało go w tej chwili obchodziło. Ważne, że nie będzie obciążającego go nagrania.

Zależało mu na szybkim ślubie, ale najpierw Milena będzie musiała się rozwieść z zaginionym mężem. To nie powinno być zbyt skomplikowane, w takich wypadkach prawo przewidywało wyrok zaoczny. Wszystko powinno dać się załatwić na pierwszym posiedzeniu sądu.

Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Milena napisała, że już wyszła z prokuratury. Na stole w kuchni postawił dwa talerze i nałożył na nie skrzydełka oraz warzywa, pamiętając, że jedzenie powinno dobrze się prezentować. Skrzydełka w półkołu, pośrodku krążki cukinii, a na krawędzi brokuły na zmianę z marchewką. Każda kobieta powinna uznać, że jest dobrym kandydatem na męża, nawet Milena. Usłyszał, że otwierają się drzwi wejściowe, następnie rozległo się ciche stukanie butów o wycieraczkę. W wyobraźni zobaczył, jak resztki śniegu opadają z kozaków Mileny i topnieją na czarnej gumie.

— Jak pachnie! — zawołała z przedpokoju. — Umieram z głodu. — Weszła do kuchni, rozpinając żakiet. — O! Jak smacznie to wygląda i dobrze, że taka duża porcja.

Pobiegła do sypialni. Słyszał, że rozsuwa drzwi szafy, za chwilę odkręciła kran w łazience. Dotknął pudełka z pierścionkiem, które schował do kieszeni spodni. Milena na pewno będzie zaskoczona, nie tyle samym faktem, że się jej oświadcza, ale tym, że właśnie dzisiaj. Był na to przygotowany, miał jej powiedzieć, że planował to zrobić w wigilię, ale ten cały zamach mu przeszkodził, a dłużej nie chce czekać. Dla żartu może dodać, że jubiler dał mu tylko siedem dni na ewentualny zwrot pierścionka.

Weszła do kuchni. Miała związane włosy, włożyła luźną koszulę i bawełniane spodnie. Teraz wyglądała zwyczajnie i młodo, prawie dziewczęco. Dopiero po chwili zauważył, że zmyła też makijaż. Lubił patrzeć na jej czystą i bladą twarz.

— Napijesz się wermutu?

— Tak.

Nalał jej całą szklanę. Wino było częścią jego planu, miało ją pozytywnie usposobić. Usiadła za stołem i od razu sięgnęła po wermut. Na razie zadowolili się tylko dwoma łykami. Przyniósł z pokoju swoje piwo i też usiadł. Zaczęli jeść. Podczas wspólnych posiłków zwykle rozmawiali o pracy, teraz też ją o to zagadnął.

— Kogo jeszcze przesłuchałaś?

— Rodzinę Szymona Wagnera.

— I co? Znali Opiekuna?

— Nie, nie znali.

Milena dokładnie obgryzała skrzydełka. Jedzenie traktowała jako przyjemność, a nie obowiązek, niezależnie od tego, co jadła. Potrafiła nawet delektować się kanapką z żółtym serem.

— A wiesz, że pani Wagner jest kochanką Leonarda Jaszczura? Chodziła do niego na noc w trakcie trwania zamachu. Jej bratowa mi to wyjawiała.

— Mam rozumieć, że Jaszczur nie próbował jej zwerbować? Sam jak gąbka wchłonał chore kawałki Opiekuna, aż dziwne, że wcześniej świadkowie Jehowy go nie zwerbowali.

— Nie miała pojęcia, że to jej kochanek przebierał się za świętego mikołaja, że to on zabił Karolaka. Wierzę jej, jest kompletnie zdruzgotana po śmierci męża, nie byłaby w stanie kłamać. — Milena napiła się wina i wytarła usta grzbietem dłoni. Nagle oznajmiła: — Opiekunem może być każdy z lokatorów.

— Co za przenikliwość? Pani prokurator, robi pani postępy.

Uśmiechnęła się.

— Dziękuję, komisarzu, za uznanie. A tak na serio, to chodzi mi po głowie Łukasz Bocian. Wygląda tak niepozornie, jak gdyby specjalnie nie chciał zwracać na siebie uwagi. Zauważyłeś, że niewiele o nim wiemy?

Kamil przytaknął.

— Podobno przez siedem lat pracował w Stanach jako barman.

Milena prychnęła, jak gdyby usłyszała jakąś niedorzeczność.

A jesteś w stanie wyobrazić go sobie jako barmana? Bo ja nie.

— Dlaczego nie? Przecież to praca jak inne.

— Kamil, no co ty? Nie oglądasz amerykańskich filmów? Przecież w Ameryce człowiek za barem musi być przystojny albo chociaż postawny. Musimy lepiej się przyjrzeć Bocianowi.

Przymknęła oczy, kawałek marchewki zsunął się jej z widelca.

— Smakuje ci kolacja?

Uniosła powieki.

— Tak, dziękuję, że ją przygotowałeś. Myślałam, że będę musiała dziś jeść kanapki i wigilijne śledzie. — Zadumała się, rysując widelcem po talerzu. — Dziwny ten nasz zamach. Zastanawiam się, czy to totalna amatorszczyzna, czy nowa jakość.

Milena miała rację. Wyglądało na to, że sprawca jest tylko jeden, a jego żołnierzami stali się sami zakładnicy.

— Może być to drugie — zagadnął Kamil. — Zamachy, w których zmanipulowane ofiary zabijają się nawzajem, a terroryści przyglądają się z daleka i czekają na kasę. Widzę to jako przyszłość tej branży.

Uśmiechnęła się, słysząc sarkazm w jego głosie.

— Poproszę jutro o profilerę. Niech nam stworzy portret psychologiczny sprawcy.

— Profiler będzie potrzebował na to kilku dni. Nie mamy tyle czasu. To my znajdziemy Opiekuna. Wystarczy mała prowokacja, a sam wpadnie nam w ręce.

— Jaka prowokacja? O czym mówisz?

— O przewidzianej regulaminem pułapce policyjnej. Nie mam jeszcze jej opracowanej, ale jutro z Rumunem pomyślimy nad tym. A teraz powiedz mi, co z śmiercią Patryka Lasockiego. Samobójstwo czy nie?

Milena przetarła dłonią oczy. To była dla niej trudna sprawa. Mógł o nic nie pytać, ale domyślał się, że będzie chciała wyrzucić z siebie emocje. Nie pomylił się.

— Mam nadzieję, że to samobójstwo — wymamrotała zmęczonym

głosem. — Tor lotu kuli by na to wskazywał.

— Podejrzewasz sędziego. Mam rację?

Przytaknęła.

— Sędzia to perfekcjonista. Wydaje mi się, że umiałby zabić w taki sposób, aby wyglądało to na samobójstwo.

— Umiałby — potwierdził Kamil. — W Legionowie robili niedawno doświadczenia. Podobno wystarczy trochę treningu i spora dawka zimnej krwi, a da się zabić drugiego człowieka z przyłożenia w taki sposób, aby pocisk poszedł wznosząco.

Patrzyła na niego smutnymi oczami.

— Spora dawka zimnej krwi, tego sędziemu nie brakuje. Zastanawiam się jednak, czy byłby w stanie zabić własne dziecko.

— Każdy byłby w stanie, jeśli uwierzy, że tylko w ten sposób dziecku może pomóc.

Milena opuściła głowę, jak gdyby właśnie usłyszała wyrok. Zagalopował się, nie powinien tego mówić. Za późno, już odniosła jego słowa do sytuacji Krzysia, który znajdował się w rękach nieobliczalnego ojca.

— Przepraszam — szepnął.

— Nie przepraszaj. Masz rację. — Ponownie przetarła oczy. — Wiem, że Lasocki jest w stanie nas przechytryć. Zastanawiam się, czy mu na to nie pozwolić.

Za to właśnie cenił Milenę, nie zaślepiał jej kodeks, umiała być elastyczna. Decydowała się na to, co w danej chwili było najkorzystniejsze, na przykład wiązało się z mniejszymi stratami społecznymi. Owszem, trzymała się przepisów prawa, ale były one przede wszystkim narzędziem do osiągnięcia celu.

Odsunęła talerz. Powieki znowu jej opadły.

— Idę pod prysznic. Wstawisz naczynia do zmywarki?

— Tak, wstawię.

Dotknął palcami pudełka z pierścionkiem. Czy już teraz powinien go jej dać? Uśmiechnął się na myśl, że miałby paść na kolana przed Mileną.

Przeciągnęła się, ziewnęła, po czym wstała. Również się podniósł, obszedł stół i zbliżył się do niej.

— Butelki z winem nie chowaj, jeszcze się dzisiaj napiję — powiedziała i odwróciła się do niego plecami.

Wyciągnął rękę, za późno, Mileny już nie było. Pomyślał, żeby ją zawołać, ale niepotrzebnie się zawahał, minęły kolejne sekundy i wkrótce trzasnęły drzwi do łazienki.

Oświadczyły to nie jest łatwe zadanie, zwłaszcza gdy jest się do nich zmuszonym i nie można ich odłożyć na później. Wstawił naczynia do zmywarki i otworzył trzeci browar. Zegarek pokazywał dwudziestą drugą czterdzieści. Podszedł do okna i patrzył na śnieg skrzący się w świetle lamp ulicznych. Gdy woda pod prysznicem przestała się lać, wyciągnął z kieszeni pudełko z pierścionkiem. Postanowił, że oświadczy się w tej chwili. Pewnym krokiem wszedł do łazienki i rozsunął drzwi do kabiny. Uderzyła w niego pachnąca mydłem para. Milena cofnęła się przestraszona. Chyba trąciła plecami o kran, bo z jej ust wydobył się cichy jęk. W obronnym geście zasłoniła małe piersi i na jednym wydechu wyrzuciła z siebie dwa krótkie pytania:

— Co się stało? Mamy sprawcę?

Wyciągnął w jej stronę rękę z otwartym pudełkiem.

— Co to jest? — zapytała szczerze zaskoczona.

— Wyjdiesz za mnie?

Milczała. Niecierpliwym ruchem wytarła pianę spływającą jej na oczy. Była piękna z tą swoją białą jak papier skórą i niebieskawymi żyłami na przedramionach. Poczuli, że ogarnia go podniecenie.

— Wyjdiesz za mnie? — zapytał ponownie.

— Kamil, ale dlaczego teraz? Zaskoczyłeś mnie. Tak w ogóle to ja jestem mężatką. Zapomniałeś?

— Nie, nie zapomniałem. Pamiętam też, że od kilkunastu miesięcy poważnie myślisz o rozwodzie.

Wyjął pierścionek z pudełka i skierował go w stronę Mileny w takim geście, jak gdyby chciał włożyć go na jej palec. Bez słowa

wyciągnęła prawą dłoń. Pierścionelek sunął lekko po namydlonej skórze. Oddychała ciężko.

— Będziesz moją żoną — wyszeptał, zdejmując koszulkę i rzucając ją za siebie.

— Kamil, proszę, daj mi się umyć.

Raptownie zasunęła drzwi do kabiny i odkręciła wodę. Widział jej szczupłe ciało przez lekko mleczną szybę. Wyglądała zmysłowo i nienaturalnie, jak gdyby była manekinem albo jakimś zombie. Zdjął dzinsy i slipy. Trzymał już drzwi, żeby je otworzyć i wcisnąć się do kabiny wbrew woli Mileny. Powstrzymał go jednak jej wesoły głos:

— Wyjdę za ciebie. Nalej mi wina. Uczcimy to.

Zaczęła nucić jakąś znaną melodię. Był zdumiony. Nie sądził, że tak ją uszczęśliwią jego oświadczenia.

— Czemu tam jeszcze stoisz? — zawołała, przebijając się przez huk spadającej wody.

— Mam pytanie.

— No, jakie?

— Spełnisz dzisiaj moją fantazję i będziesz udawała martwą?

Woda nagle ucichła. Wiedział, że przesadził. Milena nie akceptowała jego nekrofilskich skłonności, może nawet się ich bała. Czuł, że wypowiedzianej propozycji nie da się obrócić w żart, pozostawały mu gorliwe przeprosiny. Zacerpnął oddech, miał już się kajać, ale Milena go wyprzedziła.

— Zapomniałam dodać, że zgadzam się na ślub, ale pod jednym warunkiem. Będziesz się leczył.

— Nie jestem chory. Upodobania seksualne to nie choroba. Co złego jest w tym, że udawałabyś martwą?

Usłyszał, jak Milena wzdycha.

— Kamil, jesteś dorosły. Czy naprawdę mam ci tłumaczyć, że niektóre dewiacje trzeba leczyć? Gdybym to chodziło tylko o udawanie martwej... ale ty się podniecasz podczas oględzin zwłok. Widzisz różnicę?

Milena czekała na jego odpowiedź, on jednak milczał. Woda pod

prysznicem znowu zaczęła płynąć.

— Masz rację, będę się leczył — oznajmił z powagą w głosie.

Ta obietnica nic nie znaczyła i tak zrobi, co będzie chciał. Zobaczył dłoń Mileny z pierścionkiem na palcu opartą o szybę.

— Cieszę się. A teraz idź, nalej mi wina i zanieś je do sypialni. Zaraz przyjdę.

Zgarnął z podłogi swoje ubrania i wyszedł z łazienki. Zgodziła się zostać jego żoną, osiągnął więc cel. Czuł się mocny, wszystko mu się udawało. Nalał wermutu do szklanki i zaniósł ją do sypialni. Z wyjątkową intensywnością odczuwał swoje ciało, było silne i sprężyste. Poruszało się bez udziału umysłu, który teraz się skurczył, oddając pierwszeństwo mięśniom brzucha, pleców i nóg. Upajał się narastającym podnieceniem, znikły gdzieś zasady moralne, tak zwana przyzwoitość, pozostał jedynie odruch, wewnętrzny rytm.

Z kieszeni kurtki wyjął tabletki zolpidemu. Jedną wrzucił do wina. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie dorzucić kolejnej. Zrezygnował, nie chciał zaszkodzić zdrowiu Mileny. Pragnął jedynie mieć ją nieruchomą, z płytkim oddechem, niepanującą nad grymasami twarzy, niemogącą zaprotestować. Udawanie martwej to za mało, miała wpaść w głęboki sen będący namiastką śmierci. Już wcześniej próbował podać jej zolpidem, zwykle wycofywał się w ostatniej chwili w obawie, że ona to odkryje. Dzisiaj niczego się nie bał, przecież wszystko uchodzi mu na sucho.

Nie usłyszał, że Milena weszła do sypialni. Nagle stanęła przed nim w piżamie, której nie znał, obcisła różowa koszulka z wielkim dekoltem obszytym tasiemką i spodnie do kolan w kwiaty. Przesunął dłońmi po jej wąskich biodrach i prostych plecach. Była gorąca i pachniała, a przede wszystkim się poruszała, była żywa. Przysunęła usta do jego warg, poczuł miętowy smak pasty do zębów. Nagle odsunęła głowę.

— Ja po kolacji umyłam zęby — oznajmiła.

— Jesteś zbyt drobiazgowa, ale niech ci będzie, też umyję zęby.

Wychodząc z sypialni, odwrócił się i zobaczył, że Milena trzyma już w dłoni szklanekę z wermutem, doskonale.

Energicznymi ruchami czyścił zęby. Nie spieszył się, chciał jej dać czas na zaśnięcie. Dzisiaj w końcu będzie miał swoją śpiącą królowną, o której marzył od wielu miesięcy. Przez skurczony umysł prześliznęła się nikła myśl, że to przemoc, gwałt, nie może tego zrobić. Jego ciało było już jednak poza wszelką kontrolą, nogi się ruszały, biodra kołysały, penis rósł, a on mógł tylko oddać się we władzę własnej żądz.

Wszedł do sypialni. Milena leżała w poprzek łóżka, jej bosc stopy opierały się o podłogę. Spała twardym snem, jedna tabletka zolpidemu, alkohol i zmęczenie zrobiły swoje. Położył dłoni na jej dekolcie. Nie drgnęła. Wsunął rękę pod materiał i objął prawą pierś, ścisnął dość mocno. Dalej oddychała płytko i równomiernie. Przystąpił więc do oględzin zwłok. Najpierw zdjął jej spodnie od piżamy, potem koszulkę. Delektował się przez chwilę widokiem białej skóry. Wokół pępka miała białe włoski. Nigdy wcześniej ich nie zauważył, ale nigdy nie przyglądał się jej tak dokładnie jak teraz. Zaczął badać ciało w poszukiwaniu znamion, zadrapań, śladów po igle i większych ran. Skupił się na miejscach mało widocznych, w których jednak często pojawiają się obrażenia, ślady przemocy. Obejrzał dokładnie skórę za uszami i pod pachami, przekręcając Milenę na boki i podnosząc jej ręce do góry. Na końcu rozsunął jej nogi i dokonał oględzin pochwy i odbytu. Czuł się jak na rzeczywistym miejscu zdarzenia, tylko spostrzeżenia pozostały w jego głowie, a nie na papierze. Milena sapnęła ciężko, gdy się na niej położył. Jej powieki drgnęły, ale na szczęście się nie otworzyły. Wciąż spała mocnym snem, dla niego nadal była martwa. Po wszystkim włożył Milenie piżamę i przysiadł na brzegu łóżka. Nie miał wyrzutów sumienia, ale niepokój już się pojawił. Co jeśli ona zorientuje się, co się stało? Czy zdoła ją przekonać, że po prostu usnęła, a cała reszta wydarzyła się za jej cichym przyzwoleniem?

Zamarł, gdy rozległ się dzwonek domofonu. Pomyślał, że to

pomyłka, przecież już północ, nie pora na gości. O sprawę wieźowca też nie mogło chodzić, bo w takim wypadku mieli go łapać pod telefonem. Minęły dwie długie sekundy i znowu rozległ się dzwonek. Wyszedł do przedpokoju i podniósł słuchawkę.

— Szefie, tu Pociecha, wpuść mnie.

— Co się stało? — zapytał, nie ukrywając irytacji w głosie.

— Powiem ci, jak mnie wpuścisz.

— Mam nadzieję, że to ważne, bo jak nie, to spuszczę cię ze schodów.

Przyłożył palec do przycisku, w słuchawce rozległo się brzęczenie. Wrócił do sypialni i włożył dzinsy.

Zaskoczyło go, że Pociecha nie jest sam. Stała za nim Beata, trzy kroki dalej, jak gdyby w obawie, że go rozżłości swoją obecnością, tymczasem wprawiała go w lekkie zakłopotanie. Widząc jej oddane i niewinne spojrzenie, z wyjątkową siłą odczuł nieprzyzwoitość czynu, którego się przed chwilą dopuścił.

— Nie w porę przyszliśmy — zauważyła głosem nieśmiałej nastolatki.

— Tak, nie w porę, jest prawie północ. Mówcie, o co chodzi? Coś z Rumunem?

Weszli do kuchni.

— Z Rumunem? Przecież on jest niezawodny — zdziwiła się Beata.

— No właśnie, dlatego zastanawia mnie, że to nie on się ze mną kontaktuje, tylko wy. Co jest?

Pociecha usiadł przy stole kuchennym i uruchomił tablet. Po chwili podał go Kamilowi. Na monitorze znajdowało się zdjęcie jednego z zakładników, młodego chłopaka.

— Komisarzu, czy on ci kogoś przypomina?

Duże oczy, delikatne usta, pociągłe rysy, był podobny do całej masy nastolatków. Kamil pokręcił przecząco głową.

Beata wyjęła z kieszeni telefon, przesunęła palcem po ekranie, a następnie podsunęła mu pod oczy inne zdjęcie.

— Nie wydaje ci się, że ci chłopcy są podobni?

Komisarz znieruchomiał, powietrze utknęło mu w płucach i nie chciało wydostać się na zewnątrz. Beata sugerowała mu rzecz, w którą nie mógł uwierzyć, która spadła na niego jak przysłowiowy grom z jasnego nieba. Patrzył na fotografię Krzysia, syna Mileny, zaginionego sześć lat temu.

— Podaj mi fajki! — rzucił do Pociechy.

Sierżant się rozejrzył, a widząc papierosy leżące na kredensie, poderwał się z krzesła.

— Jeszcze zapalniczkę, leży na parapecie — polecił komisarz. Przesuwał wzrok z jednego zdjęcia na drugie, w końcu się odezwał: — Jest trochę podobny, ale czy to on?

— Oczy ma identyczne — zauważyła Beata.

Sięgnęła po paczkę fajek, którą Kamil rzucił na stół, i poczęstowała się papierosem.

— To Beata dostrzegła podobieństwo — oznajmił sierżant.

— Dwa dni temu dostałam od prokuratorki zdjęcia jej syna z poleceniem, żeby je przesłać wraz z komunikatem do wszystkich funkcjonariuszy, których znam. Przyglądałam się temu chłopcu długo, bo taki ładny, delikatny, do niej niepodobny. No i potem jak zaczęłam przeglądać fotki zakładników... nie od razu mi się skojarzyło, że to ta sama twarz. Najpierw miałam wrażenie, że tego chłopaka już kiedyś widziałam, że może na ulicy albo w którejś ze szkół, gdzie jeździłam na pogadanki. I godzinę temu mnie olśniło, że jest podobny do dzieciaka prokuratorki.

Beata wzięła do ręki swój telefon i otworzyła kolejną fotografię Krzysia, którą półtora roku temu Milena znalazła w sieci. Na niej chłopiec był starszy i choć miał na twarzy wymalowaną szwedzką flagę, to podobieństwo z zakładnikiem było większe, znikły bowiem dziecięce okrągłości policzków i podbródka. Kamil patrzył raz na zdjęcie zakładnika, raz na fotografię Krzysia i zastanawiał się, czy to ta sama osoba. Wciąż nie był przekonany.

— Nad czym w ogóle się zastanawiamy — odezwał się Pociecha. — Przecież prokurator będzie wiedziała, czy to jej syn.

— No właśnie, idź po nią — poleciła Beata.

Komisarz zaciągnął się papierosem.

— Milena śpi. Wzięła tabletkę na sen i wypła dwie szklanki wina. Nie dobudzę jej teraz, a nawet gdyby mi się to udało, to będzie półprzytomna. Powiedzcie lepiej, jak się nazywa ten zakładnik i w ogóle co o nim wiemy.

Sierżant uśmiechnął się tajemniczo.

— Szefie, ty byłeś u niego w mieszkaniu. Chłopak nazywa się Emil Marecki, mieszka z ojcem inwalidą, Sławomirem Mareckim. Wcześniej mieszkali we Francji, a na Okulickiego od jedenastu dni.

W wyobraźni Kamila odtworzył się obraz chłopca siedzącego w pokoju oświetlonym dwiema świeczkami. Zachowywał się dziwnie, ukrywał twarz za książką, zerkał na policjanta ukradkiem, nie zadawał pytań.

— Skoro ten chłopak ma być synem Łempickiej, to ten gościu na wózku będzie jej mężem. Sensowne, co nie? — zauważył sierżant.

Komisarz przypominał sobie, że Sławomir Marecki też sprawiał dziwne wrażenie, przede wszystkim o nic nie pytał. Nie pamiętał jego twarzy, prawdopodobnie jej nie widział, bo mężczyzna tak się ustawiał z wózkiem, aby włączony telewizor, jedyne źródło światła, zawsze był za jego plecami. Obaj, ojciec i syn, ukrywali swoje twarze, bali się rozpoznania.

Kamil zgasił wypalonego w połowie papierosa.

— Porównaliście zdjęcie Mareckiego z fotografią Pawła Krola?

— Nie, tego nie zrobiliśmy — odpowiedziała Beata.

— Dlaczego? Przecież to by dało wam odpowiedź, czy to mąż i syn Łempickiej.

— Nie mamy fotki Sławomira Mareckiego. On leży w szpitalu pod aparaturą, źle zniósł szturm, lekarze nie pozwolili go męczyć, nawet na zdjęcie się nie zgodzili. Jego syn jest przy nim.

Kamil wstał.

— Poczekajcie chwilę. Ubiorę się i pojedziemy do szpitala.

Wszedł do sypialni. Milena spała spokojnym snem. Gdy się obudzi,

zobaczy swojego syna, ogarnie ją wtedy niewyobrażalna radość. Będzie mu wdzięczna, że go dla niej odzyskał, i zapewne nie będzie robiła afery o to, że ją wykorzystał. Ubrał się pospiesznie i założył pas z kaburą. Wziął klucze.

Beata i Pociecha wyszli na korytarz, on za nimi. Dopiero gdy szedł po schodach, uderzyła go spóźniona myśl. Sławomir Marecki nie został sfotografowany, to jedyny zakładnik, którego fotki nie mają, i dlatego nikt go nie rozpoznał, nikt nie rozpoznał Opiekuna.

— Kurwa!

Beata obejrzała się.

— Co się stało?

— Paweł Krol jest Opiekunem.

Wyminął ją i zbiegał po schodach. Funkcjonariusze gnali za nim. Gdy wypadli z klatki, rzucił sierżantowi kluczyki od swojego jeepa.

— Będziesz prowadził! Beata, zawiadom Rumuna, że sprawca jest w szpitalu na Królewieckiej. Niech bierze karabin snajperski i tam jedzie.

Zaskoczona sierżant Gryś zatrzymała się, ale za chwilę zaczęła biec za nimi. Wpadli na parking.

— Kamil, a procedury? Jeśli Marecki to Opiekun, musisz przygotować specjalną grupę funkcjonariuszy w hełmach i kamizelkach kuloodpornych.

— Nie mamy czasu, poza tym Rumun z karabinem mi wystarczy. Dzwon do niego.

Wsiedli do jeepa i jednocześnie trzasnęli drzwiami. Samochodem szarpnęło, Pociecha ruszył, puszysty śnieg uniósł się spod kół na wysokość maski. Komisarz widział, jak sierżant Gryś wyciąga telefon. To ona zrobiła błąd, powinna go powiadomić, że brakuje fotografii jednego z lokatorów. Tak w ogóle, to pomylili się w zliczaniu zakładników, miało ich być stu dziewięćdziesięciu sześciu, dlatego uznał, że trzysta dziewięćdziesiąt dwa zdjęcia w bazie to wszyscy sfotografowani lokatorzy, tymczasem zakładników było o jednego więcej. Nie mógł mieć pretensji do Beaty,

pracowała na pełnych obrotach od ponad siedemdziesięciu godzin, nie dał jej wytchnąć.

— Szefie, ale nie rozumiem jednego. Jak mu się udało oszukać doktorów? Przecież położyli go pod jakąś specjalistyczną aparaturą.

— Skoro wykiwał szwedzkie służby, to naszych lekarzy też mógł — zauważył Kamil.

Pociecha z dużą prędkością pokonywał zaśnieżone ulice, na szczęście puste. Wjechali w Robotniczą, świąteczna iluminacja migiała im przed oczami. Na Piłsudskiego młodzi ludzie wbiegli na przejście dla pieszych, sierżant trąbiąc rozgonił ich na boki. Gdy skręcali w Królewiecką, samochodem zarzuciło.

Komisarz patrzył na zegar na desce rozdzielczej i liczył upływające minuty. Podświadomość podpowiadała mu, że teraz czas nie ma większego znaczenia. Od szturmu minęła ponad doba, gdyby Opiekun chciał się ulotnić, już by to zrobił. W szpitalu było tylko dwóch funkcjonariuszy, Krol bez trudu by ich wykołował. Nie bez powodu w SÄPO nazywali go duchem, był nieuchwytny, niewidzialny, bardzo przebiegły.

Kamil ponownie zobaczył w wyobraźni mężczyznę na wózku. Tego człowieka szukały służby co najmniej trzech krajów, a on miał go na wyciągnięcie ręki. Jeszcze ma szansę, żeby go złapać, tylko czy nie powinien się zatrzymać i zastanowić, co tamten knuje? Krol nie był zwyczajnym terrorystą, był opętany teoriami spiskowymi. Co prawda nigdy nie został zdiagnozowany, ale Milena podejrzewała u męża jakiś rodzaj schizofrenii. Choroba sprawiła, że stał się bardzo czujny i sprytny. Widząc wszędzie zagrożenie, planował każdy krok, układał w głowie awaryjne plany, nie dawał się zaskoczyć. Czy to możliwe, że teraz spokojnie na nich czeka na szpitalnym łóżku? To do niego niepodobne. Kamil zastanawiał się, czy nie dać znać funkcjonariuszom stróżującym w szpitalu, uznał jednak, że lepiej niczego nie zmieniać, bo Krol mógłby coś zauważyć i uciec.

Pociecha wjechał na teren szpitala i zatrzymał jeepa przed drzwiami głównymi. Weszli do budynku. Portier postąpił w ich

stronę, ale zaraz się cofnął, rozpoznając policję. Rozdzielili się, sierżant wszedł do windy a komisarz ruszył schodami. Spotkali się na trzecim piętrze. Tutaj znajdował się oddział kardiologiczny, Paweł Krol zajmował łóżko w pokoju intensywnego nadzoru, gdzie pielęgniarki miały na oku pacjentów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na korytarzu siedział funkcjonariusz wpatrzony w ekran swojego telefonu. Uniósł głowę, gdy stanął przed nim komisarz. Dopiero po sekundzie rozpoznał przyszłego naczelnika, zerwał się i zameldował, że wszystko w porządku.

— Dlaczego jesteś sam? — zapytał Kamil.

— Jest nas dwóch, posterunkowy Janiak pilnuje ciężarnych zakładniczek na oddziale położniczym.

Podeszła do nich pielęgniarka. Skierowała wzrok na dłoń Kamila, którą trzymał na kaburze.

— Chyba nie ma pan zamiaru tutaj strzelać?

— Jeśli będę musiał...

— Chyba nie do naszych pacjentów, oni i tak ledwo zipią.

— Chciałbym zobaczyć Sławomira Mareckiego.

— Zapytam doktora.

— Nie, proszę mnie zaprowadzić do Mareckiego.

Pielęgniarka się zawahała.

— No dobrze, tylko proszę zachowywać się cicho.

Otworzyła drzwi do sali pogrążonej w półmroku, rozświetlanej jedynie przez nikiłe światło monitorów pokazujących pracę serca. Stało tu sześć łóżek oddzielonych parawanami. Pielęgniarka wskazała na ostatnie.

— Wolałabym, żeby pan go nie budził.

Kamil starał się poruszać cicho. Zbliżał się do łóżka, na którym leżał bardzo niebezpieczny terrorysta. Nie musiał oglądać się do tyłu. Wiedział, że w drzwiach stoi sierżant Pocięcha i też trzyma dłoń na broni. Pielęgniarka zrozumiała, że wizyta policji o północy nie może oznaczać nic dobrego. Przezornie przesunęła się pod ścianę.

Kamil odsunął parawan i spojrzał na twarz pacjenta. Miał na wpół

przymknięte oczy i zapadnięte usta. Ten człowiek nie miał zębów i był stary, zbyt stary jak na męża Mileny. Odwrócił się do pielęgniarki.

— Gdzie jest syn tego pacjenta?

— Nie mogliśmy dać mu łóżka przy ojcu, bo to intensywne terapia, ale ulokowaliśmy go najbliżej jak się dało. Jest w sali obok.

Mówiła szeptem. Zdawała sobie sprawę, że komisarz może jej nie słyszeć, dlatego zbliżyła się do niego. Nagle przycisnęła dłoń do ust, jak gdyby ogarnęły ją mdłości. Po chwili tę samą rękę wyciągnęła w stronę Sławomira Mareckiego i zerwała mu z klatki piersiowej kable.

— Panie Czerwiński, niech pan wstaje — syknęła. — Przesadził pan dzisiaj. Zgłoszę to ordynatorowi.

Pacjent otworzył oczy, a z jego bezzębnych ust wyrwał się chichot.

— Siostrzyczko, ja dzięki tym kawałom jeszcze żyję.

Kamil czuł, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

— Gdzie jest Marecki?

Sierżant Pocięcha wyciągnął walthera i cofnął się na korytarz, rozglądał się nerwowo na boki.

— Proszę, niech pan nie podnosi głosu — odezwała się pielęgniarka. — Też jestem zdenerwowana, stare chłopcy, a takie głupie zabawy. Marecki leży na pewno w łóżku Czerwińskiego. To trzy sale dalej.

Pielęgniarka ruszyła, on za nią. Gwałtownie gestykulując, mówiła dalej:

— Było już po dwudziestej, gdy syn Mareckiego podwiózł pod intensywne terapię pana Czerwińskiego i zapytał, czy może go przedstawić swojemu ojcu. Zgodziłam się, dałam im trzy minuty. Rzeczywiście ten chłopak zaraz wyszedł, pchając wózek. Nie zerknęłam, kto na nim siedzi, bo byłam zajęta pisaniem raportu. Jezuniu, jeśli pacjentowi coś się stanie, ordynator mnie zabije.

Otworzyła drzwi i przycisnęła włącznik światła. Stała dalej w progu.

— Nie ma go. Nie rozumiem tego.

Nad ramieniem pielęgniarki widział dwa puste łóżka. Przepchnął się obok niej i wszedł do środka. Upewnił się, że w tej sali nikt się nie ukrywa.

— Muszę zawiadomić lekarza.

Pielęgniarka wybiegła na korytarz, gdzie omal nie zderzyła się z sierżantem Pocięchą. Komisarz skierował się do pokoju, w którym miał przebywać syn Mileny. Otworzył drzwi i włączył światło. Dwóch mężczyzn uniosło się na łóżkach, jeden z nich zasłonił dłonią oczy. Chłopca nie było. Wypadł na korytarz. Był wściekły. Wyglądało na to, że Krol z synem opuścili szpital cztery godziny temu. Dopadł do posterunkowego.

— Gdzie są zakładnicy? — syknął.

Policjant był zdezorientowany.

— Jeden leży na intensywnej terapii. — Wskazał ręką na drzwi. — A ten drugi, to znaczy ten młody, jakieś dziesięć minut temu wywiózł jednego pacjenta na wózku poza oddział, na papierosa. Zgłosił mi to, pozwoliłem mu, przecież to nastolatek. Zaraz powinien wrócić.

Kamil wybiegł z oddziału, za nim sierżant Pocięcha. Dziesięć minut, jeszcze mogą być na terenie szpitala. Gmach wydał mu się nagle wyjątkowo ogromny, setki pomieszczeń i tysiące metrów korytarza, nie do ogarnięcia dla nich dwóch. Powinien mieć tutaj kilkudziesięciu funkcjonariuszy i obstawić dwa potężne budynki połączone ze sobą długim tunelem. Na ściągnięcie takiej brygady nie miał jednak czasu.

— Szefie, oni będą chcieli wydostać się stąd frontowymi drzwiami!
— zawołał Pocięcha.

Sierżant miał rację, to jedno mogą zrobić, znaleźć się jak najszybciej na dole i poprosić portiera o pomoc w zamknięciu obu szpitalnych gmachów, o ile Krol z synem nie opuścili jeszcze budynku.

Wsiedli do czekającej windy, parę sekund później jednocześnie z niej wypadli. Ich buty dudniły po szpitalnej posadzce.

— Czy ktoś stąd wychodził? — Pociecha zawołał do portiera, nieświadomie mierząc do niego z walthera.

Mężczyzna podniósł ręce nad głowę.

— Tak, chłopak, taki młody, pchał wózek inwalidzki, na którym siedział jakiś facet.

— Gdzie oni są?

Portier skierował głowę w stronę drzwi frontowych.

— Tam są, ten gościu na wózku zamachał do mnie papierosami, czyli wyszli na dymka.

Policjanci wybiegli z budynku na mroźne powietrze i od razu się zatrzymali. Rozglądali się, lustrując każdy cień w księżycowej poświacie, skupiając wzrok w załamaniach czerni w pobliżu krzaków i żywopłotu. Nigdzie żadnego ruchu ani ludzkiej sylwetki, tylko nieruchome lampy i samochody, i ich równie nieruchome cienie.

— Gdzie oni, kurwa, są? — szepnął sierżant.

Zeszli po schodach na ugiętych kolanach, jak gdyby mieli zaraz strzelać. Minęli jeepa i wtedy zobaczyli ślady kół od wózka inwalidzkiego. Szli za nimi, oglądając się na boki. Momentami ślady kół znikwały, zlewały się z udeptanym lub wyjeżdżonym śniegiem. Skręcili w stronę kilkunastu zaparkowanych samochodów.

— Szefie, tam.

Pociecha pokazywał na wózek inwalidzki stojący między dwoma samochodami. Nagle rozległ się warkot silnika. Rzucili się w tę stronę. Nie mogli pozwolić, aby Krol z synem odjechał. Jeśli tak się stanie, to oni musieliby wrócić do jeepa stojącego czterdzieści metrów dalej. Straciliby kilkanaście cennych sekund, a Opiekun zyskałby szansę na ucieczkę.

Kamil dojrzał seata, który wycofywał się z miejsca parkingowego. Nagle silnik zawył, samochód raptownie obrócił się w stronę wyjazdu z terenu szpitala. Opiekun też już ich zobaczył i zamierzał uciekać. Sierżant zawrócił do jeepa, a komisarz biegł dalej. Nawet nie próbował strzelać w koła, nie miał tak dobrego oka jak aspirant Nowak. Liczył jednak na to, że dogoni samochód, gdy ten

przyhamuje przed szlabanem. Niestety, seat przyspieszył i staranował plastikową barierkę. Chwilę później błysnęły światła nadjeżdżającego radiowozu. To był Rumun, pojawił się w samą porę. Kamil złapał za klamkę i wskoczył do środka.

— Zawracaj! Seatem ucieka Opiekun.

Komisarza wcisnęło w drzwi, gdy aspirant wykręcał radiowóz i dodawał gazu. Byli blisko, dosłownie kilka metrów za uciekającym samochodem. Komisarz wiedział, że Opiekun już się im nie wymknie.

Z Królewieckiej skręcili w Marymoncką. Seat uciekał w stronę Bażantarni. Jeśli Krol wraz z synem zostawią samochód i będą kontynuować ucieczkę pieszo po leśnych szlakach, to oni dogonią ich bez problemu, bo znają teren i przede wszystkim na pewno biegają szybciej niż czternastoletni chłopiec. W tej chwili niepokoiło go jedynie bezpieczeństwo Krzysia. Seat jechał środkiem ulicy, samochodem często zarzucało, tylko umiarkowana prędkość sprawiała, że jeszcze nie wyleciał z drogi. Na szczęście trasa prowadząca do lasu o tej porze była pusta.

— Opiekun ma broń? — zainteresował się Rumun.

— Nie wiem. W szpitalu raczej nie miał, ale w samochodzie...

— Mam na sobie kamizelkę. Gdy się zatrzyma, podejść do niego, ty nie wysiadaj.

Kamil kiwnął machinalnie głową. Zerkał w boczne lusterko. Widział zbliżające się światła jeepa. Pocięcha ich doganiał, to dobrze, łatwiej będzie im zatrzymać uciekający samochód. Nagle aspirant przyhamował, bo seat na moment stanął w poprzek drogi. Już po chwili jechał dalej. Kilkaset metrów później skręcił w las. Tej drogi nikt nie odśnieżał od kilku dni. Radiowozem szarpnęło, gdy uderzyli w zaspę. Seat w końcu stanął, otworzyły się drzwiczki od strony kierowcy i wypadł z nich człowiek. Wydawało się, że zaraz runie w śnieg, ale utrzymał równowagę i zaczął dużymi susami biec w stronę pobliskich drzew. Rumun odwrócił się do tyłu i sięgnął leżący tam karabin. Bez zbytniego pośpiechu wysiadł z radiowozu

i ruszył za uciekinierem. Z kolei komisarz rzucił się do seata, tam spodziewał się znaleźć syna Mileny. Nie chciał wystraszyć chłopca, który na pewno i tak był już mocno przerażony. Przez szyby nie dojrzał żadnej sylwetki. Otworzył tylne drzwi. Nikogo tu nie było. Krzyś nie ukrywał się między siedzeniami. Dla pewności otworzył jeszcze bagażnik. W nim także chłopca nie było. Przeszył go silny niepokój. Czuł, że popełnili błąd.

Za radiowozem stanął jeep i wyskoczył z niego sierżant Pocięcha. Z pistoletem w dłoni podbiegł do komisarza.

— Gdzie oni są?

— Nie wiem — odpowiedział szczerze Kamil.

Z oddali rozległ się upiorny śmiech. Komisarz i sierżant spojrzeli w tę stronę, po sekundzie między drzewami pokazało się światło latarki i usłyszeli wołanie Rumuna:

— Kamil, dawaj do mnie.

Ruszyli w głęboki śnieg, który zapadał się pod nimi miękko. Schodzili w dół, w niewielki wąwóz. Znowu rozległ się śmiech jak z horroru. Latarka zgasła, a po sekundzie ponownie rozbłysła w zimowej ciemności. Zobaczyli Rumuna z karabinem na plecach stojącego okrakiem nad leżącym człowiekiem.

— Nie ma broni, przeszukałem go.

Snop światła z latarki padał wprost na twarz uciekiniera. Kamil zobaczył nienaturalnie powiększone źrenice. Ten człowiek był pod wpływem środków odurzających i na pewno nie był mężem Łempickiej, bo miał około dwudziestu lat. Rzucili się w pogoń za narkomanem, który zaczął uciekać, widząc, że biegnie w jego kierunku dwóch mężczyzn z bronią. Paweł Krol wraz z synem zapewne ukryli się gdzieś na parkingu, a teren szpitala spokojnie opuścili, gdy oni gnali za seatem. Popełnili dziecinny błąd i to niejeden.

Rozdział XXXI

INTENSYWNE ŚWIATŁO LAŁO SIĘ Z SUFITU, próbując przebić się przez cienkie powieki Mileny. Chciała zasłonić dłonią oczy, ale nie była w stanie podnieść ciężkiej ręki z kołdry. Za chwilę pojawił się kolejny bolesny bodziec, ostry dźwięk wwiercający się w mózg. Wyrywał ją z głębokiego snu i domagał się reakcji. Najpierw podświadomie zinterpretowała go jako dzwonek do drzwi, potem już na jawie zrozumiała, że ktoś się do niej dobija, bo coś się stało, jakaś ważna sprawa, może samobójstwo albo wypadek, musi jechać i przeprowadzić oględziny, jest przecież prokuratorem. Nie wolno jej spać.

Otworzyła oczy i zobaczyła trzy żarówki żyrandola. Usnęła przy zapalonym świetle, dziwne. Znowu rozległ się dzwonek. Z niemałym trudem usiadła na łóżku i postawiła stopy na podłodze. Kręciło się jej w głowie, umysł uciekał w otchłań. Kolejny dzwonek. Podniosła się i ruszyła do przedpokoju. Tu też paliło się światło, całe mieszkanie było rozświetlone. Oparła się o drzwi wejściowe, zmęczyło ją tych parę kroków. Oddychała ciężko, nogi jej drżały. Gdy rozległ się kolejny dzwonek, już przekreślała zamek.

Poczuła mocne uderzenie, po którym rzuciło ją na podłogę. To drzwi ją walnęły, ktoś bardzo niecierpliwy pchnął je z drugiej strony. Nie mogła się podnieść. Widziała swoje dłonie na wykładzinie, palce rozczapierzone i próbujące odepchnąć się od ziemi. Jakaś siła ciągnęła ją w dół i kazała się położyć i zasnąć. Nagle obok swoich dłoni zobaczyła buty, były nienaturalnie duże. Stał przed nią jakiś wielkolud. Ogarnęło ją przerażenie. Czuła, że te buty nie wróżą niczego dobrego. One zaraz ją wdepczą w podłogę. Cofała się na czworakach, musiała się jednak zatrzymać, bo za nią była ściana.

Olbrzymie buty przybliżyły się do niej, teraz widziała również nogawki szarych spodni. Wtem usłyszała nad sobą głos:

— Władza demoralizuje.

Miała ochotę powiedzieć, że brak władzy demoralizuje bardziej. Tak zwykle odpowiadała na ten argument, ale teraz nie mogła się wysłowić, bo suchy język nie chciał się poruszać.

Głos znowu rozbrzmiał:

— Miałaś być postrachem dla przestępców, a przyłączyłaś się do nich.

Miała wrażenie, że odbywa się nad nią sąd. Wielu prokuratorów musiało się borykać z takimi zarzutami, wielu zmagало się z nimi w przestrzeni publicznej. Ją do tej pory o związki z mafią oskarżał jedynie chory mąż.

Znowu rozległ się głos:

— Nawet na takie jak ty znajdzie się paragraf.

Już to kiedyś usłyszała. Stała wtedy w łazience swojego olsztyńskiego mieszkania, które zajmowała z mężem i synem. Wybierała rzeczy z kosza na bieliznę i wrzucała je do pralki. Paweł stał w drzwiach i znowu serwował jej kazanie. Powiedział wtedy, że na takie jak ona też znajdzie się paragraf, nie w kodeksie, lecz w społecznym poczuciu sprawiedliwości. To świadome społeczeństwo miało jej wymierzyć sprawiedliwość. Nie miała wtedy czasu, żeby z nim dyskutować. Chociaż chciała go przekonać, że robi tyle, na ile pozwala jej kodeks, a że nie na wszystko pozwala, to czasami bandyci wychodzą na wolność. Już wiedziała, czyje są te buty, kto przed nią stoi. Wyprostowała się, zadzierając głowę. Klęczała przed swoim mężem i patrzyła na jego twarz. Sześć lat na to czekała i w końcu ten dzień nastąpił. Nie sądziła, że w tym momencie będzie się czuła tak bezradna.

— Gdzie jest Krzyś? — wybełkotała, próbując zapanować nad swoim językiem.

— Ochroniłem go przed tobą i twoimi kolegami. Nauczyłem walczyć z wymiarem niesprawiedliwości.

Ciężka senność minęła, umysł miała już jasny. Szukała w głowie słów, którymi mogłaby dotrzeć do chorego psychicznie męża.

— Paweł, tak za wami tęskniłam. Dobrze, że już jesteście.

— Jestem głosem skrzywdzonego ludu. Sprawiedliwość nadeszła.

Czuła, że jest źle. Paweł tkwił w swojej obsesji. Usiłowała się podnieść, ale nogi jej dygotały.

— Proszę, pomóż mi wstać.

Wyciągnęła do niego rękę. Cofnął się. Oparła dłoń o ścianę i się podniosła.

— Powinnaś zapłacić za swoje winy na kolanach.

Zamarła, bo wymierzył w jej brzuch rewolwer. Patrzyła na jego mocną rękę, na palec oparty na spuście. Mijały sekundy, a ona jeszcze żyła. Bała się jak nigdy dotąd, bała się spojrzeć mu w oczy, ale wiedziała, że to może być jedyny ratunek. Uniosła więc wzrok i wczepiła się w jego niebieskie tęczówki. Były chłodne, obojętne, tak różne od dawnych oczu jej męża. W jego spojrzeniu była kiedyś wielka mądrość, to było na początku ich związku, kiedy to z niezwykłą trafnością relacjonował rozprawy sądowe, komentując je celnie i z ironią.

— Gdzie jest Krzyś? Proszę, pozwól mi się z nim zobaczyć.

Za Pawłem poruszyły się drzwi prowadzące na klatkę schodową. Wstrzymała oddech. Była pewna, że zaraz do mieszkania wejdzie jej ukochany synek. Za chwilę będzie mogła go przytulić, przygarnąć do siebie, poczuć zapach jego włosów i woń oddechu. Obejmie go i już nigdy nie wypuści ze swoich ramion.

— Krzysiu — wyszeptwała.

Paweł poczuł ruch drzwi za swoimi plecami. Też spodziewał się zobaczyć syna, bo opuścił rewolwer i obrócił się, stając bokiem do Mileny.

— Krzysiek, miałeś zostać w samochodzie.

Zza drzwi wysunęła się ręka z pistoletem. Była jak coś nierzeczywistego, Paweł chyba też odniósł takie wrażenie, bo nie zareagował natychmiast. Po chwili zobaczyli twarz sierżant Beaty

Gryś.

— Połóż pistolet na podłodze i odsuń się pod ścianę.

Głos policjantki drżał, jej ręka również. Zdołała jednak wymierzyć wprost w Pawła Krola. Czekala z palcem na cynglu. Mężczyzna się nie ruszał. Milena wiedziała, że jej mąż nie wykona polecenia, tylko czekał na moment, aby unieść rewolwer i strzelić do funkcjonariuszki. Przeraziła ją myśl, że Beata nie zdaje sobie sprawy, co się zaraz stanie. Musi ją ostrzec, musi dać jej znać, że powinna nacisnąć spust. Widziała, że Paweł unosi rewolwer. Rozległ się huk. Milena podniosła ręce, jak gdyby chciała obronić się przed ciosem. Jej mąż wciąż stał, ale rewolweru w ręku już nie trzymał. Nagle runął, uderzając głową w ścianę.

Sierżant Gryś zamknęła drzwi. Oddychała ciężko, jak gdyby przebiegła spory dystans. Wciąż trzymając pistolet w dłoni, pochyliła się nad mężczyzną.

— Kurwa, zabiłam go, zabiłam, zabiłam.

Milena patrzyła na ciało męża i próbowała opanować wewnętrzny dygot. Już po wszystkim, nie musi się bać, teraz może biec do Krzysia.

— Pani Beato, proszę zawiadomić komisarza, a ja muszę do mojego dziecka...

Dała krok przez ciało Pawła i znalazła się tuż obok policjantki. Tamta złapała ją za ramię.

— Nie na bosaka, niech pani włoży buty i płaszcz. Pani mąż przyjechał jasną renówką, stoi przed blokiem, trochę na lewo po wyjściu z klatki.

Widziała nerwowy uśmiech na twarzy funkcjonariuszki. Obie były zdenerwowane, nie wiadomo która bardziej, na pewno polecenie Beaty było sensowne, ale Milena nie miała czasu, żeby się ubierać, ponadto ciało Pawła uniemożliwilo otwarcie szafy i wyciągnięcie płaszcza. Sierżant Gryś bez słowa zdjęła policyjną kurtkę i jej podała. Milena schyliła się po kozaki. Zaczęła je wciągać. Poczula coś wilgotnego i śliskiego pod palcami, to była krew jej męża.

Parę sekund później zbiegała już po schodach. Gdzieś trzasnęły drzwi, jedne, drugie, potem rozległy się kroki kilku osób także pośpiesznie kierujących się na parter. Mieszkańców zapewne obudził wystrzał, być może niektórzy pomyśleli, że to kolejny zamach na blok i teraz uciekali, aby nie stać się zakładnikami. Milena wypadła z klatki schodowej i skierowała się na lewo. Zaczęła wzrokiem szukać samochodu. Nagle lęk ścisnął ją za gardło. Nie było go, jej synek zniknął, zdążył odjechać. Ze szlochom wrywającym się z gardła biegła dalej, potem zawróciła, wtem zobaczyła jasną renówkę. Jak mogła jej wcześniej nie widzieć. Podbiegła do samochodu. Krzysiu był w środku, już go zobaczyła. Siedział z przodu na fotelu pasażera. Złapała za klamkę, samochód był zamknięty. Zapukała w okno.

— Kochanie, otwórz, tu mamusia.

Krzyś nawet nie drgnął. Szarpała za klamkę, pukała w szybę i mówiła do niego, nic to nie dało, drzwi pozostały zamknięte. Pochyliła się w końcu do okna i patrzyła na swoje dziecko z taką intensywnością, jak gdyby planowała zachować w pamięci obraz jego bladej twarzy na wieki. Miał usta zasłonięte szalikiem i szeroko otwarte oczy. Nie wiedziała, czy to z przerażenia, a może jest tak bardzo zdumiony, że ją widzi. Zmienił się, rysy miał ostrzejsze, buzię szczuplejszą, ale to był on, jej ukochany synek. Ich twarze znajdowały się w odległości trzydziestu centymetrów od siebie, dzieliła je tylko szyba. Uśmiechała się do niego i mówiła, jak bardzo go kocha i że za nim tęskniła, a po jej zmarzniętych policzkach płynęły łzy. Nic jej nie obchodziło, że jest zimno, że mróz pełził po jej gołych nogach i sięgał bioder tylko trochę osłoniętych przez policyjną kurtkę. Dłonie jej skostniały, oddech zamarzał na ustach, ale dusza była gorąca. Nie zdawała sobie sprawy, ile czasu tak stała z twarzą przysuniętą do okna samochodu. W pewnym momencie poczuła, że ją ktoś łapie za ramiona. Wyprostowała się i zobaczyła komisarza.

— Proszę, idź do mojego mieszkania. Tam leży mój mąż, na pewno ma kluczyki przy sobie. Przynieś mi je.

— Chodź ze mną, ubierzesz się, a sierżant Pocięcha popilnuje twojego syna.

— Nie, nie ruszę się stąd.

Bez słowa oddał jej swoje rękawiczki i pognął do bloku.

Rozdział XXXII

MIASTO TĘTNIŁO POŚWIĄTECZNĄ CODZIENNOŚCIĄ, przypominając o kluczowych miejscach w swej przestrzeni, czyli o parkingach przy „Biedronkach”. Tam śnieg został usunięty w pierwszej kolejności i wkrótce pojawiły się samochody, z których wysiadali podenerwowani elblążanie i biegli do ciepłego wnętrza sklepu, głównie po pieczywo i kawę, bo tych produktów brakowało po świętach. Młodszy mieszkańcy wysiadali z tramwajów albo do nich wsiadali, jak gdyby jeżdżenie tym środkiem lokomocji uznali akurat za najlepszą rozrywkę w wolnym od szkoły czasie. Zasypane śniegiem podwórka były puste, żadne dziecko nie lepiło bałwana ani nie ślizgało się przed blokiem, bo niby po co zdierać buty na ubitym śniegu, skoro można pojeździć na lodowisku pod dachem i jeszcze napić się gorącej czekolady. Na największych w mieście trzech skrzyżowaniach stały w kolejce samochody, z których co czwarty miał zagraniczną rejestrację. Nie byli to bynajmniej cudzoziemcy, lecz Polacy zarabiający w obcej walucie, a świętujący w złotówkach. Przezroczyste sople zwisały z przystanków autobusowych i tramwajowych, niedane im jednak było błyszczeć w słońcu, bo na niebie od rana zalegały ciężkie chmury, a w powietrzu wisiał czarny dym bijący potężnymi kłębami z licznych w mieście kominów.

Komisarz jechał w stronę Tysiąclecia i patrzył na miasto zatopione w śniegu i gryzącym dymie. Miał wrażenie, że przemierza ogromną szachownicę, gdzie stykające się prostopadle ulice tworzą kolejne pola. Większość pionków miała kształt prostokątów, ale dość często pojawiały się też wieże kościelne. Innych figur to miasto nie znało. Lubił tę monotonię w krajobrazie.

Zaparkował na policyjnym parkingu i wszedł do komendy.

Skierował się od razu do swojego pokoju, z którego za parę dni przeniesie się piętro wyżej, do gabinetu naczelnika wydziału kryminalnego. Czekala na niego sierżant Gryś. Stała w kurtce policyjnej przy otwartym oknie i zaciagała się papierosem. Nie przywitała go uśmiechem, nawet się nie odezwała. Zbliżył się do niej i sięgnął po paczkę papierosów leżącą na parapecie. Zapalniczki nie dostrzegł, wyciągnął więc swoją. Zapalił.

— Dobrze się spisałaś — wymamrotał, trzymając papierosa w ustach.

— Co ty pierdolisz? Spanikowałam. Powinnam go zmusić do odłożenia broni, tego mnie uczyli w Szczytnie, a ja go, kurwa, zastrzeliłam.

Nerwowo przekładała papierosa z jednej dłoni do drugiej.

— A nauczyli cię w szkole, że w policji najważniejsze są statystyki? Nauczyli cię tam, że lepiej przestępstw nie widzieć, nie rejestrować, żeby nie trzeba było prowadzić dochodzeń? Nauka to jedno, przepisy to drugie, a praca w policji to trzecie.

— Przestań! Nie lubię takiej gadki. Mówisz do mnie jak do głupiej. — Wychyliła się przez okno i wydmuchała dym papierosowy. — Wiesz, że jestem jedyną osobą w naszej firmie, która zabiła człowieka? Nie czuję się z tym dobrze. Żeby takich jak ja było więcej, chyba byłoby mi łatwiej.

Nie miał zamiaru mówić jej, że nie jest jedyna. On też zabił, ale w przeciwieństwie do niej nie miał rozterek, mimo że jego czyn był najzwyczajniejszym w świecie morderstwem.

— Umówiłaś się z psychologiem?

— Tak, poprosiłam też o urlop.

— Będziesz musiała się stawić na przesłuchanie, to cię nie minie, ale nie masz się czego obawiać. Nie przekroczyłaś swoich uprawnień, Łempicka to potwierdzi.

— Zabiłam jej męża.

— Uratowałaś jej życie, poza tym strzelałaś do człowieka, który zorganizował największy w Polsce zamach z wzięciem prawie dwustu

zakładników.

— Jak ona się czuje? A jej syn, co z nim?

Kamil czuł, że Beata chce usłyszeć coś pozytywnego. W dużym stopniu obecny los Mileny i Krzysia był przecież pochodną zabicia Pawła Krola.

— Jest bardzo szczęśliwa, odzyskała syna.

— Powiedz coś więcej. Co ten chłopiec mówił?

Beata się ożywiła, w jej oczach pojawiło się zaciekawienie.

— Krzys do matki w ogóle się nie odzywa, a ona cały czas do niego mówi. Opowiada mu, jak go szukała, że pojechała nawet do Falun, bo znalazła go na zdjęciu na witrynie kibiców skoków narciarskich. Też próbowałem z nim pogadać, przecież mieliśmy krótki kontakt w wieżowcu. Niestety, nie wypowiedział ani jednego słowa. Ojciec mu zrobił niezłe pranie mózgu. On uważa, że my z Mileną należymy do mafijnego systemu, z którym Krol walczył.

Beata zgasiała papierosa w metalowym pudełku i podeszła do biurka. Wróciła, trzymając w garści cukierki. Poczęstowała go.

— Prokuratorka powinna się skontaktować ze specjalistami, przecież Krzys nie jest jedynym dzieckiem, które przez coś takiego przeszło. Na pewno znajdzie się ktoś, kto będzie umiał mu pomóc.

— Na razie Milena zadzwoniła do swoich teściów, ich poprosiła o pomoc, bo przed zniknięciem Krzys miał dobre relacje z dziadkiem. Mnie się wydaje, że to jest gówniany pomysł.

— Dlaczego? — zapytała niewyraźnie, żując krówkę.

— To tylko kwestia czasu, a zaczną ją obwiniać o śmierć syna. Krol został przecież zastrzelony w jej mieszkaniu. Może nawet będą starali się ustawić wnuka przeciwko matce.

— Możesz mieć rację — skonstatowała Beata.

Kamil obracał cukierka w palcach. Miał na niego ochotę, ale najpierw skończy fajkę.

— Nie da się ukryć, że ja wczoraj też nawaliłem, puściłem się w pogoń za narkomanem. Dobrze, że ty przewidziałaś, że Krol przyjedzie do Mileny. Gdyby nie ty, Łempicka dzisiaj byłaby martwa,

a jej mąż z synem znowu by się ulotnili.

Sierżant Gryś rozwinęła kolejną krówkę. Papierek wrzuciła do prowizorycznej popielniczki.

— Gdy ty z Pociechą odjechaliście spod jej bloku, planowałam jechać do firmy. Siedziałam już w samochodzie, uruchomiłam silnik i wycierałam szyby, i wtedy dotarło do mnie, że to nie mógł być zbieg okoliczności. Krol wybrał wieżowiec w Elblągu, bo wiedział, że tutaj prokuratorem jest jego żona. Ten zamach to taki swoisty prezent dla niej. Pomyślałam, że będzie chciał ją o tym osobiście poinformować przed ponownym zniknięciem.

Kamil zgasił papierosa i zaczął rozwijać cukierka. Żółto-pomarańczowa barwa na papierku wydała mu się znajoma. Rozpostarł go i zobaczył logo Elbląga, wirującą spiralę, przywodzącą na myśl literę „e”. Identyczny papierek znajdował się w kieszeni spodni martwej Agnieszki Hulewicz.

— Skąd masz te cukierki?

— Prezydent Falencki nas nimi dzisiaj częstował. Uwielbiam krówki. — Beata rozwijała kolejnego cukierka. — Falencki przyszedł nam podziękować i pogratulować. Chciał się z tobą widzieć, no ale ciebie nie było, to z moim ojcem chwilę pogadał.

Komisarz ugryzł cukierka i dalej przyglądał się opakowaniu. Zapewne wielu pracowników urzędu rozdawało krówki z logo miasta, prawdopodobnie petenci też mogli się nimi częstować. Ciekawe, czy Agnieszka Hulewicz załatwiała przed świętami jakąś sprawę w urzędzie.

Kamil przypomniał sobie zdenerwowanie prezydenta, gdy zapytał go, czy ma kogoś bliskiego w wieżowcu. Falencki odpowiedział, że nie ma. Kłamał. Zdradziło go to swoiste napięcie mięśni twarzy. Kłamstwo prezydenta to żaden dowód, papierek w kieszeni Agnieszki też o niczym jeszcze nie świadczył, gdyby nawet znaleźli na nim odciski palców Falenckiego... po prostu miały prawo tam być. Intuicja mu jednak podpowiadała, że to może być dobry trop.

— Gdzie jest Rumun?

— Chyba u siebie. Szukał cię dzisiaj.

Zgarnął kilka cukierków z biurka i wyszedł z pokoju. Aspiranta zastał pochylonego nad papierami i zdjęciami. Był tak zaczytany, że nie zareagował na jego wejście. Kamil podniósł jedną z fotografii. Przedstawiała dziewczynę leżącą na śniegu. To była dokumentacja z oględzin zwłok Agnieszki Hulewicz.

— Co się dzieje? Dlaczego akurat za to się teraz wzięłeś?

Rumun uniósł głowę.

— Jaszczur miał rację. Ona została zamordowana przed zamachem. Sprawca zdążył opuścić wieżowiec.

— Skąd o tym wiesz?

— Znaleźliśmy jej laptopa i komórkę, sprawca nie wyjął karty SIM, telefon wciąż się logował. Sprzęt znajdował się w mieszkaniu na Stefczyka, u Radosława Litwina. Wskazał nam śmietnik, z którego wyjął te rzeczy.

— Wysłałeś sprzęt do laboratorium?

— Tak, komendant podpisał mi wniosek. Skopiowałem też zawartość i teraz nasza młodzież to przegląda.

— Ofiara знаła sprawcę, skoro wpuściła go do mieszkania — zauważył Kamil.

— Też tak sądzę, dlatego posłałem po jej rodziców i chłopaka. Trzeba pogadać też z jej koleżankami, bo jeśli to jakiś nowo poznany facet, to one powinny pierwsze o tym wiedzieć. I trzeba jeszcze sąsiadów dopytać, czy w wigilię coś zauważyli albo czy nie usłyszeli odgłosów z mieszkania ofiary. Tak w ogóle to mamy za dużo roboty, a za mało ludzi. Czekają jeszcze na nas sprawy kradzieży okupu.

— To później, najpierw musimy znaleźć mordercę Agnieszki.

Rumun opadł na fotel. Wyglądał na zmęczonego, nawet się dzisiaj nie ogolił, a zdarzało mu się to niezwykle rzadko.

— Od której jesteś w robocie?

— Od ósmej. Miałem przyjść po dziesiątej, ale zadzwonili do mnie, że znaleźli sprzęt ofiary.

Kamil położył na biurku kilka krówek.

— Dzięki, wolę gorzką czekoladę, co najmniej siedemdziesiąt procent kakao.

— Te cukierki jadła Agnieszka Hulewicz, w kieszeni miała paperek.

— Tak?

Rumun wydawał się zaskoczony. Wziął krówkę i przyglądał się jej, następnie przesunął kilka zdjęć po biurku. Po chwili postukał palcem w fotkę przedstawiającą opakowanie po cukierku z logo Elbląga.

— Sądysz, że ten dowód okaże się ważny?

— Falencki przyniósł nam dzisiaj te krówki. On może być mordercą — oznajmił Kamil.

Rumun teatralnie przewrócił oczami.

— No, robisz postępy, jeśli chodzi o kojarzenie faktów. Pod twoim kierunkiem wydział kryminalny daleko zajdzie. Proponuję, żeby przy najbliższym śledztwie szukać człowieka w czerwonej czapce, na pewno będzie winny.

Komisarz się uśmiechnął. Wiedział, że zaraz przekona aspiranta do swojej hipotezy.

— Sądzę, że Agnieszka była kochanką Falenckiego. Podczas pierwszego spotkania zapytałem go, czy ma kogoś bliskiego w więzowcu. Zaprzeczył. Skłamał i to bardzo nieudolnie.

Rumun spoważniał.

— Masz numer telefonu prezydenta?

— Tak, mam.

— No to bierzemy się do roboty.

Czarne oczy aspiranta zwęziły się. Mimo zmęczenia był gotowy do działania.

Rozdział XXXIII

RADIOWÓZ SUNAŁ dwupasmową ulicą Łączności. Mijali trzykondygnacyjne budynki ze skośnymi dachami i zbliżali się do starego gmachu z czerwonej cegły, który został wzniesiony tuż przed pierwszą wojną światową dla niemieckich gimnazjalistów, a dzisiaj służył jako urząd miejski. Zegar na wieży pokazywał czternastą trzydzieści pięć. Powinni zastać prezydenta Falenckiego w pracy. Nie uprzedzili go o swoim przybyciu. Chcieli go zaskoczyć, to zwykle przynosiło pożądany efekt. Zaparkowali, po czym przeszli przez okazałą bramę i weszli do urzędu.

— W czasie wojny w tutejszych piwnicach hodowano jedwabniki. Wiedziałaś o tym? — zagadnął Rumun.

— Po cholereę Niemcom jedwab w czasie wojny?

— Jak to po co? — Aspirant aż się zatrzymał przed schodami prowadzącymi do wejścia głównego. — Oczywiście, że do produkcji spadochronów.

Pokonywali długie i szerokie korytarze urzędu. Petentów było niewiele, tylko czasami mijali ładne i młode urzędniczki, jak gdyby pracę tutaj otrzymywało się poprzez casting. Weszli do sekretariatu prezydenta. Sekretarka przywitała ich niewymuszonym uśmiechem. Komisarz pokazał legitymację.

— Chcą panowie teraz widzieć się z prezydentem?

— Tak.

— Ale prezydent był dzisiaj u was na Tysiąclecia.

— Mnie niestety akurat nie było na komendzie.

Kobieta podniosła się.

— Proszę chwilę poczekać.

Odprowadzili ją wzrokiem do drzwi prezydenckiego gabinetu,

wpatrując się w jej pośladki poruszające się rytmicznie pod czarną tkaniną obcisłej spódnicy. Po minucie wyszła w towarzystwie mężczyzny w garniturze. Wskazała ręką, że mogą wejść.

Falencki wstał za biurka. Jego twarz rozpromieniał szeroki uśmiech.

— Nie miałem okazji panom osobiście pogratulować. Gratuluję, szczerze gratuluję. — Energicznie uściśnął im dłonie. — Dobrze, że mamy to już za sobą i oby nigdy więcej. Proszę, usiądźcie.

Prezydent wrócił za biurko. Kamil i Rumun zajęli wskazane krzesła. Milczeli, Falencki mówił więc dalej:

— Komendant Gryś powiedział mi, że sprawca był tylko jeden, że był to ten mężczyzna, który wczoraj uciekł ze szpitala, a w wieżowcu pomagali mu zmanipulowani przez niego lokatorzy. Aż się wierzyć nie chce. Podobno udawał inwalidę i doskonale to robił. Lekarzy też udało mu się wyprowadzić w pole. Nie ukrywam, że byłem w szoku, gdy komendant wyjawiał mi, że sprawca to mąż pani prokurator Łempickiej. Dobrze, że ta informacja nie wypłynęła do mediów, bo dziennikarze nie daliby jej żyć, a hejterzy na pewno posądziłiby ją o współudział.

Falencki był spokojny, rozluźniony. Nie zakładał, że przyszli tu w jego sprawie. Gdy tylko umilkł, głos zabrał komisarz.

— Co pan nam powie o Agnieszce Hulewicz?

To pytanie było jak wystrzał z pistoletu, dosłownie ogłuszyło prezydenta. Siedział bez ruchu, trudno było doszukiwać się w jego twarzy emocji, w tej krótkiej chwili niczego nie wyrażała. Nagle poruszył głową i zamrugał.

— O co pan pytał?

— O Agnieszkę Hulewicz.

— Kto to jest? Nie znam takiej osoby.

Głos prezydenta stał się cichy, a oddech płytki.

— To jedna z ofiar, jej ciało zostało wyrzucone z wieżowca — wyjaśnił Rumun. — W pierwszy dzień świąt przed kamerami złożył pan kondolencje jej rodzicom.

— Tak, teraz sobie przypominam to nazwisko, często się pojawiało w mediach.

Prezydent zaczął blednąć, jak gdyby tracił krew. Nad mimiką jeszcze panował, ale w oczach pojawił się już strach.

— No to co pan nam o niej powie? — pytał dalej komisarz.

— Nie znałem jej. Nie mogę nic o niej powiedzieć.

— W takim razie proszę nam wyjawić, gdzie pan był w wigilię między trzynastą a piętnastą.

— Dlaczego pan o to pyta? Czy to przesłuchanie? Jestem o coś podejrzany?

— To jeszcze nie jest oficjalne przesłuchanie, ale takie pana na pewno czeka. Teraz po prostu rozmawiamy, w tej chwili może pan powiedzieć prawdę, a potem będzie pan mówił tylko to, na co pozwoli panu adwokat.

Falencki spuścił głowę, ale nie był to gest poddania się. Zaczął pedantycznie oglądać swoje mankiety, jak gdyby spodziewał się znaleźć na nich pyłek. Prawdopodobnie zastanawiał się, co może wiedzieć policja, szacował swoje szanse.

— Chciałbym wiedzieć, o co jestem podejrzany. Jeśli panowie mi tego nie powiedzą, nie mamy o czym rozmawiać.

— Podejrzewamy, że zabił pan swoją kochankę Agnieszkę Hulewicz — odezwał się aspirant Nowak.

Falencki roześmiał się nerwowo, ale też z wyraźną ulgą.

— Zapewniam panów, że nie mam kochanki i nigdy nie miałem. Bardzo kocham swoją żonę i uważam, że to najwspanialsza kobieta na świecie. Nie zamienię jej na żadną inną.

Komisarz kiwnął głową, jak gdyby się z nim zgadzał. Właśnie o to im chodziło, aby prezydent poczuł się bezpieczniej, żeby uwierzył, że właściwie nic nie wiedzą. Teraz będzie mniej ostrożny.

— To gdzie pan był w wigilię między trzynastą a piętnastą? — zapytał ponownie.

— W domu. Albo jechałem po jakieś ostatnie zakupy. Nie pamiętam.

— A czy może zajechał pan na Okulickiego i wstąpił do wieżowca? Dolna warga Falenckiego drgnęła, ale odpowiedział pewnym tonem:

— Nie.

Rumun z sykiem wypuścił z siebie powietrze.

— A już myślałem, że się panu uda. Niestety, to zła odpowiedź. Powinien pan powiedzieć, że był pan w wieżowcu, choćby po to, żeby przejechać się windą, bo lubi pan popatrzeć na miasto z dziesiątego piętra.

— Nie było mnie tam. Ta osoba, która twierdzi, że mnie tam widziała, musiała mnie z kimś pomylić.

— Nie mamy naocznego świadka — oznajmił komisarz. — Chociaż niewykluczone, że się ktoś znajdzie. Wiemy jednak, że był pan w wigilię w wieżowcu na Okulickiego, tam się logował pana telefon o trzynastej osiem. Komórka pana zgubiła. Gdyby był pan pospolitym przestępcą, wiedziałby pan, że nie bierze się telefonu na akcję.

— Na jaką akcję? Pan zwariował. — Falencki wytarł spocone czoło. Z jego oczu wycierał strach. — Mam żonę i trzy córki. Nigdy bym nie zabił żadnej kobiety, nigdy, nigdy. Przysięgam. To, że byłem w tamtym bloku, wcale nie znaczy, że ją zabiłem. Mylicie się. Ją zabił ten cały terrorysta. Nie przykleicie mi tego morderstwa. To prawda, że byłem w mieszkaniu u tej dziewczyny. Pojechałem odwieźć jej rękawiczki, bo zostawiła je u mnie w samochodzie. W piątek wziąłem ją na stopa w Jagodnie, stała zmarznięta, to ją zabrałem.

Komisarz i aspirant wymienili porozumiewawcze spojrzenia w taki sposób, aby Falencki to zauważył.

— Może lepiej byłoby, żeby pan powiedział, co się tam stało — odezwał się Kamil.

— Już powiedziałem, zawiozłem jej rękawiczki. — Falencki nagle się zerwał. — Idźcie już. Wszystko, co tu powiedziałem, powtórzę prokuratorowi w obecności mojego adwokata. Nie zniszczycie mnie.

Żaden z nich nie podniósł się z krzesła.

— Panie prezydencie, to wyjaśnienie z rękawiczkami nawet nie jest takie najgorsze, gdyby nie te przeklęte komórki, one pana pogrążają. Trzeba było wyjąć z telefonu Agnieszki baterie, to dzisiaj miałyby pan szanse na obronę, a tak... no cóż, wpadł pan w szambo.

— Nie — zaprzeczył Falencki. W jego głosie nie było jednak cienia determinacji, jak gdyby w duchu przyznał już rację komisarzowi.

— Powtórzę, że wpadł pan w szambo i to po samą szyję, bo zabrał pan telefon ofiary i laptop. Przez godzinę jeździł pan z tymi urządzeniami po mieście, a w tym czasie stacje przekaźnikowe rejestrowały lokalizację pana telefonu i telefonu Agnieszki Hulewicz, zawsze w tym samym miejscu. Potem wyrzucił pan laptop i telefon ofiary do śmietnika na ulicy Stefczyka, a wcześniej sformatował pan oba urządzenia, żeby usunąć dowód waszej znajomości.

Prezydent opadł na fotel i zasłonił twarz dłońmi.

— Błagam, idźcie już.

Wstali. To, co mieli zrobić, zrobili. Ten człowiek sam przyjdzie do nich, aby dobrowolnie przyznać się do zamordowania dwudziestosześcioletniej dziewczyny. Tak mu na pewno poradzi adwokat.

— Proszę dzisiejszy wieczór spędzić z rodziną, porozmawiać z żoną, a jutro czekamy na pana na komendzie.

Wyszli. Sekretarka znowu uśmiechnęła się do nich niewymuszonym uśmiechem i pokazała na swój nadgarstek, na którym połyskiwał złoty zegarek. Chyba chodziło jej o to, że ze swoją sprawą zmieścili się w godzinach pracy urzędu.

Rozdział XXXIV

BOJER ZBUDOWANY BYŁ ZE ZWYKŁEJ SKLEJKI. Kamil miał wrażenie, że pęknie pod ciężarem jego ciała, ale instruktor zapewniał, że to solidna konstrukcja i na pewno nic takiego się nie stanie. Milena kręciła przecząco głową, ona na pewno nie będzie latać po lodzie, a oni jak sobie chcą, ale na ich miejscu poważnie by się zastanowiła. Wyraziła sceptyczną opinię, bo czuła, że Krzysiu chętnie przystanie na rozrywkę, co do której miała poważne zastrzeżenia. Wciąż odnosił się do niej z dużym dystansem i nieufnością, choć i tak było lepiej niż na samym początku. Pomocny okazał się dziadek, Zbyszek Krol. Pokazał wnukowi stare rodzinne filmy. Krzysiu miał okazję zobaczyć ojca w dobrej kondycji psychicznej, roześmianego i sympatycznego. Na jednym z nagrań Paweł Krol rysował mazakiem członków swojej rodziny. Naszkicował uśmiechniętą Milenę, trzymała w dłoniach dwa duże serca, jedno podawała mężowi, a drugie synowi.

— No to kto pierwszy? — zapytał instruktor.

Wszyscy stali wokół bojera, Kamil i Milena po jednej stronie, a Krzysiu, dziadek i instruktor po drugiej.

— Może pan pierwszy, pokaże nam pan, jak to się robi — zaproponował Zbyszek Krol.

Instruktor chętnie się zgodził. Pogoda była idealna do latania po lodzie, lekki wiatr, niewielki mróz i tafla pokryta cienką warstwą śniegu. To Kamil namówił wszystkich na bojery. Ślizgacz wypożyczyli w Nowej Pasłęce, tutaj też na Zalewie Wiślanym postanowili wypróbować swoich sił.

Zbyszek Krol gwizdnął z uznaniem, gdy instruktor wskoczył do rozpędzonego bojera i potem leciał, osiągając zawrotną prędkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Kamil zgłosił się jako

następny do ślizgu. Też chciał wskoczyć do rozpędzonego bojera, ale instruktor i Milena przekonali go, że za pierwszym razem lepiej tak nie szaleć. Włożył więc kask i położył się w ślizgaczu, zapierając się nogami i łokciami o sklejkę. Nad jego głową trzepotał żagiel.

— Pchnijcie mnie — poprosił.

Milena już się nachylała, ale instruktor ją powstrzymał.

— Niech pan porusza ciałem w przód i tył.

Kamil wykonał polecenie, ale ślizgacz nie ruszył.

— Musi się pan nauczyć sam ruszać, może niech się pan odepchnie nogą.

Wystawił nogę. Musiało to wyglądać komicznie, bo Krzysiu wybuchnął szczerym niepohamowanym śmiechem, czym uszczęśliwił swoją rodzicielkę. Milena zaczęła skakać, bić brawo i wołać:

— Ja też będę latać! Też chcę!

— Musisz poczekać na swoją kolej — oznajmił Kamil i jeszcze raz odepchnął się nogą, tym razem mocniej.

Ruszył. Widział, jak maszt się wygina pod siłą wiatru, a żagiel przybiera charakterystyczny kształt. Ślizgacz nabierał prędkości, ale momentami hamował, zatrzymywany przez grubszą warstwę śniegu. Kamil manewrował szotem, ustawiając żagiel z wiatrem. Nagle bojer wyrwał do przodu. Wrażenie było niesamowite, aż mu dech zaparło. Już wiedział, że to będzie jego ulubiony sport. Musi się postarać o własny bojer.

Krzysiu zgłosił się jako następny do latania po lodzie. Położył się w kokpicie i także odepchnął nogą. W pewnym oddaleniu od nich zgromadziła się spora widownia, prawie dwadzieścia osób. Kamil zauważył, że przywołuje go ręką jakaś tęgawa kobieta w puchowej kurtce. Raczej jej nie znał. Nieznajoma kiwała głową, jak gdyby chciała powiedzieć: Tak, masz do mnie podejść. Ruszył w jej stronę. Uśmiechała się.

— Komisarzu, znakomicie panu poszło. Czy to pierwszy raz?

— Tak, pierwszy. Znamy się?

— Ja pana znam, a pan mnie nie musi.

Kobieta miała około pięćdziesięciu lat. Bez makijażu, w polarowej czapce wyglądała bardzo zwyczajnie. Gdyby nie to, że go przywołała, nie zwróciłby na nią uwagi. Z przewieszzonej przez ramię torby wyjęła termos.

— Napije się pan herbaty?

— Nie, dziękuję.

— A ja się napiję.

Nalała do kubka gorącego płynu, który mocno parował na mrozie, uwalniając herbaciany aromat.

— Pani prokurator musi być bardzo szczęśliwa, odzyskała w końcu syna — oznajmiła nieznajoma radosnym tonem.

Kamil poczuł, że napinają mu się wszystkie mięśnie, a w zakamarki umysłu zakrada niepokój.

— Kim pani jest?

— Pana sprzymierzeńcem, z pana powodu tu jestem.

— Albo będzie pani rozmawiać ze mną normalnie, albo się pożegnamy. Proszę krótko, bo czasu nie mam.

Uśmiechnęła się.

— Lubię konkretnych ludzi, lubię pana.

Odwrócił się, jak gdyby chciał odejść.

— Prezydent Falencki jest niewinny — oznajmiła stanowczym tonem.

— Jest pani jego adwokatem?

— On nie potrzebuje adwokata, jest niewinny. Nie słyszał pan?

Kamil zaczął iść w stronę Mileny i Zbyszka Krola. Ci dwoje jak urzeczeni wpatrywali się w Krzysia latającego po lodzie. Kobieta ruszyła za komisarzem.

— Jeśli prezydent trafi za kratki, to pan razem z nim. Wyciągniemy pana uchybienia, tak to nazwijmy, zawsze to lepiej brzmi niż przestępstwa. Kradzież półmilionowego okupu i posłanie za kratki dwóch niewinnych mężczyzn, to ma pan na koncie. Prawda? A może znajdzie się na pana coś jeszcze?

Komisarz się zatrzymał. Niepokój w nim narastał. Ta kobieta nie ma wiedzy o jego największym występku, ale wie na tyle dużo, żeby go zniszczyć. Teraz najbardziej interesowało go to, skąd ona czerpie swoje informacje.

— Kim pani jest? — zapytał ponownie.

— Proszę mi uwierzyć, że jestem pana szansą. Pan odpuszcza prezydentowi, a my panu. Postaramy się, aby żaden z tych dwóch mężczyzn, których pan zmusił do przyznania się do winy, już nigdy nie napisał żadnej skargi, żadnego pisma.

— Mówi pani, że zmusiłem kogoś do przyznania się do winy. A gdzie był sąd? To nie ja posłałem ich za kratki, lecz sędzia. Jeśli ci ludzie byli niewinni, to obciąża to sędziego, nie mnie. Nie mam sobie nic do zarzucenia.

— Te argumenty proszę sobie zostawić na proces, ale wcześniej proszę zapoznać się z artykułem 246 kodeksu karnego.

Dobrze znał zapis tego artykułu. Groziło mu do dziesięciu lat za wymuszenie fałszywych zeznań.

Kobieta napiła się herbaty i powiodła wzrokiem za poduszkiwcem straży granicznej sunącym w oddali.

— No i jeszcze sprawa tego nieszczęsnego okupu. To pan nadzorował jego przekazanie, pod pana okiem pół miliona wsiąkło jak woda w piasek, a kilka miesięcy później kupił pan dom za miastem i samochód.

— Mam wrażenie, że jest nam nie po drodze — mruknął Kamil.

Kobieta uniosła brwi w wyrazie niezrozumienia.

— Straszy mnie pani, a raczej powinna pani próbować ubić ze mną interes.

— Co pan powie? A mi się wydawało, że właśnie ubijam interes.

Bojer wykonał zbyt raptowny zwrot, przechylił się i Krzysia wyrzuciło ze środka. Na szczęście prędkość nie była duża, chłopiec od razu się podniósł. Milena podbiegła do niego i pomogła mu postawić ślizgacz na płozach. Krzysiek zdjął kask i podał go matce, teraz jej kolej.

— Czekam na ofertę — oznajmił Kamil.

Nieznajoma dołała sobie herbaty.

— Myślę, że zasłużył pan na przedterminowe mianowanie na inspektora. Możemy przypilnować, żeby się tak stało.

Kamil milczał. Chciał, żeby wyglądało na to, że się zastanawia.

— Falencki zabił młodą dziewczynę — oznajmił po dłuższej chwili, przypominając, o jaką stawkę jest gra.

— Zapewniam pana, że to był nieszczęśliwy wypadek.

Pokiwał głową, jak gdyby się z nią zgadzał. Stali obok siebie i patrzyli na bojer lecący po lodzie. Milenie dobrze szło manewrowanie żaglem. Dochodziły do nich jej radosne pokrzykiwania.

— Stopień inspektora to wszystko, co możemy panu zaproponować. No chyba że ma pan jakieś szczególne życzenia, które są w zasięgu naszych możliwości. Proszę mówić.

Wciągnął w płuca mroźne powietrze.

— Ten okup, dobrze byłoby, żeby w jego sprawie nie prowadzono już żadnego śledztwa.

— Zapewniam pana, że jeśli coś się zacznie dziać wokół tej sprawy, od razu ją wyciszymy.

Odetchnął z ulgą. Rzeczywiście ta kobieta mogła okazać się jego wielką szansą na uniknięcie kłopotów. Wyciągnął telefon i zrobił zdjęcie lecącemu bojerowi, w którym siedziała Łempicka.

— Możemy mieć problem z panią prokurator, ona zna wszystkie szczegóły sprawy prezydenta Falenckiego. Raczej jej teraz nie przekonam, że nastąpiła pomyłka.

Kobieta ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Proszę powiedzieć jej prawdę, że pana zaszantażowaliśmy.

— Myślałem, że rozmawiamy na poważnie.

— Bo tak jest. Proszę powiedzieć pani prokurator, że do szantażu użyliśmy sierżant Beatę Gryś. Jeśli nie darujecie winy Falenckiemu, to my spróbujemy udowodnić, że pani sierżant nadużyła swoich uprawnień, zabijając Pawła Krola. Może nie uda się jej skazać, ale

na pewno wykończymy ją psychicznie. Nie mam wątpliwości, że pani prokurator zgodzi się na odpuśczenie winy prezydentowi, nie da przecież zrobić krzywdy sierżant Gryś, której sama zawdzięcza życie.

— Zostaje jeszcze aspirant Nowak — zauważył Kamil. — Obawiam się, że argument o ochronie Beaty go nie przekona, przynajmniej nie w stu procentach.

Nieznajoma uśmiechnęła się tajemniczo.

— Aspiranta czeka dużo innej pracy, a przede wszystkim nie będzie miał bezpośredniego dostępu do śledztwa.

— Jak to?

Kobieta dopiła herbatę i obróciła kubek do góry dnem.

— Nowak zostanie komendantem posterunku w Pasłęku i to już od poniedziałku.

— Mówi pani — w Pasłęku. Chyba nie będzie zbyt szczęśliwy.

— Na otarcie łez otrzyma awans na starszego aspiranta. Najważniejsze, że będzie daleko od sprawy zabójstwa Agnieszki Hulewicz.

Kamil był pod wrażeniem. Ludzie, których reprezentowała ta kobieta, mieli wszystko przemyślane, a przede wszystkim byli pewni siły swoich wpływów. Przemknęła mu przez głowę myśl, że urojenia Pawła Krola nie były tak bardzo dalekie od rzeczywistości.

— A więc Falencki może spać spokojnie — oznajmił.

— Pan też.

Schowała termos i kubek do torby, po czym się oddaliła. Nikt nie odprowadził jej wzrokiem. Zwyczajna kobieta, która właśnie zadecydowała o przyszłych władzach stutysięcznego miasta.

Milena wysiadła z bojera i podeszła do niego.

— Dobrze mi poszło?

— Znakomicie.

— Miałeś świetny pomysł, żeby tu przyjechać. Widziałeś, jak Krzysiu się ożywił?

— Ty też się ożywiłaś.

Milena rzeczywiście promieniała. Cieszyło to Kamila. Przez pewien

czas obawiał się, że zacznie go wypytywać, co się stało w sypialni po jego oświadczeniach, milczała jednak na ten temat. Może nic nie pamiętała albo nie chciała psuć sobie humoru.

Zdjęła rękawiczkę i pokazała mu pierścionek zaręczynowy.

— Może w walentynki się pobierzemy?

Kamil pomyślał, że ten ślub właściwie nie jest mu już potrzebny, przecież tamci ludzie zajmą się wyciszeniem sprawy kradzieży okupu. Nie musi się starać, aby nagranie zniknęło z sejfu prokuratury.

— Kochanie, obawiam się, że Krzysiu nie zareaguje dobrze na wieść o naszym ślubie, twoi teściowie też nie, a z ich zdaniem musimy się liczyć, bo mają dobry wpływ na twojego syna. Poczekajmy ze ślubem kilka miesięcy.

Włożyła rękawiczkę.

— Masz rację. Poczekamy.

Odetchnął z ulgą. Wszystko znowu zaczynało się układać.

Spis treści

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)

[Rozdział XXVI](#)

[Rozdział XXVII](#)

[Rozdział XXVIII](#)

[Rozdział XXIX](#)

[Rozdział XXX](#)

[Rozdział XXXI](#)

[Rozdział XXXII](#)

[Rozdział XXXIII](#)

[Rozdział XXXIV](#)